

Mistrzowski thriller
o szpiegostwie, miłości i odkupieniu

BLACK WATER



LOUISE DOUGHTY

Autorka bestsellera *Mroczny zaułek*

LOUISE DOUGHTY

**BLACK
WATER**

Z języka angielskiego przełożył
Mariusz Gądek



Tytuł oryginału: *Black Water*

Copyright © by Louise Doughty, 2016

Copyright for the Polish edition © by Burda Publishing Polska Sp. z o.o., 2017

02-674 Warszawa, ul. Marynarska 15

Dział handlowy: tel. 22 360 38 42

Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 360 37 77

Redaktor prowadzący: Marcin Kicki

Tłumaczenie: Mariusz Gądek

Redakcja: Magdalena Binkowska

Korekta: Olga Gorczyca-Popławska

Skład i łamanie: Beata Rukat/Katka

Redakcja techniczna: Mariusz Teler

Projekt okładki: Faber & Faber

ISBN: 978-83-8053-233-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

www.burdaksiazki.pl

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

Spis treści

Dedykacja

Motto

I. Małpa, osioł, sowa. (1998)

II. Wreszcie wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg. (1942–1965)

III. *Black water*. (1998)

Podziękowania

O autorce

Przypisy

Dla Sylvii i Keitha z wyrazami miłości

Największe zagrożenie dla pokoju na świecie? Młodzi mężczyźni w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, szczególnie jeśli są bezrobotni, nieżonaci i nie mają własnego domu.

DOKTOR CLAYBORNE CARSON

Może i jest sukinsynem, ale to nasz sukinsyn.

WYPOWIEDŹ NA TEMAT PREZYDENTA NIKARAGUI ANASTASIA SOMOZY Garcíi,
PRZYPISYWANA FRANKLINOWI DELANO ROOSEVELTOWI

Gdy pracowaliśmy w polu, szybko niszczyły się nam kapelusze.

PRAMOEDYA ANANTA TOER, *THE MUTE'S SOLILOQUY*

!

Małpa, osioł, sowa (1998)

Każdej nocy budził się o tej samej porze, jeszcze przed nastaniem świtu, gdy panował największy mrok. Podrywał tułów, oczy miał już otwarte. Ręką młócił powietrze w poszukiwaniu lampki na nocnym stoliku, ale napotykał przeszkodę w postaci moskitiery. Zajmowało mu chwilę lub dwie, żeby ją unieść i odnaleźć włącznik u podstawy lampki, a wtedy siadał już całkiem wyprostowany i ciężko oddychał, próbując przyswoić paradoks, że obudzony z powodu gorąca, jest zlany zimnym potem.

Za dnia z dostawami prądu bywało różnie, ale nocą lampka zapaliła się od razu. Otaczająca łóżko moskitiera była wykonana z mocnej, nieprzejrzystej bawełny. Czuł się jak w namiocie: na zewnątrz, pod gołym niebem. Krew pulsowała mu w uszach tak głośno, że przez kilka chwil nic innego nie słyszał. Oddychał głęboko, próbując uspokoić bicie serca, i nasłuchiwał, aż w końcu sobie przypomniał, że siedzi w przestronnej i wygodnej chacie z ozdobnymi drewnianymi drzwiami, które były zamknięte od środka podłużną sztabą osadzoną na grubych hakach.

Chata stała w połowie wzgórza, ale dolinę wypełniały odgłosy pędzącej w dole rzeki Ayung, dudnienie i łoskot wody opływającej głazy. Pora deszczowa skończyła się w tym roku późno i rzeka wciąż była wezbrana. Noc robiła coś dziwnego z odgłosami wokół chaty: trudno było stwierdzić, czy dobiegają z bliska, czy z daleka. Szamotanina wiewiórek na dachu, głuche stąpanie cięższego zwierzęcia, może małpy, na werandzie? Weranda na pewno by zaskrzypiała – wspierała się na wysokich palach i nic nie przeszłoby po niej, nie robiąc przy tym hałasu.

Niekiedy wydawało mu się, że słyszy cichy chrobot u dołu drewnianych drzwi. Może to szczur wodny? Czyżby zapuszczały się nocą tak wysoko na wzgórze? Widział ich kilka podczas spacerów doliną; były czarne i szybko śmigały między grubymi, zielonymi liśćmi. Innym razem znów myślał, że tak, na dachu z pewnością jest jakieś zwierzę. Słuchał, jak drapanie pazurów staje się coraz bardziej regularne i skrit, skrit zamienia się w pac, pac, cisza i znów

pac, pac, pac, które następnie przechodzi w szmer deszczu. Szum narastał gwałtownie, aż w końcu stawał się tak ogłuszający, że nawet rzeka przestawała być słyszalna. Woda zagłuszała wodę.

W ciągu dnia lubił stawać na werandzie i obserwować deszcz, jego ściana była tak jednolita, jakby krople nie tylko leciały w dół, lecz także wzbijały się do nieba. W dziennym świetle to było piękne – o ile nie musiałeś wychodzić spod dachu – ale w ciemnościach nocy ulewa przesłaniała świat i tłumiła wszystkie inne dźwięki: nie było nic oprócz deszczu.

Był tu od tygodnia, ale miał wrażenie, że o wiele dłużej. Wciąż rozpamiętywał błędy, jakie popełnił przy ocenie swojej sytuacji. Henrikson, ten półgłówek, który wparowuje do środka jak do siebie. Cóż, przynajmniej Wahid i Amber go przejrzeni; a potem ta dziennikarka – nie do wiary, że pozwolił jej się tak oszukać; na domiar złego Amsterdam bez przerwy kwestionował jego przydatność. Raz po raz odtwarzał w pamięci odbyte z nimi rozmowy, kiedy leżał rozbudzony w upalną noc, uwięziony w labiryncie myśli.

Przez dwie ostatnie noce strach stawał się coraz większy. Dźwięki na dachu zaczęły się zmieniać. Z każdą kolejną nocą budził się coraz gwałtowniej, przekonany, że słyszy kroki na deskach podłogowych, nie na werandzie, tylko wewnątrz chaty, które skradają się w kierunku jego łóżka. W takich chwilach strach wzmagął się tak szybko, że mógł jedynie podnieść moskitierę, zejść z łóżka i nerwowo przeszukiwać całą chatę: zaglądać pod stół, otwierać szafkę w kącie i sprawdzać wszystkie ciemne zakamarki, do których nie dociera światło lampki. Potem nachodziła go potrzeba oddania moczu, więc zmuszał się, by wysunąć sztabę z drewnianych podpór, i otwierał jedno skrzydło drzwi. Rzuczał wyzwanie nocy, stojąc przez chwilę nieruchomo i wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność, a przyćmione światło zza jego

pleców tworzyło ogromny cień w poprzek werandy. W końcu przestępował przez rzeźbioną framugę, podchodził do balustrady i sikał mocnym strumieniem w mrok, po czym wracał do chaty, zakładał na drzwi drewnianą sztabę i po raz kolejny sprawdzał każdy kąt, jakby ktoś lub coś mogło prześlizgnąć się obok niego. Tym razem cały rytuał odbywał się spokojniej, ponieważ niejako sam zaprosił intruza do środka, otwierając drzwi, więc wydawało się mniej prawdopodobne, by ktoś rzeczywiście wszedł. Udowodnił sam sobie, że się nie boi. A oni przychodzą tylko wtedy, kiedy się boisz.

W końcu wracał do łóżka i wyłączał lampkę, a jego serce się uspokajało. Rytuał przeszukiwania chaty, brawura, z jaką otwierał drzwi, wszystko to umacniało go w cichym przekonaniu, że jego obawy są jednak bezpodstawne, że to tylko irracjonalne nocne lęki. Kładł się, zamykał oczy, naciągał pościel i powoli zapadał w sen... Lecz gdy znajdował się już na granicy nieświadomości, wtedy zawsze rozlegał się donośny skrzek gekona, na dachu, tuż nad jego głową, zaledwie kilka metrów od niego, nagły i głośny w swej napastliwości i rozbrzmiewający echem ponad wszystkimi innymi odgłosami. E-ur! Drwiąca, szydercza pauza. E-ur! I znów siadał wyprostowany, cały spocony, wściekły i przerażony. E-ur!

Wrzeszczał i walił w ściany chaty, aby odstraszyć jaszczurkę. Czy to już świt? Gdzie podziewa się Kadek?

Tamtej nocy, kiedy w końcu to zrozumiał, skrzek gekona był tak głośny, tak nieubłagany, że nawet nie walił o ściany chaty, tylko usiadł, ciężko oddychając, zapalił lampkę i ukrył twarz w dłoniach, jakby chciał powiedzieć: „no dobra, wygrałeś”.

I właśnie wtedy do niego dotarło, co się z nim stanie. Zabiją go. „Zrób sobie przerwę – usłyszał od ludzi z Amsterdamu. – Wyjedź w góry, mamy

niedaleko miasta małą chatę, już kiedyś z niej korzystaliśmy. Odpocznij, zasłużyłeś na to. Damy ci znać, gdy porozmawiamy z Zachodnim Wybrzeżem”. Zastanawiał się, dlaczego w ogóle musieli rozmawiać z Zachodnim Wybrzeżem. Przecież już przysłali Henriksona. Jeśli w Amsterdamie byli przekonani, że jest skończony, powinni go natychmiast odwołać. Po co wysłać go w góry? Chyba że chcieli go ukryć, w razie gdyby prasa zdecydowała się opublikować tę historię. Cóż, przynajmniej tak mu się początkowo wydawało. Ale teraz, w środku nocy, ich decyzja o wysłaniu go tutaj nabrała całkiem innego znaczenia.

A więc to koniec. Stał się dla nich ciężarem. Przeterminował się, mimo że przecież nie chciał tu nawet wracać. To oni go do tego namówili. Cóż za ironia, prawda?

Ta świadomość była czymś nowym: wreszcie wiedział, na czym stoi. Po raz pierwszy od przybycia na wyspę położył się na wznak na łóżku i pozwolił sobie na zamknięcie oczu i wsłuchiwanie się bez strachu we wrzaski gekona.

Dach nad nim zaskrzypiał, słyszał cykanie i jazgot nocnych owadów – za to nie padało, a on jednego był pewien: tamci będą czekać na deszcz.

Obudziły go światło i skrzekliwy chór cykad. Zdawało mu się, że tuż przed przebudzeniem miał jakiś sen – nie mógł go sobie przypomnieć, ale na pewno coś mu się śniło. W jego głowie wyświetlił się obraz mężczyzny w koszuli rozpiętej pod szyją, który uśmiecha się do niego na powitanie, a wraz z nim pojawiło się uczucie strachu i przerażenia. Ten obraz nie miał sensu. Potrząsnął głową, żeby się od niego uwolnić.

Gdy tylko zaczął się krzątać po chacie, powłócząc nogami, jak co rano, na werandzie usłyszał Kadeka. Nigdy nie był pewien, o której dokładnie przychodzi, ale zwykle zjawiał się mniej więcej o świcie, żeby być na miejscu, gdy Harper się obudzi.

Podszedł do drzwi i zdjął z nich drewnianą belkę. W dziennym świetle to zadanie wydawało mu się tak łatwe i naturalne, że nawet o nim nie myślał. Otworzył drzwi szeroko i wyszedł na werandę. Na zewnątrz było siwo i gorąco. Dolina rozciągała się przed nim w całej okazałości: zbocze wzgórza naprzeciw chaty wznosiło się niemal pionowo niczym szeroka ściana drzew palmowych spowitych we mgle, a w oddali było widać świętą górę Gunung Agung, wulkan, którego niższe partie otaczał wieniec chmur, przez co wyglądał, jakby się unosił ponad lasem. Jego chata była *kaja*, czyli ustawiona w kierunku góry, co bardzo go cieszyło. Czyżby na starość stał się religijny?

Kadek stał na przeciwległym końcu werandy, jak każdego ranka, zachowując pełen szacunku dystans, dopóki nie zostanie poproszony, by podejść bliżej. W rękach trzymał wiadro z wodą.

– Dzień dobry, panie Harper – odezwał się z delikatnym ukłonem, a potem dodał beznamiętnym tonem: – Mam nadzieję, że noc minęła panu spokojnie.

Kadek nie miał zbyt bogatego słownictwa, ale posługiwał się angielskim z dużą precyzją. Na jego owalnej twarzy malowała się troska i Harper miał wrażenie, że ten człowiek wie, iż ciężko znosił noc. Ciekawe, co Kadek naprawdę o nim myślał. Chata należała do Instytutu i musiała być wykorzystywana także przez innych agentów, ale nie zostały tu po nich żadne ślady, z wyjątkiem kilku mocno sfatygowanych książek w miękkich okładkach w drewnianej szafce w kącie. Harper czuł się zazdrosny i o chatę, i o Kadeka, choć nie był na tyle naiwny, by sądzić, że jego uczucia są odwzajemnione.

Chciał mu powiedzieć: „przyjrzyj się dobrze, czy wyglądam ci na *bule*¹?”. Zaraz po tym, jak przyjechał, rozmawiali po indonezyjsku, ale szybko przeszli na angielski. Tu, na wyspach, często się to powtarzało. W Europie i Ameryce, tych wymagających krainach, musiał się nieustannie tłumaczyć ze swoich gęstych czarnych włosów i czarnych oczu, ale kiedy leciał tu samolotem, czuł, jak jego skóra w trakcie lotu zmienia kolor: im dalej na wschód się znajdowali, tym robił się bielszy.

Chętnie przedyskutowałby to z Kadkiem, ale nie chciał wprawiać go w zakłopotanie. Do diabła, dla Kadeka Harper wyglądał dostatecznie biało, a poza tym pracował dla potężnej organizacji, która dysponuje naprawdę grubymi pieniędzmi. Czy próba zaprzyjaźnienia się z Kadkiem, podobnie jak wydawanie mu rozkazów, nie byłaby dla niego w pewien sposób obraźliwa? Dlatego Harper zachowywał się jak typowy biały, który przybywa na tę wyspę i na każdą inną wyspę archipelagu. Być może właśnie z tego powodu budził się w nocy. Nie chodziło o strach, ale o nienawiść, nienawiść do samego siebie. O świadomość, że jeśli – lub raczej: kiedy – przyjdą ludzie z maczetami, prawdopodobnie jak każdy inny *bule* będzie zasługiwał na swój los.

Skinął głową Kadekowi. Ten podszedł z wiadrem i nalał wody do miednicy ustawionej na małym stoliku z prawej strony drzwi; postawił wiadro przy stole, następnie wziął ręcznik, który miał przewieszony przez ramię, i złożył go starannie obok miednicy. Dobrze wiedział, że Harper lubi myć się rano, podziwiając dolinę. Później naleje więcej wody do *bak mandi*² stojącej z boku chaty.

– *Terima kasih*³.

– Czy mam przynieść śniadanie, panie Harper? – spytał Kadek.

Harper podszedł do miednicy i spryskał twarz wodą, po czym się wyprostował.

– Dziękuję, Kadek. Postaw je na biurku. Wybiorę się na spacer nad rzekę.

Kadek znów nieznacznie kiwnął głową i się wycofał. Harper ściągnął przez głowę koszulkę, zwinął ją i rzucił na stół na lewo od miednicy, po czym zgiął się wpół, by dokończyć toaletę. Na przemian zanurzał w wodzie ręce i ochlapywał się pod pachami, czując jak zwykle luźność mięśni na ramionach, mięśni, które niegdyś były naprężone jak struna, a przynajmniej tak lubił myśleć. W młodości potrafił podciągnąć się na drążku kilkadziesiąt razy z rzędu, ale te czasy już minęły. Wziął połówkę skorupy kokosa leżącą obok

miednicy, nabrał do niej odrobinę wody, zakolysał nią, na wypadek gdyby gdzieś w ciemnych, zdrewniałych włóknach ukrywały się mrówki, po czym nagłym ruchem wylał wodę przez balustradę; znów nabrał wody do skorupy i pochyliwszy głowę, wylał ją na włosy i kark, gwałtownie wciągając powietrze.

Wytarł się koszulką, wrzucił ją do miednicy i zanurzył w wodzie, naciskając na wydymające się pęcherze tkaniny. To przywołało pewne wspomnienie: *black water*, czarna woda, długie kosmyki włosów czepiające się jego nadgarstka niczym wodorosty. Natychmiast wyrzucił z głowy ten obraz. Wolał kontynuować zabawę z naciskaniem baniek powietrza tworzących się pod koszulką, które rozpadały się na mniejsze banieczki, przemieszczające się pod materiałem. W końcu znudziła mu się ta zabawa i przytrzymał koszulkę pod wodą, zgniatając ją pięściami. Zupełnie jakby topił małego kota.

Nad rzekę prowadziła wąska i stroma ścieżka. Czarne i żółte motyle wylatywały spomiędzy liści. Zejście na sam dół zabierało dziesięć minut, ale wspinaczka dwa razy tyle – trzy razy tyle, jeśli wyruszyło się w drogę w największy skwar. Po niespokojnej nocy spacer w parny, gorący poranek działał na Harpera uspokajająco. Jego stare buty – ile już lat je ma? Kiedy kupił je w Oud-Zuid, ich skóra była mocna, jasnobrązowa, ale teraz stały się tak wyblakłe i znoszone, że wydawały się wygodne niczym kapcie.

Jego ulubione miejsce znajdowało się pięć minut marszu od podnóża ścieżki – była tam duża skała stercząca ponad rozlewiskiem. Woda wręcz zachęcała do kąpieli, ale Harper wiedział, że żyjące w niej pasożyty mogą być równie niebezpieczne jak bandy mężczyzn, które – o czym był przekonany – wkrótce zaczną grasować nocami po okolicy, tak jak kiedyś. Pomyślał, że woli umrzeć z rąk człowieka, i znów uderzyły go, jak minionej nocy, jego pewność

i spokój w obliczu tej perspektywy.

Usiadł na skale, wyciągnął z kieszeni notes oraz ołówek i zaczął pisać swym drobnym, lecz starannym pismem. Nigdy nie musiał szyfrować notatek, tak drobne i zbite stawiał litery, ale na wszelki wypadek i tak zamierzał później podrzeć kartkę. Zresztą był to tylko wstępny szkic listu, który po powrocie do chaty miał zamiar przenieść na delikatny niebieski papier listowy.

Napisał kilka linijek i przerwał. Czy Francisca zdoła to zrozumieć? Musiał chociaż spróbować. Dla jego żony – a w zasadzie już byłej żony – to będzie kolejna tragedia. Wprawdzie dobrze znosiła wszelkie tragedie, była do tego stworzona, ale i tak czuł się okropnie, ponieważ wiedział, że w pewnym sensie będzie się o to obwiniać. To cała Francisca. A jest jeszcze jego matka. *Moeder*. Ma. Anika. Na myśl o niej jęknął głośno. Została teraz sama z bolesnymi wspomnieniami, a on był jej jedynym żyjącym dzieckiem. Ciągle pewnie próbowała zapisać się na śmierć w starym domu, ale im więcej piła, tym zdawała się bardziej żywotna. Gdy jej powiedziano, że zaginał, mogła nawet tego nie zarejestrować, do tego stopnia była zalana. Przyglądał się spokojnej wodzie poniżej skały, na której siedział, oraz owadom śmigającym nad jej taflą. Pomyślał, że kiedy przyjdą, ci mężczyźni z maczetami, będą na pewno bardzo młodzi; tak naprawdę będą to jeszcze chłopcy, chudzi, z długimi palcami, wielkimi oczami, czerwonymi bandanami zawiązanymi na czołach i twarzami usmarowanymi farbą. Czarne koszule pojawią się później. Czy ktokolwiek naprawdę sądził, że Habibie⁴ zdoła temu zapobiec, skoro to generałowie pociągają za sznurki? Chłopcy działali chaotyczniej, ale za to z takim samym śmiertelnym skutkiem. Wszak wszyscy młodzi mężczyźni wierzą w przemoc: to ich religia, bez względu na to, w której części świata żyją i jakiego czczą boga – i tym razem, trzy dekady od ostatniego razu, z pewnością będzie tak samo. Już sobie wyobrażał ten orszak, który przyjdzie nocą z tej strony doliny. Przejdą dokładnie obok miejsca, w którym teraz

siedzi. Był niemal pewien, że będą szli właśnie w tym kierunku, ponieważ rzeka płynęła ku skrajowi miasta.

Oczywiście, że to się stanie w bezksiężycową noc. Poczekają na deszcz, żeby zatarł ich ślady. Będą maszerować ścieżką w milczeniu, a w uszach będą im dudnić szmer rzeki i bębnienie ulewy o liście. Zanim zaczną się wspinać stromym zboczem doliny, zrobią sobie przerwę na kretka⁵, przykucną pod rozłożystą koroną drzewa i pewnie wypalą jednego na spółkę, ponieważ nie mają pieniędzy i muszą kraść papierosy swoim ojcom i wujom, co zresztą robią bez większych wyrzutów sumienia. Ojcowie i wujowie nigdy nie rozmawiali z nimi o tym, co się kiedyś wydarzyło, więc jak wszyscy młodzi ludzie są przekonani, że taka brawura to ich wynalazek. Ich ojcowie i wujowie wydają im się starymi głupcami. Być może, gdy tak kucają i palą, a krople kapią im na karki, wstrząsa nimi chichot, ten rodzaj zimnego chichotu, jakim śmieją się chłopcy tuż przed tym, gdy coś przeszkobią. Sam się tak śmiał, gdy dręczył mniejszych od siebie w szkole.

I w jednej chwili, gdy tak siedział na skale nad rzeką, zrozumiał, że rzeczywiście, w szkole znęcał się nad słabszymi. Wydawało mu się, że tylko się bronił, ale tak naprawdę gnębił inne dzieci. „Czarny bękart z Batawii” – tak nazwał go starszy o dwa lata rudy chłopiec, kładąc nacisk na słowo „Batawia”. Ale to nie jego pobił Harper, rudzielec miał za dużo kolegów. Pobił pewnego piegowatego chłopaka ze swojej klasy, który zawinił tylko tym, że zapytał: „Jesteś może mieszańcem?”. Dziwne, że akurat teraz sobie o tym przypomniął.

Po wypaleniu papierosa, pomyślał, chłopcy znów zaczną przedzierać się przez zarośla w górę stromego zbocza doliny. Użyją maczet do odgarniania na bok paproci i pnączy. Tego nie zmyje ulewa – to pozostawi wyraźny ślad, za który będzie im wdzięczny każdy śledczy. Tyle że nie dojdzie do żadnego śledztwa. Nikt przecież nie przeprowadził dochodzenia w sprawie Joostena.

Gdy znajdą się blisko chaty, znów na chwilę przystaną i przyczajeni będą

obserwować jej ciemną bryłę oraz nasłuchiwać bębnienia deszczu o dach. I wtedy w ich żyłach popłynie adrenalina, a najmniejszy i najmłodszy z nich poczuje przemożną potrzebę, by się wysikać. Dowódca, jego starszy brat, będzie najbardziej przerażony ze wszystkich, więc wysyczy do reszty pośpieszne instrukcje, aby ukryć za rozkazami swój strach. Dowodzący oddziałem będzie liczył na to, że *bule* ułatwi im sprawę: jeśli zaczną krzyczeć lub chwyci jakiś przedmiot, żeby się bronić, wówczas zabicie go przyjdzie im bez trudu, ponieważ poczują się zagrożeni i nie będą mieli wyboru. Najstarszy chłopiec będzie miał nadzieję, że właśnie tak się stanie.

Harper zaś, sam w chacie, może będzie akurat czuwał, dzięki gekonowi, a może ten jedyny raz okaże się pogrążony w głębokim śnie.

Wejdą przez okno. Okiennice są łatwiejsze do sforsowania niż drzwi – oczywiście narobią hałasu, którego nie zagłuszy nawet ulewa, ale tutaj to nie ma znaczenia. Zresztą wtedy i tak już będzie za późno. W chacie są tylko jedno okno i jedne drzwi, wychodzące na tę samą werandę. Nie będzie miał gdzie się ukryć.

Jednak czy aby na pewno przyślą chłopców? Jeśli chcą go zabić, lepiej wysłać doświadczonego człowieka, jednego z członków bojówek w czarnych koszulkach, który wie, co trzeba zrobić; poprzednim razem było ich mnóstwo w okolicy, aczkolwiek – podobnie jak młodzi chłopcy – oni też lubią działać w grupach. Chłopców jednak łatwiej będzie wykorzystać, jeśli po powrocie z akcji zechcą przedstawić śmierć Harpera jako część ogólnego chaosu: tak byłoby najprościej. Sam by tak to rozegrał, gdyby był na ich miejscu. Wprawdzie tu, w lesie, nie ma żadnych centrów handlowych do splądrowania i podpalenia, ale wystarczy, że ludzie zobaczą kilka migawek w telewizji, by uznać, że cały kraj jest przesiąknięty przemocą. Tak, biedny Harper, znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. To mogło się przytrafić każdemu. Po biurze jak zwykle zaczną się rozchodzić plotki. „Poza tym podobno zrobił się nieostrożny, zaczął pić, sami wiecie...” W tym momencie

mówiąca to osoba pewnie podniosłaby rękę ułożoną w taki sposób, jakby trzymała w niej kieliszek, i w połowie drogi do ust ta ręka zaczęłaby się trząść. „Wysłanie go tam z powrotem, po tych wszystkich problemach, jakie miał, było prawdopodobnie błędem”. Sam przez lata odbył wiele podobnych rozmów. „Słyszałeś, co się stało z Joostenem? Przywiązali go do koła jego własnego samochodu i oblali benzyną. Z baronami narkotykowymi lepiej nie zadzierać”. Opowieści o straszliwych rzeczach, które przydarzyły się komuś w terenie, łechtały ego tych, którzy zostali w domu – spójrzcie, jak niebezpieczna bywa nasza praca. Takie sytuacje nie zdarzają się często, ale się zdarzają. Joosten był znany z tego, że lubił przypalić. Harper sam to widział. Zawsze istniał jakiś pretekst do plotek. Tym właśnie zajmowali się w pracy: brali pojedynczą nić prawdy i tkali z niej cały dywan.

Pewnego razu, gdy pili razem w Amsterdamie, Joostenowi się wymknęło, że ma mieszkanie w jakimś mieście za granicą, nie powiedział gdzie, ale nie w kraju, w którym działała ich firma. Mieszkanie było zaopatrzone w żywność w konserwach, na wypadek gdyby musiał na jakiś czas się przyczaić. Trzymał tam też gotówkę i fałszywy paszport. Harper wyszedł tej nocy z baru, kręcąc z niedowierzaniem głową. Joosten miał paranoję.

Początek listu do Franciski przekonał go, że spokój, jaki ogarnął go w nocy, był spowodowany czymś więcej niż tylko zmęczeniem: chodziło o to, że miał już pewność, co się z nim stanie. Jakie to uczucie wiedzieć, że umrzesz? Pomyślał, że każdy nosi w sobie tę świadomość, że to jedyna rzecz, którą wiemy na pewno.

Jak chłodna wydawała się czarnozielona woda w rozlewisku otoczonym przez skały. Jak przyjemnie byłoby w tej narastającej duchocie zrzucić z nóg stare buciory i zamoczyć stopy. W chacie na biurku przy oknie Kadek zostawił pewnie dla niego śniadanie: ryż i odrobinę sosu *sambal*, może trochę kurczaka i owoców. Wszystko zapewne przykrył liściem bananowca. Otworzył również okiennice, żeby trochę przewietrzyć, oraz poskładał i starannie wygładził

zmiętą po nocy pościel. Pora wracać. Naprawdę powinien napisać ten list, choć będzie zawierał mnóstwo kłamstw i może nigdy nie uda mu się go wysłać.

Podniósł się ze skały, wyciągnął ramiona, po czym z rękami opartymi na biodrach wykonał kilka luźnych obrotów. W końcu odwrócił się i ruszył ścieżką pod górę.

Wszystko się zaczęło, zanim jeszcze Harper się pojawił – fakt, że to trwało już od dawna, wiele mu ułatwił. Był z Bennim, tym grubym gangsterem. Benni lubił słodczyce i dlatego zostały mu już tylko trzy zęby, jeden przedtrzonowy i dwa siekacze. Harper spędził długie miesiące na urabianiu go, gdy po raz pierwszy przyjechał do Dżakarty w sześćdziesiątym piątym. Mówiono, że Benni jest w dobrych stosunkach z wojskiem i jak wszyscy gangsterzy oraz członkowie bojówek w jednym był zagorzałym antykomunistą. Właściciele straganów i sklepikarze z jego rewiru panicznie się go bali, a to, czy jadał z generałami, czy nie, było inną sprawą.

Znajdowali się w opuszczonym barze w wąskiej alejce w Pasar Senen. Było późne popołudnie i słońce mocno prażyło. Na tyłach lokalu mieścił się garaż lub jakiś rodzaj magazynu. Właśnie tam go trzymali od świtu – Chińczyka, który handlował belami tkanin w sklepie obok kina na skraju kampongu⁶. Było to jedno z tych kin, które PKI⁷ niedawno zamknęła, ponieważ wyświetlano w nich dekadencjne zachodnie filmy. W związku z zamykaniem kin przyjaciele Benniego stracili sporo pieniędzy. Chińskiemu handlarzowi nie udowodniono wprawdzie, że miał cokolwiek wspólnego z tym, co się zdarzyło obok jego sklepu, ale od miesiąca zalegał z opłatą za ochronę.

Harper zebrał te informacje i wszystkie inne szczegóły, gdy stali całą grupą w przedniej części baru – wcześniej razem z Bennim jedli niedaleko stąd obiad, gdy nagle zjawił się kierowca Benniego i powiedział, że szef jest

potrzebny. Sześciu ludzi Benniego i kierowca zebrało się teraz wokół. Harper z grubsza rozumiał, o co chodzi, choć wszyscy mówili szybko i jeden przez drugiego. Mężczyźni byli przejęci, każdy z nich zabiegał o uwagę szefa. „BB! BB!” – powtarzali, zanim wreszcie zdołali zrelacjonować przebieg wydarzeń. Jeden mówił, że Chińczyk podobno był komunistycznym agitatorom, który po zamknięciu sklepu urządzał na zapleczu zebrania. Inny z kolei wspomniał coś o stercie krzesel. „Ten człowiek to kłamca – wtrącił kolejny. – Jest gorszy niż *nekolim*⁸”. Na dźwięk tego słowa Benni klepnął Harpera w ramię i posłał mu szczerbaty uśmiech. Pozostali też spojrzeli na niego, aż w końcu Harper zaśmiał się szczekliwie – wtedy reszta też się roześmiała. Natychmiast zaczęli znów mówić. Harper szybko się zorientował, że większość z nich przez cały ranek piła arak. Byli w jego wieku, mieli po dwadzieścia kilka lat lub nieco mniej, z wyjątkiem Benniego, który był chyba z dziesięć lat starszy.

Benni słuchał dalej z nieruchomą twarzą. Jak dotąd podczas spotkań z Harperem był jowialny i serdeczny, zapraszał go na obiady i częstował importowaną whisky, ale kiedy przebywał w towarzystwie swoich ludzi, lubił roztaczać wokół siebie aurę powagi. W końcu, nie odezawszy się słowem, ruszył na zaplecze baru, a pozostali pośpieszyli za nim. Harper postanowił zaczekać, mając nadzieję, że bar jeszcze działa. Po raz pierwszy się zdarzyło, że Benni zaangażował go w swoją zwykłą działalność, co było dobrym zwiastunem, znakiem, że wreszcie zaczyna mu ufać, Harper wołał jednak poczekać, aż go zawołają; niech Benni sam zdecyduje, do jakiego stopnia można go wtajemniczyć. Potarł szybko dłonie, starając się zignorować ciche dudnienie w piersi.

Mężczyźni zniknęli za drzwiami, które zamknęły się ze szczękiem, zostawiając po sobie metaliczne echo. Harper poszedł na przód budynku i spojrzął na betonowy stopień, chcąc sprawdzić, czy jest dość czysty, żeby na nim usiąść. Nie był. Wzdłuż uliczki biegły rowy kanalizacyjne, z których cuchnęło gównem i szczynami.

Gdy tak czekał, zjawił się bardzo mały chłopiec ubrany w brudną koszulkę, z wystającym, okrągłym brzuszkiem; stanął przed nim i trzymając w ustach trzy palce ręki wspartej łokciem na drugiej, zaczął mu się bez cienia strachu przyglądać. Harper odpowiedział mu takim samym spojrzeniem. Po kilku sekundach wzajemnego szacowania się wzrokiem chłopiec odwrócił się i gdzieś pobiegł, wzniesając za sobą kurz i wołając coś piskliwym głosem, jakby wywiązał się z postawionego mu przez kogoś zadania.

Drzwi za Harperem ponownie szczęknęły. Jeden z ludzi Benniego dawał mu znaki.

– Pan BB każe wejść.

Gdy Harper znalazł się w obskurnym pomieszczeniu magazynowym z niskim sufitem i jednym zakratowanym oknem, zobaczył w słabym świetle Indonezyjczyka o chińskim pochodzeniu, który siedział na niewysokim krześle z rękami związanymi za plecami. Przed nim stał stół. Kilka chwil zajęło Harperowi, by jego wzrok przyzwyczyił się do półmroku. Trudno było określić wiek mężczyzny. Twarz miał całą we krwi, a część skóry głowy została usunięta: to, co znajdowało się pod spodem, było błyszczące, wilgotne i nagie. Jego głowa zwisała lekko na bok, jakby wiedział, że cokolwiek powie, i tak zostanie zabity – co było prawdą – i już po prostu się poddał, gotowy wytrzymać tylko to, co musi, zanim nastąpi koniec.

Benni stał w kącie.

– Chodź, stań obok mnie – zwrócił się do Harpera po angielsku. – Poprzyglądaj się trochę. Zobaczy białego człowieka, pomyśli, że to ktoś ważny. Pomyśli, że może wszystko będzie dobrze. Może zacznie mówić.

Harper zrozumiał, że jego obecność ma przedłużyć cierpienia tego człowieka. Pewnie liczyli na to, że udało im się przez przypadek dopaść komucha. Mógł podać nazwiska. W sześćdziesiątym piątym⁹ nic nie było tak cenne jak nazwiska. Gdy Dżakartę ogarniało coraz większe wrzenie, wszyscy zbierali nazwiska – przedstawiały większą wartość niż rupia, która była tak

słaba, że jeśli chciałeś sobie kupić piwo, musiałeś dźwigać na ramieniu wór wypchany pieniędzmi. Nawet Harper, choć miał dostęp do najtwardszej waluty ze wszystkich, jakie dopuszczała jego organizacja, handlował nazwiskami.

Mężczyzna uniósł głowę, gdy Harper wszedł do środka. Wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczami w zakrwawionej twarzy. Harper również mu się przyglądał. Próbował dać mu do zrozumienia, że nie ma już dla niego nadziei, że powinien na powrót zacząć błagać o śmierć, pogodzić się z bogiem, w którego wierzy, pożegnać się w myślach z najbliższymi. Mężczyzna opuścił głowę, a to wyraźnie rozwścieczyło jednego z ludzi Benniego. Mały, wąsaty typ, który stał najbliżej chińskiego kupca i który, jak się domyślał Harper, był prawą ręką Benniego w tych sprawach, chwycił ze stołu parę zakrwawionych nożyc i zaczął nimi wymachiwać przed twarzą mężczyzny, głośno wrzeszcząc. Wtedy dotarło do Harpera, że to jest sprawdzian; Benni zaprosił go tu, żeby zobaczyć, jak zareaguje – w końcu miał poczucie, że to on werbuje Harpera, a nie na odwrót. Zerknął na pozostałych. Przybrali rozmaite pozy: dwóch naśladowało wąsacza – wpatrywali się w kupca z obnażonymi zębami i twarzami lśniącymi od potu; dwaj kolejni opierali się o ścianę i patrzyli z założonymi rękami, starając się sprawiać wrażenie tak twardych, jak to tylko możliwe; następny facet kręcił się nerwowo. Ostatni z nich, kierowca, wysoki chłopak ze spadzistymi ramionami, na oko osiemnastoletni, stał blisko Harpera i Benniego bez ruchu, za to z uniesionymi rękami i zaciśniętymi pięściami, a jego wzrok skakał to tu, to tam, jakby uczestniczył w wyścigu samochodowym na zdradliwej drodze i musiał zachować wzmożoną czujność. Niektórzy z nich pili, ale wszyscy – z wyjątkiem Benniego i samego Harpera – byli ogarnięci jakimś pseudoseksualnym podnieceniem. Unosiło się ono wokół nich niczym zapach. Harper się domyślał, że ci chłopcy nie mieli zbyt wielu kobiet, jeśli w ogóle. Musieli rozładowywać się właśnie w taki sposób.

Wąsaty koleś ciągle się wydierał; twarz miał wykrzywioną, jego głos wznosił się na coraz bardziej piskliwe tony, aż w końcu stał się dla Harpera zupełnie nie do zniesienia. „Po prostu umrzyj – pomyślał, patrząc na Chińczyka. – Zwiń interes, niech myśli opuszczą twoje ciało”. Zastanawiał się, czy można wywołać własną śmierć, sprowadzić ją siłą woli. Nie, to niemożliwe. Śmierć to w końcu kapitulacja naszej woli. W takim samym stopniu można ją przyspieszyć, co zmusić ciało do lewitowania.

Pragnął myśleć o czymś innym niż siedzący przed nim zakrwawiony mężczyzna, więc zaczął sobie wyobrażać własny koniec. Chciałby móc wtedy patrzeć w niebo. Wymarzona śmierć nadeszłaby w jakiejś altanie, w otoczeniu drzew i kwiatów, z ukochaną kobietą u boku, która położyłaby mu na czole chłodną dłoń. Ostatnia myśl tuż przed tym, jak osunąłby się w nieświadomość, dotyczyłaby tego, że był kochany. Powietrze przesycone słońcem, błękitne i bezkresne niebo...

Na pewno nie chciałby umierać w takim miejscu jak to, samotnie, w towarzystwie ludzi, którzy chcieliby jego śmierci. Nie w tym ponurym pomieszczeniu z zawilgłymi ścianami, cuchnącym klepiskiem zamiast podłogi i mdłym, szarym światłem, którego ledwie wystarcza, by oświetlić twarze tych, którzy mają cię zabić. Nie w ten sposób. „Ani też nie obracając się w wodzie i nie wiedząc, co się dzieje. Co powiesz na odrobinę świeżego powietrza, Bud?”

Gdy tak stał i patrzył na cierpiącego mężczyznę, któremu w żaden sposób nie mógł pomóc, ponieważ jego opiekun w ambasadzie kazał mu zdobyć zaufanie obrzydliwego gangstera, być może mającego bliskie kontakty z wojskowymi, ciągle odpychał od siebie myśl, że nigdy się nie dowie, jak będzie wyglądała jego własna twarz na kilka minut przed śmiercią. Nigdy nie ujrzy jej odbicia w oczach ukochanej. Wydało mu się to wyjątkowo dojmującym przecuciem, że nie będzie żadnego świadka jego odejścia, a przynajmniej żadnego przyjaznego mu świadka, ale przypomniał sobie o tym

dopiero trzy dekady później, gdy siedział z notesem na kolanach na skale nad zielonym rozlewiskiem na pewnej pięknej wyspie.

Tej nocy spał tak dobrze, jak jeszcze nigdy od przybycia na wyspę. Ironia tej sytuacji nie uszła jego uwadze. Wstał wcześniej, przywitał się z Kadkiem i oświadczył mu, że później chciałby się wybrać do miasta po kilka rzeczy. Tutejsze drogi były tak kiepskie i wyboiste, że równie dobrze mógł pomaszerować wzdłuż rzeki – dotarcie do miasta zajęłoby mu tyle samo czasu, co jazda z Kadkiem na jego motorowerze, którego opony ugięły się pod ich ciężarem.

Powiedział Kadkowi, by najpierw dokończył to, co ma zrobić, a potem poszedł po motorower i po niego przyjechał. Nie zanosił się na deszcz. Kiedy wpatrywał się w człowieka siedzącego po drugiej stronie biurka lub w więziennej celi, z niezwykłą dokładnością potrafił ocenić, czy kłamie i czy później wyjawí prawdę. Kiedy spoglądał w niebo, również wiedział, co skrywa.

Gdy dojechali do miasta, słońce znajdowało się już wysoko na niebie. Poprosił Kadka, by wysadził go na głównej ulicy, i umówił się z nim, że spotkają się w tym samym miejscu o piątej. Pewnie pospaceruje odrobinę, żeby rozeznać się w sytuacji, potem znajdzie jakieś miejsce, w którym będzie mógł napić się kawy i skąd będzie widział ulicę; zobaczy, czego zdoła się dowiedzieć przez kilka godzin obserwowania ludzi w miasteczku. Pewnie wypije kilka kaw. Kadek przynosił zawsze rano termos z gorącą wodą, żeby mógł sobie zaparzyć kawę rozpuszczalną, ale to nie było to samo.

Główna ulica była na tyle szeroka, by zmieściły się na niej dwa pasy ruchu; wzdłuż niej ciągnęły się kawiarnie, drogie sklepy z biżuterią i wyrobami artystycznymi dla turystów, a także stragany z owocami i warzywami oraz minimarkety. Stały także przy niej muzeum, pałac i chińska restauracja,

w której łomotał amerykański rock. Harper spędził dwie godziny w nowym lokalu, utrzymanym w europejskim stylu, gdzie z głośników sączył się jazz, który był jednak ledwo słyszalny z powodu ulicznego zgiełku. Zamówił kawę, cynamonową bułeczkę i pod wpływem impulsu – czego później bardzo żałował – opakowanie kretek. Papierosy podano mu w pierwszej kolejności. Paczka, już otwarta i oparta na wieczku, leżała na talerzyku; jeden papieros był nawet zapobiegliwie wysunięty, a obok niego wetknięto kwiat plumerii. Harper palił go powoli, czekając na kawę i bułeczkę, po czym zamknął opakowanie, by powstrzymać natychmiastową chęć sięgnięcia po kolejnego. Sączył kawę i odrywał małe kawałki bułki. Było słonecznie, ulica tętniła życiem: małe ciężarówki, furgonetki z turystami, miejscowi na motorowerach. W dzisiejszych czasach nawet staruszki na nich jeździły. Właśnie zamówił drugą kawę, gdy dokładnie na wprost niego biała komunalna ciężarówka, chcąc ominąć zaparkowany samochód, zablokowała całą drogę. Nastąpiła krótka, pełna chaosu, wręcz komediowa scena, gdy kierowcy motorowerów próbowali wyprzedzić ciężarówkę i natykali się na osoby jadące z naprzeciwka, które usiłowały zrobić to samo. Jak zawsze w takich sytuacjach towarzyszyła temu symfonia trąbienia i pokrzykiwań, zupełnie jak we Włoszech, tyle że bez obecnej tam podskórnej agresji. Harper, przyglądając się korkowi, nagle zatęsknił za Dżakartą, ale chwilę później było już po wszystkim i samochody, ciężarówki oraz motorowery ruszyły zwartą masą w dalszą drogę z właściwą sobie ryzykancką bez troską.

Minęło kilka chwil, nim sznur pojazdów się rozładował. Gdy w końcu to nastąpiło, Harper zauważył jeepa, który przetoczył się teraz wolno – utknął za ostatnim w korku motorowerem, bardzo staro wyglądającą maszyną z kobietą i trójką dzieci: dziewczynką siedzącą z tyłu, małym chłopcem stojącym z przodu na podnóżku oraz niemowlęciem przypiętym do piersi kobiety – tak że miał okazję przyjrzeć się czterem młodym mężczyznom siedzącym w środku. Nosili się bardziej elegancko niż miejscowi: mieli na sobie białe

koszule. Ich twarze nie były tak zaokrąglone jak twarze typowych Balińczyków, lecz bardziej kanciaste. Jeden z mężczyzn siedzących z tyłu pochwycił spojrzenie Harpera i je odwzajemnił. Samochód pojechał dalej.

Drobniutka staruszka z twarzą przypominającą korę drzewa podeszła do stopnia poniżej stolika, przy którym siedział Harper. Trzymała plecioną tacę, na której niosła około dwudziestu darów przebłagalnych. Obdarzyła go jednozębnym uśmiechem i uklękła, aby ułożyć na ziemi jeden z nich w celu obłaskawienia demonów: ryż i płatki kwiatów w małym koszyczku zrobionym z liścia bananowca spiętego zszywaczem. Harper również się do niej uśmiechnął i starał się nie myśleć o tym, co zawsze przychodziło mu do głowy, gdy widział miejscowych w takim wieku: co robiłaś w tamtym czasie? Gdzie byłaś? Czy w środku nocy przyłączyłaś się do brygad przeszukujących pola ryżowe? A może podniosłaś rękę, żeby wskazać dom sąsiada i szepnąć ludziom w czarnych koszulach to jedno słowo, które oznaczało wyrok śmierci dla całej rodziny śpiącej w środku: „Gestapu”¹⁰? Młoda turystka w białych szortach i żółtym obcisłym podkoszulku zatrzymała się, by popatrzeć, jak staruszka kładzie trzy kadzidełka i zapala je zapalniczką. Młoda kobieta cofnęła się z szacunkiem, po czym podniosła do twarzy aparat fotograficzny.

Sprzedawca gazet przechadzał się obok z płachtami dzienników przewieszonymi przez ramię. Na widok Harpera zatrzymał się i podniósł jeden do góry, ale to był tylko „International Herald Tribune”, więc ten potrząsnął głową. Stamtąd nie dowie się za wiele o sytuacji w Dżakarcie. W żadnym z miejscowych barów nie było telewizora: jak miał sprawdzić najnowsze doniesienia? Normalnie skontaktowałby się z biurem w Dżakarcie albo z Amsterdamem, ale oficjalnie przebywał na urlopie. Wysłanie go na urlop oznaczało odcięcie go od wszelkich informacji.

Palenie papierosów i picie kawy sprawiało, że czuł się jednocześnie lekko przytłumiony i czujny: ta sprzeczność była dość przyjemna. Miał ochotę na whisky, ale nie wypił ani kropli od tej katastrofalnej nocy w Dżakarcie tydzień

temu, mimo że miał w chacie nieotwartą butelkę. Kupił ją dla siebie jako rodzaj sprawdzianu, który póki co przeszedł pomyślnie. Miał na nią ochotę teraz. „W porządku – pomyślał. – Przyznaj się sam przed sobą, że chcesz się napić, i rób dalej swoje”.

Ruszył do punktu, w którym umówił się z Kadkiem, wciąż mając zamiar wrócić z nim do chaty, ale gdy go zobaczył stojącego przy motorowerze i gawędzącego z innymi kierowcami, ogarnęło go nieodparte pragnienie pozostania w mieście, nawet jeśli oznaczałoby to złamanie protokołu i spędzenie nocy w jakimś pensjonacie. (Czy to ma jeszcze znaczenie, ile zasad złamie? Jeśli się nie myli na temat tego, co go czeka, to raczej nie). W chacie codziennie kładł się spać wcześniej, próbując wypocząć, ale wieczory i tak straszliwie mu się dłużyły.

Wręczył Kadekowi cienką reklamówkę z dwiema koszulami, które kupił na przydrożnym straganie, oraz kolejną z herbatnikami i puszkami coca-coli, prosząc go, żeby zawiózł to wszystko do chaty; powiedział, że wróci później *taksi*. Kadek zaproponował, że przyjedzie po niego, kiedy będzie mu odpowiadało, ale Harper stanowczo odmówił. Chciał zobaczyć, jak wieczór się rozwinie. W końcu odwrócił się i poszedł wzdłuż głównej ulicy. Najwyższa pora poszukać jakiegoś baru.

To była jego pierwsza wizyta w Ubud, odkąd zamieszkał w chacie w górach, więc się nie śpieszył, szedł w upale w stronę mostu, gdzie natknął się na niewielki szereg bud z jedzeniem. „Może jestem głodny?”, pomyślał. Zatrzymał się przy drugiej budzie i zjadł talerz *nasi goreng*¹¹, po czym postanowił pójść aż na koniec ulicy, gdzie droga wspinała się pod górę i prowadziła poza granice miasteczka. Mniej więcej co minuta kierowca samochodu lub motoroweru wołał do niego: „*taksi!*”. Mógł któregoś przywołać i kazać się zawieźć do baru, ale wydał już wszystkie drobne na

kawę i *nasi goreng*, a płacenie tysiącrupiowym banknotem za przejazd wart kilkadziesiąt rupii mogło zwrócić na niego niepotrzebną uwagę. Może prościej było wrócić do miasta piechotą?

Gdyby nie było tak gorąco i gdyby miał w kieszeni banknoty o niższych nominałach, nigdy nie spotkałby Rity.

Bar znajdował się na Dżalan Bisma, jakieś pięć minut piechotą od głównej ulicy. Był to jeden z tych lokali, które służą jednocześnie jako restauracja i pokój śniadaniowy pensjonatu mieszczącego się w budynku. Harper zwrócił na niego uwagę za sprawą sznura żółtych światełek owiniętego wokół palmy rosnącej obok kamiennego łukowatego wejścia. Wewnątrz stało siedem lub osiem okrągłych stolików i szerokie drewniane krzesła z wzorzystymi poduszkami. Samotny barman w koszuli z wzorem liści skinął głową i uśmiechnął się do niego na powitanie.

Harper zauważył ją, gdy tylko wszedł do środka: siedziała sama w ciemnym kącie przy małym stoliku, na którym stał jakiś koktajl z liśćmi mięty w wysokiej szklance. Pochylała głowę, a okulary do czytania trzymały się na samym koniuszku jej nosa. Przeglądała i poprawiała jakieś papiery ogryzkiem ołówka. Poza nią jedynymi klientami baru była para wyglądająca na hipisowskich studentów, która sączyła piwo Bintang, a także mała grupka miejscowych biznesmenów, zapewne właściciel i jego znajomi. Nikt nie podniósł głowy, gdy Harper podszedł do baru. Przyjrząwszy się przelotnie kobiecie, stwierdził, że jest biała, nawet bardzo biała, kilka lat młodsza od niego; być może dobija pięćdziesiątki, ma długie jasnobrązowe włosy i mocno zbudowane ciało, jest ubrana w bawełnianą koszulę, luźne spodnie oraz płaskie sandały i wydaje się pochłonięta tym, co robi. Nie było tu stołków barowych, ale po tym, jak został obsłużony, Harper oparł się o bar z whisky w dłoni, plecami zwrócony do kobiety, dając jej okazję, by sama go

dostrzegła. Zagadnął po indonezyjsku mężczyznę za barem. Barman uśmiechnął się i odpowiedział, jakby potrafił przewidzieć, że zaraz dojdzie do spotkania Harpera z nieznaną, i z chęcią podjął się małej roli w tym przedstawieniu. Po pół godzinie Harper odwrócił się, wziął swą niemal już pustą szklankę i podszedł do siedzącej w kącie kobiety.

Spojrzał na nią z góry i powiedział po angielsku:

– Proszę wybaczyć, widzę, że jest pani zajęta, ale jestem nowy w mieście, czy mógłbym się do pani na chwilę przysiąść? – Mówiąc to, zrobił mały krok w tył, by dać jej do zrozumienia, że nie będzie sprawiał kłopotów, jeśli mu odmówi, co dawało nieco większą szansę na to, że kobieta jednak się zgodzi.

Spojrzała na niego, nieznacznie uniosła brwi i posłała mu sceptyczny uśmiech. Okrągłe policzki nadawały jej dziewczęcy wygląd. Miała długie rzęsy; zero makijażu, ładna cera.

– Jasne – odparła, zdejmując okulary. – Proszę mnie wybawić od mojej pracy domowej. – Harper nie potrafił określić jej akcentu; mówiła z domieszką jakiejś północnoeuropejskiej nuty.

Odwrócił się i podniósł rękę, by przywołać barmana, po czym usiadł. Spojrzał na papiery, które kobieta zebrała tymczasem w jeden plik i ułożyła równo, stukając brzegami kartek o blat stołu, jak ktoś, kto właśnie skończył na dziś pracę.

– Co to takiego? – spytał.

– Pracuję w szkole. Uczę – odpowiedziała z cichym westchnieniem. – A pan?

– Jestem ekonomistą w Dżakarcie, obecnie na urlopie.

– Jeśli jest pan ekonomistą – odezwała się, odchylając się na oparciu krzesła i przyglądając mu się bacznie szeroko rozstawionymi oczami – może wyjaśni mi pan, dlaczego mimo że Międzynarodowy Fundusz Walutowy wpompował w ten region czterdzieści miliardów dolarów, rodziny moich uczniów wciąż muszą co rano mieszać ryż z twardymi ziarnami kukurydzy,

żeby dzieciakom nie burczało w brzuchach podczas lekcji?

– Mógłbym – odrzekł – ale nie uwierzyłaby mi pani.

Jej uśmiech potwierdził, że miał rację.

Kilka szklanek whisky później niemal zapomniał o nocach w chacie i o tym, że przebywa na przymusowym urlopie w związku z katastrofalnym błędem, jaki popełnił. Nie zapomniał jednak tego, kim ani czym jest – o tym nigdy nie zapominał.

– John Harper... – powiedziała, po czym powtórzyła: – John Harper... – Brzmiało to tak, jakby obracała te dwa słowa w myślach i starała się zbadać ich wiarygodność. – Masz interesujący sposób konstruowania zdań, Johnie Harperze. Zwykle jestem w tym dość dobra, ale ciebie nie potrafię rozgryźć. Mówisz jak Europejczyk, ale od czasu do czasu wtrącasz jakiś amerykańizm.

– Doprawdy? – Był zaskoczony.

– Kilka minut temu powiedziałaś „drugstore”.

Piła już trzeci koktajl. Uniosła szklanę, otoczyła ustami słomkę i zaczęła sączyć przez nią napój, raz po raz rzucając Harperowi spojrzenia spod długich rzęs. Ten gest w wykonaniu kobiety w jej wieku wydał mu się głupi, ale kiedy skończyła pić i zaśmiała się głośno, doszedł do wniosku, że nie tyle z nim flirtowała, co robiła sobie z niego jaja. Robić sobie jaja... Skąd w ogóle wziął się ten zwrot?

– Onieśmielasz mnie – powiedział.

– Wątpię. – Odstawiła koktajl i zamieszała w nim słomką. Liście mięty zawirowały pomiędzy kostkami lodu. – To co z tymi amerykańizmami?

– Pracuję w firmie, która należy do Amerykanów, więc dość często mam z nimi kontakt... No i spędziłem kilka lat w Kalifornii jako dzieciak, to znaczy, gdy byłem młody...

Jej spojrzenie zdawało się zachęcać go do dalszego mówienia.

– Po śmierci brata wróciłem do Holandii, a raczej zostałem tam wysłany, więc jako nastolatek mieszkałem w Europie. – Urwał. Kilka szklaneczek whisky, miłe towarzystwo i w końcu to: prawda. „Chyba tracę czujność”, pomyślał.

Przyglądała mu się przez chwilę łagodnie, aż w końcu powiedziała:

– Wydaje mi się, że możemy udzielić sobie nawzajem pozwolenia na omijanie co smutniejszych kawałków.

Wpatrywał się w nią i czuł taką wdzięczność, że przez chwilę się nawet zastanawiał, czy czasem nie tak właśnie wygląda zakochiwanie się. Jako że nigdy mu się to nie przydarzyło, nie mógł stwierdzić, czy tak rzeczywiście jest.

– Zatrzymałaś się tutaj? – zapytał, patrząc na nią wprost, z lekkim drżeniem w głosie, na które chciał, by zwróciła uwagę.

Potrząsnęła głową i odparła zwyczajnie, jakby w ogóle nie zarejestrowała zmiany tonu w jego głosie:

– Mieszkam w domu rodzinnym przy Monkey Forest Road, ale nie mogę cię tam zabrać. A ty gdzie się zatrzymałeś?

– Poza miastem – odrzekł. – Zapytam, czy mają tu wolny pokój?

– Pokoje są ładne, ale dość drogie jak na miejscowe warunki – powiedziała, wstając od stolika. – Zwykle wynajmują je starsi turyści.

– Mam pieniądze.

Pokój, który dostali, znajdował się na parterze z tyłu budynku; trzeba było podejść do niego kawałek kamienną ścieżką, która zamieniała się w alejkę otoczoną gęstą roślinnością. Rechotały żaby; powietrze było ciężkie i wonne. Czuł, że koszula przykleiła mu się do pleców. Drewniane rzeźbione drzwi przypominały te z jego chaty. Harper przesunął dłonią po ścianie pokoju i natknął się na przycisk, którym uruchomił wentylator pod sufitem. Wentylator zaczął wolno się obracać, w końcu nabrał szybkości i terkocząc, mieszał

powietrze nad ich głowami. Na komodzie obok łóżka stała lampka nocna. Harper podszedł i ją włączył; zauważył, że łóżko jest wysokie i szerokie, starannie pościelone, z kwiatem plumerii na każdej poduszce. Otaczająca je moskitiera była cienka i przezroczysta, o wiele delikatniejsza od tej, którą miał w swojej chacie.

Położył klucze tuż obok lampki i odwrócił się do Rity, która – choć była wysoką kobietą – sprawiała teraz wrażenie nieśmiałej dziewczynki.

– Skorzystam z łazienki – oznajmiła.

Harper otworzył okiennice, by spojrzeć w noc i posłuchać żab oraz owadów, których odgłosy dobiegały z zarośli pod oknem. Rozległ się skrzek gekona, cichszy i znacznie przyjemniejszy od tego złowieszczonego wrzasku, który budził go zawsze w lesie. Słyszał, jak Rita spuściła wodę w ubikacji, odkręciła kran, po czym wróciła do pokoju. Stał nieruchomo, z rękami na parapecie i lekko opuszczoną głową, a whisky rozlewała się rozkosznie po jego ciele. Choć od ostatniego razu minęło już sporo czasu, w tej chwili nie odczuwał ani odrobiny pożądania. Miał ochotę zatrzymać tę scenę jak na stopklatce, by cieszyć się samym faktem, że jest tutaj i to się zaraz wydarzy. To najlepsze: ta chwila tuż przed tym.

Nazajutrz rano, gdy skończą się kochać po raz drugi, ona przytuli go i powie: „To mój ulubiony moment, tuż po tym”, a on uśmiechnie się do siebie, myśląc, jak to przed i po dzieli kobiety oraz mężczyzn, i oczywiście ich łączy, jakby akt miłosny był granicą, która ich spaja i zarazem rozrywa na dwoje.

Ale w tej chwili, gdy tak stał wpatrzony – lub raczej wsłuchany – w ogród, nie odczuwał żadnego fizycznego pożądania i zastanawiał się, czy miałyby coś przeciwko, gdyby do niczego nie doszło, tylko poszliby spać. Młody Harper na pewno by nie uwierzył, że osiągnie kiedyś taki stan, a tu proszę, stał się mężczyzną po pięćdziesiątce, który z powodzeniem poderwał nieznajomą w barze (a może to ona jego poderwała, co za różnica), a teraz pragnie tylko tego, by móc przebywać z nią w pokoju. Nikt nie wie, gdzie on się teraz

znajduje. Nikt nie będzie mu przeszkadzał, a przy tym nie jest sam. Idealny układ.

Powoli podeszła do niego od tyłu. Oboje zdjęli buty, gdy weszli do pokoju, więc jej bose stopy poruszały się niemal bezszelestnie po podłodze wyłożonej płytkami, ale Harper czuł, że stoi tuż za nim, bardzo blisko, choć go nie dotyka. Stali tak przez chwilę, a on nasłuchiwał jej oddechu. Nie obrócił się do niej. Oddychali unisono, czekając, które pierwsze się poruszy. Harper, który jeszcze chwilę temu nie odczuwał najmniejszego pożądania, nagle zrobił się boleśnie twardy, właściwie za sprawą samego odgłosu oddechu za jego plecami oraz tego przedłużającego się wyczekiwania na jakikolwiek kontakt. On i Francisca nie uprawiali seksu przez dwa ostatnie lata związku. Jego ciało już zapomniało, jakie to uczucie znajdować się w fizycznym kontakcie z drugą osobą. Rita uniosła ręce i bardzo delikatnie położyła je na jego ramionach. Przez materiał koszuli czuł żar jej dłoni. W końcu się odwrócił.

Rita kryła przed nim kilka niespodzianek. W barze zwrócił uwagę na jej grubokościstą sylwetkę i mocny tułów, a podczas rozmowy śmiała się ze swoich rozmiarów i opowiadała o sobie żarty – o tym, jaka była niezgrabna jako dziewczynka.

– Wielka, tocząca się dziewczyna. Tak nazwał mnie raz pewien Anglik – wyznała. – Znasz to określenie? Toczyć się! To znaczy, że starasz się biec, ale jesteś potwornie ciężki, prawda? Jak nosorożec.

Gdy leżała nago na łóżku, wcale nie była wielka, raczej miękka jak poduszka i kojąca, czego w żadnym razie nie spodziewał się po jej ironicznym sposobie bycia. Jej ciało nie było w typie Harpera. Większość jego kochanek – z kilkoma wyjątkami – była dość szczupła, wręcz krucha. Seks również nie przypominał tego, jaki uprawiał w przeszłości. Nie było w nim żadnej walki. Nie było też pośpiechu czy kokietowania. Pieścili się nawzajem,

dochodzili na zmianę i przez cały czas nieco kpiarsko się do siebie uśmiechali. Nie miał poczucia, że on robi to z nią bądź ona robi to z nim, ale że robią to wspólnie, zupełnie jakby myli sobie wzajemnie plecy w trakcie kąpieli. Jak na swoje rozmiary, miała stosunkowo małe piersi, obwisłe, szeroko rozstawione. Na brzuchu widniała blizna po cesarskim cięciu. Rzadkie włosy łonowe zaczynały siwieć. Po wszystkim, przy obopólnej zgodzie, zgasili światło, a nawet pocałowali się na dobranoc. Potem Harper zapadł w głęboki sen.

Rano spotkała go kolejna niespodzianka. Odkrył, że nie chce uciekać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Obudził się pierwszy, przed świtem, powoli i łagodnie, tak jak zwykle budzi się człowiek śpiący głębokim snem. Obudził się w samą porę, by usłyszeć początek porannego chóru – ten ptak... Co to za ptak? Był niczym forpocztą dla pozostałych; najpierw pojawiało się to pojedyncze, nieśmiałe kwilenie, niczym pierwszy skrzypek strojący instrument, zanim dołączy do niego reszta orkiestry. A potem nagle rozlegała się cała ta rozkoszna kakofonia. Tu, w miasteczku, z większą łatwością niż w dolinie przychodziło mu rozpoznanie poszczególnych odgłosów. W środku tego głośnego koncertu odzywał się w końcu jego ukochany ptak, ten, który brzmiał jak staruszek trzęsący się ze śmiechu; próbuje powstrzymać ten śmiech, ale nie jest w stanie. Cziip! Cziip! Najpierw dwa głośne krzyki, a potem kaskada coraz cichszych nut spadających na siebie jedna po drugiej.

Świt: usłyszeć nadejście świtu, odetchnąć nim, poczuć ulgę i uświadomić sobie, że przeżyło się kolejną noc.

Leżał nieruchomo, nasłuchując śpiewu ptaków oraz oddechu Rity, i przyglądał się, jak światło przesącza się przez szczeliny między listwami w okiennicach.

Po chwili poczuł, że musi iść do toalety, więc najciszej, jak potrafił,

wyślizgnął się z łóżka. Wróciwszy do pokoju, zatrzymał się i stał przez jakiś czas, patrząc przez moskitierę na Ritę, której ciało wydawało się tak rozmyte przez delikatną, miękką tkaninę, że mogła być w niemal każdym wieku; twarz pozbawiona przez sen wyrazistych rysów, plama włosów. Gdy przeszedł na swoją stronę łóżka, Rita odwróciła się, a zsunięte prześcieradło odsłoniło wzniesienie jednej z piersi. Zamrugła i posłała mu półuśmiech, a kiedy wszedł z powrotem do łóżka, znów odwróciła się do niego plecami i przesunęła w jego kierunku, tak aby mogli przytulić się do siebie na łyżeczkę.

Przez pewien czas leżeli i drzemali. W końcu Rita wstała, żeby skorzystać z toalety, a potem znowu się kochali.

Po wszystkim znów leżeli, tym razem twarzami do siebie; on obejmował ją za ramiona, a ona przerzuciła mu ramię przez biodro. Harper wyobrażał sobie, jak schodzi z nią na śniadanie do tego samego baru, w którym pili poprzedniego wieczoru, jak siadają naprzeciw siebie przy stoliku i zastanawiają się, co zamówić. Ciekawe, czy mają tu pudding z czarnego ryżu, gęsty od cukru palmowego. Dawno go nie jadł. Po tym, jak dostaliby sok pomarańczowy i kawę, nie odzywaliby się za wiele, aż wreszcie rozmowa zaczęłaby z wolna ożywać. Dyskutowaliby, jak spędzą dzień.

Być może tak właśnie wygląda małżeństwo, jeśli między małżonkami się układa. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek tak się czuł z Francisą; pożądanie, owszem, od czasu do czasu zdarzały się też różne sprzeczki, pojawiało się podskórne napięcie, nawet kiedy się nie kłócili – ale nigdy nie czuł takiego rodzaju spokoju jak teraz, nawet w weekendy.

Rita przewróciła się na drugi bok. Harper oparł głowę na łokciu i przez kilka chwil przyglądał się jej plecom: pulchnemu, blademu ciału, krągłym fałdom, miękkim pagórkom na jej talii. Wystające łopatki przypominały twarde grudki w miękkim ciele. Wyglądały jak załączki skrzydeł. Przerzuciła

długie włosy przez ramię i jasnobrązowy kłęb przetykany pasemkami siwizny zakolysał się na krótko między łopatkami, po czym ułożył się na plecach w kształt znaku zapytania odwróconego do góry nogami.

– Muszę iść – powiedziała cicho. – Wołałabym, żebyś wyszedł pierwszy.
Nie odezwał się.

– Nie możemy wyjść razem – dodała. – To małe miasto.

Wczoraj wieczorem szli razem kamienną ścieżką, ale wtedy panowały ciemności. Teraz był dzień.

Podniosła się z łóżka, odsłoniła moskitierę i przez chwilę stała odwrócona tyłem do Harpera. W końcu podeszła do niewielkiego biurka pod ścianą, gdzie zeszłej nocy niedbale rzuciła bieliznę.

Harper usiadł na łóżku i patrzył, jak się ubiera. Miał ochotę zapalić. Nie mógł sobie przypomnieć, co zrobił z paczką papierosów – całkiem możliwe, że zostawił ją na stoliku w barze. Przyglądał się kobiecie, aż zrozumiał, że już nic więcej od niej nie usłyszy, a wtedy gwałtownym ruchem zrzucił z siebie prześcieradło. Odfrunęło, wydymając moskitierę. Rita się nie odwróciła. Zwiesił nogi z łóżka i sięgnął po swoje zmięte ubranie leżące na podłodze.

Szedł wzdłuż ścieżki, która w dziennym świetle okazała się bocznym przejściem prowadzącym między krzakami a oknami innych pokoi. Gdzieś zza zarośli dobiegł go plusk wody w basenie i dziecięcy głos wołający coś po niemiecku. Gdy dotarł do baru połączonego z recepcją, zatrzymał się na chwilę, aż w końcu sobie przypomniał, że zapłacił wczoraj za pokój gotówką – wydał mu się niewiarygodnie tani. Musiał to zrobić, ponieważ spodziewał się, że rano pod jakimś zgrabnym pretekstem będzie próbował w miarę szybko się ulotnić. Przeszedł pod kamiennym łukiem i znalazł się na ulicy.

Jak na indonezyjskie standardy był już późny ranek. Naprzeciw pensjonatu mężczyzna w podkoszulku pokazywał parze młodych turystów z Zachodu, jak odpalić wynajęte motorowery. Wzdłuż ulicy, która opadała w kierunku głównej drogi, ciągnęły się małe restauracje. Byłoby najbardziej naturalne na świecie, gdyby teraz się zatrzymał i zamówił śniadanie – gdyby chciał, mógłby nawet wrócić do pensjonatu i tam coś zjeść, bo śniadanie było pewnie wliczone w cenę pokoju. Ale Rita nie powinna go podejrzewać o to, że się za nią włóczy. Tak bardzo zależało mu, by zrozumiała, iż popełniła błąd, że wszedł do maleńkiego lokalu po drugiej stronie ulicy i zamówił kawę, zamierzając usiąść tak, żeby widzieć każdego, kto przejdzie pod kamiennym łukiem w drodze z pensjonatu. Gdy Rita go zobaczy, na pewno poczuje się zakłopotana.

Kobieta zza lady uśmiechnęła się szeroko i popchnęła w jego stronę zalaminowane menu, ale on tylko pokręcił głową. Wskazała mu stolik najbliższej ulicy, lecz on usiadł rząd dalej i po krótkim oklepywaniu kieszeni znalazł okulary i paczkę papierosów, której jednak nie zostawił w barze.

Gdy tylko usiadł, od razu pożałował swojej decyzji. Jeśli ona wyjdzie, gdy on będzie tu siedział, zignoruje ją. A może tylko skinie jej głową, po czym odwróci wzrok i zapali. Ona pomyśli, że on czeka tu na nią, więc pokręci głową, by dać jej do zrozumienia, że się myli, a jeśli jego kawa będzie już wypita, wstanie i pomaszeruje w przeciwnym kierunku, w górę drogi, która prowadzi za miasto. Wyjął z kieszeni karteczki z notatkami i położył je na stoliku.

Obok knajpki znajdował się betonowy stopień, na którym siedziało dwóch chłopców. Patrzyli na niego i uśmiechali się, a potem szeptali coś do siebie po cichu. Zastanawiał się, czy to chłopcy od motorowerów zaparkowanych ukośnie u podnóża wzniesienia, ale wydawali się na to za młodzi. W ich uśmiechach było coś, co mu się nie spodobało.

Kobieta, która przyniosła jego kawę, rzuciła okiem na leżące na stoliku

pieniądze, ale ich nie wzięła. Harper podniósł filiżankę do ust i pomyślał, że ci chłopcy z pewnością nie są kierowcami motorowerów. Potrafił rozpoznać młodych, niedoświadczonych ludzi, którzy zostali opłaceni, by wykonać konkretne zadanie bez podania im jakiegokolwiek informacji na temat jego znaczenia. Nie mówiono im wszystkiego, ponieważ dostawali pieniądze za śledzenie obiektu, a więc musieli się do niego zbliżyć. Szanse, że zostaną zauważeni i schwytani, były dosyć duże, dlatego też nigdy nie dostawali informacji, które mogliby wyjawiać, gdyby ludzie z obstawy śledzonego zaczęli im na przykład przypiekać podeszwy stóp. Brak doświadczenia oznaczał, że raczej rzadko zachowywali się subtelnie – mało tego, ludziom, którzy ich wynajmowali, nie zależało na tym, by byli subtelni, chcieli, żeby obiekt czuł się śledzony. Co więcej, na ich twarzach było widać ekscytację. Zapewne był to pierwszy raz, kiedy ktoś ich poprosił, by zrobili coś tajnego, i na dodatek dobrze im za to zapłacił. Wierzyli, że to pierwszy krok do tego, by stać się kimś więcej niż tylko kelnerem, sprzątaczem czy kierowcą motoroweru – kraśniali więc z dumy, jaką napełniało ich poczucie własnej ważności.

Dlaczego w takim razie ci dwaj obserwują pensjonat?

Na ulicę wyszła Rita. Nie spojrzała ani w lewo, ani w prawo, ani naprzeciw, gdzie siedział Harper, lecz natychmiast ruszyła w dół wzgórza. Szła pewnym krokiem – miała trochę męski chód. Byłoby normalne, gdyby na niego spojrzała i albo dostrzegła jego obecność, albo go zignorowała, ale ona celowo nie popatrzyła w jego kierunku, co nasunęło mu podejrzenie, że zanim wyszła, musiała zerknąć przez kamienną bramę.

Kończył pić kawę i kątem oka obserwował obu wyrostków, chcąc sprawdzić, czy się podniosą i pójdą za nią, ale oni nadal siedzieli. Harper odczekał pięć minut, po czym wstał od stolika i dopiero wówczas chłopcy się podnieśli. Skręcił w przeciwnym kierunku niż Rita i ruszył w górę wzgórza, w stronę skraju miasta. Minie pola ryżowe i wtedy zobaczy, tak dla pewności, w jakiej odległości idą za nim chłopcy. Nie obserwowali wyjścia

z pensjonatu, wypatrując Rity. Czekali na niego.

Szedł miarowym krokiem w górę ulicy Dżalan Bisma prowadzącej poza miasto. Było tu niewielu ludzi. Przed nim maszerowała powoli para turystów w średnim wieku w ubraniach koloru khaki. Jeśli dobrze pamiętał, w tę stronę szło się do Małpiego Gaju, co znaczyło, że będzie mógł skręcić w lewo, kiedy droga przejdzie w ścieżkę, i innym szlakiem zawrócić do miasta. Gdy dotrze do głównej ulicy, zamówi kurs motorowerem do swojej chaty. To była tylko jednonocna przygoda, nic więcej, chwila wytchnienia od własnych myśli, które wciąż na niego czekały, tam, w dolinie, nad płynącą wartko rzeką. Zorientował się, że jest odwodniony po wczorajszej whisky. Kawa była błędem, a przynajmniej powinien zamówić do niej szklankę wody. Tutaj, na skąpanej w słońcu ścieżce, z turystami odzianymi w khaki przed nim i dwoma chłopcami z tyłu, nie było żadnej wody, ani kropli. Nagle, jak każdy spragniony człowiek, zaczął zauważać wokół siebie rozmaite zbiorniki: pola nawadniane brunatną wodą, w której stały zielone i kruche pędy ryżu; wieża ciśnień pośrodku upraw, wysoka, z otwartą platformą na szczycie i dachem zapewniającym cień. Wieża ciśnień czy wieża strażnicza – na pierwszy rzut oka trudno dostrzec różnicę.

Znów zaczął palić i pić. Mógł się tego domyślić. Seks, papierosy i alkohol – święta trójca. Czy da się robić tylko jedną z tych rzeczy bez pozostałych? Każda z nich pociągąła za sobą następną. Chwytały się za ręce i tańczyły w jego głowie kółko graniaste. Kółko graniaste... Emma, ta Angielka, śpiewała mu to, gdy był pijany – Emma, dziewczyna, którą poznał w Singapurze. Kiedyś go uderzyła, ale nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego.

Kolejne dwa dni spędził głównie na paleniu, chociaż towarzyszyła temu również pewna ilość whisky. Wiedział, że jeśli podejdzie do tego na serio, zajmie się tym z wyważoną intensywnością, wówczas może zdoła uniknąć chlania, a uniknięcie chlania byłoby bardzo, bardzo dobrym rozwiązaniem.

Siedział na werandzie chaty, patrzył na las, pił whisky z filiżanki, wyobrażał sobie, jak Rita odwraca się do niego w łóżku plecami, a włosy opadają jej między łopatkami, i palił.

„Chryste – pomyślał – nie tak dawno temu wyszedłem cało z zamieszek w Dżakarcie, a potem zacząłem na poważnie rozważać, czy ludzie, którzy zatrudniają mnie od trzydziestu lat, nie dybią przypadkiem na moje życie. A tymczasem wystarczyło jedno spotkanie z kobietą i zmieniłem się w coś takiego”. Uświadomił sobie, że podoba mu się taki obraz samego siebie: cynicznego twardziela siedzącego na werandzie w dżungli z whisky i papierosami. Jeśli nie mogłeś być z kobietą, to z pewnością było najlepsze, na co mogłeś liczyć: picie, palenie i rozmyślanie o niej. Rozmyślanie o kobiecie było świetną wymówką, by odrzucić głowę, wychylając ostatnie kropelki whisky z filiżanki, a następnie chwycić butelkę, żeby ponownie nalać. Mógł też sobie wyobrażać, jak wyglądałby w jej oczach, gdyby zapalał kolejnego papierosa, osłaniając ręką zapalnik przed wiatrem i pstrykając nią spomiędzy palców, tak że przekoziołkowałyby w powietrzu i jednocześnie zgasła. „Widziałaś kiedyś, żeby zapalnik dwukrotnie się palił?” Ach, to dlatego Emma go uderzyła, teraz sobie przypominał. Już nigdy nie wytnie tego numeru żadnej dziewczynie. Nie mogły tego znieść.

Kadek od czasu do czasu przywoził zapasy jedzenia i wręczał mu je z zatroskaną miną. Harper zrobił się gadatliwy i zaczął wypytywać go o rodzinę, a raz nawet zaproponował, żeby się razem napili, lecz dostał jedynie krótkie, pełne zaskoczenia spojrzenie, niewielki ukłon i uprzejmą odmowę.

Kiedy Kadeka nie było w pobliżu, Harper zaczynał mamrotać do siebie pod nosem. Choć tak naprawdę nie mamrotał do siebie, ale do Rity.

Pragnął jej powiedzieć, jak było mu z nią przyjemnie i jak niezwykle okazało się to dla niego doświadczenie. Chciał jej wyjaśnić, że choć brzmi to jak miła komplement, wcale nim nie jest. Najbardziej uderzyło go to, że nie

czuł się, jakby był z nią pierwszy raz. Nie będzie oczywiście drugiego ani trzeciego razu, nie mówiąc o dłuższym związku, ale nie czuł się tak, jakby to był pierwszy raz, ponieważ wydawało się to naturalne i nieuchronne już w pierwszej chwili, kiedy ujrzał ją siedzącą w kącie baru.

Wiele razy w życiu zdarzyło mu się poczuć silny pociąg do kobiety – i spora część z tych przypadków zdarzyła się w barze – ale zawsze wiązało się to z jakimiś zmaganiem, wyrafinowaną grą uwodzenia i perswazji, wycofywaniem się i umacnianiem swojej pozycji oraz niepewnością aż do ostatniej chwili, kiedy wreszcie splatali się w uścisku. Kobieta mogła wycofać się w każdym momencie i wiele z nich tak robiło. Zwykle chodziło właśnie o te podchody. Sam akt końcowy trwał tylko chwilę, a kiedy było już po wszystkim, to oznaczało naprawdę koniec. Już nigdy nie można było powtórzyć pierwszego razu z tą samą kobietą, już nigdy nie czuło się podniecenia i fascynacji niewiadomym.

Ale z Ritą nie było żadnych zmagień, tylko spokój oraz przyjemność. I podobnie jak nie było szczególnej ekscytacji przed, tak obyło się bez rozczarowania potem. Spokój i przyjemność przetrwały dłużej niż sam akt.

Być może chodziło o wiek. Im dłużej o tym myślał, kołysząc się na werandzie na drewnianym krześle, aż zaczął balansować na jego tylnych nogach, tym mocniej przekonywał się do tego, że bardziej niż jego liczył się tu jej wiek. Miał wrażenie, że kobiety czterdzieści pięć plus – a po jednej nocy z Ritą był najwyraźniej ekspertem w tej dziedzinie – są równie ujmujące jak mężczyźni. Przypominał sobie niektóre rozmowy z młodymi dziewczynami, kiedy sam jeszcze był młody, a przynajmniej na tyle młody, by być uważanym za kandydata na męża lub odpowiedni materiał na ojca. Istniało tak dużo okoliczności, które mogły rozczarować kobietę w tym wieku. Mogło się okazać, że nie jesteś w niej dostatecznie zakochany, a jeśli byłeś zakochany, to nie byłeś jej dostatecznie oddany lub dostatecznie wypłacalny, nawet jeśli byłeś odpowiednio oddany. A jeśli byłeś zakochany, oddany i wypłacalny,

nigdy nie pomagałeś wystarczająco w domu. Kiedy spoglądał z perspektywy czasu na swoje małżeństwo z Francisą, ogarniało go przytłaczające uczucie, że zawsze ją rozczarowywał, od samego początku – tak długie zwlekanie, zanim w końcu zdecydował się z nią ożenić, również nie pomagało. A potem jej ciche bohaterstwo w obliczu tego, jaki był: zawsze zachowywała się tak, aby myślał, że jest dobra i szlachetna. Jego błędem było poślubienie kobiety o dziesięć lat młodszej. Starsze, jak mu się wydawało na podstawie nowo zdobytego doświadczenia, były już rozczarowane mężczyznami i przestały zwracać sobie nimi głowę. Miały już mężów i dzieci, zdążyły przejść przez ten cały rodzinny młyn i znajdowały się już po drugiej jego stronie. Jeśli miały ochotę na seks, to postrzegały go dokładnie tak samo jak mężczyźni: jako formę rekreacji.

Ludzie tacy jak on i Rita: ich postawa wobec seksu wynikała zapewne z mankamentów, jakie mieli. Przygodne kontakty seksualne w ich wieku odpowiadały im właśnie dlatego, że czuli się skrępowani i zniechęceni konwenansami. Prawdę mówiąc, byli dziwni i niezwyčajni pod tyłoma innymi względami, że seks wydawał się najmniej osobliwą spośród tych kwestii.

Harper czuł się zawsze nieswojo w towarzystwie mężczyzn, którzy uganiaли się za młodszymi kobietami, i teraz, świeżo podniesiony na duchu przez Ritę, potrafił dokładnie wyjaśnić, dlaczego tak się działo. Próba zdobycia młodszej kobiety była rodzajem oszustwa: wiedziałeś, że ona chce czegoś innego niż ty, i musiałeś ją zwodzić, dopóki nie zyskałeś tego, na czym ci zależało. Ale z takimi kobietami jak Rita wszystko odbywało się tak spokojnie i relaksująco dlatego, że wiedziałeś, iż nie masz im nic do zaoferowania, i one też o tym wiedziały, więc w żadnym razie ich nie oszukiwałeś. Jak dożył takiego wieku, nie rozumiejąc tej prostej prawdy? Gdyby zdawał sobie z tego sprawę wcześniej, może już dawno próbowałby zaliczać starsze. Skąd u niego taka obsesja na punkcie ładnych, młodych kobiet, za których sprawą dobrze

wyglądał w oczach innych facetów? Czy chodziło wyłącznie o to, co o nim myśleli, nawet jeśli wszystko odbywało się za zamkniętymi drzwiami? Jakie to idiotyczne!

Nagle zrobił się wczesny wieczór. Drugi dzień picia i palenia – gdzie podziały się całe dwa dni? A może nawet więcej? Zastanawiał się, jaki jest dzień tygodnia i jak długo siedzi już na tej werandzie. Miał luki w pamięci. Nie mógł sobie przypomnieć, co robił wcześniej i czy w ogóle coś jadł. Dzień szybko i miarowo osuwał się w zmierzch. Ściana drzew palmowych po drugiej stronie doliny stawała się ciemniejsza i ciemniejsza – niebawem zapadający mrok zupełnie go pochłonie i ogarnie go ślepa, nieuchronna noc.

Rita. Pragnął jej; chciał ją mieć tu, w chacie, przy sobie, gdy zapada zmrok. Ta myśl przyszła do niego czysta i niezmacona przez choćby najmniejsze zwątpienie. Choć spotkał ją tylko raz, już za nią tęsknił. Jej nieobecność była czymś w rodzaju fizycznej dolegliwości. Odczuwał ból – niewielki, lecz obejmujący całe ciało, jak na bardzo wczesnym etapie grypy.

Chciał wszystkiego się o niej dowiedzieć. Opędała się od pytań na swój temat z równą zręcznością co on – jakby oboje odganiaли się od much krążących nad stolikiem. W przeszłości Harper usiłował wydobyć od kobiet jak najwięcej informacji i zwykle nie wymagało to szczególnych starań. Większość już pięć minut od momentu poznania pragnęła mu się zwierzyć ze swej najbardziej osobistej tragedii, a te, które nie chciały, łatwo było do tego nakłonić: zazwyczaj wystarczyło długie, badawcze spojrzenie. Rita zaś była wyraźnie zadowolona, że ich relacja pozostawała na powierzchownym poziomie, co kazało Harperowi myśleć, że miała coś do ukrycia, coś, czym nie chciała się dzielić.

Mówiła z ledwie wyczuwalnym akcentem – jak się okazało, była Belgijką z urodzenia, ale posługiwała się biegle angielskim i zapewne paroma innymi językami. Pracowała jako nauczycielka, a teraz zajmowała się kształceniem innych nauczycieli, tak mu powiedziała; była specjalistką od rozwijających się

rejonów świata. Wiele podróżowała, od pewnego czasu przebywała na archipelagu. Harper pomyślał, że potrafi się odnaleźć niemal w każdej kulturze, z wyjątkiem własnej. Należała do tego samego narodu co on, narodu ludzi rozproszonych i porzrzucanych po całym świecie, obywateli bez kraju.

A co z tą blizną na jej brzuchu? Przypomniawszy sobie, jak zupełnie nieruchomo siedział rano na brzegu łóżka, tuż przed tym, jak Rita wstała i odsunęła moskitierę, tuż przed tym, jak powiedziała: „Muszę iść”. Z tej przepojonej spokojem chwili utkwił mu w głowie obraz jej nagich pleców. Od razu wiedział, że coś jest nie w porządku. Czuł, że coś się popsuło, że coś wymaga naprawienia.

Przypomniawszy sobie pewną młodą kobietę z biura, która podobała mu się przed laty, kiedy był jeszcze do wzięcia. Miała na imię Alida. Lubił ją, ponieważ uważał, że oboje są pod tym samym względem niezwykli. Alida miała babkę z Tajwanu, choć urodziła się i wychowała w Holandii i była bardziej holenderska niż jakakolwiek holenderska dziewczyna, którą znał. Miała również lekkiego zezę w jednym oku. Długie, proste włosy, szczupła sylwetka – kiedy się poznali, nie mógł oderwać wzroku od jej twarzy, próbując przez cały czas ustalić, co konkretnie jest w niej nie tak. Później dowiedział się o plotkach krążących po biurze, jakoby byli dla siebie stworzeni, ponieważ oboje są po części Azjatami.

Była w zespole maszynistek, jak się wówczas mówiło. Maszynistki interesowały się mężczyznami, którzy pracowali w terenie – w tamtych czasach jako agentów zatrudniano wyłącznie mężczyzn, a personel biura składał się właściwie z samych kobiet, choć liczba pracowników i tak była niewielka. Zawód Harpera wciąż jeszcze znajdował się w powijakach lub raczej na etapie tworzenia struktur. Większość agentów stanowili młodzi mężczyźni świeżo po wojsku – jak Harper. Krążyły pogłoski, że trzech dyrektorów to byli agenci NEFIS¹², choć według Harpera dotyczyło to tylko jednego z nich: małego, żylastego faceta z siwymi włosami, który roztaczał

wokół aurę kogoś tak pewnego siebie i doskonale wykształconego, że nie ma absolutnie nic nikomu do udowodnienia. Pozostali dwaj byli po prostu typowymi wojskowymi, którzy lubili się szarogęścić.

W 1969 roku Harper znów był w branży. Pod koniec sześćdziesiątego piątego wrócił z Indonezji przez Los Angeles – była to jego ostatnia wizyta w tym mieście, choć wówczas jeszcze tego nie wiedział – by zostać przeniesiony na czas nieokreślony na urlop zdrowotny. Czas nieokreślony trwał cztery lata. Kiedy wrócił do biura, nikomu nie było wolno pytać o wyjaśnienia. „Ze względu na twój bardzo młody wiek w tamtym okresie oraz na to, ile pieniędzy zainwestowaliśmy w twoje wykształcenie, dostajesz drugą szansę – oznajmił Gregor. – Chyba nie muszę dodawać, że trzeciej nie będzie”. Pierwszego dnia po czteroletniej nieobecności ludzie w biurze, ledwo podrywając głowy, pozdrawiali go zdawkowym: „Hej, witaj z powrotem”, jakby nie było go dwa tygodnie. Zdawał sobie sprawę, że otacza go aura tajemniczości, ale nie robił nic, żeby ją rozwiać – dzięki niej łatwiej mu szło zaciąganie kobiet do łóżka. Zresztą nawet przed tym, co się wydarzyło w sześćdziesiątym piątym, miał spore możliwości w tym temacie. Kiedy był z kobietą, zawsze nadchodził ten rozkoszny moment, w którym wspominał o tym, że przyszedł na świat w obozie, a wtedy w jej oczach pojawiała się konsternacja, ponieważ wcale nie wyglądał na Żyda.

Jednym z powodów, dla których lubił Alidę, było to, że te wszystkie wybiegi wydawały się przy niej zupełnie zbędne – oboje w końcu pracowali w tej samej branży. Ich rozmowy przed pójściem do łóżka dotyczyły w większości spraw związanych z pracą. Seks był głośny i pełen uniesień. Po wszystkim trzymała go w objęciach, leżąc na pojedynczym łóżku w swym wynajmowanym do spółki mieszkaniu, i czubkami palców zataczała niewielkie kręgi na jego plecach – to był ten rodzaj pieszczoty, który przed seksem działał pobudzająco, a po nim uspokajająco.

Harper na wpół przysypiał, gdy zapytała:

– Wiesz, co mówią o tobie w biurze, prawda?

Myślał, że zaraz usłyszy od niej jakąś bezsensowną porcję plotek: nienawidzisz Aldemara, ponieważ on więcej od ciebie zarabia (nieprawda, istniało mnóstwo innych powodów, by nienawidzić Aldemara) albo przespałeś się z Lotte z księgowości w Wydziale Europejskim, a ona nałykała się pigułek, gdy odmówiłeś poślubienia jej (to akurat prawda). Tego rodzaju plotki były na porządku dziennym w każdej grupie osób pracujących razem na jednym piętrze tego samego budynku, a w ich przypadku popyt na nie okazywał się tym większy, że nie mogli wyjawić nikomu ze znajomych, w jakiego rodzaju firmie pracują.

– Mówią, że byłeś poddany okropnym torturom.

Palce Alidy znieruchomiały. Harper podniósł głowę i spojrzał jej w twarz. Uśmiechała się do niego, zsunęła nieco poduszkę i oparła głowę na rękę zgiętej w łokciu. Jej delikatne włosy opadły ciemną kaskadą na obnażony obojczyk i ramię. Wyraz jej twarzy sugerował nie tylko to, że sama jest rozbawiona tymi plotkami, lecz także że oczekuje, iż jego to również rozbawi.

– Mówią, że gdy zostałeś schwyty w dżungli w Holenderskich Indiach Wschodnich...

– Teraz to Indonezja.

– W Indonezji. No więc mówią, że gdy zostałeś schwyty w dżungli, pocięli ci plecy sierpami. To dlatego nie odzywasz się w biurze za wiele i jesteś zamknięty w sobie. To dlatego oszedłeś z firmy na cztery lata. Załamałeś się i na pewien czas trafiłeś do wariatkowa, potem próbowałeś być farmerem. Wspomogli cię finansowo, ale się nie udało, więc wróciłeś. – To ostatnie przynajmniej było prawdą. Firma dobrze się nim zaopiekowała. Było to w końcu w jej interesie. Ostatnia rzecz, która jej była potrzebna, to psychicznie chory były agent, który rozpowiada na prawo i lewo o swoich przeżyciach. Alida uniosła palec i zaczęła sunąć nim po jego ramieniu. – Mówią, że twoje plecy są pokryte straszliwymi bliznami.

Więc to dlatego gładziła go po plecach: aby odkryć, że są gładkie i nieskazitelne. Ależ musiał ją spotkać zawód.

– No cóż – rzekł Harper, patrząc na nią – ale nie są, sama widzisz.

Trzeciego dnia wstał późno – przez alkohol i papierosy znów zaczął kiepsko sypiać – i postanowił, że dziś nie będzie pił ani palił. To, co robił, było w gruncie rzeczy ohydne, świadczyło o jego słabości; czas wziąć się w garść. Pojedzie do miasta i odnajdzie Ritę.

Kadek znów go zawiózł, a podróż upłynęła im w milczeniu. Podczas ostatnich kilku dni jego towarzysz zrobił się jeszcze bardziej małomówny i Harper się zastanawiał, czy powinien zgłosić to w firmie. Czy zadaniem Kadeka było przynosić mu śniadanie, czy go szpiegować? Zapewne i jedno, i drugie. Pomysł odnalezienia Rity był na tyle absorbujący, że zaczął myśleć, iż jego nocne lęki rzeczywiście wzięły się ze zwykłego zmęczenia. Może Amsterdam naprawdę miał rację – to coś nowego – i Harper potrzebuje jedynie odrobiny odpoczynku i relaksu? Zaczynał się czuć trochę głupio. Nie byłby pierwszym agentem, który dostrzegał cienie tam, gdzie ich nie było, cienie i czających się w tych cieniach ludzi, którzy go śledzili i chcieli zrobić mu krzywdę. Niektóre nawyki wchodzą człowiekowi w krew. „Czy możliwe, że to, co się kiedyś wydarzyło, przyćmiło twoją zdolność osądu?” Takie pytanie zadał mu Amsterdam tuż przed tym, jak Harper wysłał swój ostateczny raport z Dżakarty. Zdecydowanie temu zaprzeczył.

Czekał do późnego popołudnia. Tuż przed przyjazdem Kadeka na motorowerze przebrał się w jedną z koszul, które kupił podczas ostatniej wizyty w mieście. Domyślał się, że Rita w ciągu dnia jest zajęta pracą, więc największe szanse na odszukanie jej miał mniej więcej o tej samej porze, o której spotkali się poprzednio.

Kazał się wysadzić na rogu Dżalan Bisma i poszedł do pensjonatu, ale bar

świecił pustkami, nie było nawet nikogo z obsługi, wrócił więc na główną ulicę i znów zajął punkt obserwacyjny w kawiarni. Kiedy nie przyniosło to rezultatów, zaczął przechadzać się w dół i w górę głównej ulicy, zatrzymując się przy jednym bądź drugim sklepie, gdzie nie zwracał niczyjej uwagi i mógł swobodnie obserwować. Nie tracił nadziei, że ją zobaczy. To była tylko kwestia wytrwałości. Dokąd mógłby się udać ktoś taki jak ona, jeśli nie chciał siedzieć nad pracą w barze lub kawiarni? Dokąd on by poszedł, gdyby chciał uniknąć towarzystwa turystów? Zapewne na nocny targ.

Przy wejściu na targ ustawiono stragany z jedzeniem. Na pierwszym sprzedawano żółtawe kurczaki: na blacie leżały całe ich sterty, a każdy był przewiązany sznurkiem. Młoda kobieta za ladą kroić jednego, a jej dłonie szybko śmigają. W pozostałych miskach na ladzie znajdowały się prażone orzeszki, jajka marmurkowe w popękanych skorupkach, ryż i *sambal*. Czy Rita bywała w takich miejscach, czy też zwykle jadła z rodziną, u której mieszkała? Żłota figurka *maneki-neko* siedziała na końcu lady, przywołując klientów szczęśliwą łapą.

Choć było jeszcze wcześniej, na targu panował tłok. Harper starał się zachowywać jak każdy inny klient, na wypadek gdyby Rita zobaczyła go pierwsza. Przeszedł od straganów z jedzeniem do stoisk, na których sprzedawano plastikowe talerze i miski piętrzące się w jaskrawozielonych, różowych, czerwonych i pomarańczowych stosach. Dalej ciągnęły się stragany z setkami par japoniek. Nienawidził ich – po co chodzić w czymś tak bardzo odkrywającym stopy? W dodatku tak brzydkim. Żadna stopa, czy to męska, czy damska, nie może prezentować się dobrze w japonkach. Jedynymi kupującymi byli tu miejscowi. Turyści, którzy zabłąkali się na targ przez przypadek, robili zdjęcia, zachwyceni, jak tanie, urocze i kolorowe są towary nabywane przez tutejszą biedotę. Noc nie przepłoszyła jeszcze duszącego upału, a targ był

oświetlony przez białe lampy łukowe, od których Harpera bolały oczy, gdy tylko spoglądał do góry. Sprzedawcy pokrzykiwali. Dzieci przepychały się bezczelnie między jego nogami. Zgiełk i tłum zaczęły go powoli przytłaczać. Tutaj na pewno jej nie znajdzie.

Główna alejka skręciła gwałtownie i tłum nieco się przerzedził. Harper zatrzymał się przed małym straganem z owocami, na którym sprzedawano ogromne jabłka, które lubił jeść wieczorami. Kupił sobie całą torbę, a gdy za nie zapłacił i spojrzał w prawo, wreszcie ją zauważył – dwa stoiska dalej. Pochylała się nad straganem z przyprawami i wskazywała na bambusowy koszyk pełen poskręcanych korzeni kurkumy. Właściciel straganu również się pochylał, trzymając w ręce drewnianą szufelkę. Prowadzili ożywioną dyskusję. Jak Harper się domyślił, Rita udawała, że jest zirytowana ceną, jaką podał jej sprzedawca. Mówiła po balijsku, ale nie potrafił stwierdzić, czy używała oficjalnej czy potocznej odmiany języka. Sprzedawca też grał poirytowanego, lecz w końcu cena została ustalona i oboje rozplłynęli się w uśmiechach.

Harper stał dość blisko, czekając, aż Rita skończy, aby ją zaskoczyć, gdy odwróci się od stoiska.

– Nie chciałem ci przerywać. – Uniósł ręce.

– Jesteśmy z Nyomanem starymi przyjaciółmi. – Posłała uśmiech sprzedawcy, a on go odwzajemnił i skłonił głowę. – Czego szukasz?

Harper już miał przeprosić i się wycofać, lecz po chwili do niego dotarło, co miała na myśli. Podniósł torbę z jabłkami.

– Jadłeś coś? – spytała. – Mają tu świetne jedzenie. Przy wejściu jest fantastyczne stoisko.

– Widziałem.

Szli razem przez targ bez pośpiechu. Rita przystawała przy co drugim straganie, żeby sprawdzić, co sprzedają. Zatrzymała się przy plastikowych talerzach i kupiła sześć zielonych w kształcie liści.

– Dla mojej grupy seminaryjnej – powiedziała, po czym wrzuciła talerze do wielkiej płóciennej torby, którą niosła na ramieniu. Gdy odwrócili się od stoiska, Harper zaczepił palec o ucho torby i delikatnie zsunął ją Ricie z ramienia. Zatrzymała się. Wziął torbę, włożył do niej swoje jabłka i przewiesił ją przez swoje ramię. Stali zwrócenii do siebie twarzami. Rita założyła dziś kardigan z krótkimi rękawami narzucony na podkoszulek i kiedy Harper ściągnął jej torbę, rękaw swetra ześlizgnął się, odsłaniając miękkie, pokryte piegami ramię. Sięgnęła ręką i naciągnęła sweter z powrotem, po czym opuściła wzrok. Poszli dalej.

– Od dawna żaden mężczyzna nie niósł za mnie torby. – Była wyraźnie zmieszana jego gestem, więc postanowiła go skomentować, aby osłabić jego siłę. – To słodkie, jak to mawiacie wy, Amerykanie.

– Jestem Holendrem. – Dotarli do wąskiego przejścia między tłumem. Harper wskazał ręką, aby poszła przodem.

– W zależności od tego, jak ci wygodnie, raz jesteś Holendrem, a raz Amerykaninem, mam rację?

– Właśnie tak – odparł, gdy znów się z nią zrównał – ale jeśli mogę coś powiedzieć, nie zostałam przez ciebie właściwie potraktowana.

– Przestań starać się o to, żebym się w tobie zakochała – rzuciła półgębkiem, gdy szli obok siebie.

– Nie mam zamiaru.

Z łatwością znów weszli w swoje role; wszystko toczyło się płynnie i nie pociągało za sobą żadnych konsekwencji. Właśnie to Harper lubił w Ricie. Mógł jej powiedzieć w zasadzie cokolwiek i nie było to obarczone większym znaczeniem. Ważne były gesty, słowa nic nie znaczyły.

– Przepraszam za tamten poranek – powiedziała, zatrzymując się przy stoisku z jabłkami zapiekаныmi w cieście. – Mam na myśli ten cały pośpiech. To było z mojej strony nieco niegrzeczne.

Nieco niegrzeczne. To kolejna rzecz, którą w niej lubił: precyzja, z jaką się

wyrażała.

– Owszem. – Być może to okazja, by odkryć, co z nią jest nie tak, co uległo w niej uszkodzeniu. Wystarczy się tego dowiedzieć o drugim człowieku, by mieć go w garści. – Przyznaję, że się wtedy zastanawiałem, co takiego... – zaczął, ale Rita nie pozwoliła mu skończyć.

– Co robiłeś po tym, jak wyszedłeś? – zapytała.

– Wybrałem się na spacer – odrzekł. Może jednak go nie zauważyła w kawiarni naprzeciw pensjonatu.

– Ja musiałam wrócić do siebie, żeby się przebrać. Byłam już i tak spóźniona. I chyba czułam wyrzuty sumienia.

– Dlatego że byłaś spóźniona? A może dlatego, że uprawiałaś ze mną seks?

Obdarzyła go półuśmiechem.

– Cóż, przecież nie w tym celu tu jestem, prawda?

– Nie powinnaś chyba czuć się wina z powodu tego, że w jeden wieczór postanowiłaś się trochę rozerwać. – Nie dodał, że przynajmniej jemu o to właśnie chodziło.

Rita odwróciła wzrok, spojrzała w stronę targu, po czym ciężko westchnęła, jakby szukała jakiejś wymówki, żeby pójść w swoją stronę, ale tymczasem powiedziała:

– Masz ochotę na drinka?

– Może wrócimy na Dżalan Bisma?

– Okropny z ciebie człowiek, Johnie Harperze.

– To prawda.

Rankiem po drugiej wspólnie spędzonej nocy zjedli dokładnie takie śniadanie, o jakim Harper wcześniej fantazjował. Pensjonat nie serwował wprawdzie tego dnia puddingu z czarnym ryżem – była to wyłącznie niedzielna specjalność – ale za to sok pomarańczowy był zarazem cierpki i słodki,

a kawa gorąca.

– Dają tu pyszny *sambal*, naprawdę pikantny – oznajmiła Rita, studiując menu.

Gdy pojawiła się młoda kobieta z ich zamówieniem, przed Ritą postawiła jajka i tost, a przed Harperem *nasi goreng*. Poczekali, aż się odwróci, po czym z porozumiewawczymi uśmiechami zamienili się talerzami.

Poszli tą samą trasą, co Harper tamtego dnia, w górę Dżalan Bisma, poza granice miasta, aż zniknęły pensjonaty i małe warunki¹³, a ulica zamieniła się w drogę gruntową wiodącą między polami ryżowymi.

Ostatnim razem idący za Harperem chłopcy najpierw zostali z tyłu, a potem zniknęli, on zaś zaczął się zastanawiać, czy się nie pomylił, ale nawet jeśli go nie śledzili, i tak bez przerwy się oglądał. Tym razem nie zauważył nic podejrzanego, nikt nie podążał ich śladem. Wysokie drewniane konstrukcje pośrodku pola wyglądały zupełnie jak wieże ciśnień. Pod połyskującą powierzchnią jasnobrazowej wody, w której stały łądygi ryżu, nie kryło się nic niepokojącego. Miał wrażenie, że w obecności Rity wszystko jest tym, na co wygląda. Gdyby była z nim w nocy w chacie, nie przyszliby żadni mężczyźni, deszcz czy nie deszcz. Pewnie nawet by nie istnieli.

Minęli obrzeża miasta i ruszyli wzdłuż polnej drogi, która później przechodziła w krętą kamienistą ścieżkę i prowadziła do Małpiego Gaju. Skraje pól ryżowych były usiane placami budów; miasto rozrastało się, by móc przyjąć coraz więcej odwiedzających. Przeszli obok szkieletu budynku, który wkrótce miał się zamienić w niewielki hotel lub pensjonat – na razie były tu tylko betonowe filary i poziome belki; rozebrany do pasa mężczyzna klęczał, siekając zawzięcie na desce kupkę świeżego betonu. Bambusowe drabiny opierały się rzędem o jedną z poziomych belek, a pośrodku stało kilku mężczyzn, którzy za pomocą lin wciągali na górę kolejną belkę. U podnóża

drabin i bezpośrednio pod szkieletem budynku była betonowa wylewka, która już zdążyła porządnie stwardnieć. Wylegiwały się na niej trzy psy, wszystkie dokładnie tego samego kształtu, niczym wycięte z kartonu szablonu stereotypowego kundla: małe, chude, z nieproporcjonalnie dużymi uszami. Jeden miał ciemnobrązową sierść, drugi był w kolorze piasku, a trzeci – brudnobiały. Wygrzewały się w słońcu, leżąc zupełnie nieruchomo na bokach, jakby były martwe. Harperowi przyszło do głowy, że ten rodzaj psów zawsze wydawał mu się złowrogi: wszystkie w tym samym kształcie, lecz w innych kolorach, jakby zostały wycięte nożyczkami z papieru, a następnie w magiczny sposób ożywione, niczym podrygujące kościotrupy z animowanych filmów, które oglądał w dzieciństwie.

– Tyle pól ryżowych znika pod betonem – odezwała się Rita. – Jeszcze do niedawna Dżalan Bisma była tylko gruntową drogą prowadzącą poza granice miasta.

„Cóż – pomyślał Harper. – Jeśli rolnik dostanie taką samą cenę za sprzedaż ziemi, co za trzydziestoletnie zbiory ryżu, czy należy mu się dziwić?”

Rita zatrzymała się i spojrzała na plac budowy i pole.

– Wiesz, tak się zastanawiałam...

Coś w tonie jej głosu przykuło jego uwagę.

– Nad czym?

– Och, no wiesz, żeby kupić kawałek ziemi. Ale to byłaby duża, naprawdę duża sprawa.

– Dlaczego? Przecież zawsze będziesz mogła ją sprzedać, jeśli uznasz, że to był błąd.

Rita zmarszczyła brwi.

– To by oznaczało pożegnanie z innymi rzeczami, innymi opcjami, z możliwością powrotu i tak dalej. Zupełnie jakbym chciała sobie coś powiedzieć. W dodatku sama.

Harper nie był pewien, co miała na myśli: czy chodziło o to, że sama

chciała sobie coś powiedzieć? A może o to, że sama miała kupić działkę? Ale argument o pożegnaniu się z innymi opcjami doskonale rozumiał.

– Od dawna tutaj jesteś?

– Od ośmiu lat. Dostatecznie długo, by zdecydować, czego chcę. Gdybym zamierzała stąd wyjechać, już bym to zrobiła. Ale budowa domu, no wiesz, to o czymś świadczy, prawda? Wybudowanie czegoś... To przerażające.

Ze wszystkich rzeczy na świecie, których należy się bać, ani kupno ziemi, ani wybudowanie domu nie wydawały mu się szczególnie przerażające, ale gdy tylko o tym pomyślał, na chwilę się zatrzymał. Przecież nigdy w życiu niczego nie zbudował. Dziwne uczucie: zdać sobie z tego sprawę dopiero w tym wieku.

– Nie boisz się Niewidzialnych?

Rita pokręciła głową z uśmiechem.

– Te pola należą do Dewi Sri¹⁴, nie zapominaj. – Zamilkła na chwilę. – Skąd wiesz o Niewidzialnych, skoro to twoja pierwsza wizyta na Bali?

– Spójrz – powiedział Harper, wskazując coś palcem. – Co to za ptak?

Rita uniosła rękę, by osłonić oczy przed słońcem.

Podczas gdy ona wpatrywała się w drzewa po drugiej stronie pola ryżowego, usiłując zlokalizować nieistniejącego ptaka, Harper obserwował mężczyznę mieszącego na kolanach zaprawę i zastanawiał się, czy i on mógłby kupić tutaj działkę. Wobec tak niestabilnej politycznej sytuacji kosztowałyby pewnie grosze. Za pracę miejscowych też by zapłacił niewiele. Raz-dwa mógłby postawić małą willę. Ciekawe, jakie kolory podobają się Ricie. Nie przepadał wprawdzie za tutejszą fantazyjną sztuką ludową, ale odnosił wrażenie, że ona też: była na to zbyt praktyczna. W ciągu kilku sekund, gdy tak stali, patrząc na pole ryżowe, wyobraził sobie niemal całe ich życie. Mała willa, w której oboje by zamieszkali. Spokój. Kawa na werandzie codziennie rano, gdy brzask wstaje nad polami. Widok byłby mniej spektakularny niż ten, który miał w dolinie, ale na swój sposób równie

urzekający.

Słońce przeświecało przez jej włosy w miejscu, gdzie nieznacznie unosiły się do góry. Przyszła mu do głowy głupia myśl, że Rita oddaje się w tej chwili podobnym fantazjom.

Nagle jego myśli spowił mrok, ponieważ przypomniał sobie, jak wyglądają pola ryżowe nocą. Jak daleko stamtąd się znajduje – może dwie godziny jazdy? Dwie godziny jazdy oraz trzydzieści dwa i pół roku. Co on sobie wyobrażał? Odwrócił się gwałtownie. Rita, zaniepokojona tym nagłym ruchem, rozejrzała się wokół i w tej samej chwili leżący najbliżej pies, ten brudnobiały, dźwignął łeb, po czym bez żadnego ostrzeżenia zerwał się i zaczął na nich biec, szczekając zgrzytliwie i szurając pazurami po ziemi. Rita wydała cichy, pełen niepokoju okrzyk i chwyciwszy za ramię Harpera, ukryła się za jego plecami, ciągnąc go jednocześnie na bok. Harper się wzdrygnął, ale z powodu Rity, nie psa. Kundel biegł na nich, lecz nagle zatrzymał się i zaczął iść wzdłuż ścieżki. Zbliżył się do nich na dwa lub trzy kroki, po czym zaczął podskakiwać i kłapać zębami w powietrzu; w końcu zadowolony, że udało mu się przepędzić intruzów, opuścił głowę i podreptał z powrotem do swoich obojętnych towarzyszy.

Rita szła blisko Harpera, trzymając się kurczowo jego prawego ramienia. Rozwarł jej mocny chwyt, po czym wziął jej lewą rękę w swoją prawą i ścisnął ją delikatnie.

– Jeśli przed czymś mogę cię obronić, to na pewno przed psami.

– Gdy jestem u siebie w domu, wcale się ich nie boję – wyjaśniła szybko. – Tamte są wyszkolone, ale te tutaj to bezpańskie kundle. Nigdy nie wiadomo, co zrobią.

– Są jak dzwonek u drzwi. Nie chciałabyś, żeby twój pies czekał na nieznajomych?

– Tak, pewnie, ale jeśli jedno z tych zwierząt cię ugryzie, masz czterdzieści osiem godzin, żeby dotrzeć do Dżakarty i dostać zastrzyk przeciwko

wściekliźnie...

- Tutejsze psy nie mają wściekliczyny, prędzej małpy.
- Wiem. Po prostu ich nie lubię. To wszystko.

Przy kasie z biletami do Małpiego Gaju dwie kobiety sprzedawały z niedużego przenośnego straganu kiście małych bananów i paczki orzeszków.

- Chcesz, żebym kupił trochę? – spytał Harper.
- Zwariowałeś? – odparła Rita.

Jedna z kobiet stała za straganem, a druga obok niego, trzymając w pogotowiu procę z załadowanym już kamieniem. Harper stanął w kolejce do budki z biletami i przyglądał się, jak gromadka małp rozdzieliła się przy bramie, utworzyła coś w rodzaju kleszczy i opierając się na kłykciach, zaczęła zbliżać się do straganu z ogonami uniesionymi w górę oraz spojrzeniami rzucanymi to na banany, to na kobietę z procą. Gdy tylko małpy podchodziły zbyt blisko, kobieta unosiła procę; na ten widok wszystkie pierzchały z powrotem w kierunku bramy. Ciekawe, ile razy kobieta musiała użyć procy, by zwierzęta zaczęły na nią reagować.

– Uwierzysz, że nigdy wcześniej tu nie byłam? – zapytała Rita, gdy przeszli przez bramę i wkroczyli w zieloną duchotę Gaju.

Uszli niecałe sto metrów, gdy mała, szara małpka puściła się na nich biegiem i Rita znów wzdrygnęła się z przestraczem. Zwierzę zatrzymało się kilka kroków przed nimi i zaczęło się iskać, jakby już dowiodło swojej wyższości. Od tego momentu Rita trzymała się blisko Harpera.

Ścieżka wiodła pod górę między drzewami, aż w końcu doprowadzała do polany ze stawem otoczonym niskim kamiennym murem i posągami porośniętymi mchem. Mężczyzna w uniformie rąbał maczetą leżącą na ziemi kupkę kokosów. Gdy tylko się oddalił, kilkanaście małp podbiegło do rozłupanych orzechów – mniejsze chwytaly kawałki i czym prędzej zmykały na

bezpieczną odległość, większe zachowywały się znacznie odważniej: dokonywały starannego wyboru, po czym siadały tam, gdzie stały, i z bezczelną miną podwórkowego łobuziaka pałaszowały swoje porcje.

– Spójrz na tamtą – powiedziała Rita. Mała małpka, zbyt przestraszona, by podejść do łupin kokosów, trzymała nierozłupany orzech, który odtoczył się odrobinę od pozostałych, i waliła nim o ziemię. Harper odniósł wrażenie, że Rita stara się odzyskać godność, udając, że uważa małpy za urocze stworzenia. Nic bardziej mylnego. Młode miały pyszczki złośliwych staruszków.

Gdy tak się przyglądali zwierzętom, dorosła małpa zbliżyła się do matki z dzieckiem siedzących na skalnej półce nad sadzawką i złapała małą małpkę za ogon, usiłując wyszarpnąć ją z matczynych objęć. Matka ukryła dziecko pod brzuchem i odbiegła na trzech łapach. Kolejna małpa puściła się za nią w pogoń i znów próbowała wyrwać jej dziecko. Matka po raz kolejny uciekła, ale nie na tyle daleko, by zniechęcić resztę zwierząt przed atakami.

– Małpa, osioł, sowa – odezwała się w końcu Rita. – Znasz to powiedzenie?

– Trzy fazy życia człowieka.

– Jesteś osłem czy sową?

– Dzięki – odparł. – Ciągle jeszcze osłem, choć czasami myślę, że jestem już gotów stać się sową.

– Nie wydaje mi się, by ktokolwiek czuł się w ogóle gotowy na sowę. Chyba że na łożu śmierci.

– To jest wiek, w którym chodzi raczej o mądrość, a nie o śmierć, prawda? A ty?

– Zdecydowanie wciąż osioł – odrzekła z westchnięciem. – Nie masz nawet pojęcia.

Jeszcze chwilę obserwowali małpy i Harper zaczął się zastanawiać, kiedy zaproponować, żeby już stąd wyszli – mieli jeszcze do pokonania spory kawałek lasu, nie wspominając o świętych rzeźbach. Miał nadzieję, że nie

będzie chciała zobaczyć wszystkiego.

– Nie muszę iść do pracy w poniedziałek – oznajmiła.

– Dlaczego?

– Przyjeżdża nowy instruktor. Normalnie zostaję na zajęciach i obserwuję, ale tego już widziałam.

Co jeszcze mógł robić, gdy będzie czekał na wieści? W obecności Rity miał poczucie, że się myli i nikt nie zamierza go zabić. Przy niej wydawało mu się, że wszystkie jego obawy to urojenia, nieunikniony skutek jego pracy. Czy mógł sobie pozwolić na przedłużenie tego stanu? W końcu praca zaczeka. Jeśli do końca przyszłego tygodnia nie otrzyma żadnych wieści z Dżakarty lub Amsterdamu, wówczas przejmie inicjatywę.

– A może wybierzemy się do świątyni Tirta Empul? – zaproponowała Rita. – Byłeś tam kiedyś?

– Nie jestem turystą! – Nie potrafił ukryć tonu pogardy w swoim głosie.

– Ale przyjechałeś tu na wakacje, prawda? Nie chciałbyś zobaczyć różnych ciekawych miejsc? W każdym razie niekoniecznie jako turysta.

– Praktykujesz hinduizm? – Teraz pogarda mieszała się z niedowierzaniem.

– Nie, ale myślę sobie, że można założyć sarong, obmyć się w świętym źródle i wtedy od razu czujesz się...

– Mokra – wtrącił Harper.

Rita westchnęła z pobłażliwością.

– Raczej natchniona, serio, natchniona. Pod każdym strumieniem wody modlisz się za jedną osobę, a gdy kończą ci się te najbardziej oczywiste, a przed tobą jest jeszcze sporo strumieni... – Zawahała się, czując, że na Harperze nie robi to wrażenia. – To po prostu daje do myślenia.

Ze wszystkich rodzajów wiary, jakim oddają się ludzie, Harper najbardziej nienawidził właśnie tego typu nieskrępowanej duchowości, opierającej się na przekonaniu, że można do woli wybierać sobie i mieszać różne rytuały – spróbować trochę tego, wziąć trochę z tamtego i w ten sposób poprawić sobie

samopoczucie. Przynależność do zinstytucjonalizowanej religii wymagała przynajmniej podjęcia jakichś działań oraz poświęcenia: odwiedzenia raz w życiu Mekki albo nieścinania włosów. Nawet protestanci mieli obowiązek iść w Wielkanoc do kościoła. Ale nie to: zrobię trochę tego, co robią miejscowi, i od razu poczuję się lepiej, ponieważ poznam nieco ich zwyczaje, nie ponosząc żadnej ofiary.

– To chyba nie dla mnie, mimo wszystko dzięki – powiedział.

– No dobrze – rzuciła beztrąsko, po czym odwróciła się od stawu z kamiennym murkiem i ruszyli dalej w górę ścieżki. Z naprzeciwka szedł kolejny mężczyzna z maczetą, dźwigając olbrzymi siatkowy worek pełen kokosów. Harperowi przemknęło przez myśl, że muszą tu być inne wyjścia: widział je na planie przy głównej bramie. Jeśli pójdą dalej zataczając łuk ścieżką, może uda im się stąd wyjść i wrócić do miasta. Rita dość dobrze zniosła jego odmowę odwiedzin w świątyni. Czy jeszcze za wcześnie, by proponować, żeby poszli do baru?

– W takim razie plaża – odezwała się Rita.

Przeciwno temu pomysłowi też miał zamiar zaprotestować, ale pomyślał, że jeśli pojedą dalej na południe, aż do Denpasar, może zdoła się dowiedzieć nieco więcej o tym, co dzieje się w Dżakarcie. Amsterdamowi to się nie spodoba, ale przecież Amsterdam się o tym nie dowie.

– Nad zatoką Dżimbaran jest Intercontinental.

Teraz to ona przewróciła oczami.

– Tylko komuś takiemu jak ty zależałoby na Intercontinentalu. Dostałbyś tam swoją jajecznicę. I pewnie nawet płatki kukurydziane, gdyby cię naszła ochota. Znam o wiele lepszy hotel, z barem przy plaży, w którym podają świetne drinki. Dostatecznie balijski dla mnie i odpowiednio międzynarodowy dla ciebie. Co ty na to?

– To opis naszego związku w telegraficznym skrócie – rzucił cierpko Harper i oboje zaśmiali się ironicznie, jakby na potwierdzenie tego, że użycie

przez niego słowa „związek” było tylko żartem.

Odwrócili się w kierunku wyjścia i w tej samej chwili zza ich pleców wybiegła małpa, po czym jednym szybkim susem uczepliła się wszystkimi łapami spodu tkanej torby, którą niosła na ramieniu idąca przed nimi kobieta. Napadnięta wrzasnęła, upuściła torbę i odbiegła kilka kroków; dopiero wtedy odwróciła się i zaczęła gestykulować. Małpa odwróciła torbę do góry dnem i zaraz podbiegło do niej sześć innych małp, by przejrzeć zawartość rozsypaną na ziemi. Jedna rozerwała portmonetkę, druga porwała okulary przeciwsłoneczne, trzecia chwyciła plastikową butelkę z wodą, wbiła w nią zęby od spodu i uniosła, żeby się napić. Gdy przechodzili obok, Rita westchnęła z pewną wesołością i potrząsnęła głową, a Harper odnotował w myślach, że nawet ona czuła się raczej rozbawiona niż zaniepokojona, kiedy ktoś inny padał ofiarą tych zwierzaków.

Nieopodal siedziało małpie dziecko, teraz całkiem samo, i przyglądało się im z uwagą.

Prawie miał dziecko, w taki sposób przynajmniej o nim myślał. Ono. Ileż bezwzględności w takim krótkim słowie: ono. Ale jaką miał alternatywę? Nie mógł postąpić tak jak Francisca – Francisca, jego żona, delikatna piękność z Fryzji, kobieta, której jego matka nienawidziła tak bardzo, że nieuchronnie musiał się z nią w końcu ożenić. W pierwszych miesiącach ciąży, przekonana, że to chłopiec, zaczęła wybierać imiona. Kupiła stertę miękkich materiałowych pieluszek i małych, robionych na drutach kaftaników. Wyszukowała głęboki wózek, w którym mieli go przywieźć do domu, z żółtą kokardką przywiązaną do rączki. Obserwował ją czasem, gdy siedziała pod wykuszowym oknem w salonie, zupełnie nieświadoma jego spojrzenia, i wspierając się na stosie grubych, twardych poduszek, wpatrywała się w kanał i przesuwała ręką po napiętym brzuchu z lekkim, ale znaczącym

uśmiechem na twarzy. Myślał o tym, jaka wówczas wydawała się doskonała w tym szczęściu, w tej świadomości, że wkrótce pojawi się coś, co pokocha ponad wszystko na świecie, ale co na razie jest bezpieczne w jej wnętrzu, otoczone wilgotnymi ścianami jej łona. Skarbnica wszystkich jej nadziei i marzeń, w pełni wyobrażona i całkowicie chroniona.

Kiedy widział u żony ten wyraz twarzy, ogarniał go strach. Strach ścisnął mu żołądek. Bezbronność małych dzieci napawała go niepokojem i odrazą, dlatego właśnie zwlekał z decyzją o posiadaniu potomstwa. Wmawiał sobie, że zmieni podejście, kiedy będzie miał własne, ale gdy patrzył na dzieci innych, wciąż się zastanawiał, w którym momencie stają się ludźmi.

Wreszcie powiedział sobie: masz pięćdziesiąt lat. Ona ma czterdziestkę i to prawdopodobnie jej ostatnia szansa na dziecko, a to wyłącznie twoja wina, bo zajęło ci osiem lat, nim w końcu postanowiłeś ją poślubić. Ta kwestia pojawia się w życiu was obojga w chwili, w której na większość ludzi nie czekają już żadne niespodzianki. Bądź za to wdzięczny. Zapomnij o przeszłości; wyzbądź się przekonań, które żywiłeś, odkąd jako zdruzgotany młody człowiek wróciłeś z Indonezji. No dobra, nie jesteś co do niej przekonany, w ogóle nie jesteś przekonany co do dziecka, za to ona wydaje się dostatecznie mocno przekonana za was oboje. Może jej pewność wystarczy.

Francisca zaczęła rodzić w środku nocy, osiem tygodni przed terminem. Okazało się, że to dziewczynka. Żyła dwa dni. Jak wyjaśnił później lekarz, pojawił się problem z oddychaniem: dziecko musiało połknąć coś, co znajdowało się w płynie owodniowym i co teraz blokowało jego – jej – drogi oddechowe. Doprowadziło to do zapalenia płuc, które ostatecznie ją zabiło. Żyła wystarczająco długo, by mogli potrzymać ją na rękach i nadać jej imię – Anika, po jego matce. To była propozycja Franciski. Patrzyli, jak łapie płytkie oddechy, a jej drobniutka klatka piersiowa unosi się z trudem, choć Harper i tak wolał myśleć, że po prostu utopiła się w macicy. W jakimś sensie wydawało mu się to bardziej logiczne. No bo jak dziecko może przez dziewięć

miesiący unosić się w płynie? Kiedy siedział przy inkubatorze na oddziale położniczym, a Francisca ścisnęła go za rękę i płakała, przypomniał sobie opowieść swojej matki o tym, jak się urodził podczas pory monsunowej w obozie dla internowanych w Holenderskich Indiach Wschodnich. Deszcz spływał po ścianach chaty, a droga gruntowa zamieniła się w brunatną rzekę; zastanawiał się, czy ta historia tkwiła gdzieś w nim, gdy myślał, że jego mała córeczka utonąła, jakby taką historię można było przekazać dziecku niczym chorobę genetyczną.

Przez długie tygodnie Francisca łkała nocami w jego ramionach, mówiąc mu rzeczy w rodzaju: „Wiem, że ty też cierpisz, tylko nie potrafisz tego wyrazić, w porządku, rozumiem”. Nie przyznał się jej jednak, że gdy ich maleńkie dziecko umarło, pomyślał sobie – na krótko przed tym, zanim jego również chwyciły żal i rozpacz: „Przynajmniej tobie życie zostało darowane”.

Dzień zaczął się całkiem niezle. Harper umówił się z Ritą, że ją odbierze, i choć kazała mu zaparkować pod sklepem elektrycznym na Monkey Forest Road i tam poczekać, wysiadł z samochodu i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem wzdłuż ulicy, ciekaw, w którym domu mieszka. Okazało się, że stoi dokładnie pod nim. Wyszła z młodą Balijką, która niosła stos podręczników.

– Jesteś – powiedziała po prostu. – To Ni Wayan.

Harper się uklonił, młoda kobieta odpowiedziała mu tym samym, po czym spojrzała na Ritę i zwróciła się do niej:

– *Ibu*¹⁵ Rita. – Skłoniła się z uśmiechem i skierowała się w stronę miasta.

– Myślałem, że dziś masz wolne – rzucił, prowadząc Ritę do samochodu. Ucieszyło go, gdy usłyszał, że dziewczyna zwraca się do niej z taką serdecznością. Rita była lubianą nauczycielką, którą darzono sympatią i szacunkiem. Tak właśnie mu się wydawało.

– Wayan przysłała do mnie wczoraj i poprosiła o dodatkową lekcję. To się często zdarza. Dlatego powiedziałam, że po lunchu. Moje wolne dni często

zaczynają się dopiero po lunchu.

– Jesteś taka dobra dla wszystkich swoich uczniów? – zapytał, otwierając jej drzwi od strony pasażera.

– To oni są dobrzy dla mnie. Boże, błogosław Balińczyków.

Gdy wsiadła, potoczyli się powoli Monkey Forest Road i skręcili w prawo w główną ulicę. Rita pochyliła się i otworzyła schowek.

– Na co masz ochotę? – spytała, wskazując magnetofon kasetowy między nimi.

Harper zerknął na niego i powiedział:

– Bardzo bym się zdziwił, gdyby działał.

Rita wyjęła ze schowka garść kaset, które leżały tam luzem, bez pudełek. Podniosła dwie do góry i wykrzyknęła:

– Superman is Dead! Sucker Head? Skąd wytrzasnąłeś ten pojazd?

Kadek mu go załatwił. Zależało mu na lokalnym wozie, który nie wyglądałby na pierwszy rzut oka jak samochód wynajęty przez cudzoziemca.

– Co to jest Sucker Head? – zapytał.

Rita wciąż przeglądała kasety.

– Miejscowy death metal. Mają tu dużą scenę undergroundową. Nawet młodzi Balińczycy czują od czasu do czasu potrzebę buntu. Wiesz, że kiedy przyjechała Metallica, w Dżakarcie wybuchły zamieszki?

Przyszło mu do głowy, by wspomnieć o zamieszkach w Dżakarcie, które doprowadziły niedawno do upadku wielkiego Podtrzymywacza Wszechświata¹⁶, co wydawało mu się bardziej istotnym wydarzeniem, ale trudno byłoby dyskutować o sytuacji politycznej w stolicy i nie zdradzić się z tym, że jego wiedza na ten temat jest nieco bardziej szczegółowa niż wiedza przeciętnego ekonomisty. Chociaż Rita pewnie by wiedziała, gdyby pojawiły się tu jakieś chińskie rodziny uciekające ze stolicy, wiedziałyby, co się mówi, więc mogłaby być użytecznym źródłem informacji... „Przestań”, skarcił się w myślach.

W Sanur pojechali prosto do hotelu. Zatrzymali się na parkingu przy wejściu prowadzącym do ogrodów i poszli ładną alejką do recepcji, a Rita śmiała się z jego poirytowania tym, że nie mają tu parkingowego. Harper oparł się jej próbom oprowadzenia po całym terenie i skierowali się od razu do baru na plaży.

Czekały już na nich dwa idealne fotele, niskie i wygodne, skierowane ku morzu, z małym stolikiem między nimi. Gdy się w nich usadowili, Rita sięgnęła po kartę z koktajlami i wydała cichy pomruk zadowolenia. Dzień był pochmurny. Nad samą wodą ciągnął się rząd mieniących się czerwono, niebiesko i żółto łodzi rybackich *jukung* z odnóżami pływaków wzniesionymi do góry i wygiętymi jak u pajaków – Harper zakładał, że wyłącznie w celach dekoracyjnych, bo na tym odcinku plaży już pewnie od wielu lat nie łowiono ryb ani nie zbierano koralowców. Na sąsiednim tarasie grupka małych chłopców ćwiczyła taniec wojownika, który mimo nazwy nie miał w dzisiejszych czasach już nic wspólnego z walką.

Rita podniosła rękę.

– Tam, po drugiej stronie zatoki, w latach sześćdziesiątych wybudowano Bali Beach Hotel, pierwszy z wielu, triumf zachodniej cywilizacji lub okropne szkaradztwo, w zależności od punktu widzenia.

„Wiem – pomyślał Harper. – Widziałem, jak go budowano”.

Nagle przy jego ramieniu pojawił się kelner i Rita usiadła prosto, trzymając kartę z koktajlami nieco bokiem, żeby móc mu coś wskazać.

– Wybierz za nas oboje – zaproponował, ale zanim w ogóle się odezwał, już wiedział, że Rita zamówi coś z owocami.

Po zanieśieniu zamówienia do baru kelner wrócił z niewielkimi szklanymi miseczkami z herbatnikami. Rita wzięła miskę i przesyłała ich sobie trochę do ręki.

– Masz ochotę?

Pokręcił głową, patrząc na plażę, na której – pomiędzy nimi a łodziami rybackimi – na dużej macie leżały trzy młode kobiety w bikini, niczym kiełbaski na patelni. Obok nich przechodziła młoda, biała para we wzorzystych, luźnych spodniach; mężczyzna – brodaty i wysoki, oraz kobieta – chuda i niska, nieśli ręcznie tkane torby, a na nadgarstkach mieli bransoletki. Nie będą się opalać przez cały boży dzień ani kupować papierosów i alkoholu w strefie bezcłowej w drodze do domu. Wrócą do kraju z walizkami pełnymi sarongów i drewnianych rzeźb. Nauczą się mówić po indonezyjsku „proszę” oraz „dziękuję” i będą używać tych zwrotów przy każdej możliwej okazji, nawet jeśli sytuacja nie będzie tego wymagać. Będą dawać tak hojne napiwki, na jakie tylko pozwoli im ich budżet, i zawsze, ale to zawsze będą się zachowywać z szacunkiem w świątyniach.

Ale gdy już wrócą do domu, oboje będą robić dokładnie to samo, co trzy młode kobiety z plaży. Będą kupować domy, gotować jedzenie i prowadzić samochody. Do samochodów będą potrzebować paliwa, ono zaś trafi do nich za pośrednictwem rurociągów wybudowanych przez firmy zatrudniające inne firmy – takie jak ta, w której pracował Harper – aby zapewnić bezpieczeństwo swoim inwestycjom i swojemu personelowi.

Pamiętał, jak po raz pierwszy przyleciał na wyspę. To było w listopadzie sześćdziesiątego piątego. Gdy zakończył misję w Dżakarcie, z wielką ulgą wydostał się z Jawy. Na lotnisku Tuban, bo tak się wówczas nazywało, wręczył facetowi w garniturze i okularach przeciwsłonecznych gigantyczną łapówkę, aby uniknąć kolejki stojącej przed grupą żołnierzy, którzy nie wiedzieć czemu przesłuchiwali pasażerów wysiadających z krajowego lotu.

Agent, który miał go przejąć, czekał na zewnątrz niskiego budynku. Samochód zaparkował na skos, w połowie krawężnika. Mężczyzna uścisnął

Harperowi dłoń i rzekł:

– Witaj na Bali. Mów mi Abang. Szybko się uwinąłeś.

– Nie było łatwo – odparł Harper, poprawiając okulary na wilgotnym od potu nosie.

Teren wokół lotniska był otoczony przez plac budowy, nad którym wisiało powietrze drżące od upału. Żaden polityczny chaos nie powstrzymał jeszcze prac budowlanych. Przedstawiciele nowego reżimu wyruszą w zagraniczne podróże, jak tylko uda im się pokonać czerwoną zarazę – Harper nie miał wątpliwości, że wszyscy oni będą latać nowiutkimi, lśniącymi samolotami i lądować na nowiutkich, lśniących pasach startowych. Najpierw masakry, potem broń, pieniądze i doradcy ekonomiczni, później pojawią się pasy startowe, a na końcu turyści.

– Gratulacje – powiedział Abang. – Niezły początek. Powinni zrobić z tego jakiś rodzaj testu.

Miał na myśli Instytut.

– No cóż – odparł Harper. – Znacznie więcej ludzi próbuje się stąd wydostać, niż tu wjechać. – Wcześniej musiał przedzierać się przez tłumy rodzin idących do hali odlotów.

Wsiedli do samochodu. Wówczas Harper nie wiedział jeszcze zbyt wiele o Abangu, ale później odkrył, że tak samo jak on jest po części Indonezyjczykiem, mieszańcem, starszym mężczyzną, który podczas wojny opowiedział się po właściwej stronie i w przeciwieństwie do Harpera i jego matki nie musiał w 1946 roku uciekać do Holandii. Był przydatny Instytutowi z tych samych powodów co Harper, a mianowicie miał lekko brązową skórę. Działał głównie na Sumatrze, ale przeprowadzał zwiad także na wschodnich wyspach, aby przygotować wstępny raport; w tym samym czasie Harper pracował w Dżakarcie. Choć nigdy wcześniej się nie spotkali, Harper z miejsca poczuł do niego sympatię, którą Abang odwzajemnił, każąc mu mówić do siebie po imieniu, które w języku indonezyjskim znaczyło „starszy

brat”.

Abang skinął głową, przyznając rację Harperowi, gdy dołączyli do kolejki samochodów usiłujących dostać się na lotnisko, wydostać się z niego lub krążących w kółko – w tym tłumie pojazdów trudno było to dokładnie stwierdzić. Smród paliwa samolotowego mieszał się ze spalinami i dymem papierosowym. Każdy kierowca miał opuszczoną szybę w samochodzie, każdy trzymał rękę zwieszoną przez okno – co pewien czas któryś pokrzykiwał coś lub gestykulował bez przekonania. Ślamazarna odmiana chaosu.

Gdy tak siedzieli, patrząc przed siebie, Abang nagle oznajmił:

– Tu będzie tak samo źle, na swój sposób. Zabawne, że ludzie jednocześnie o tym wiedzą i nie wiedzą. – Ujechał kilka metrów. – Chcesz najpierw trochę odpocząć? Później zrobimy odprawę.

– Nie, miejmy to od razu z głowy.

– Dobra, jak dotrzemy, załatwimy to przy piwie.

Pojechali prosto do Sanur. Abang chciał pokazać Harperowi Bali Beach Hotel, którego budowa trwała już od dwóch lat. Siedzieli przy piwie w barze naprzeciw placu budowy, a on mu tłumaczył, jakie problemy w okolicy wywoływała ta inwestycja. Suteja¹⁷ dał najlepsze kontrakty swoim znajomym z PKI, co wywołało ogromną falę niezadowolenia. Rywalizacja o kontrolę nad przemysłem turystycznym okazała się równie zacięta, co rywalizacja o kontrolę nad zbiorami ryżu.

– PKI nic nie rozumie. Wkładają wszystkie wysiłki w reformę rolną, ale chłopci nie są im nawet wdzięczni, a obcokrajowcy z dolarami nie przyjadą tu po ryż, tylko po piasek. – Abang wskazał na rozciągającą się przed nimi plażę.

Do Harpera wrócił obraz zwęglonych zwłok, które widział wiszące na przydrożnym drzewie przy skrzyżowaniu przed lotniskiem w Dżakarcie. Na szyi miały tabliczkę z napisem „Gerwani”¹⁸.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś tu będzie chciał przyjechać, gdy w Europie i Ameryce rozejdzie się wieść, co tu się dzieje?

Abang wydał jęk pełen goryczy.

– I kogo to obejdzie? A jeśli nawet, to się przekonasz, że krew naprawdę szybko wsiąka w piach. – Wyjął z torby numer „Suara Indonesia” rozłożony na komentarzu redakcyjnym, po czym rzucił go na stół i dźgnął palcem.

Harper spojrział na gazetę, a Abang przetłumaczył mu na głos tytuł artykułu.

– „Wreszcie wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg”.

Harper popatrzył na Abanga spod uniesionych brwi.

– Ile według ciebie mamy czasu?

– Masz na myśli w ogóle czy tutaj?

– Tutaj.

Abang przechylał głowę z boku na bok, jakby próbował to oszacować.

– Dwa tygodnie, góra trzy, może mniej. Może o wiele mniej.

– Serio? – Harper zakładał, że ma nieco więcej czasu. Jaki sens miało przyjeżdżanie tu z Jawy, żeby przygotować sprawozdanie, skoro wszystko jest już niemal przesądzone?

– Krążą plotki, że w przyszłym miesiącu przybędą tu oddziały Brawijaya.

– Kto dowodzi? – spytał Harper.

– Sarwo Edhie.

Harper zamilkł na chwilę.

– No właśnie, to samo sobie pomyślałem – dodał Abang, po czym uniósł do ust butelkę z piwem.

Harper też pociągnął łyk. Przeszedł go nagle dreszcz strachu – czyżby to przecucie tego, co miało nadejść? A może to adrenalina wywołana tym, czego był świadkiem na Jawie, sprawiła, że po przybyciu na Bali czuł dreszcze na myśl o grozie, która wkrótce tu zapanuje? Lepiej, żeby w miarę szybko wziął się w garść, zwłaszcza jeśli Abang wyjedzie i tylko na nim będzie spoczywał obowiązek składania raportów. Jeśli zamkną lotnisko, na inną wyspę będzie mógł się przedostać wyłącznie łodzią, co samo w sobie było wystarczająco niebezpieczne, albo też – co bardziej prawdopodobne – będzie musiał się

zaszyć w górach, dopóki wszystko nie przycichnie.

– Zaczęli już zbierać nazwiska?

Abang kiwnął głową.

– Robią to już od jakiegoś czasu. Wszyscy członkowie PKI oraz innych ugrupowań komunistycznych stracili pracę, przynajmniej w sektorze rządowym, w szkole, w służbie publicznej. Wszyscy poleciali, członkowie rodziny także, wystarczyło najmniejsze powiązanie. Tworzą listy, wioska po wiosce. Dwa tygodnie i się zacznie. Mogą nawet nie czekać na wojsko.

– Listy.

Abang uniósł butelkę w ironicznym salucie.

– Zawsze jest jakaś lista.

Harper pomyślał, że pomiędzy nim a Abangiem istnieje swego rodzaju milczące porozumienie. Zawsze była jakaś lista, często nawet więcej niż jedna. Armia, islamiści i nacjonaści sporządzali listy komunistów, których trzeba zabić. Komuniści mieliby własne listy i Harper nie miał wątpliwości, że gdyby ruch 30 września zakończył się sukcesem, zarówno on, Abang, jak i każdy mający jakiegokolwiek związki z Europejczykami i Amerykanami znaleźliby się na niej. Ich brązowa skóra by ich nie uratowała, zważywszy na to, dla kogo pracowali, zwłaszcza teraz, kiedy wreszcie było wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg.

„Krew naprawdę szybko wsiąka w piach”. Kelner wrócił z koktajlami: wysokimi, czerwonymi, pełnymi owoców. Harper żałował, że nie zamówił czegoś mniejszego i z dodatkiem whisky, zamiast zdawać się na Ritę. Popatrzył na młode kobiety w bikini leżące ledwie kilka kroków od nich, po czym przeniósł wzrok na morze. Wiedział, że Rita go obserwuje, bo nagle dziwnie zamilkł, ale po kilku chwilach doszła do wniosku, że lepiej zostawić go w spokoju. Gdy pochyliła się, by wziąć paczkę papierosów, którą rzucił na

stolik, gdy siadali, Harper złapał ją za rękę i ścisnął jej delikatne palce. Oboje spojrzeli na swoje dłonie.

– Możemy wynająć pokój? – Nagle usłyszał własny głos. Pobrzmiwało w nim pożądanie, ale z domieszką czegoś jeszcze, jakby rodzajem potrzeby. Usłyszał słowa, ale nie mógł ich zrozumieć.

– Nie – odparła Rita. – Pamiętasz, mówiłam ci, że muszę wrócić na noc.

Harper puścił jej rękę. Potrząsnęła nią lekko, po czym sięgnęła po papierosy i wyjęła jednego. Siedziała, trzymając go między palcami, jakby nagle się rozmyśliła. Trzęsły jej się ręce. Nigdy przedtem przy nim nie paliła.

Harper wstał, wyciągnął zapalniczkę z kieszeni spodni i rzucił ją na stolik.

– Może zamówisz coś do jedzenia? – Koktajle były mocne, a planowali wypić jeszcze parę.

– A ty gdzie idziesz?

– Porozmawiać z konsjerżem.

Odwrócił się i ruszył ścieżką do głównego budynku. W jednym Rita miała rację: hotel był piękny. Nie mógł go sobie przypomnieć z tamtych czasów. Składał się z niskich, dyskretnych bungalowów. Każdy zamożny mieszkaniec Zachodu mógł tu przyjechać i ukryć się w tym gustownym, komfortowym azylu przed tym, co się działo na zewnątrz.

Mógł zapytać kelnera w barze, co dzieje się na Jawie, ale usłyszałby pewnie tylko uprzejmą odpowiedź: „Wszystko w porządku, proszę pana”. Konsjerż będzie o wiele lepszym źródłem informacji.

Zastępca kierownika hotelu był akurat w recepcji. Harper wyprostował się, podchodząc do niego, i zagadnął po angielsku:

– Czy mógłby mi pan pomóc? Moja firma zamknęła biuro w Dżakarcie i nie mogę się z nią skontaktować. Jakie są najświeższe wieści?

Konsjerż odwrócił się i sięgnął ręką w kierunku stosu gazet leżących na ladzie recepcji, ale Harper od razu dodał:

– Znam wczorajsze wiadomości. Proszę zatelefonować do konsjerża

w Mandarin, Four Seasons lub w Grand Hyatt. W każdym razie do któregoś z tych hoteli.

Konsjerż musiał wykonać sześć telefonów, zanim wreszcie udało mu się połączyć z kimś, z kim mógł porozmawiać, choć początkowo również otrzymywał same zdawkowe odpowiedzi: porządek zostanie niebawem przywrócony, wojsko panuje nad sytuacją, nie ma powodów do niepokoju.

Po krótkiej przerwie Harper postanowił wkroczyć do akcji.

– Proszę go zapytać, czy podpalono kolejne pasaż handlowe.

Konsjerż powiedział coś do telefonu, po czym przekazał odpowiedź:

– Nie, proszę pana, nie zaatakowano już żadnych punktów handlowych.

– Czy Amerykanie i Europejczycy nadal ewakuują swoich obywateli¹⁹?

– Tak, tak sędzę.

– A co się dzieje w innych miejscach, w Surakarcie i Medanie?

Po tym pytaniu nastąpiła nieco dłuższa wymiana zdań.

– Nie ma żadnych nowych incydentów. Wojsko kontroluje sytuację, proszę pana, nie ma powodu do obaw.

– Spytaj go, czy na rondzie pod hotelem Indonesia wciąż stoją czołgi. Albo na placu Merdeka.

– Mój kolega nie ma takich informacji, proszę pana. Na ulicach panuje spokój. Banki i szkoły są zamknięte tylko na wszelki wypadek.

– Czy w holu jest telefon, z którego mógłbym zadzwonić za granicę?

Konsjerż zaprowadził go do pomieszczenia z małym stolikiem i aparatem telefonicznym na ścianie.

– Czy opłatę za rozmowę mam doliczyć do rachunku za pokój?

– Nie, zapłacę gotówką.

Telefon odebrała Hannah. To dobrze. Była sekretarką jego szefa i pracowała dla firmy od wielu lat. Co jakiś czas wychodzili razem na piwo i dzielili się spostrzeżeniami na temat różnych dziwactw Jana. W przeciwieństwie do niektórych kolegów z pracy nigdy nie wykorzystywali

tej wiedzy przeciwko sobie.

– Dzień dobry, Międzynarodowy Instytut Ekonomiczny. – Hannah nie była szczególnie atrakcyjna, ale Harper uwielbiał jej głos: niski i chropawy.

– Hannah, *lieveling*²⁰, tu twój ulubiony brązowy facet. Dziewięćdziesiąt kilo mięśni.

W słuchawce zapadła cisza.

– Hej, witaj nieznajomy.

– Zastałem Jana?

Po krótkiej pauzie:

– Nie wiem, dopiero co weszłam, nie zdjęłam nawet jeszcze płaszcza. Jak w Dżakarcie? Wygląda to dość kiepsko.

– Nie ma mnie już w mieście, jestem na urlopie. Przymusowym. Teraz Henrikson kieruje przedstawieniem.

– Och, rozumiem.

– Nikt o tym nie mówił?

– To dla mnie nowość, mój przyjacielu. Czemu nie ściągnięto cię z powrotem do kraju?

Sam zadawał sobie to pytanie.

Pauza przed każdą wypowiedzią sugerowała, że Hannah ostrożnie dobiera słowa, ale Harper był niemal pewien, że wcale tak nie jest. Mimo to wydawało mu się dziwne, że jego kłopotliwe położenie w ogóle nie zostało przedyskutowane. Hannah wiedziała o wszystkim, co się dzieje w departamencie Azji, i normalnie Jan dopilnowałby, żeby wszyscy pozostali w firmie również o tym wiedzieli. Tak właśnie postępowali partnerzy, jeśli ktoś nawalił.

– Jesteś pewna? Jan nic ci nie powiedział?

– Ani słowa. Właśnie się zastanawiałam, czemu nie mam od ciebie żadnych wieści. Biuro jest nadal zamknięte, Henrikson melduje się z Le Méridien. Myślałam, że jesteś z nim. No i zastanawiałam się, dlaczego nie dzwonisz.

Podobno jest spokojniej, ale...

– Wiem, wygląda na to, że sytuacja jeszcze się nie rozstrzygnęła. A co się mówi u was? – Milczenie, które zapadło, było dłuższe, niżby wynikało to z opóźnienia na łączach. Hannah wahała się, nie wiedziała, jak dużo może mu zdradzić. – Daj spokój, wariuję, siedząc na tej wyspie, odcięty od wszelkich informacji. Nie masz pojęcia, jak ciężko się tu czegoś dowiedzieć.

– Tu jest podobnie. Amerykanie ewakuowali zbędny personel, ale zostawili część ludzi. Tak samo Brytyjczycy. Sytuacja na ulicach się uspokoiła, ale nikt nie chce podejmować ryzyka. Większość naszych klientów już wyjechała, ale mamy masę nowych, a ludzie wciąż panikują. Chińskie rodziny uciekają. Wszyscy czekają, aż Habibie ustabilizuje sytuację, ale kto wie. – A więc opinia Hannah na temat możliwego rozwoju wydarzeń nie różniła się tak bardzo od jego oceny.

– Pekin wydał oświadczenie?

– Nie, jeszcze się nie zdecydowali. Ale pod indonezyjską ambasadą odbywają się demonstracje.

Idąc w stronę recepcji, wyciągnął z kieszeni portfel. Zastępca kierownika gdzieś zniknął, ale młoda kobieta przyjęła opłatę za rozmowę.

Gdy odwrócił się w kierunku ogrodów, przystanął, zaczął się poklepywać po kieszeniach i z żalem stwierdził, że papierosy zostały na stoliku. Miał rację: sprawy mogły przybrać różny obrót, ale najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że jego zawieszenie nie jest oficjalne. Jeśli chodzi o resztę pracowników firmy, wszyscy myśleli, że Harper wciąż działa w terenie.

Gdy szedł z powrotem na plażę po wysadzaną płytkami ścieżkę, pomyślał, że reszta dnia będzie zepsuta. Nieopatrznie sprowadził prawdziwy świat do bańki, którą wraz z Ritą stworzyli dla siebie podczas dotychczasowych

spotkań. Podobało mu się w tej bańce – w zamkniętej przestrzeni pokoju gościnnego, w samochodzie. Mogli w niej egzystować tak długo, jak tylko otaczały ich jakieś ściany. A zdecydowanie najlepiej czuli się pod delikatną siatką moskitiery.

Gdy usiadł przy stoliku, Rita oznajmiła:

– Już zamówiłam.

Jak na zawołanie pojawił się przed nimi talerz *satay* w kleistym sosie, ryż i miska szpinaku wodnego.

Jedli w milczeniu.

– *Satay* jest naprawdę smaczny, pikantny – odezwał się w pewnym momencie Harper, ale była to tak błaha uwaga, że Rita zupełnie ją zignorowała. Jadła *satay* i szpinak, lecz ryż ledwo tknęła.

Po posiłku przespacerowali się wzdłuż plaży. Rozmawiali o tym, czy jest sens wybrać się na przejażdżkę wokół Sanur, ale doszli do wniosku, że to okropne, turystyczne miejsce. Zaczęło się robić coraz bardziej szaro; gdy wrócili do baru, światło dnia stało się matowe, zupełnie jakby niebo dostosowało się do ich ponurego nastroju.

Bez słowa usiedli przy tym samym stoliku i zamówili coś do picia: ona sok z arbuza, on coca-colę. Patrzyli na morze, gdzie grzebienie fal przybierały morelowy odcień. Plaża była niemal pusta. Harper zauważył długi sznur mrówek wspinających się po jednej z nóg stolika i gromadzących się wokół plamy z sosu. Najwyraźniej stolik nie został przetarty, gdy byli na spacerze, więc Harper zastanawiał się, czy nie wezwać kelnera.

Przed nimi na piasku stała para leżaków w pozycji pólleżącej. Pomiędzy nimi postawiono lampkę na drewnianej nodze z białym abażurem. Choć do zmierzchu wciąż jeszcze było trochę czasu, pojawił się ubrany na biało członek obsługi hotelu i zapalił światło; dopiero wtedy Harper zauważył kabel biegnący od jej podstawy do najbliższej palmy kokosowej. W drzewie było źródło zasilania, a do jego pnia przymocowano gniazdko. Zerknął na Ritę: ona

też to dostrzegła i była równie rozbawiona tym, jak szybko ten mały skrawek plaży zamienił się w salon z prawdziwego zdarzenia. Uśmiechnęli się do siebie. Harper żałował, że zadzwonił do Amsterdamu i że wypytywał o Dżakartę. Żałował, że nie jest nikim więcej niż tym, za kogo uważała go Rita.

Gdy wracali do samochodu – Rita w pełni szczęśliwa – Harper zdenerwował się sam na siebie i zrobił to, co robi większość ludzi, gdy czuje się zirytowana własnym zachowaniem – wyładował złość na osobie, która mu towarzyszyła. W połowie rozmowy na temat prowadzonego przez nią kursu dla nauczycieli szkół średnich rzucił:

– Oczywiście, wszystko, co dobre, zbudowali tu Holendrzy. Rowy irygacyjne na polach były dawniej z drewna i bambusa, ale przegniły. W górach nad miastem jest kamienny akwedukt, który odmienił życie całych wiosek. Powinnaś tam pójść i sama zobaczyć.

Dlaczego ją prowokował?

– Masz na myśli akwedukt powyżej Keliki – odparła wesołym głosem. – No jasne, widziałam go, irygacja jest tu wszystkim. Tylko my, ludzie z Zachodu, traktujemy wodę jako coś oczywistego.

– Tak, ale chodzi mi o to, że gdyby Holendrzy nie...

– Och, daj spokój – przerwała mu.

Gdy otworzył drzwi samochodu, Rita wślizgnęła się pod kątem na siedzenie, nawet na niego nie patrząc.

Harper wepchnął kluczyk do stacyjki. Pracowała w szkolnictwie, no i co z tego? A może by tak spróbować wejrzeć w nią nieco głębiej? Co z tą blizną po cesarce na brzuchu? Co się stało z dzieckiem? Wyobrażał sobie chłopca, małego chłopca, który być może umarł w bardzo młodym wieku – w każdym razie musiała kryć się za tym jakaś pospolita, niemniej jednak straszliwa

tragedia, która sprawiła, że Rita uciekła z chłodnej północnej Europy i wylądowała tutaj, w kraju tak gorącym i pełnym kwiatów, że nawet pot pachniał tu słodko, w kraju intensywnej zieleni, monsunowych deszczy i ludzi poruszających się kołyszącym krokiem; w takim kraju, do którego może uciec biała kobieta, ponieważ jest w nim pięknie, ponieważ tak, pewnie: wyjadę i zamieszkać gdzieś, gdzie jest mnóstwo kwiatów plumerii, i tam przekonam sama siebie, że świat nie jest taki zły. To ostatnie zdanie wypowiedział w swojej głowie parodią kobiecego głosu przepojonego optymizmem.

Jechali w milczeniu.

Jechali w milczeniu przez godzinę. Pomiedzy wioskami zabudowa zaczynała się nieco przerzedzać; składały się na nią w większości otwarte budy z siedzącymi na schodach ludźmi, którzy handlowali drewnianymi narzędziami, rzeźbami i koralikami. Pokonali już większość drogi powrotnej do miasta, kiedy Rita w końcu się odezwała, a gdy to zrobiła – nagle, bez żadnego wstępu – stało się jasne, że przez całą tę godzinę kontynuowała w myślach dyskusję z Harperem, tak jak on kontynuował dyskusję z nią. Był to najgorszy, bo toczony w ciszy, rodzaj kłótni.

– Ile osób zabito podczas Holocaustu? – zapytała niespodziewanie. – No ile? Sześć milionów, zgadza się? Wszyscy to wiedzą. Nawet ty.

„Dzięki za to »nawet« – pomyślał. – Wielkie dzięki”.

– Chcesz wiedzieć, ile spośród tych sześciu milionów to dzieci? No dalej, zgadnij. Oczywiście, ogółem zginęło pięćdziesiąt milionów ludzi, ogółem, to znaczy po wszystkich stronach konfliktu. Najliczniejszą kategorię stanowili zapewne rosyjscy żołnierze, ale poprzestańmy na dzieciach, dobrze? Ile spośród tych sześciu milionów zagazowanych i spalonych, którzy, tak się złożyło, byli Żydami, stanowiły dzieci?

Harper przywołał w myślach obraz rodziny stłoczonej razem przez gestapo.

Patrzył na ten obraz niczym na fragment czarno-białej kroniki filmowej: mocno zbudowany ojciec w długim, czarnym płaszczu, matka z pobladłą ze strachu twarzą, sześcioro lub ośmioro dzieci. Niemowlę trzymane w ramionach przez najstarszą córkę, ponieważ matka próbuje pomóc młodszym dzieciom wspiąć się przez opuszczoną klapę na tył ciężarówki. Ojciec z najstarszym synem pakują do środka walizki, po czym odwracają się, by pomóc grupce starszych osób, które cierpliwie czekają na swoją kolej. Obok nich staje młody żołnierz z karabinem. Może jedno dziecko na dwanaście? Czternaście?

– Nie mam pojęcia – odparł Harper, pozwalając, co było błędem, by do jego głosu wkradło się lekkie westchnienie. Sześć milionów podzielić przez czternaście. Czy naprawdę oczekiwała, że przeprowadzi w myślach takie obliczenie? Dlaczego w ogóle wyciągnęła ten temat?

– Zgadnij – nalegała Rita.

– Nie wiem, trzysta, czterysta tysięcy. Pytasz poważnie?

– Milion – odrzekła. – W trakcie wojny toczonej na naszym kontynencie, w środku stulecia, w którym akurat teraz żyjemy, na kontynencie renesansu i masowej industrializacji, wyborów powszechnych i penicyliny, zabiliśmy milion dzieci. Wcale nie z powodu naszych prymitywnych uprzedzeń. Wszystko odbyło się w sposób zupełnie świadomy i na skalę przemysłową. Zrobiliśmy bardzo dobry użytek z całego tego postępu, z którego jesteśmy tak dumni. I to wcale nie tak dawno temu.

Harper pozwolił, by przedłużająca się cisza niejako w jego imieniu zadała pytanie: „I co chcesz przez to udowodnić?”.

W wiosce panował większy ruch, dlatego teraz znacznie zwolnił: przed nimi z lewej strony jechał mężczyzna na rowerze. Po obu stronach siodełka przywiązano sznurkiem dwie drewniane klatki, w których tłoczyły się kurczaki z brudnymi białymi piórami. Mężczyzna w sarongu pedałowal, stojąc na pedałach, a gdy się z nim zrównali, obejrzał się przez ramię i zwolnił, po czym zachwiał się i upadł na bok samochodu. Klatka otarła się o drzwiczki,

wprawiając chude kurczaki w panikę.

– Kurwa! – Harper zahamował gwałtowniej, niż to było konieczne. Rzuciło go na kierownicę i z powrotem na oparcie fotela, na moment pozbawiając go tchu.

Rita miała zapięty pas. Szarpnęło ją kilka centymetrów do przodu, ale pas natychmiast odciągnął ją do tyłu. Siedziała przez chwilę, próbując złapać oddech, aż w końcu pojednawczym tonem powiedziała:

– Milion dzieci, John, nie tak dawno temu, w dodatku z przemysłową wydajnością. Naprawdę uważasz, że Europejczycy mają prawo pouczać jakąkolwiek inną kulturę w kwestii barbarzyństwa?

Harper przemknął prosto przez całe miasto. Rita nie pytała, dokąd jadą. Poza jego granicami przez jakieś dwadzieścia minut szosa była dość dobra, a potem skręcili w dziurawą dróżkę. Nie zdołałby dojechać samochodem aż pod samą chatę – będą musieli pokonać na piechotę prowadzącą pod górę ścieżkę, która łączyła się z tą schodzącą nad brzeg rzeki.

Kiedy zatrzymał samochód, Rita wciąż siedziała nieruchomo, więc żeby przerwać to milczenie, oznajmił:

– Pokażę ci, gdzie mieszkam.

W sumie to chciał ją zapytać, czy ma ochotę zobaczyć chatę, czy woli wrócić do miasta, ale nim zdążył to zrobić, otworzyła drzwi. Samochód stał na stromym zboczu, musiała więc złapać się ramy drzwi, żeby się z niego wygramolić.

Chata majaczyła przed nimi w górze: ciemny kształt na szczycie stromej ścieżki, widoczny pomiędzy drzewami, który zaraz rozmyje się w zapadającym zmierzchu. Rita przystanęła na chwilę, po czym zwróciła się w kierunku doliny. „Ona też to czuje – pomyślał Harper. – Ten śpiewny bezruch, tak bardzo żywy, że właściwie niewidzialny”.

– Z wioskami jest tak samo – odezwała się po chwili. – Krótka jazda i nagle... – Wyczuwała odosobnienie tego miejsca, a jednak jej obecność sprawiła, że dla Harpera dolina przestała być tak bardzo odosobniona. To wszystko, czego potrzeba – jedna nowa osoba – by nagle poczuć, że to dziwne miejsce należy do ciebie.

Spojrzeni na siebie. To była chwila pojednania. Harper wskazał ręką ścieżkę.

Gdy Rita szła przed nim, przyglądał się kołyszącemu ruchowi jej bioder. Pragnął położyć na nich ręce. Nie chciał już żadnych rozmów.

Na werandzie zatrzymał się na moment, rozglądając się za jakimkolwiek śladem Kadeka, ale on rzadko przychodził późnym popołudniem lub wieczorem, chyba że wcześniej to ustalili. Na biurku będzie pewnie czekał na niego skromny posiłek przykryty liściem bananowca.

Ozdobne drzwi były zamknięte na kłódkę, choć nie stanowiłaby ona większej przeszkody dla zdeterminowanego intruza lub intruzów. Harper wyjął srebrny klucz z kieszeni spodni, otworzył kłódkę, położył ją na stoliku na werandzie, po czym pchnął wąskie skrzydła drzwi i zaprosił gestem Ritę do środka.

Oboje milczeli, gdy przechadzała się po chacie. Rzuciła długie spojrzenia na każdy przedmiot oraz mebel, rozglądała się wokół i powoli dostrzegała, jak to wszystko razem składa się na pewien rodzaj ascetycznego, lecz wygodnego wystroju. Harperowi przypomniało się, co przed wieloma laty powiedziała Francisca, gdy po raz pierwszy przyszła do jego kawalerskiego mieszkania w Amsterdamie. „Powinieneś był posprzątać. Nie wiesz, co myśli kobieta, widząc warunki, w jakich mieszka mężczyzna? »Czy właśnie takie życie przyjdzie mi wieść z tym człowiekiem?«” Ciekawe, jak oceni go Rita na podstawie tych kilku przedmiotów.

– Niestety, jest tylko wygodka na zewnątrz i *bak mandi*, choć ja zwykle i tak myję się co rano w miednicy na werandzie, żeby móc podziwiać wschód

słońca. Kadek przynosi mi wodę. W okolicy jest mnóstwo strumieni, które wpadają do rzeki.

Rita popatrzyła na sufit.

– Nie ma wentylatora?

Harper wskazał na stojący w kącie zardzewiały wiatrak.

– Jest tylko to, ale marnie bywa z prądem. W razie potrzeby mam parę lamp naftowych.

– Uwielbiam ich zapach.

„Zostań ze mną – pomyślał Harper. – Zostań tu na noc. Możemy podzielić się kolacją, którą zostawił Kadek. Możemy siedzieć po turecku na łóżku twarzami do siebie, a ja będę cię karmił kulkami ryżu, wkładając ci je prosto do ust”.

– Wiesz, że nie mogę zostać na noc – oznajmiła, obracając się do niego.

Harperowi od razu przeszło przez myśl, że tej nocy może mu złożyć wizytę brygada śmierci. To było niedorzeczne, ta jego fantazja o tym, że Rita rozgląda się po chacie i wyobraża sobie przyszłe życie razem z nim. Ledwo się znali. Ona nie wiedziała nic, ale to nic, o świecie, a zwłaszcza o nim. Milion dzieci. Za kogo się, kurwa, uważała?

– Wcale nie zamierzałem cię o to prosić.

– W porządku, ale nie musisz być niegrzeczny.

I nagle jakby znaleźli się w samym środku prawdziwej małżeńskiej sprzeczki: stali naprzeciw siebie, mówiąc zbyt głośno i zbyt szybko, jak gdyby w jednej chwili osiągnęli fazę, do której docierają w końcu pary z długim stażem, kiedy każda kłótnia dotyczy w zasadzie tego samego, a zwycięzcą zostaje ta strona, która w danym momencie wykaże się największą zaciekleścią.

– Nie wiem, co się dziś z tobą dzieje i skąd w tobie ten cały cynizm – powiedziała Rita – ale większość ludzi żyjących w tym kraju ma szczęście, jeśli codziennie ma co zjeść, więc może powinniśmy...

Bez wyraźnie świadomej chęci zaostrenia konfliktu Harper wyciągnął gwałtownie rękę, chwycił Ritę za ramię i wyrzucił z siebie:

– Jak możesz się bać jakiegoś psa na ulicy? Jakiegoś wygłodniałego kundla, którego wystarczy kopnąć nogą w sandale, żeby czmychnął z podwiniętym ogonem? Albo jakiejś wyliniałej małpy, która zacznie uciekać, jak tylko... jak tylko... podniesiesz na nią rękę? Czy psy i małpy mają noże albo karabiny? Myślisz, że ta twoja Ni Wayan jest tak czarująca albo twój kierowca taki miły, bo zawiózł cię do tej twojej wodnej świątyni? Jak tacy ludzie jak ty mogą być tacy głupi? I to teraz, w takim czasie! Nie wiesz, co się dzieje w Dżakarcie i innych miastach? Ludzie są paleni żywcem w centrach handlowych, bici na śmierć na ulicach. Przecież ty żyjesz w tym kraju. Nie śledzisz wiadomości?

Słowa wylewały się z niego. Przez cały czas ścisnął ją za ramię, aby – jak sądził – zapewnić sobie jej uwagę, lecz nagle się zorientował, że zamiast próbować mu się wyrwać i coś krzyknąć na swoją obronę – choćby „pewnie, że śledzę!” – Rita opuściła bezwładnie ramię i wbiła wzrok w ziemię. Francisca już by na niego wrzeszczała i dźgała go palcem w pierś – mimo łagodnego usposobienia potrafiła być dość napastliwa i kłótliwa. Rita tymczasem zachowywała się zupełnie inaczej. Zobaczył wyraz jej twarzy i się zorientował, że to twarz kobiety, która ma liczne doświadczenia z męską agresją i doskonale wie, jak zastygnąć w bezruchu.

Blizna na jej brzuchu, brak jakiegokolwiek wzmianki o jej przeszłości i dziecku, żywym lub martwym, a także jej reakcja na jego zachowanie – wszystko to łączyło się teraz ze sobą, układając się w obraz osobistej tragedii. Objawiło mu się to nagle: bijący ją mężczyzna, odebrane jej bądź porzucone przez nią dziecko, cena, którą być może przyszło jej zapłacić za wolność i zdrowie psychiczne. Puścił jej ramię, spodziewając się, że odwróci się i zacznie rozcierać rękę, lecz ona w dalszym ciągu stała przed nim w bezruchu, wpatrzona w ziemię, jakby czekała na to, czy nastąpi kolejny wybuch. Dopuścił się już w życiu gorszych rzeczy – był też ich świadkiem i w żaden

sposób nie zareagował – ale nigdy nie czuł się bardziej zawstydzony niż teraz, gdy patrzył na tę dużą, pełną miękkości kobietę, stojącą przed nim w przyczajonej pozie.

Cofnął się o krok, chcąc zasygnalizować, że nie zamierza jej już dotknąć. „Proszę, spójrz na mnie – pomyślał. – Jeśli na mnie popatrzysz, dostrzeżesz to w mojej twarzy. Nie jestem taki. Uważam, że mężczyźni, którzy biją kobiety, to szumowiny zasługujące na największą pogardę”.

Rita jednak nie patrzyła na niego, a on nie śmiał się odezwać, dopóki ona nie podniesie wzroku. Gdy w końcu to zrobiła, nie spojrzała mu prosto w oczy. Utkwiła spojrzenie w kącie chaty za jego plecami, po czym zapytała bardzo cicho:

– John, co ci się stało?

II

**Wreszcie wiadomo, kto
przyjaciół, a kto wróg
(1942–1965)**

Nie pamiętał nic z tego, jak opuszczali Indie Wschodnie i wracali do kraju, który jego matka nazywała ojczyzną, do Holandii. Był rok 1946. Harper miał tylko trzy i pół roku, a jedyne, co znał, to życie w obozie, takim lub innym: dla internowanych kierowanym przez Japończyków na Sulawesi, a potem w trzech obozach dla wysiedleńców pod auspicjami Brytyjczyków i Holendrów na przedmieściach Batawii.

Matka opowiadała mu o tym, o podróży, o pełnych niebezpieczeństwa tygodniach na morzu. Dzielili wąską, pozbawioną okien kajutę z kobietą i jej dwiema córkami – obie dziewczynki spały na rozłożonej na podłodze macie pomiędzy kojami; młodsza cierpiała na koklusz, więc przez całą noc kaszłała i ciężko dyszała. Harper spał razem z matką na koi. Kładła go od ściany, a sama spała od zewnętrznej strony, aby odgrodzić go od kaszlącej dziewczynki. Przed wejściem na pokład ogolono mu głowę, jak wszystkim dzieciom, aby zapobiec szerzeniu się wszy i świerzbu. Nocami ocierał się szczecina na głowie o ramię matki.

– Kłujesz mnie w rękę – szeptała do niego w ciemnościach i obydwójce chichotali, a potem leżeli, nasłuchując zanoszącej się kaszlem dziewczynki. – Przynajmniej nie jesteś chory – dodawała po chwili, głaszcząc go po ogolonej głowie.

Sam nic z tego nie pamiętał, ale później, gdy przeprowadzili się do Los Angeles i wzbogacił się o amerykańskiego ojczyma oraz przyrodniego brata, matka zwykła opowiadać mu o ich życiu w obozie i długiej podróży do Holandii. Lubiła to robić zwłaszcza wtedy, gdy pokłóciła się z ojczymem, ponieważ było to coś, co należało tylko do nich.

– Tygodnie ciągnęły się bez końca – mówiła – byliśmy tylko ty i ja, mój mały, na statku pełnym ludzi, którzy zostawili swoje życie daleko w tyle. Każdej nocy spałeś w moich ramionach, ty i twoja kłująca głowa. – W tym momencie rzucała spojrzenie na swojego nowego męża lub na drzwi, przez które dopiero co wyszedł, jakby chcąc mu powiedzieć: „To wszystko się

wydarzyło, zanim ty się pojawiłeś, więc nie masz do tego wstępu i nie zapominaj o tym”.

W Holandii spędzili zaledwie osiemnaście miesięcy, zanim wyemigrowali do Ameryki – wystarczająco długo, by się dowiedzieć, że matka nie ma prawa ubiegać się o emeryturę wojskową po mężu, choć Japończycy ścięli mu głowę, gdy służył w holenderskiej armii kolonialnej²¹. Ojciec Harpera był pół Holendrem, pół Indonezyjczykiem, czyli Indo, w związku z czym Harper – a raczej Nicolaas, jak go wówczas nazywano – również był Indo. Aby być białym, musiał być całkowicie biały, ale wystarczyła mała domieszka brązu, by zostać uznanym za całkiem brązowego.

– Twój tata był nie dość holenderski, byśmy mogli dostać po nim pieniądze, mój mały – mówiła matka. – Za to był dostatecznie holenderski, żeby przekłęci Japońcy ścięli mu głowę.

Właśnie takie rzeczy wygadywała, kiedy piła. Ci „przekłęci Japońcy” ścięli głowę jego ojcu i umieścili jego matkę w obozie, a skoro on znajdował się wówczas w jej brzuchu, nie miał wyboru i trafił tam razem z nią.

Nie miał też żadnych wspomnień z obozu – a przynajmniej własnych wspomnień. Ale matka dużo o tym opowiadała, gdy była pijana, rozzłoszczona albo i jedno, i drugie, czyli przez znaczną część jego wczesnego dzieciństwa. Opowiadała mu na tyle często wciąż te same historie, że w końcu zaczęły układać się w jego głowie w obrazy – stały się jego wspomnieniami, choć on sam przebywał niejako na zewnątrz tych wydarzeń, jakby obserwował życie matki sprzed swoich narodzin.

– To był rok 1942, mój mały, ale Japońcy kazali nam mówić, że jest 2602, wyobrażasz sobie? Mówili, że słońce wschodzi wtedy, co w Tokio. Bili każdego, kogo przyłapali na mówieniu po holendersku.

W myślach widział sam siebie jako odważnego dzieciaka, który prosi po holendersku o jedzenie, a potężny japoński żołnierz zaczyna go okładać po plecach kijem. Tworzenie własnych wspomnień na podstawie ziaren zasianych

przez matczyne opowieści było znacznie bardziej interesujące niż faktyczne ich posiadanie. Dzięki tym historiom pamiętał, jak to było żyć w obozie dla internowanych, będąc w ciąży, stać w kolejce z menażką i własnoręcznie zrobioną drewnianą łyżką w oczekiwaniu na maleńką porcję tego, co było do jedzenia, czyli szarej tapioki gotowanej w ogromnych kadziach nad ogniskiem.

– Ale i tak urosłeś – ciągnęła matka. – Tak to właśnie działa. Dziecko w brzuchu bierze od matki wszystkie wartości odżywcze, których potrzebuje, a ona przymiera głodem i zaczyna chorować. – Przed oczami stawała mu matka ubrana w obszarpaną sukienkę i chodaki, jej brzuch okrągły jak piłka do koszykówki, ramiona i nogi jak zapalki, zapadłe policzki, wypadające włosy – i on, zwinięty w jej ciele, karmiący się nią, żerujący na jej organach wewnętrznych. – A potem, kiedy miałam tak duży brzuch, jak to tylko możliwe, a ty wciąż zwlekałeś z decyzją, czy jesteś już gotowy, zaczęła się zbliżać pora deszczowa. O rany, to było najgorsze. Myślałam, że umrę. Miałam wrażenie, że zaraz się roztopię jak porcja lodów. Wody odeszły mi tego samego dnia, gdy rozwarło się niebo i zaczęła się pora monsunowa. Woda spływała mi po nogach, mój mały, i jednocześnie woda spływała po ścianach budynków, aż w końcu przez szpary pomiędzy liśćmi palmowymi zaczął przeciekać dach. Droga na zewnątrz szopy zamieniła się w strumień. Nie nazwałabym tego kliniką ani szpitalem, tak, to była szopa z sześcioma piętrowymi łózkami z bambusa. Najciężej chorych kładli na dolnych, żeby łatwiej było zabrać zwłoki, kiedy umrą. To było najbrudniejsze miejsce, jakie można sobie wyobrazić, pełne karaluchów i pijawek, a ja krzyczałam i krzyczałam, próbując cię wypchnąć. Na zewnątrz droga zamieniła się w rzekę, a niedługo potem rzeka płynęła też przez środek szopy, bo nie było w niej żadnej podłogi, tylko klepisko. Myślałam, że umrę, a ty umarłbyś razem ze mną. Woda zmyłaby szopę, porywając nas ze sobą, a po tym wszystkim, przez co przeszłam, pomyślałam, że to wcale nie byłoby takie złe dla nas obojga.

Harper widział siebie jako noworodka leżącego na plecach na powierzchni

brązowej rzeki, machającego rączkami, kołyszącego się i niesionego z jej nurtem.

Ani on, ani matka nie zostali porwani przez powódź. Pozostali w szopie z dachem z palmowych liści, a ona troszczyła się o niego, dopóki nie zachorowała w wyniku zakażenia i omal nie umarła. Od śmierci dzieliły ją podobno minuty – „to zresztą spotkałoby każdą dziewczynę, która urodziłaby w takich warunkach” – i gdy zachowywał się niegrzecznie, lubiła mu przypominać, że o mały włos by ją zabił, przychodząc na ten świat. Sposoby, na które nieomal zabił swoją matkę, wydawały mu się niezwykle zróżnicowane.

Gdy widziało się japońskich żołnierzy, należało się im natychmiast pokłonić. Trzeba było pokłonić się tak nisko, aby nos znajdował się poniżej pasa, i pozostać w tej pozycji przez kilka dobrych sekund. Jeśli próbowałeś zbyt szybko się wyprostować, dostawałeś trzcinką przez plecy.

– Pewnego razu nie pokłoniłam się dostatecznie szybko, ponieważ trzymałam cię ramionach. Kiedy mnie uderzył, ugięły się pode mną kolana, udało mi się jednak wyciągnąć rękę i nie upaść na ciebie. Byłeś takim chudym maleństwem, że złamałbyś się jak gałązka. Wiele dzieci urodzonych w obozie nie przeżyło, dlatego zawsze będziesz moim cudem. – Zawsze z takim samym naciskiem wypowiadała słowa „moim cudem”. Wyglądało na to, że zdołała utrzymać go przy życiu czystą siłą własnej miłości, zupełnie sama. Być może na tym właśnie polegał błąd matek innych dzieci, tych, które umarły. Może po prostu nie kochały ich dostatecznie mocno.

Istniały sprzeczne relacje na temat okoliczności, w jakich zginął jego ojciec. Matka twierdziła, że wyruszył w góry, aby walczyć w szeregach armii holenderskiej, i ścięto mu głowę w trakcie zażartej bitwy, jaką ośmiu męźnych oficerów stoczyło przeciwko setce Japońców. Po powrocie do Holandii

ciotka Lies, starsza siostra matki, która pojawiła się w ich życiu przed i po Los Angeles, powiedziała mu, że jego ojciec próbował uratować przed obozem zarówno siebie, jak i swoją ciężarną żonę, chowając mundur pod deskami podłogowymi, ale został schwytany po godzinie policyjnej bez opaski ze wschodzącym słońcem na ramieniu. Stracono go od razu na rogu ulicy, przy której mieszkali. Ciocia Lies rozkazała mu, by nigdy nie poruszał tego tematu w rozmowie z matką – co wydawało mu się trochę niesprawiedliwe, ponieważ ona sama dość często wspominała o tym, kiedy piła – ale podporządkował się temu poleceniu, rozumiejąc, że nie może wypytywać o różnice w relacjach, skoro opowieść o dekapitacji jest jednym z tematów łączących go z matką.

Podczas wojny utracili cały dobytek, nie mieli żadnych fotografii ani rodzinnych dokumentów. Później zaczął rozmyślać nad tym, czy rodzice rzeczywiście byli małżeństwem, a nawet nad tym, czy w ogóle miał ojca. Jedynym dowodem na jego istnienie były opowieści o jego śmierci, która w obu wykluczających się wersjach miała podejrzanie mityczny charakter.

W niektóre noce w sypialni w Los Angeles, którą dzielił z małym przyrodnim bratem, śnił o głowie ojca. W snach, gdy otwierał bieliźniarkę na korytarzu, spoczywała po prostu na stercie ręczników, a raz na jednej z sukienek matki rozłożonej wzdłuż całej długości półki niczym koc piknikowy. To nie były przerażające sny: głowa zawsze się przyjaźnie uśmiechała i mówiła do niego. Po przebudzeniu stopniowo odzyskiwał świadomość wraz z tym ciepłym, miłym uczuciem, które towarzyszy łagodnemu rozmarzeniu, i dopiero po chwili ogarniał go żal, gdy uzmysławiał sobie, że to był tylko sen.

Później, kiedy Harper został odesłany do Holandii po tym, co zaszło,

używał opowieści o ścięciu ojca, żeby zaimponować innym dzieciom na placu zabaw, gdy na przykład czepiali się go biali chłopcy. Zwlekał z opowiadaniem dla osiągnięcia większego efektu, aż w końcu wygłaszał swoją formułkę i pytał pozostałych, co przydarzyło się ich ojcom podczas wojny. Oczywiście wszyscy mieli własne opowieści, które często dotyczyły zabitych lub zaginionych ojców, przymierających głodem lub zbombardowanych matek, starszego rodzeństwa, które zginęło, zanim opowiadający zdążył je poznać, ale historie innych dzieciaków, jakkolwiek tragiczne, rzadko mogły się równać z opowieścią o dekapitacji.

Niekiedy Harper wybierał wersję z heroiczną walką w górach. Czasami twierdził, że widział śmierć ojca na własne oczy, a w tym przypadku o wiele lepiej sprawdzała się wersja z egzekucją na rogu ulicy. Jego relacje obrastały z czasem w taką liczbę szczegółów, że sam zaczynał wierzyć, iż rzeczywiście brał udział w tych wydarzeniach. W tej ostatniej wersji jego ojciec zawsze miał czas, by przekazać kilka ostatnich słów ukochanemu synowi, zanim miecz opadł na jego kark. W tej historii wszystko odbywało się szybko i bezboleśnie.

Szminka w kolorze brzoskwiniowym: w ten sposób dowiedział się o przyszłym ojczymie. Siedzieli z matką w jej sypialni w maleńkim mieszkanku na najwyższym piętrze budynku stojącego za pralnią samoobsługową – nie potrafił sobie przypomnieć nazwy ulicy, pamiętał tylko tyle, że na rogu stała budka z hot dogami o nazwie Szczenięca Sierść. Chodzili tam, kiedy matka udawała, że chce mu zafundować ucztę, ale w rzeczywistości nie mieli pieniędzy na normalny obiad. Hot dogi przypominały różowe gąbki o skórce tak cienkiej, że gdy ścisnęło się bułkę, tłuszcz wypływał ze środka jak woda.

Zasadniczo pokój, w którym siedzieli, był ich wspólną sypialnią, ponieważ Harper spał na łóżku polowym ustawionym w nogach matczynego łóżka: było

tak zapadnięte, że ułożony w kształt półksiężyca wisiał w nim kilka centymetrów nad podłogą. Matka siedziała teraz przy toalecie obok okna. Miała na sobie sukienkę w kwiaty z białym kołnierzykiem i za pomocą gęstego grzebienia oraz sporadycznych syknięć lakieru do włosów starannie układała fale wokół twarzy. Gdy skończyła, delikatnie poklepała loki, sprawdzając ich wytrzymałość, otworzyła małą szufladę w toalecie i zaczęła szperać w leżących tam szminkach. Dokonawszy wyboru, pochyliła się w kierunku lustra z ramą w półokrągłe ząbki i powoli wysunęła szminkę ze złotej tubki. Harper się temu przyglądał. Liczył sześć lat i rytuały matki wciąż miały moc.

– Hej, mamó, czy twoja szminka nazywa się „pomarańczowa”? – Od przyjazdu do Kalifornii rozmawiali ze sobą po angielsku. Matka na to nalegała. Zaczęła go uczyć codziennie, nawet kiedy byli jeszcze w obozie dla uchodźców w mieście, które kiedyś było Batawią, ale teraz nazywało się zupełnie inaczej. Angielski jest najważniejszym językiem na świecie, powtarzała mu i dodawała, że może zapomnieć malajski i jawajski, bo już mu się nie przydadzą. Jego angielski nie był teraz taki zły, choć wciąż zdarzało mu się przechodzić od czasu do czasu na holenderski. Po spędzeniu pierwszych lat dzieciństwa w obozach, mówienie przychodziło mu z pewnym trudem. Ciotka Lies, gdy po raz pierwszy go spotkała, zapytała:

– Anika, czy on w ogóle cokolwiek mówi, czy, no wiesz... jest opóźniony?

Dziwne, ale błyskawicznie nadrobił zaległości językowe, gdy z jego najbliższego otoczenia zniknęli strażnicy z bambusowymi kijami.

– Nie nazywaj mnie „mamą”, jak jakieś jankeskie dziecko, gdy jesteśmy sami. Rób tak tylko przy Amerykanach. Normalnie nazywaj mnie *moeder*. Pamiętaj, że wszystko zależy od osób, w których obecności przebywasz. Do kogo się zwracasz i co chcesz, żeby o tobie myśleli. – Znieruchomiała ze szminką przy ustach. – A jak, twoim zdaniem, radzę sobie z akcentem? – Uśmiechnęła się do lustra. – Byłam bardzo młoda, gdy cię urodziłam, mój mały. Byłam jeszcze niemal dziewczynką. – Skinęła z zadowoleniem głową na

widok swego odbicia. – Nie ma nic ważniejszego niż dopasowanie się, a to, co myślisz we własnej głowie, to wyłącznie twoja prywatna sprawa.

Jej odbicie w lustrze uśmiechnęło się do Harpera, a on odwzajemnił uśmiech. Obserwował, jak matka nachyla się, nakłada szminkę łagodnymi, kolistymi ruchami, pociera o siebie wargi, uśmiecha się do siebie jak do osoby, którą dopiero poznała, marszczy brwi i odwraca się do niego.

– Ta szminka to „brzoskwiniowe marzenie” – powiedziała. – Czy wyglądam jak marzenie?

– *Klaar* – odparł.

– Jak najbardziej – poprawiła go. – Ale to nieco zbyt formalne. „Oczywiście” byłoby lepsze. Powtórz za mną.

– Oczywiście.

– To jedno słowo, ty matolku!

– Oczywiście, że tak!

Roześmiała się uprzejmie.

– Bardzo dobrze, Nicolaas. A teraz muszę ci coś powiedzieć o moim nowym kawalerze. Nie chcę, żebyś był zszokowany.

Tego wieczoru, latem 1949 roku, po raz pierwszy miał spotkać Michaela, człowieka, który miał zostać jego ojczymem.

– Jest czarny. – Anika odwróciła się z powrotem do lustra i poprawiła szerokie ramiączka sukienki.

– Czarny?

– No wiesz, kolorowy, Murzyn, *neger*, jak mówili u nas w domu. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Przed przyjazdem do Ameryki Harper był przekonany, że sam jest czarny. W Holandii bardzo jasno dawano mu to do zrozumienia na każdym kroku: na ulicach, w sklepach, na szkolnym podwórku. *Neger* należał do jednych z grzeczniejszych określeń, jakimi go nazywano.

– Kolorowi przeżywają tu okropny czas – powiedziała Anika. – Te

uprzedzenia są po prostu straszne. Wiesz, jak to wygląda na Południu, prawda? Ojciec Michaela jest adwokatem, wyciąga ludzi z więzień. Adwokatem, wyobraź sobie... Masz pojęcie, jakie to niezwykle? Choć nie mogę powiedzieć, by Michael wykazywał jakieś oznaki tego, że pójdzie w jego ślady. – Zastygła na moment w bezruchu, ale po chwili znów się rozpogodziła. – Michael był w armii, wiesz, był żołnierzem. Walczył za naszą wolność, wprowadził we Francji, nie w naszej Ojczyźnie, ale to prawie to samo. Wielu jego przyjaciół zginęło. Był taki dzielny. W każdym razie mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę.

Harper nauczył się przez te wszystkie lata, że niespodzianki robione przez jego matkę nie zawsze należą do przyjemnych. Pamiętał, jak mówiła, zanim wyjechali z Ojczyzny: „Mam dla ciebie niespodziankę, mój mały, zamieszkamy w Ameryce, a ty będziesz miał wielu nowych przyjaciół”. Przebywali w Ameryce od ośmiu miesięcy. W tym czasie przeprowadzali się już cztery razy, a każde z ciasnych mieszkań było gorsze od poprzedniego. Matka czasami trochę pracowała, czasami dorabiała, pisząc na maszynie. Miała małą, ale bardzo ciężką maszynę, którą Harper musiał taszczyć z jednego pensjonatu do drugiego. Chodził do dwóch różnych szkół z długą przerwą w nauce pomiędzy nimi i jak na razie nie zdobył żadnych nowych przyjaciół.

– Maria dzisiaj nie przychodzi.

Harper poczuł uścisk strachu.

– Więc kto mnie przypilnuje? – „Proszę, niech to tylko nie będzie ten staruch z zarośniętą twarzą z drugiej strony korytarza”. Śmierdział piwem i gapił się na niego z wilgotnymi ustami za każdym razem, gdy go mijał na klatce schodowej. Maria była pulchną nastolatką z dołu, która częstowała go miętowymi drażetkami w czekoladzie, pod warunkiem że nie powie matce, iż pod jej nieobecność wychylała się przez okno i paliła papierosy. Harper na wypadek, gdyby miał stracić dostęp do drażetek, zapomniał jej wspomnieć, że

matce wcale nie przeszkadza palenie przy otwartym oknie. Zastanawiał się, ile jeszcze razy Maria będzie musiała z nim zostać, zanim będzie mógł napomknąć o cukierkach z lukrecji.

– Nie zostawiam cię dzisiaj, idziesz ze mną. Poznasz Michaela. Dlatego właśnie cię ostrzegłam, że jest kolorowy, i wyprasowałam ci rano koszulę. – Wskazała na czystą koszulę wiszącą na drzwiach szafy. – Pojedziemy autobusem, a potem tramwajem. Wybierzemy się do domu Michaela, poznamy jego ojca, adwokata, oraz jego... no cóż, kimkolwiek ta kobieta jest, a potem oni się tobą zajmą, a w tym czasie my z Michałem wyjdziemy. Co ty na to?

Była sobota i Harper pomyślał o tym, że cały dzień spędzili we dwoje – przyglądał się, jak na rozłożonym na podłodze ręczniku prasowała mu rano koszulę, i zapytał ją, co robi. Już wtedy wiedziała, gdzie się wybierają wieczorem, ale zatrzymała tę informację dla siebie, aby móc mu później zrobić „niespodziankę”. Dlaczego dorośli tak się zachowują? Czy w ten sposób chcą udowodnić, że to oni tu rządzą? Harper próbował powtórzyć w głowie cały plan wieczoru, jaki przedstawiła mu matka, ale była to zbyt duża dawka informacji jak na jeden raz. Wychodził razem z nią – to dobrze, ponieważ nie cierpiał, gdy wychodziła bez niego. Mieli jechać tramwajem, więc zapowiadała się niezła zabawa. Będzie jednak musiał założyć nową koszulę – to źle. Była na niego za duża, od razu było to widać. Miał poznać kolorowego mężczyznę i jego rodziców. Czy ci rodzice będą surowi czy mili? Czy dadzą mu jakąś kolację, a jeśli tak, to jaką? Czy mają psa? Harper marzył o tym, by pobawić się z psem. Matka zostawi go tam, w obcym domu, a to wcale mu się nie podobało. No i jak długo ma tam zostać?

Złapali autobus, potem pojechali czerwonym wagonikiem tramwajowym, a później przez ponad pół godziny czekali na kolejnym przystanku, aż wreszcie Anika podeszła do mężczyzny w filcowym kapeluszu, który zaprowadził ich na

jeszcze inny przystanek za rogiem i spojrzawszy na kawałek papieru, który mu pokazała, zapytał z zatroskaną miną:

– Na pewno ma pani właściwy adres, młoda damo?

Anika przetarła czoło haftowaną chusteczką, po czym schowała ją z powrotem pod rękawiczkę i z uśmiechem odrzekła:

– Ależ oczywiście, proszę pana, jestem tego całkowicie pewna, ale ogromnie dziękuję za pańską pomoc.

Harper zaczął się od razu zastanawiać, czy to znaczyło, że wybierają się do podobnej dzielnicy podupadłych czynszówek, w jakiej sami mieszkali, ale gdy w końcu wysiedli z ostatniego autobusu, okazało się, że znaleźli się w środku sieci ulic z pomalowanymi na pastelowe kolory domami jednorodzinnymi, które co prawda były nieco odrapane, ale jednak dość okazałe, ze schodami wiodącymi na ganki i werandy.

Na gankach siedzieli czarnoskórzy; starsze kobiety rozmawiały, robiły na drutach lub łuskały groch. Dziewczynki przed domami skakały przez skakanki. Nikt nie zwracał uwagi na Harpera i jego matkę, gdy szli pod górę, z wyjątkiem jednej starszej kobiety, która przyjrzała im się, kiedy ją mijali, choć jej palce ani na chwilę nie przestały śmigać przy robótce na drutach, jakby pracowały same, zupełnie bez jej udziału.

Harper i Anika, trzymając się za ręce, doszli w końcu stromym podejściem do domu z numerem 2246, który był nieco oddalony od ulicy i ukryty za olbrzymim kaktusem. Jakieś pnącze wiło się wokół słupa ganku. Drzwi były świeżo pomalowane na lśniący kremowy kolor.

– No proszę... – mruknęła matka z aprobatą.

Michael siedział na najwyższym stopniu, ale powoli podniósł się na ich widok. Był niesamowicie wysoki, miał smukłe ramiona i krótko obcięte włosy. Był ubrany w luźne spodnie z nienagannie zaprasowanymi kantami i zapiętą pod szyję koszulę z kołnierzykiem z długimi wyłogami. Starannie złożona marynarka wisiała na poręczu ganku.

Harper z matką zatrzymali się u podnóża schodów i spojrzeli na stojącego nad nimi wysokiego mężczyznę. Matka podniosła rękę, by osłonić oczy przed słońcem – w zeszłym tygodniu zgubiła okulary przeciwsłoneczne i gorzko płakała, że nie może sobie pozwolić na nową parę, nie z dzieckiem, które musi wykarmić.

Michael popatrzył w dół na matkę Harpera i się uśmiechnął, a był to najpowolniejszy uśmiech, jaki Harper kiedykolwiek widział; zaczynał się od uniesienia kącików ust, jak to się zwykle dzieje, kiedy ludzie się uśmiechają, a potem nagle cała jego twarz się rozpromieniła, oczy mu rozbłysły i wyglądał jak najmiłszy człowiek na świecie – może mniej przystojny niż wtedy, gdy jego twarz była nieruchoma, ale na pewno o wiele miłszy. Harper zerknął na matkę, która wpatrywała się w Michaela, i również się uśmiechała. W ich pełnych zachwyty spojrzaniach dostrzegł przyszłość, w której, o tak, mieszkali w Kalifornii, byli Amerykanami, mieli dom i psa.

– Hej, Śmietanko... – powiedział Michael i przeniósł wzrok na Harpera. – A więc to jest ten młody człowiek, o którym tyle słyszałem?

– Nicolaas – szepnęła matka.

– Miło mi pana poznać – odezwał się Harper, wyciągając rękę tak wysoko i z takim zdecydowaniem, jakby sięgał po ciastka leżące na najwyższej półce.

W domu, w wąskim korytarzu z kolejnym kaktusem w doniczce, poznali rodziców Michaela. Ojciec okazał się starszą wersją syna, tyle że był bardziej korpulentny, nieco przygarbiony i nosił okulary w stalowych oprawkach. Była tam też kobieta o imieniu Nina, w prostej, beżowej sukience, z włosami upiętymi w kok. Jej status w domu nie był jasno określony – Harperowi kazano po prostu zwracać się do niej po imieniu.

Ojciec Michaela nie obdarzał innych powolnymi uśmiechami jak jego syn. Przyglądał się Harperowi z wysokości srogim i nieruchomym spojrzeniem.

Po dokonaniu prezentacji Anika uklękła przed synem, przyglądała mu włosy i rzekła:

– A teraz, Nicolaasie, musisz być bardzo, bardzo grzeczny. Najgrzeczniejszy, jak to tylko możliwe, rozumiesz?

Michael naciągnął marynarkę na ramiona i odwrócił się do lustra, by poprawić rękawy i sprawdzić mankiety.

– Już wychodzicie? – spytał cicho Harper.

Matka roześmiała się sztucznie.

– Michael zabiera mnie na kolację do miejsca, w którym grają muzykę. To rodzaj klubu. A tobą bardzo dobrze się tu zaopiekują. – Nie wspomniała o żadnej kolacji i nie było tu ani śladu psa. Co to za dom, jeszcze tak duży, w którym nie ma psa?

Kobieta o imieniu Nina wzięła go za rękę i wspólnie z ojcem Michaela patrzyli, jak jego matka i Michael schodzą z ganku. Kiedy szli w dół wzniesienia, czarna kobieta idąca za rękę z małą dziewczynką po drugiej stronie ulicy spojrzała na Anikę i Michaela z zaciętą miną, na co Anika uniosła głowę, wyprostowała ramiona i wsunęła rękę w zgięcie łokcia Michaela.

Gdy Harper z dwójką swych opiekunów weszli z powrotem do domu, ojciec Michaela zwrócił się do niego poważnym tonem:

– A teraz, młody człowieku, do kuchni. Jest coś, o czym musimy we dwóch porozmawiać.

Nina puściła dłoń Harpera i poszła do salonu, a on wraz z ojcem Michaela pomaszerował do niewielkiej kuchni z oknami wychodzącymi na ciasne podwórko z tyłu domu. Na końcu podwórka stał duży, biały pies, z obrozą i długą smyczą przywiązaną do palika.

Nina zniknęła. Harper rozejrzał się wokół. Ojciec Michaela kazał mu usiąść przy kuchennym stole, podczas gdy sam stanął nad nim z rękami założonymi wysoko na klatce piersiowej.

– A teraz, młody człowieku – powtórzył.

– Tak, proszę pana – odparł Harper.

Ojciec Michaela uniósł palec.

– Przez resztę wieczoru albo tak długo, jak ty i ja będziemy się znać, będziesz się do mnie zwracał „Papo”, rozumiano?

– Tak, proszę pana.

– Dobrze. Ale jest coś, co musisz mi od razu wyjaśnić, zanim będziemy mogli zostać przyjaciółmi. Masz na imię Nicolaas.

– Tak, proszę pana.

– Papo.

– Tak, Papo.

– Dobrze, a czy mogło się tak zdarzyć, że kiedy ci je nadawano, dopisano ci dodatkowe „a”?

Harper zacisnął wargi w taki sam sposób, jak wtedy gdy wydawał z siebie dźwięk „mmm”, i spojrzał na sufit. W końcu odparł:

– Tak sądzę, proszę pana.

– Tak sądzisz?

– Tak, proszę pana, tak właśnie musiało się stać.

Ojciec Michaela bardzo powoli pokręcił głową na boki.

– Tak myślałem. Cóż, młody człowieku, w tym domu są tylko dwie zasady. Pierwsza jest taka, że zawsze masz się do mnie zwracać „Papo”, więc daruj sobie to „proszę pana”, a druga jest taka – odwrócił się i otworzył drzwi lodówki – że gdy Nina nie widzi, każdy z dodatkowym „a” w imieniu może sobie wybrać, jaki syrop dodamy do koktajlu mlecznego. Zrozumiano?

– Tak, proszę pana.

– Jakież pytania?

Harper się zawahał.

– Nie wstydź się, młody człowieku, oto zasada numer trzy. Właśnie ją wymyśliłem, bo widzę, że jest bardzo potrzebna. Uwierz mi, nie byłbym tu, gdzie jestem, gdybym nie miał odwagi się odzywać, ale to długa historia

i może poczekać, aż napijemy się koktajlu.

– A czy później, po koktajlu i po tej historii, będę mógł pobawić się z psem?

Po tym, jak już się zaprzyjaźnili z psem, przyszła pora na kolację, która składała się z jakiegoś rodzaju mięsnej potrawy. Postawiono ją na stole obok misek z warzywami. Harper złożył grzecznie dłonie na podołku, czekając, aż zostanie obsłużony, ale jego gospodarze wsparli łokcie o blat stołu, spleli palce i pochyłili głowy.

– Dobry Boże – zaczął Papa – dziękujemy za te hojne dary, za rodzinę oraz pożywienie i proszę, Boże, pobłogosław swego sługę, Wesleya A. Browna, i obdarz go pomyślnymi wiatrami podczas podróży po wodach Twoich mórz. I oczywiście dziękujemy Ci za nowego gościa, który nawiedził nasz dom. Amen.

– Amen – powtórzyła Nina, podniosła głowę i sięgnęła po dużą łyżkę.

Harper siedział nieruchomo przez ponad minutę, aż wreszcie na niego skinęła.

– No dalej, młodzieńcze, nie wstydz się, podaj mi talerz.

W potrawce były kawałki mięsa w ciemnobrązowym sosie o mocnym zapachu, od którego z początku aż Harperowi skręcił się żołądek. Ale gdy włożył do ust pierwszy kawałek mięsa, okazało się, że wcale nie jest tak żylasty, jak to, które od czasu do czasu jedli w Holandii, ale rozpada się w ustach na delikatne, wilgotne cząstki. Harper się zastanawiał, czy intensywny zapach oraz smak tego, co właśnie je, jest tym, na co w Ameryce mówiło się „specjał”. Przez cały posiłek Papa wypytywał go o życie w Holandii i o to, jak się czuje w Ameryce, aż w końcu Nina delikatnie wtrąciła:

– Michaelu Seniorze...

– Przepraszam cię, Nicolaasie, to nawyk adwokata. Ciągłe wypytywanie ludzi o ich życie trochę denerwuje Ninę.

– Czasami bierzesz na siebie za dużo – powiedziała Nina, patrząc w swój talerz i kręcąc lekko głową. – W zasadzie zawsze.

– Noszę takie samo imię jak mój syn, to tutaj dość powszechne – odrzekł Papa. – Trzymaj się Papy, a wszystko będzie łatwiejsze.

– Michael Junior jest z pewnością twoim nieodrodnym synem – przyznała Nina, nakładając drugą porcję na talerz Harpera, czym zaoszczędziła mu zakłopotania związanego z proszeniem o dokładkę. – Oczywiście, pod pewnymi względami. – Zanurzyła łyżkę w misce z jakimś rozgniecionym pomarańczowym warzywem i spojrzała na niego, a Harper poczuł się na tyle ośmielony, by potrząsnąć przecząco głową.

– Do pani też jest podobny? – spytał uprzejmie, gratulując sobie w myślach dojrzałości tego pytania.

Nina zerknęła na Papę, który zaraz wyjaśnił:

– Nie jesteśmy zwykłą rodziną, Nicolaasie. Matka Michaela Juniora zmarła, gdy był mniej więcej w twoim wieku. Nina pojawiła się w naszym życiu rok później i okazała się najlepszą żoną i matką, jaką sobie mogliśmy wymarzyć.

– Choć w sensie prawnym nie jestem ani jednym, ani drugim – dodała Nina ze zrezygnowanym, choć wcale nie nieszczęśliwym uśmiechem. – Cóż, w każdym razie jeszcze nie.

– Ale już niedługo... – rzekł stanowczo Papa i spojrzał na nią rozpromieniony znad okularów, po czym zwrócił się do Harpera: – Matka Niny pochodzi z Salwadoru. Jest katoliczką – dodał, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Gdy dorastałam, nie byliśmy do końca pewni, jak te sprawy wyglądały od strony mojego ojca – powiedziała Nina z półuśmiechem, jakby sugerując, że to była rzecz, o której otwarcie dyskutowano, a wręcz wydawała się zabawna.

Harper patrzył zdumiony to na jedno, to na drugie. A więc tak wygląda

dom – dom, w którym ludzie żartują o tym, że nie mieli ojców, w którym nie uważa się go za dziwaka, ponieważ jest zbyt brązowy albo nie dość brązowy i urodził się w obozie dla internowanych w kraju po drugiej stronie świata, tak odległym, że na dowód jego istnienia ma jedynie słowa matki.

– Mojemu ojcu głowę odrabiali przekłęci Japońcy – oznajmił radośnie, chcąc zaimponować gospodarzom i dać im do zrozumienia, że żaden niekonwencjonalny układ rodzinny nie zdoła go zaszokować.

Papa i Nina równocześnie się wzdrygnęli, jakby przeszedł pomiędzy nimi drobny ładunek elektryczny. Nina zerknęła na Papę spod uniesionych brwi, a on odkaslnął w serwetkę i powiedział:

– Tak, słyszeliśmy tę historię, Nicolaasie, Michael Junior opowiadał nam trochę o tobie i twojej matce, i o tym, co wycierpieliście na Pacyfiku. – Zakaszłał znowu. – Ale muszę cię przestrzec, że nie pozwalamy na przekleństwa przy stole.

Po kolacji pomogli Ninie posprzątać ze stołu. Potem ona zajęła się zmywaniem, a Harper wraz z Papą poszli do salonu, gdzie Papa pokazał mu oprawione i powieszona na ścianie dyplomy ze swoim nazwiskiem. Harper powoli zaczął się zastanawiać, kiedy wróci jego matka. Papa z Niną zastanawiali się chyba nad tym samym, ponieważ dwukrotnie w trakcie ich rozmowy Papa wyszedł do kuchni i zamknął za sobą drzwi, zza których dobiegał go po chwili szmer przyciszonych głosów. Zrobiło się już ciemno.

W końcu Nina wyszła, klasnęła w dłonie i wesołym tonem oznajmiła, że Harper zostanie u nich na noc. Czuł się już zbyt zmęczony, aby prowadzić uprzejmą, dorosłą rozmowę w celu wydobycia większej liczby szczegółów na temat gospodarzy, więc pozwolił zaprowadzić się na górę, do małego pokoju z pojedynczym łóżkiem, stołem, ogromną maszyną do szycia oraz koszem pełnym złożonych tkanin przypominających zasłony na okna. Nina przyniosła

mu szklankę mleka i T-shirt należący do Michaela Juniora, żeby miał w czym spać, oraz pokazała mu, gdzie znajduje się łazienka. Kiedy wyszła, zostawiła uchylone drzwi i zapalone światło na schodach.

– Pamiętaj, jesteśmy z Papą na dole. Zawołaj, gdybyś czegoś potrzebował.

Był tak zmęczony, że szybko zasnął. Później, gdy się obudził, światło na klatce schodowej wciąż się paliło, a z dołu dobiegały podniesione głosy. Zsunął nogi z łóżka i podszedł cicho do drzwi sypialni. Nic nie widział, ale słyszał kilka głosów w korytarzu i czuł chłodne, nocne powietrze. Jeden z głosów przypominał głos matki, ale brzmiał dziwnie i piskliwie. Czy powinien do niej pójść? Papa zaczął nagle mówić do Michaela i obaj mężczyźni wdali się w krótką, gniewną wymianę zdań.

– Myślisz, że to w porządku? – usłyszał. – To! – Następnie drzwi trzasnęły i zapadła cisza. Harper wrócił cicho do łóżka, naciągnął kołdrę i leżał, nasłuchując przez chwilę, ale nie dotarły do niego już żadne odgłosy.

Gdy się obudził następnym razem, panowała zupełna ciemność. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje, zdezorientowany tym, jak wygodne jest małe łóżko, w którym leży, zwłaszcza w porównaniu z łóżkiem polowym stojącym w nogach matczynego posłania. Gdzieś dzwonił telefon. Na klatce schodowej pod jego pokojem rozległo się szuranie. Harper znów zapadł w sen.

Rankiem obudziły go jasne światło przeświecające przez cienkie zielone zasłony i śpiew ptaków. W domu panowała cisza.

Nina była w kuchni. Na stole znajdowało się nakrycie dla jednej osoby. Na zewnątrz pies, który – jak się okazało – wabił się Jimmy, biegał po całym ogródku. Słońce było już wysoko i mocno świeciło.

Nina uśmiechnęła się i wskazała na stół.

– Ja zjadłam śniadanie już chwilę temu, ale Papa śpi do późna, więc do kościoła pójdziemy wieczorem. Musiał w nocy pracować. Zdarza się.

Harper czekał przy stole, zakładając, że nakrycie zostało przygotowane na późne śniadanie Papy, aż w końcu Nina wskazała ręką, że ma usiąść. Gdy nalała mu mleka, powiedziała:

– Pewnie się zastanawiasz, gdzie się podziewają młodzi? – Harper skinął głową. Uśmiechnęła się uspokajająco, ale odniósł wrażenie, że wcale nie jest pewna swej odpowiedzi. – Dobrze się bawili wczoraj wieczorem. Przyjdą później.

Kończył właśnie jeść śniadanie składające się z jajek i bułki, gdy po schodach zszedł Papa. Wpadł do kuchni już całkiem ubrany, chwycił z koszyka na stole bułkę, rzucił: „Dzień dobry, Nicolaasie” i ruszył do wyjścia.

– Napij się chociaż kawy! – zawołała za nim Nina, gdy wybiegł, nawet się z nimi nie żegnając. – Idzie, gdy go wzywają – dodała, kręcąc głową. – Zawsze ktoś gdzieś wpada w kłopoty.

Harper już nigdy nie wrócił do pensjonatu. Tej niedzieli jego matka i Michael przyszli z małą walizką zapinaną na zatrzaski, w której znajdowały się jego ubrania, dwie książki, które musiał im natychmiast zwrócić, ponieważ były z biblioteki, oraz mała piłka, prezent od Michaela. Powiedziano mu, że na parę dni zostanie z Niną i Papą, podczas gdy jego matka i Michael „ustalą ze sobą kilka spraw”. Parę dni zamieniło się w dwa tygodnie, później zaś obwieszczono mu z pompą, że Anika i Michael zamierzają się pobrać. Wszyscy zamieszkają wspólnie w jednym wielkim domu razem z psem Jimmym. Pokój z maszyną do szycia miał się stać oficjalną sypialnią Harpera, który mógł sam wybrać kolor, na jaki zostaną pomalowane ściany, pod warunkiem że będzie to niebieski lub biały. Po raz pierwszy w życiu miał własny pokój.

W domu odbyło się skromne, pięcioosobowe przyjęcie zaręczynowe: wszyscy stali z lekkim zakłopotaniem w salonie, gdy Papa wyłonił się z kuchni z butelką czegoś, co nazwał „starszym winem domowej roboty”, i rozlał je do kieliszków, które Nina wyjęła z kredensu. Był to jedyny raz, kiedy Harper widział, żeby Nina i Papa pili alkohol, i nawet wówczas wyczuwał, że to była podniosła okazja.

Papa uniósł kieliszek i oznajmił:

– Wzniesmy toast, żeby przywitać Anikę i Nicolaasa w naszej rodzinie... – przerwał na moment. – A także, by uczcić fakt, że od nieco ponad roku jest to prawnie dopuszczalne, Boże błogosław mądrość Sądu Najwyższego Stanu Kalifornia! – Odwrócił się do Nicolaasa, spojrzał na niego z góry i powiedział znacząco: – Sprawa Perez kontra Sharp. – Michael jęknął głośno i wziął Anikę za rękę; Nina spojrzała na nich ze zmarszczoną miną, a Papa uniósł palec i kontynuował: – I odtąd ten stan, pierwszy po Ohio, nie będzie już dłużej naruszał czternastej poprawki. Amen!

– Amen! – powiedziała Nina o wiele głośniej, niż to robiła przed posiłkami, i nawet Michael z Aniką wymruczeli to słowo pod nosem. Harper też powtórzył je cieniem głosem, unosząc szklanekę soku pomarańczowego i przyłączając się do wiwatów. Nie do końca rozumiał, dlaczego powinni wznieść toast za Sąd Najwyższy Stanu Kalifornia, lecz czuł, że ta niezwykła kolekcja ludzi, jego nowa rodzina, jest w jakimś sensie heroiczna już przez sam fakt swojego istnienia, a funkcję symbolicznego patrona tego heroizmu pełnił Papa, który opuścił teraz kieliszek, sprawiając wrażenie zarówno uszczęśliwionego, jak i wyczerpanego. Nina stała po jego drugiej stronie i Harper usłyszał, jak Papa mówi do niej ściszym głosem:

– Jesteś następną, maleńka. Teraz masz poważne kłopoty.

– Jakbym o tym nie wiedziała – odrzekła Nina i cała grupka roześmiała się cicho.

– Wy też się pobierzecie? – spytał Harper, patrząc na Papę.

Papa położył swą dużą dłoń na jego głowie i powiedział:

– Tak, synu, pobierzemy się, ale nie tak od razu. Długo na to czekaliśmy, ale teraz jest kolej twojej matki i Michaela. Nina i ja poczekamy z tym kilka miesięcy.

Harper zamilkł na dłuższą chwilę. Spośród ich pięcioosobowej grupki tylko on nie miał pary. Papa pochylił się i położył mu rękę na ramieniu. Była to pierwsza z wielu sytuacji, kiedy dokładnie wiedział, co należy powiedzieć.

– Domyślam się, że możesz czuć się trochę tak, jakbyś został sam jak palec, ale musisz po prostu trochę poczekać. Nikt nie zostaje bez pary na długo. – Harper popatrzył na niego i gdy Papa się wyprostował, puścił do niego oko.

Kilka miesięcy później urodził się brat Harpera. Nazwano go – po gorącej dyskusji – Joseph, choć wszyscy od początku mówili na niego Bud.

To Papa i Nina przywieźli Buda do domu. Anika spędziła po porodzie trzy tygodnie w szpitalu z powodu powikłań, jak mu wyjaśniła Nina. Michael często u niej bywał. Harperowi nie wolno było odwiedzać jej w szpitalu, ale powiedziano mu, że wkrótce wypuszczą ją do domu. Nie ma się czym martwić. Czasami kobiety po urodzeniu dziecka robią się smutne, to normalne.

Papa położył gondolę wózka z Budem na stole w kuchni i Harper podszedł, by mu się przyjrzeć. Miał nadzieję, że jego braciszek spojrzy na niego, uśmiechnie się i chwyci go za palec, jak powinny robić niemowlęta, ale Bud leżał ciasno opatulony i wystawała mu tylko mała główka, która ruszała się delikatnie z boku na bok, gdy zaczął się wybudzać ze snu. Harpera, gdy patrzył na tę zakutaną w kocyk istotę, nagle ogarnęło zupełnie mu nieznane uczucie, fala silnych i tak gwałtownie wzbierających emocji, że aż zakręciło mu się w głowie i musiał się chwycić boków gondoli. Wpatrywał się w dziecko, a ono rozwarło powieki i zaczęło błędzić wokół swym czarnookim, rozbieganym bezbronny spojrzeniem. Mały Bud ziewnął, a Harper, Papa i Nina równocześnie spojrzeli na siebie, uśmiechnęli się i westchnęli.

Nina stanęła obok Harpera i położyła mu rękę na ramieniu.

– Jest cały twój, Nicolaasie. To twój mały braciszek.

I Harper zrozumiał, że nie jest już najmłodszym członkiem rodziny. Papa i Nina kiedyś umrą, ponieważ są już starzy, jego matka i Michael także umrą, bo są drudzy pod względem starszeństwa. Zawsze wydawało mu się, że kiedy to się stanie, kiedy umrze jego matka, on zostanie sam, ale teraz pojawiło się dziecko, które do niego należało, i on umrze najpierw, ponieważ jest od niego starszy.

Mały Bud wykrzywił się w grymasie, który u starszego dziecka lub dorosłego mógł zwiastować kichnięcie, ale u noworodka, jak szybko przekonał się Harper, był to wstęp do płaczu.

– Pora na mleko – rzuciła Nina. – Lepiej mi pomóż, Nicolaasie, bo od czasu do czasu będzie to teraz twoje zadanie. – Butelka grzała się w rondlu z wodą na płycie kuchennej. Na ladzie obok leżała starannie złożona sterta pieluch. Rozstanie się z rolą najmłodszego w rodzinie będzie wymagało od Harpera pewnego wysiłku.

Miał teraz nową szkołę – co rano szedł na autobus, który zatrzymywał się u stóp wzgórza. W szkole uczyły się głównie czarne dzieciaki i już drugiego dnia dwóch chłopców z jego klasy popchnęło go na ścianę na korytarzu i zażądało, by powiedział, co wie na temat Pearl Harbor. Ofuknęła ich dopiero przechodząca sekretarka:

– Wstydźcie się. Nicolaas nie jest Japończykiem, był przez nich uwięziony i przyjechał do Ameryki, żeby zamieszkać ze swoim dziadkiem.

Chłopcy odsunęli się i spojrzeli na niego.

– Byłeś uwięziony? – spytał jeden z podziwem, ale Harper nie zwrócił na to uwagi. Serce rozpierała mu duma z powodu słowa „dziadek”.

Po skończonych lekcjach pędził na wzgórze, żeby zobaczyć swojego braciszka. Gdy wbiegał do domu, Nina była zazwyczaj w kuchni. Siadał na

krześle przy stole, ona podawała mu szklanekę mleka, a on domagał się pełnej relacji na temat tego, jak Budowi minął dzień.

Gdy patrzył z perspektywy dorosłego na te kilka lat spędzonych w Kalifornii, czasami trudno mu było sobie przypomnieć ten wczesny szczęśliwy okres – pięć lat rutyny i stabilności – ponieważ to, co wydarzyło się potem, było tak przytłaczające i koszmarne, że pod ciężarem tego zapadł się czas, złożył się jak harmonijka, sprowadzając te lata do ledwie kilku obrazów. Zupełnie jakby ten szczęśliwy czas nie był niczym więcej jak preludium do tego, co nieuniknione.

Harper nie do końca rozumiał, czym zajmuje się Papa. Wiedział, że z powodu pracy często przebywa poza domem, w tym również wieczorami i w weekendy, i że stanowi ona źródło napięć między Papą a Niną, a czasami także między Papą a Michaelem. Czasami ludzie, z którymi Papa pracował, przychodzili do ich domu. Salon się wypełniał, część musiała siedzieć na podłodze. Toczyły się dyskusje i jeden lub dwóch gości wychodziło, narzucając w pośpiechu płaszcze na ramiona i trzaskając drzwiami. Ale zwykle ludzie wychodzili po cichu, nierzadko długo po tym, jak Harper został odesłany do łóżka. Wówczas budził go szmer pożegnań w korytarzu.

Pewnego razu, gdy Bud był jeszcze niemowlęciem, Harper zszedł na dół i ujrzał Ninę, która stała w otwartych drzwiach frontowych i wyglądała przez nie z niepokojem. Słyszac Harpera, odwróciła się i poleciła mu:

– Idź do kuchni. No już, idź.

Harper zatrzymał się w połowie schodów.

– Dlaczego?

– Po prostu idź, no już, to nie potrwa długo. Papa posprząta tylko coś z trawnika.

Z miejsca, w którym Harper stał, nie widział Papy, ale słyszał syk wody z węża ogrodowego.

– Co jest na trawniku? – spytał.

– Nic – odparła Nina, po czym zamknęła drzwi i obróciła się do niego. – Tylko trochę wybielacza. Jakiś głupek go rozlał.

Następne dwa spotkania odbyły się w kuchni, aż w końcu Papa orzekł, że to idiotyczne. Kuchnia jest, psiakrew, zbyt mała.

Ludzie często przynosili jedzenie na półmiskach – w domu Niny i Papy zawsze było coś do jedzenia – i czasem Harper pomagał roznosić poczęstunek wśród gości. Raz, gdy częstował ich lekko niedopieczonymi ciastkami, które rozpadały się, gdy ludzie podnosili je z talerza, pewien pulchny mężczyzna z dużymi dłońmi spojrzał na niego i zapytał:

– To skąd ty jesteś, synu?

– Mój wnuk pochodzi z Indonezji! – zawołał Papa z drugiego końca pokoju, gdzie rozmawiał na stojąco z dwoma palącymi mężczyznami. – Z przeciwległego krańca świata.

– To w jaki sposób... – zaczął mężczyzna, zwracając się do Harpera.

– Nieistotne, w jaki sposób się tu znalazł – przerwał mu Papa. – Ważne, że teraz tu jest – dodał i posłał Harperowi uśmiech.

Dopiero później, wiele lat później, zdał sobie sprawę z tego, że przez cały ten czas wszystko układało się dla niego całkiem dobrze, za to dla jego matki oraz Michaela Juniora bardzo źle, i to niemal od samego początku.

Przez krótki czas mieli pracę – matka w sklepie, a Michael w warsztacie samochodowym – ale niekiedy oboje po kilka tygodni z rzędu siedzieli w domu, zamknięci w pokoju, a gdy Harper pytał o to Ninę, odpowiadała:

– Są bardzo zmęczeni, odpoczywają. Nie przeszkadzaj im.

Czasem znikali na cały weekend. Pewnego dnia, gdy ich nie było, wszedł do

ich pokoju: szukał książki, którą czytał na ich łóżku, i odkrył pod nim blaszane pudełko, leżącą na boku płaską buteleczkę oraz cztery czy pięć szklaneczek, które wyglądały na dość lepkie. Intuicyjnie zrozumiał, że natrafił na skrytkę z jakimiś zakazanymi przedmiotami. Nikomu o tym nie powiedział.

Michael, gdy przebywał w domu, był dla niego miły. Siadał w białym podkoszulku na schodach prowadzących do ogródka z tyłu, palił, uśmiechał się tym swoim powolnym uśmiechem i rzucał piłkę, aby Harper i Jimmy mogli za nią pobiec. Harper zawsze pozwalał psu wygrać.

Ale za zamkniętymi drzwiami sypialni między Michaeliem i matką Harpera często dochodziło do kłótni. Michael miał głęboki głos, zazwyczaj pełen cierpliwości, dopóki nie rozlegał się trzask jakiegoś przedmiotu rzuconego o ścianę. Matka zawsze zaczynała wtedy piskliwie i histerycznie krzyżeć. Kłótnie wybuchały wieczorami, kiedy Harper już spał, ale wrzaski często wyrzywały go ze snu.

Pewnego wieczoru, gdy zrobiło się szczególnie głośno, do pokoju, który dzielił z Budem, weszła Nina, usiadła na brzegu łóżka i zaczęła głaskać Harpera po włosach, aż w końcu powiedziała:

– Oni widzieli wojnę, Nicolaasie, staraj się o tym pamiętać. To, przez co przeszła twoja matka, i co w inny sposób przeżył Michael, nam, starszym i młodszym, trudno zrozumieć. Byli jeszcze tacy młodzi. Michael widział okropne rzeczy. Wiem to, choć sam o tym nie mówi. On... cóż, trudno to wytłumaczyć.

A potem, pewnego dnia, Michael zniknął i Papa przez jakiś czas nie chodził do pracy – co było wręcz niesłychane – lecz stał z rękami w kieszeniach w oknie salonu i po prostu wpatrywał się w ulicę, godzina za godziną. Matka Harpera przesiadywała w pokoju i płakała, a przy tych rzadkich okazjach, kiedy się z niego wynurzała, między nią a Niną dochodziło do ostrej wymiany

zdań.

Harper zaczął się zastanawiać, czy Michael zmarł i nikt mu o tym nie powiedział, ale gdy zapytał Ninę, co się stało, posadziła go na schodach z tyłu domu, gdzie zawsze odbywały się trudne rozmowy, i powiedziała, że Michael od dawna czuł się nieszczęśliwy, w zasadzie od czasu, kiedy wrócił z wojny, nieszczęśliwy w podobny sposób, w jaki nieszczęśliwa jest czasami Anika. Zdaniem Niny obydwójce postanowili się pobrać w nadziei, że dzięki temu ich nieszczęście cudownie zniknie, lecz ono tylko się zwielokrotniło.

Czy Harper wiedział, że jego matka piła czasami zbyt dużo alkoholu? Skinął głową. Tyle sam zdołał się domyślić. No więc Michael też niekiedy pił za dużo i w pewnym sensie obydwójce nawzajem się do tego zachęcali, co oczywiście było bardzo złe.

Pewnego dnia, gdy Harper był w szkole, doszło między nimi do wielkiej awantury. W jej wyniku Michael wyjechał do innego miasta i minie prawdopodobnie sporo czasu, zanim go znowu zobaczą, co wprawiało wszystkich w ogromne przygnębienie. Szczególnie ciężko przeżywał to Papa, wyjaśniła Nina, ponieważ przez cały czas ratował innych ludzi, a nie potrafił ocalić własnego syna.

Nagle dobiegło ich wołanie:

– Dabba! Dabba!

Obrócili się. Bud wypełził przez otwarte drzwi kuchni; chciał, by zobaczyli, jak stoi, chwiejąc się na boki, czego dopiero niedawno się nauczył, a następnie opadł na kolana i w ten sposób pokonał niewielki odcinek dzielący go od Harpera. Kiedy się przy nim znalazł, znów podniósł się na nogi, łapiąc się jego koszuli. Stał przez chwilę niepewnie niczym sympatyczny pijaczyna, po czym wyciągnął tłuściutkie rączki i zaczął młócić nimi brata po głowie.

– Hej, Bud, przestań – powiedział Harper z uśmiechem, lecz pozwolił

małemu kontynuować zabawę. Maluch zanosił się gardłowym chichotem, jakby to była najśmieszniejsza rzecz pod słońcem.

Nina popatrzyła na nich obu, pokręciła głową i oznajmiła:

– Wy dwaj macie więcej rozsądku niż wszyscy dorośli w tym domu razem wzięci. Ludzie mówią, że życie jest skomplikowane, ale wy dwaj wiecie, że tak nie jest. Wiecie, że życie jest naprawdę proste.

Było niedzielne popołudnie, gdy matka oświadczyła mu, że zamierza wrócić na pewien czas do Holandii, by zobaczyć się z ciocią Lies. W pierwszej chwili pomyślał, że powie mu, że ma jechać razem z nią – często przecież powtarzała, że Harper jest centrum jej świata. Myśl o rozstaniu z Budem i Jimmym, nawet na kilka tygodni, była dla niego nie do zniesienia.

Tymczasem Anika przycisnęła go do swej kościstej klatki piersiowej i rzuciła:

– Wiem, że będziesz za mną tęsknił, Nicolaasie, ale musisz być odważniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Od kiedy Michael odszedł, jest mi naprawdę ciężko, i muszę na trochę wrócić do domu. Dasz sobie radę beze mnie przez jakiś czas? Po prostu powinnam wyjechać. Sprawy tutaj były ostatnio tak zagmatwane, a zresztą sam wiesz, jak bardzo brakuje mi naszej Ojczyzny. – „Wiem?” – zapytał się w duchu Harper. – Jadę, żeby wyjaśnić kilka rzeczy. Bud jest jeszcze mały i gdybym zabrała was obu, dostałby choroby morskiej. Oczywiście ty nie, bo wiem, że dobrze znosisz takie podróże. Jesteś jedynym mężczyzną, który nigdy mnie nie zawiódł.

Pod nieobecność Michaela i matki – w obu przypadkach nieznana była przybliżona data powrotu – dom stał się spokojniejszy, choć rosnący Bud ożywiał nieco atmosferę. Biegał tam i z powrotem, gdy tylko nauczył się chodzić, jednocześnie wściekły i rozbawiony: mocno skręcone loki,

jasnobrązowa skóra z ciemniejszymi piegami na nosie, jakby pozostałymi po zabawie bardzo cienkim pędzlem, szczebiotliwy głos wołający za Harperem: „Ni-ke-las”. Co najmniej trzy sylaby. Kiedy tylko nauczył się je wymawiać, podskakiwał swą małą pupą na wysokim krzeselku do karmienia, powtarzając raz po raz imię Harpera, jeśli choć przez minutę brat nie poświęcał mu całkowitej uwagi.

– Ni-ke-las, Ni-ke-las. Ni. Ke. Las!

– Wiesz, Nicolaasie – powiedziała raz Nina, gdy pomagał jej składać pranie – ten malec myśli, że wszystkie dobre rzeczy na świecie pochodzą od ciebie. Jesteś niczym bóg lub coś w tym rodzaju. Powinieneś go słyszeć, gdy zbliża się pora twojego powrotu ze szkoły.

Harper nie był bogiem. Nie był nim również Papa, wspaniały adwokat, którego wszyscy podziwiali. Gdyby któryś z nich był bogiem, nigdy by nie doszło do tego strasznego dnia trzy lata później, z piękną pogodą i promieniami słońca odbijającymi się od wody przejrzystej jak tafla szkła.

Później wiele razy odtwarzał w myślach wydarzenia tamtego popołudnia, zatrzymywał je lub przesuwał do przodu. Gdyby poszli innym rozwidleniem ścieżki, gdyby się rozchorowali lub gdyby zepchnął Buda ze schodów i Bud skrzyłby nogę w kostce – gdyby wydarzyło się cokolwiek, co by sprawiło, że ten dzień nie mógłby się potoczyć tak, jak się potoczył, aż do chwili, gdy czas zupełnie się zatrzymał w jasnym świetle i grzmocie białej wody w powietrzu.

To prawda, inne rodziny miały wakacje, ale oni w niczym nie przypominali innych rodzin. Papa, Nina, Nicolaas i Bud. Nie chodziło tylko o różnicę wieku ani o różne karnacje – cała czwórka w ogóle nie była do siebie podobna – ale również o pracę Papy. Nina wytłumaczyła im to pewnego wieczoru, gdy Papa jak zwykle spóźniał się na kolację:

– Pomyślcie o tym w ten sposób, chłopcy. Papa walczy gdzieś tam

z gigantycznym potworem. To wielkie, potężne, pożerające ludzi monstrum. Papa dobrze wie, że nie zdoła pokonać go w pojedynkę i że to potrwa długie lata, ale nawet jeśli bardzo się stara, ten potwór wciąż zjada ludzi. Ale jeśli Papa przestanie pracować, potwór zacznie ich pożerać szybciej i w większych ilościach. – Nina urwała i popatrzyła surowo na braci. – Więc co Papa miałby powiedzieć ludziom, którzy zostaną pożarci, jeśli zrobi sobie wolne? Przykro mi, pomogę wam jutro?

Harper spojrział na pięcioletniego Buda siedzącego po drugiej stronie stołu z wybałuszonymi oczami oraz nożem i widelcem nie w tej ręce, co trzeba. Może ta metafora z potworem była jednak nieco zbyt mocna dla jego małego braciszka?

W końcu trzasnęły drzwi i do kuchni wolnym krokiem wszedł Papa, luzując krawat pod szyją. Bud upuścił z brzękiem nóż i widelec, zeskoczył z krzesła, rzucił się na niego i wtulił twarz w jego nogi. Papa położył w zamyśleniu rękę na jego głowie i podniósł wzrok.

– Tłumaczyłam właśnie chłopcom, że cię nie ma, bo walczysz ze smokiem – oznajmiła Nina.

– Och – rzekł, delikatnie odrywając Buda od swoich spodni i popychając go lekko w kierunku stołu, by następnie zerknąć na jedzenie. – Tego smoka masz na myśli.

Tej nocy Harper leżał w łóżku, nie mogąc zasnąć, co już mu się zdarzało, i przy użyciu nowej latarki oraz własnych palców urządzał na ścianie teatr cieni. Dzielili z Budem wciąż ten sam mały pokój i naprawdę nie rozumiał, dlaczego nie może dostać tego, w którym kiedyś mieszkali Michael i matka. Wyglądał tak samo jak przed trzema laty, tyle że był czystszy i teraz nazywano go pokojem gościnnym. Harpera złościło, że musi kłaść się do łóżka o tej samej porze co Bud. W końcu był od niego więcej niż dwa razy starszy. Nina

zawsze mówiła, że może jeszcze chwilę poczytać, gdy Bud szedł spać, ale Harper często po prostu leżał z otwartymi oczami i rękami za głową. Od czasu, gdy na ostatnie urodziny dostał nową latarkę, zaczął inscenizować na ścianie teatr cieni; odtwarzał historie o księżniczkach i wojownikach, które kiedyś opowiadała mu matka, opowieści pochodzące z miejsca, które nazywała „Indiami”. Pora kładzenia się do snu była jedynym momentem w ciągu dnia, kiedy tęsknił za nią, a opowiadanie samemu sobie różnych historii sprawiało, że czasem słyszał jej głos. Odgrywane przez niego przedstawienia zawsze stanowiły kompilację opowieści zasłyszanych od matki oraz scen z kreskówek, na które pozwolono im chodzić z Budem w soboty do kina Variety, dziewięćdziesiąt centów za seans, choć nie podejrzewał, by prawdziwy Ardżuna²² latał rakieta kosmiczną.

Tego wieczoru Harper robił teatr cieni za pomocą latarki ułożonej poziomo na stosie książek na nocnym stoliku. Po drugiej stronie pokoju Bud spał zwinięty w kłębek i odwrócony do niego plecami, których niewielkie wzniesienie wystawało spod zsuniętej kołdry. Nagle Harper usłyszał głosy. Znudzony własnym teatrzykiem – Ardżuna oczywiście zawsze zwyciężał – wypełził z łóżka i podszedł do podestu schodów. Drzwi do pokoju Papy i Niny nie były do końca zamknięte.

– No, daj spokój – mówiła Nina. – To dorastający chłopcy, zwłaszcza Nicolaas, proszę tylko o parę dni.

– Widzę, że dorastają. – Papa brzmiał, jakby był niezadowolony, ale nie zirytowany. Jak ktoś, komu wytrącono z ręki już wszystkie argumenty. – Według mnie świetnie sobie radzą.

– Nicolaas chciałby się poczuć jak normalny chłopiec, no wiesz, który ma rodzinę i robi rzeczy, które robią inne rodziny.

– To prawda, skarbie, ale ile znasz czarnych rodzin, które, jak sama mówisz, wyjeżdżają zaczerpnąć świeżego powietrza?

– Więc twierdzisz, że świeże powietrze jest tylko dla białych?

– Mówię tylko, że świeże powietrze kosztuje. Ile znasz rodzin...

– Nie mówię o rodzinach, które znamy, tylko o naszej rodzinie. – Nina podniosła głos. – Chcesz mi powiedzieć, że boisz się spojrzeń, które biali ludzie będą nam rzucać na ścieżce w lesie? Ty, który występujesz przed sędziami?

– Wiesz, że to nieprawda. – Kiedy Nina i Papa przebywali tylko we dwoje, rozmawiali ze sobą zupełnie inaczej niż w obecności Harpera i Buda, mniej stosownie, rzucając zrozumiałymi tylko dla siebie żartami, jakby lada moment mieli wybuchnąć śmiechem i dla zabawy zacząć się nawzajem okładać.

– Boisz się niedźwiedzi!

– Nie...

– Owszem, boisz się, Michaelu Seniorze! Byś się wstydził, taki duży chłop, a boi się niedźwiedzi!

Harper uwielbiał ten ich żartobliwy ton, a już najbardziej lubił, gdy udało mu się ich wówczas podsłuchać. Podsłuchiwanie weszło mu w nawyk, gdy jeszcze mieszkali tu Michael z matką, i trudno mu było zerwać z tym przyzwyczajeniem. Gdy podsłuchiwał Papę i Ninę, niemal wyłącznie słyszał, jak się przekomarzają.

Skrzypnęły drzwi do jego pokoju. Obejrzał się za siebie. W progu stał Bud w samej piżamie. Harper położył palec na ustach i spojrzał na niego poważnym wzrokiem, nakazując mu milczenie.

– Muszę siku – wyszeptał mały.

– Cii... – uciszył go Harper. – Rozmawiają o tym, żeby zabrać nas na wakacje.

Bud zrobił wielkie oczy. Sunąc bosymi stopami po deskach, podkradł się do Harpera, stanął blisko brata i oparł głowę na jego ramieniu.

– No dobra, chłopcy pewnie mogliby gdzieś pojechać, żeby się trochę rozerwać... – Głos Papy przypominał głos człowieka negocjującego warunki kapitulacji. – Na przykład na plażę albo do wesołego miasteczka, no wiesz,

żeby postrzelać do celu, zjeść coś słodkiego. Tak się składa, że w tamtym kierunku jest wielki, ogromny ocean. O ile pamiętam, nazywa się Pacyfik. Czy może chcesz pojechać w przeciwną stronę?

– Chciałabym zabrać ich gdzieś na świeże powietrze, gdzie przy okazji mogliby się czegoś nauczyć, powspinać, rozładować trochę energii. Może na biwak?

– Kobieto, nie dam rady rozbić namiotu, choćby od tego zależało moje życie.

– Założę się, że chłopcy potrafią.

– Po prostu nie widzę tego. Że ludzie tacy jak my jadą do parku narodowego.

– Ludzie tacy jak my, co? Ludzie tacy jak my? – Rozległ się odgłos, jakby Nina rzuciła poduszką w głowę Papy, a Papa odbił ją ręką. – Martinowie to też ludzie tacy jak my, a pojechali do Carlsbad Caverns.

– W Nowym Meksyku. To co innego.

– Ludzie tam są gorsi niż w Kalifornii.

– Cóż, to prawda.

Pomysł wyszedł od Niny, ale gdy dotarli do parku narodowego, szybko odkryła, że chodzenie przez cały dzień po górach nie należy do jej ulubionych rozrywek. Poza tym kierownik kempingu zakwaterował ich w krytym brezentem domku usytuowanym najdalej od wszelkich udogodnień, ponieważ – jak wszyscy byli przekonani – stanowili jedyną kolorową rodzinę na tym całym cholernym obozowisku. Papa powiedział: „A nie mówiłem”, czym uraził dumę Niny. A potem pojawiły się meksykańskie zakonnice i zostały zakwaterowane po sąsiedzku, co ogromnie ucieszyło Ninę, ponieważ – jak stwierdziła – wreszcie spotkała jakieś kobiety, z którymi będzie mogła sensownie porozmawiać. Dlatego też tego dnia tylko ich trzech, Papa, Harper

i Bud, wyruszyło na szlak, by obejrzeć wodospad.

Byli w dość kiepskich humorach po tym, jak na początku wspinaczki pokłócili się, którą trasą mają iść: było wcześniej i nie widzieli wokół żadnych ludzi. Do tego panował niesamowity skwar. Papa powiedział, że im wyżej, tym chłodniej, że gorące powietrze osiadło w dolinie i wystarczy podejść tylko odrobinę, a pojawi się przyjemna bryza, ale Harper i Bud nie byli co do tego przekonani.

– Mam tylko pięć lat – jęknął Bud, gdy studiowali drewnianą tablicę u podnóża ścieżki. – Jestem mniejszy i od ciebie, i od ciebie. – Czubkiem buta rysował coś na ziemi.

Harper starał się być tym dobrym, więc tylko uniósł głowę i głęboko odetchnął powietrzem pachnącym sosnowym igliwem, ale Papa tego nie zauważył, tylko dalej gderał:

– Chodźcie, chłopcy. Nina twierdzi, że potrzeba wam świeżego powietrza, więc zaraz je dostaniecie. Czy wam się to podoba, czy nie.

Ścieżka pięła się stromo od samego początku i wymagała sporego wysiłku. Harper poślizgnął się na luźnym rumowisku kamieni. Nie mieli odpowiednich skórzanych butów, jakie widzieli na nogach poważnych wspinaczy. Obaj z Budem założyli materiałowe tenisówki, w których ćwiczyli w szkole. Cienkie gumowe podeszwy w żaden sposób nie chroniły ich przed głazami i ostrymi kamieniami.

Papa ruszył przodem; jego długie nogi sadziły kroki, które równały się czterem małym krokom chłopców. Harper z Budem zaczęli się ociągać, zostawali z tyłu, kopali kamienie na ścieżce, potem podbiegali do nich i znów je kopali. Harper zauważył, jak nieprzewidywalna jest trajektoria każdego z nich. Gładki kamień mógł poszybować daleko do przodu, nawet jeśli był mały i lekki. Te o dziwnym, nieregularnym kształcie czasem odbijały się raz lub dwa, po czym wbijały się w ziemię, bez względu na to, jak mocno się w nie kopnęło. Niektóre leciały całkiem prosto. Inne koziółkowały i przez

krawędź ścieżki spadały do wąwozu poniżej: szlak z jednej strony był ograniczony przez strome, lesiste wzniesienie, a z drugiej gwałtownie opadał do koryta rzeki.

Po niedługim czasie Papa zatrzymał się, wyjął chusteczkę i przetarł sobie czoło, a następnie obrócił się do nich i powiedział:

– Wy dwaj strasznie się wleciecie. Dobrze by było dotrzeć do wodospadu, zanim trzeba będzie zrobić przerwę na posiłek.

Niósł plecak z metalową butelką z wodą i trzema małymi kanapkami. Harper doszedł do wniosku, że tylko myśl o kanapce może go zaciągnąć na tę górę.

Nagle na szlaku pojawiła się para w średnim wieku. Musieli wstać bardzo wcześnie, skoro zdążyli już dotrzeć do wodospadu i teraz wracali. Zbliżywszy się, wbili wzrok w Papę i zwolnili. Mieli skórzane buty z prążkowanymi sznurówkami, grube skarpety, długie spodenki i kije do podpierania. Mężczyzna był siwowłosy i nosił okulary, kobieta miała na głowie chustkę. Papa uprzejmie przesunął się na bok ścieżki, aby ich przepuścić. Wpatrywali się w niego, a następnie ich spojrzenia przesunęły się na chłopców, i Harper dostrzegł na ich twarzach zdziwienie, z jakim ludzie reagowali często na widok ich rodziny: Papa – czarny, Bud – czarny, ale o jaśniejszym odcieniu skóry, wreszcie on – trudno określić. Jakiś mieszaniec.

Mimo że Papa zszedł na bok, by zrobić im miejsce, nie podziękowali mu ani nawet się nie uśmiechnęli. Zamiast tego kobieta, mijając Buda, który włókł się jako ostatni, rzuciła beztrosko do męża:

– No cóż, nie wiedziałam, że to trasa dla kolorowych.

Po tym, jak para turystów zniknęła za zakrętem, wszyscy trzej stali przez chwilę nieruchomo, aż w końcu Harper podszedł do Papy i powiedział:

– Przecież nie było żadnego znaku.

Papa miał kamienny wyraz twarzy.

– Nie, synu – odparł – nie było żadnego znaku, ponieważ nie ma żadnych

tras dla kolorowych i nie ma tras wyłącznie dla białych. Ta kobieta tylko pomyślała, że powinny takie być. Nie przejmuj się, to ignorantka. – Spojrzał w górę ścieżki, przesunął dłonią po twarzy i mruknął: – Jakby ta góra nie była dość stroma...

Nagle podbiegł do nich Bud z wyciągniętą ręką, wołając:

– Papa!

Papa obrócił się do niego, zdecydowanym gestem objął swą dużą dłonią jego małą rączkę i powiedział łagodnie:

– Chodź, synu.

Znów ruszyli pod górę. Papa z Budem szli z przodu, trzymając się za ręce, a Harper został z tyłu. Sam teraz kopał kamienie. Po kilku krokach Papa, nie oglądając się za siebie ani nie zwalniając kroku, rzucił przez ramię:

– Ty też, Slim Jim, ty też.

Harper podbiegł do niego, wziął go za rękę i szli tak we trzech przez kilka minut, aż ścieżka na tyle się zwężyła, że nie mogli już iść obok siebie, więc Bud i Harper pobiegli radośnie naprzód, podskakując i wołając do Papy: „No i kto jest teraz z tyłu!”. Cała ta sytuacja z mijającą ich parą i dziwnymi spojrzeniami została puszczona w niepamięć.

Wszyscy trzej ciężko sapali, zbliżając się do szczytu ścieżki, więc na chwilę się zatrzymali i usiedli obok siebie na ławce ze zwykłej deski, i wpatrywali się w gęstą ścianę drzew, przez którą lśniącymi promieniami przedzierało się słońce. Po kolei napili się wody z metalowej butelki. Widzieli, że przed nimi trasa się rozwidła. Na prawo się rozszerzała, a na lewo wiodła wąska i stroma ścieżka.

Papa studiował mapkę, którą naszkicował ołówkiem, patrząc na tablicę informacyjną dla turystów w schronisku u podnóża góry.

– Możemy pójść tędy. – Wskazał na ścieżkę biegnącą w prawo. – To łatwiejsze podejście, ale zajmie nam nieco więcej czasu, za to doprowadzi nas do oficjalnego punktu widokowego. Albo możemy pójść tędy, to bardziej

stroma, ale chyba krótsza droga.

– Krótsza! Krótsza! – zawołał Bud.

– Krótsza wcale nie znaczy łatwiejsza, synu.

Bud miał jednak inne zdanie.

Papa znów popatrzył na mapę i zmarszczył czoło, próbując odszyfrować własne pismo, po czym obrócił kartkę do góry nogami i jeszcze raz o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Nagle rozległy się głosy i chwilę później z szerszej, łatwiejszej ścieżki wyłoniła się grupa ośmiu lub dziewięciu osób, dwie rodziny z dziećmi. Papa pozdrowił ich skinieniem głowy. Tylko jeden z mężczyzn mu się odkłonił, reszta go zignorowała.

– No dobrze – oznajmił, gdy grupka turystów poszła w swoją stronę. – Spróbujmy pójść tą trasą. – Wskazał na wąską, stromą ścieżkę, tę z lewej strony.

Gdy byli w połowie podejścia, znów zaczęli się na siebie złościć. Teren okazał się stromy, a wdrapywanie się po głazach blokujących wąską ścieżkę wymagało nieustannych przerw na odpoczynek. Papa kilka razy wciągnął Buda za ramię, ale Harper nie chciał żadnej pomocy. Drzewa, paprocie i krzaki rosły tu tak gęsto, że zanim zdolali zobaczyć wodospad, najpierw usłyszeli jego huk. Nagle w połowie trasy pojawiła się luka między drzewami i wtedy to ujrzeli: niby zawieszona w powietrzu wspaniała kaskada skrzącej się, spienionej i kipiącej wody.

Przystanęli, by móc podziwiać tę niepohamowaną siłę, ten nieprzerwany, gwałtownie spadający strumień. Wzrok mimowolnie podążał za nim jak za przejeżdżającymi wagonami pociągu, tyle że ta woda wciąż spadała i spadała; pośrodku wydawała się tak niesamowicie biała, że aż błękitna, a wszędzie wokół unosiła się delikatna mgiełka. W tej cudownej mgiełce powietrze

mieniło się mnóstwem delikatnych łuków tęczy.

– O raju... – szepnął Bud, choć nie należał do osób, na których cuda natury robiły szczególne wrażenie.

Harper spojrział do góry, gdzie było widać szczyt wodospadu: woda wystrzeliwała stamtąd niemal poziomo, pieniać się gwałtownie, tak duża była jej siła.

– Naprawdę zamierzamy wejść na sam szczyt?

– No pewnie – odparł Papa, ocierając czoło. – Na pewno będziemy mogli tam gdzieś usiąść i zjeść kanapki. Powinniśmy jednak zabrać Ninę, nie sądzicie?

Harper się lekko skrzywił.

– Na górze pewnie będzie ślisko, kamienie będą mokre.

– W takim razie mocno się trzymajcie.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma, a oni szli coraz wolniej. Chwilami Harper wątpił, czy to w ogóle jeszcze ścieżka. Miał wrażenie, że przedzierają się po prostu między drzewami, wspinając się po głazach, które za sprawą wilgoci i brązowych, gnijących paproci stawały się coraz bardziej zdradzieckie. Pomyślał, że trzeba było jednak pójść dłuższą drogą, nieważne, ile dziwnych spojrzeń musielibyśmy znieść, ale nie podzielił się tą uwagą ani z Papą, ani z Budem.

Upłynęła godzina, nim wreszcie dotarli na szczyt i wyszli na polanę, która leżała kawałek w górę rzeki. W tym miejscu rzeka odrobinę zakręcała, by dopiero kawałek dalej spaść kaskadą, więc Harper był zawiedziony, że nie może stąd zobaczyć krawędzi wodospadu. Przeszło mu przez myśl, że z oficjalnego punktu widokowego nie byłoby z tym problemu.

Nie mogli zobaczyć wodospadu, ale go słyszeli – niosący się z dołu łoskot – a także czuli: w powietrzu wisiała wilgotna mgiełka. Duży, mokry głaz tworzył naturalną platformę, która wrzynała się w brzeg rzeki. W tym miejscu jej koryto było tak szerokie, że woda sięgała ledwie połowy łydek

i bez trudu można było przejść na drugi brzeg. Szerokie rozlewisko sprawiało, że płynęła wolniej. Nie było spienionego, kłębiącego się nurtu, a woda wydawała się spokojna: na dnie było widać błyszczące brązowe i szare kamienie. Tuż przy brzegu, w miejscu, w którym znajdowało się zagłębienie w łózysku rzeki, powstała naturalna sadzawka. I tam, w co aż trudno uwierzyć, woda stała zupełnie nieruchomo. Wokół brzegów sadzawki kłębiły się małe wiry, które ciągnęły ją w kierunku wodospadu, lecz w środku sadzawki woda była całkowicie nieruchoma i przejrzysta jak szkło.

– No proszę, spójrzcie tylko na to – odezwał się Papa. – Idealnie.

Gdzieś z góry dobiegły ich głosy – to byli ludzie stojący poza zasięgiem ich wzroku, między drzewami, pewnie w oficjalnym punkcie widokowym, ale oni mieli tutaj własny punkt widokowy, do tego przejrzystą sadzawkę i całkowitą prywatność. Warto jednak było wspinać się trudniejszą trasą.

– Możemy trochę zamoczyć ubrania? – zapytał Harper. Trudno będzie tego uniknąć, skoro już się tutaj zatrzymali, by zjeść kanapki.

– Jasne – zgodził się Papa – tylko zdejmijmy buty. Po powrocie do obozu wszystko szybko wyschnie.

Siedząc w tym przyjemnym, chłodnym i wilgotnym miejscu, trudno było sobie wyobrazić, jak gorąco musi być w dolinie. Dziwne, że przyjdzie im schodzić w taki upał. Harper pomyślał o tym, że gdy jest ci gorąco, nie potrafisz sobie wyobrazić, że kiedykolwiek jeszcze poczujesz zimno, i odwrotnie. Niektóre rzeczy można tylko poczuć, nie sposób ich sobie wyobrazić.

Głaz był zbyt mokry, by na nim usiąść, więc przycupnęli na kamieniach przy brzegu, każdy na swoim, i uśmiechając się do siebie, zajadali kanapki. Bud jak zwykle skończył pierwszy, zostawiając skórkę chleba. Papa machnął na niego swą wielką dłonią:

– Daj mi ją tutaj.

Gdy Bud oddał Papie skórkę, zapytał:

– Mogę wejść do sadzawki?

– Odbiło ci? – rzucił drwiąco Harper. – Woda jest lodowata. To w zasadzie stopiony lód, Bud.

Papa zmarszczył brwi.

– Proszę! – rzucił Bud, przechylając głowę i się uśmiechając. Harpera okropnie wkurzało, gdy tak robił. Miał pięć lat i nie był już małym dzieckiem, ale umiał zachowywać się jak dziecko, jeśli w ten sposób mógł postawić na swoim. Potrafił sobie owinać Papę wokół małego palca.

– Musisz zdjąć wszystko z wyjątkiem majtek – powiedział Papa.

Bud podskoczył kilka razy, po czym zaczął się rozbierać.

– Zwariował – rzucił Harper, choć prawdę mówiąc, jemu też przyszła do głowy myśl o zanurzeniu stóp w przejrzystej wodzie. Ale teraz już nie mógł tego zrobić, bo Bud powiedziałby: „Małpujesz mnie”.

Bud podał Papie koszulkę i szorty, a ten powiesił je na krzaku za nimi. Następnie oznajmił poważnym głosem:

– A teraz słuchaj, żadnego pływania, mówię serio. Wchodzisz do sadzawki i trzymasz się blisko brzegu, to wszystko, dobrze? Masz dwie minuty. – W oddali, za drzewami, Harper słyszał głosy ludzi na platformie widokowej, którzy śmiali się i nawoływali. Być może robili zdjęcia.

Bud zanurzył palec u nogi w wodzie i wrzasnął, przyciągając łokcie do tułowia z grymasem na twarzy.

– Zimna!

– A nie mówiłem – rzucił Harper. Wciąż siedział na kamieniu, żałując, że nie ma jeszcze jednej kanapki, i rozmyślając o tym, że najmłodszy w rodzinie zawsze dostają to, co najfajniejsze, a starsi, jak on, muszą zachowywać się dojrzałe i odpowiedzialnie. – Tchórz! – zawołał, widząc, jak Bud przeskakuje z nogi na nogę.

– Wcale nie! – odkrzyknął mu brat.

– Bo ja tam szybciej wskoczę, jeśli dalej będziesz tak tańczył – powiedział

ze śmiechem Papa.

Bud ostrożnie wszedł do wody. Sadszawka była bardzo płytka – gdy stał w niej wyprostowany, woda sięgała mu ledwie do połowy ud. Ramiona miał zgięte, łokcie trzymał blisko ciała.

– Wychodź, Bud – zaśmiał się Papa. – Woda jest za zimna. Wytrzymaj moją chusteczką do nosa.

– Nie da się tam za wiele zrobić – dodał Harper i usłyszał w swoim głosie złośliwość. – Woda jest tak płytka, że nie da się nawet położyć na powierzchni.

Sprowokowany Bud ugiął kolana, zanurzył się całkiem i położył na plecach. Unosił się teraz na powierzchni sadszawki z wyciągniętymi ramionami i nogami, niczym rozgwiazda. Papa zawołał „juu-huu!” i zaklaskał kilka razy. Harper czekał, aż Bud wyskoczy, dygocząc z zimna, lecz on wciąż leżał niczym rozgwiazda, z mocno zaciśniętymi powiekami i twarzą zwróconą ku niebu, powtarzając: „O rany...”.

„Popisuje się – pomyślał Harper. – Daję mu maksymalnie dziesięć sekund”.

Leżąc wciąż całkiem płasko, Bud zaczął się obracać. Oczy miał zamknięte, nogi i ramiona nieruchome, lecz choć nie poruszał żadną częścią ciała, nagle zaczął się kręcić. Pod spokojną powierzchnią płytkiej sadszawki był prąd, niewidzialna siła obracająca drobnym ciałem. Harper niemal równocześnie z Papą zerwał się na nogi i obaj zaczęli krzyczeć. Bud otworzył oczy, podniósł głowę i spojrzał na nich dokładnie w chwili, gdy wir na skraju sadszawki porwał go, przewrócił i pociągnął w lewo. Podjął jeszcze jedną próbę, by się podnieść, lecz tak szybko wstał na nogi, że natychmiast się poślizgnął na mokrych gładzach, wpadł pod wodę i zniknął.

W tych okropnych, cichych miesiącach, które przysły później, kiedy Harper leżał w ciemnościach w łóżku z otwartymi oczami, do głowy przychodziły mu

takie oto obrazy: promienie słońca odbijające się od przejrzystej jak szkło tafli wody; ramiona i nogi Buda rozłożone jak u rozgwiazdy; i to, jak najpierw się wydawało, że zaczął się obracać i kręcić bardzo powoli, mimo że wszystko działo się tak szybko; rozmarzony wyraz jego twarzy, gdy unosił się na wodzie i nagle, w jednej chwili, zaczął błyskawicznie wirować; jego mała buzia z pytającym spojrzeniem, kiedy zaczęli krzyczeć. Woda w sadzawce była płytka, sięgała mu najwyżej uda, ale prąd pod powierzchnią okazał się tak silny, że gdy Bud próbował wstać, w jednej chwili zwałił go z nóg.

Kiedy Bud zniknął im z pola widzenia, tuż za zakolem rzeki, Harper popatrzył na Papę, jakby szukając u niego potwierdzenia, że to się nie dzieje naprawdę. I to była najgorsza chwila ze wszystkich: to spojrzenie Papy, gdy wypatrywał Buda, ta świadomość, że szczelina, która otworzyła się w jego głowie, otworzyła się również w głowie Papy. Na ich oczach wydarzyło się coś tak straszliwego, że nie mieściło się to w ich wyobrażeniach. Krawędź wodospadu znajdowała się ledwie kilka metrów dalej, tuż za granicą ich wzroku. Gdy oni wciąż próbowali uwierzyć w to, w co uwierzyć nie sposób, Bud już nie żył.

Od tamtego popołudnia upłynęły cztery miesiące. W dalszym ciągu byli pogrążeni w żałobie, kiedy przyszedł list z Holandii, jasnoblękitna koperta z niebieskimi i czerwonymi paskami na brzegach, cieniutka jak skóra staruszka, zaadresowana pełnym zawijasów, lecz precyzyjnym pismem jego matki do Michaela Luthera Seniora.

Była sobota, więc Harper siedział w domu – nie chodził już na seanse kreskówek do kina Variety, bo nie chciał chodzić na nie sam. Osobiście wyjął list ze skrzynki, a kiedy podał go Ninie, położyła go na kuchennej ladzie i powiedziała lekkim tonem:

– Poczekajmy, aż twój dziadek wróci do domu, dobrze?

– Dlaczego jest zaadresowany do niego? – spytał, patrząc na list.

– Naprawdę przydałaby mi się pomoc przy warzywach. – Nina starała się grać na zwłokę.

Papa pojawił się jakąś godzinę później z świeżymi bułkami z Balian's. Po drodze wpadł z wizytą do sąsiada, który potrzebował jego rady: wielu ludzi chciało darmowych porad od Papy. Sąsiad mieszkał w wielkim domu na Sugar Hill i gdy jedli lunch, Papa opowiadał, że ma nie jedną, lecz dwie białe służące, a tuż obok niego mieszka pewien słynny muzyk. Rozmowa nie kleiła się zbyt dobrze, jak zwykle od tamtego dnia. Harper czuł się ostatnio o wiele starszy – w każdym razie na tyle, by zauważyć, że zachowanie pozorów normalności kosztuje ich wszystkich naprawdę wiele. Gdy tylko Papa otarł usta serwetką, Nina, która przez cały posiłek prawie się nie odzywała, wstała od stołu, odwróciła się do lady i podniosła list.

Papa popatrzył na kopertę w jej dłoni, potem na Ninę.

– To od mojej matki... – oznajmił zupełnie niepotrzebnie Harper. – Nie otwieraliśmy.

Papa, ze wzrokiem wciąż utkwionym w Ninie, powiedział spokojnie:

– Nicolaasie, jeśli skończyłeś, możesz iść się pobawić z Jimmym.

Harper podniósł się i wziął swój talerz, lecz Papa dodał:

– Nie musisz dziś sprzątać ze stołu, idź się pobaw. – Harper poczuł mdłości. Sprzątanie ze stołu było jego świętym obowiązkiem. Spojrzał na Ninę, ale ona wciąż stała wpatrzona w Papę, z listem w dłoni.

– Nicolaasie – powtórzył Papa łagodnym głosem – idź pograj w piłkę w ogrodzie.

Gdy Harper zamykał za sobą drzwi, powoli, bo chciał usłyszeć, co się stanie, Papa powiedział:

– Nie wiemy na pewno.

Harper usiadł. Zapadła długa cisza.

Potem rozległ się głos Niny, niczym zdławiony krzyk:

– To samolubna... samolubna... szmata... oto, czym ona jest.

Harper nigdy wcześniej nie słyszał, by Papa podnosił na Ninę głos – zdarzało mu się to czasem wobec Michaela, kiedy z nimi mieszkał, ale nie wobec niej.

– Nigdy nie mów tak o matce naszego chłopca! To nie w porządku.

– A to, co robi, jest w porządku? Co? Jak możesz jej bronić? Gdy tylko się tu pojawiła, wszystko zaczęło się psuć. Michael...

– Michael to nie jej wina, wiesz o tym.

– Ale wcale nie pomogła.

– Nie, to prawda – przyznał Papa. – Ale... – Jego głos wydawał się teraz łagodniejszy.

Zanim usiadł, Harper zszedł tylko dwa stopnie, tyle, by jego głowa nie była widoczna przez szybę w górnej części drzwi. Tak czy owak, wystarczył rzut oka przez okno w kuchni, by się przekonać, że wcale nie bawi się w ogrodzie.

Nina zaczęła płakać.

– Czy nie dość już straciliśmy? – szlochała. – Nie dość?

Najbardziej przerażające było to, że bez względu na zawartość listu byli tak nieszczęśliwi, że całkiem zapomnieli o Harperze. Zazwyczaj Papa wiedział, czy chłopak nie kręci się gdzieś w pobliżu, a tym razem po prostu siedział na schodach i słuchał łkania Niny. Jimmy obwąchiwał skraj ogródka, machając puszystym, wygiętym w łuk ogonem.

Harper wciąż jakby się spodziewał, że jego brat pojawi się lada moment – ciągle łapał się na myśli, dlaczego Bud jeszcze nie zbiegł po schodach, po dwa stopnie naraz, jak zawsze, albo nie wybiegł z za rogu domu dokładnie w chwili, gdy starszy brat podniósł piłkę lub kij baseballowy, i nie zaczął głośno protestować, że ta piłka lub ten kij należą do niego. Co rano budził się sam w pokoju i patrzył na puste, starannie posłane łóżko Buda. Gdy natychmiast zamykał ponownie oczy, wciąż słyszał jego głos. W niektóre poranki wciąż powtarzał sobie w myślach: „Gdy znów otworzę oczy, Bud tutaj

będzie. Jeśli uwierzę w to dostatecznie mocno, to tak właśnie się stanie”. Wojownik Ardżuna na pewno mógłby w jakiś sposób tego dokonać.

Wielebny Wilson zorganizował nabożeństwo żałobne, na które przysłała cała dzielnica – ludzie ciągle zostawiali im na werandzie ciasta i zapiekanki przykryte ścierkami w kratę – ale pogrzebu nie było. Ciało Buda jeszcze nie odnaleziono.

Później tego samego dnia Papa wezwał Harpera do salonu i poprosił, żeby usiadł. Przypomniało mu to ten moment, gdy po raz pierwszy przyszedł do tego domu: jak Papa zaprowadził go do kuchni i z prawniczą powagą wypytywał, czy to prawda, że ma dodatkowe „a” w imieniu; i teraz, przez kilka pierwszych minut, nawet gdy już stało się jasne, jak poważna będzie to rozmowa, Harper się zastanawiał, czy Papa obróci zaraz całą sprawę w żart.

– Nicolaasie, synu, powiedz mi, jak dobrze pamiętasz swoją matkę? Pamiętasz, że przed wyjazdem obiecała, że albo tu wróci, albo sprowadzi ciebie i Buda do siebie? Pamiętasz to?

Harper nie do końca tak zapamiętał tamtą rozmowę, ale teraz nie wydawało się to istotne. Od wyjazdu matki minęły już ponad trzy lata. Raz na jakiś czas przychodziły od niej listy, co roku kartka na urodziny. Pewnego razu w lutym dostał prezent gwiazdkowy – trzy małe książeczki w twardej oprawie, których nie był w stanie przeczytać – oraz liścik mówiący o tym, że nie może zapomnieć holenderskiego.

– No więc, mimo że Buda nie ma, że został nam odebrany, nadszedł ten czas – oznajmił Papa.

Mają pojechać do Holandii? Harper niewiele pamiętał z okresu, kiedy tam mieszkał. Pamiętał, że jedli czerstwy chleb. W domu musieli nakładać na siebie trzy warstwy płaszczy, bo taki panował tam ziąb. Matka codziennie lamentowała, że bez emerytury wojskowej ojca będą przymierać głodem.

Znów mieli wracać do wszechobecnego błota i zimna? Czy nadal trzeba nosić trzy płaszcze w domu?

– Kiedy wyjeżdżamy?

Papa zamilkł na chwilę.

– Nina i ja nie jedziemy, synu. Nasze życie jest tu, w Los Angeles. Tu mam pracę. Zatrzymalibyśmy cię przy sobie na zawsze, gdyby to tylko było możliwe. Chcę, żebyś o tym wiedział. Traktujemy cię, jakbyś był nasz. Ale to twoja matka i chce cię mieć z powrotem.

W końcu wszystko stało się jasne: bez Niny, bez Papy, nawet bez Jimmy’ego. Najpierw stracił Buda, a teraz miał stracić wszystkich pozostałych.

Sprawa była prosta.

– Nie jadę.

– Nicolaasie, twoja matka napisała do nas jakiś czas temu, po tym... jak Bud został nam odebrany. Nie mówiliśmy ci nic, bo nie chcieliśmy cię martwić, w razie gdyby nic z tego nie wyszło. Odpisaliśmy jej, jak bardzo oboje pragniemy, żebyś z nami został, ale ona znów napisała, bardzo nalegała, no i... to przecież twoja matka. Chce cię z powrotem.

– Nienawidzę jej.

– Nie, to nieprawda. Twoja matka cię kocha i dlatego chce cię odzyskać.

– Dobrze wie, jak bardzo mi się tu podoba.

– Tak, wie, ale jej potrzeba jest większa od twojej, przynajmniej według niej.

– W takim razie jest złą osobą. Jak możecie pozwolić, żebym zamieszkał ze złą osobą? – Nagle Harper poczuł się dorosły, niemal jak prawnik. To proste. Musi tylko wygrać ten spór i wszystko będzie w porządku.

Papa przez cały czas stał przed Harperem, ale teraz usiadł obok niego, wyciągnął rękę i bardzo delikatnie ujął go za ramię, jakby szukając w nim oparcia.

– Rozumiem, że z twojego punktu widzenia wydaje się, że to jedno i to samo, ale twoja matka nie jest złą osobą.

– Więc kim jest? – W tym momencie rychnie nieszczęście nie wydawało mu się aż tak nieuchronne, bardziej liczyło się uznanie dla walki, jaką toczył Papa, wybitny adwokat, przyzwyczajony do wygłaszania pewnych siebie sądów, który teraz musiał zmierzyć się z największym wyzwaniem w karierze: moralną argumentacją dwunastoletniego chłopca.

Papa na chwilę zacisnął usta.

– Jest raczej kimś, kto wierzy, że z powodu złych rzeczy, które jej się przydarzyły, nie może być obarczana winą za złe rzeczy, które sama robi. Po pewnym czasie zdaliśmy sobie sprawę, że Anika nigdy za nic nie ponosi winy. Gdy ktoś uważa, że nie jest odpowiedzialny za swoje czyny, wówczas nic nie można zrobić. Z taką osobą nie sposób się spierać, nie sposób jej przekonywać. Równie dobrze możesz walić głową w mur.

– To jednak jest to samo, prawda?

Papa się zawahał.

– Nie, nie uważam, żeby to było to samo. Ból i cierpienie z twojej perspektywy mogą być równie duże, ale brak odpowiedzialności za własne czyny to nie to samo, co bycie złym człowiekiem, mimo że taka nieodpowiedzialna osoba może wyrządzić tyle samo krzywd.

Harper nie wydawał się przekonany. Jakie znaczenie ma czyjaś motywacja, skoro efekt jest taki sam? Zapadło długie milczenie, podczas którego zmagął się z myślą, że ta dyskusja nie jest tylko teoretyczna.

– Przykro mi, Nicolaasie, naprawdę, ponieważ już tyle razy przenosiłeś się z miejsca na miejsce i mieliśmy nadzieję, że to się wreszcie skończy i że zostaniesz tu już na dobre. Wiem, synu, jak się czujesz, ale teraz powinniśmy pójść zobaczyć się z Niną. Musisz być dzielny ze względu na nią, ponieważ... – Papa urwał w połowie zdania i wziął potężny, głęboki oddech, jakby przez całą tę rozmowę przebywał pod wodą i właśnie wynurzył się na

powierzchnię, by zaczerpnąć haust powietrza. – Ponieważ musimy się postarać i spróbować poprawić jej nastrój, dobrze? Możesz to zrobić? Dasz radę, Nicolaasie?

Brat wielbnego Wilsona zawiózł ich swoim packardem na Union Passenger Terminal. Jimmy wsiadł z nimi do samochodu, ale potem został odstawiony do sąsiadów, którzy mieli się nim zaopiekować, podczas gdy Harper, Nina i Papa wyruszą w długą podróż przez cały kraj. Harper patrzył, jak samochód z Jimmym odjeżdża: pies z postawionymi uszami przyglądał mu się przez tylną szybę; głowę miał lekko przechyloną i dyszał, jako że tego dnia było gorąco. Jednak nawet wówczas Harper nie odczuwał tak naprawdę ciężaru rozstania, tym bardziej że czekała go jeszcze daleka podróż w towarzystwie Papy i Niny.

Stali we troje na chodniku przed dworcem. Przed chwilą pomachali na pożegnanie Jimmy'emu. Nina sprawdzała bagaże: małe walizki jej i Papy oraz duża Harpera, wiklinowy koszyk z pokrywką wypakowany po brzegi kanapkami z mielonką. Gdy Harper ją zapytał, dlaczego przygotowała tyle jedzenia, odrzekła:

– Reszta Ameryki nie jest taka jak West Adams. W niektórych restauracjach możemy nie czuć się swobodnie.

Papa zmarszczył czoło i podrapał się po szyi. Nina przekonała go, by założył gruby płaszcz.

– Trochę mi w nim ciepło – poskarżył się teraz.

Nagle podszedł do nich policjant w czapce z daszkiem, z odznaką, skórzanym paskiem biegnącym na ukos przez klatkę piersiową i przyczepionym do jego pasa, tuż powyżej kabury. Harper wpatrywał się w kaburę i czarny pistolet: był prawdziwy. Podniósł wzrok na policjanta, mężczyznę z opuchniętą białą twarzą oraz wesołą miną, i posłał mu szeroki uśmiech.

Policjant odpowiedział mu tym samym.

– Wybieracie się w podróż? – zapytał, patrząc na całą trójkę.

– Mam tu gdzieś nasze bilety – odparł Papa, klepiąc się po kieszeniach grubego płaszcza.

Policjant spojrział na Harpera, po czym powiedział:

– W porządku, nie muszę ich oglądać. To wasz syn?

Harper popatrzył zmieszany na funkcjonariusza, ale Papa, który przestał przeszukiwać kieszenie i stał całkiem nieruchomo, odparł cicho:

– To mój wnuk.

Policjant położył rękę na ramieniu Harpera i delikatnie go poklepał.

– Przystojny chłopak. Opiekuj się swoimi dziadkami, synu.

Harper zerknął na Papę, który patrzył teraz prosto przed siebie, a następnie podniósł wzrok na policjanta i rzucił szybko:

– Dobrze, proszę pana.

Długa droga przez cały kraj zawiodła go w końcu do kolejnej hali odpraw: ogromnego budynku ze sklepionym dachem, podłogą wysypaną trocinami oraz ogromnymi, wysokimi oknami, przez które wpadały szerokie snopy światła, oświetlając tłumy pasażerów i sprawiając, że stroje podróżne, kufry, pudła i walizki mieniły się odcieniami szarości i brązu, mdłych barw przejściowości. Kiedy już dotarli na początek bardzo długiej kolejki i wpisali nazwisko Harpera na listę pasażerów, kobieta w okienku wręczyła im kartkę z zasadami dotyczącymi niepełnoletnich podróżujących bez opieki dorosłych oraz zawieszoną na sznurku plaketkę. Harper musiał ją nosić przez cały czas na szyi. Z jednej strony miała nadrukowany napis „Holland-Amerika Lijn”, a z drugiej „HAL” oraz zapisane pochyłym pismem jego nazwisko, datę urodzenia oraz cel podróży. Poniżej znajdowało się nazwisko osoby, która miała na niego czekać w porcie w Rotterdamie: „pani Anika Aaltink”.

Czuł się zażenowany. Ma nosić plakietkę jak jakiś dzieciak? Przecież niedługo skończy trzynaście lat!

– Zupełnie jakby był paczką – stwierdziła Nina, wsuwając mu plakietkę pod kurtkę i klękając przed nim, dzięki czemu był teraz od niej wyższy. Nagle złapała go mocno i przytuliła do siebie. Rozejrzał się ponad jej głową. W kącie hali stała grupa nastoletnich chłopców w szkolnych mundurkach.

– Ale to najcenniejsza paczka na świecie – dodała łamiącym się głosem, z twarzą wtuloną w jego pierś. Papa położył jej rękę na ramieniu i poklepał delikatnie, aż w końcu puściła Harpera i wstała.

Po raz ostatni przed ośmioletnią rozłąką widział Ninę i Papę, gdy opuszczali halę odpraw w drodze na nabrzeże. Kiedy się odwrócił, stali objęci i uśmiechali się do niego: on wysoki i zwały w swym zimowym płaszczu i kapeluszu, ona – drobna i dzielnie uśmiechnięta, oboje z uniesionymi rękami. Nina machała do niego niestrudzenie i Harper, który podłączył się do grupki chłopców, również uniósł rękę w nieśmiałym geście, zerkając szybko to na Ninę, to na Papę. Bał się, że obojętnie, do którego z nich się uśmiechnie po raz ostatni, to drugie może się poczuć dotknięte – a jednocześnie nie chciał wypaść śmiesznie przed idącą z przodu grupą starszych chłopców.

Z ulgą wszedł wreszcie na betonowe nabrzeże, nad którym górował statek. Powietrze pachniało dymem i paliwem, padał delikatny deszcz, a korowody z pożegnaniami nareszcie dobiegły końca. Dokładnie w tym właśnie momencie czekająca go przygoda wydała mu się stosowną rekompensatą za rozstanie z dziadkami. Tęsknota za nimi miała nadejść później.

Samotna podróż przez Ocean Atlantycki, z plakietką przez cały czas zawieszoną na szyi, nawet podczas kąpieli, jak go poinstruowano – to z pewnością musiało pozostawić w nim jakiś ślad. Gdy próbował sobie przypomnieć tę podróż, w jego głowie pojawiał się obraz lodów: kanapki

lodowej zrobionej z grubych, rozmiękłych kawałków wafła. Marynarz, który grał z nim w karty? Mała dziewczynka w fartuszku? Bez matki, która utrwalaby obrazy w jego głowie, rejs przez Atlantyk w wieku dwunastu lat zapisał mu się w pamięci mniej wyraźnie od tego, który odbył z nią jako trzyletni malec. Pożegnanie z Papą i Niną musiało być dla niego trudne, lecz o ile pamiętał, sama podróż nie wydawała się szczególnie uciążliwa – tego typu stan zawieszenia był mu doskonale znany.

Zejsście na ląd to co innego. Jak wszyscy pasażerowie stał przy burcie statku, obserwując wybrzeże. Dołączył do tłumu schodzącego niezdarnie po trapie, uderzając swoją walizką o drewniane poręcze, a raz nawet stracił równowagę i wpadł na idącą przed nim młodą kobietę w butach na obcasach. Odwróciła głowę, rzuciła mu przez ramię gniewne spojrzenie, po czym zatrzymała się, by poprawić pończochy, przez co zatarasowała przejście. Wreszcie Harper znalazł się na nabrzeżu, uwięziony w ciżbie dorosłych, którzy padali sobie w objęcia, witali się i zbijali w grupki, by w końcu pójść dalej. Gdy się nieco przprzedziło, obrócił się w lewo i ujrzał mężczyznę z szeroką klatką piersiową, w tweedowym płaszczu i czarnym kapeluszu, który z rozłożonymi szeroko ramionami krzyczał:

– *Indië verloren, rampspoed geboren!*²³

Usta miał otwarte, a rumianą twarz wykrzywioną, jakby właśnie opowiedział kapitalny dowcip. Obok niego na drewnianych deskach pomostu klęczała kobieta z włosami związanymi w kucyk, co podkreślało głębokie zmarszczki prowadzące od nozdrzy do kącików ust. Po policzkach ciekły jej łzy. Ona też trzymała szeroko rozłożone ramiona i wołała:

– Chodź tutaj! Och, chodź do mnie, mój mały!

Potęga stanu przejściowego: w ruchu możesz być, kim chcesz. Kiedy się tego nauczył? Podczas tej samodzielnej transatlantyckiej podróży z plakietką na szyi? Czy wcześniej, gdy jako trzylatek obserwował, jak matka wyłudza papierosy od pasażerów i marynarzy, podając im różne szczegóły na swój

temat, w zależności od tego, czy rozmawiała z mężczyzną, czy z kobietą, z marynarzem czy innym pasażerem? Abstrahując od tego, czego się wówczas nauczył, najważniejsza lekcja brzmiała: jeśli nie chcesz, żeby ludzie wiedzieli, kim jesteś, bądź w ciągłym ruchu.

Jeśli poruszałeś się dostatecznie szybko, w krótkim czasie mogłeś stać się kilkoma różnymi osobami. Jeśli ktoś nawiązałby z tobą pogawędkę w samolocie, mogłeś udawać, że jesteś niezonatym neurochirurgiem z Makau – oczywiście gdy już się upewniłeś, że twój rozmówca sam nie jest neurochirurgiem ani nie pochodzi z Makau. W kolejce na postojach taksówek pod lotniskiem mogłeś być owdowiałym hiszpańskim biznesmenem z sześciorgiem cudownych dzieci. Później tego samego dnia, na przykład w hotelowym barze, mogłeś się podać za medium i opowiadać, że twoja matka była kochanką perskiego króla – mogłeś też utrzymywać, że cierpisz na śmiertelną chorobę i zostało ci kilka miesięcy życia. Możliwości były nieskończone.

Instytut zwerbował go zaraz po tym, jak zakończył służbę wojskową, i przez kilka pierwszych lat po odbyciu podstawowego szkolenia przydzielano mu zadania, które wiązały się z częstym życiem w stanie przejściowym. Chodziło głównie o dostarczanie przesyłek do ambasad lub organizacji, choć Harper miał zbyt niski stopień, by znać ich zawartość. Nowi rekruci spędzali często rok jako chłopcy na posyłki, żeby w końcu wrócić za biurko w Amsterdamie i wdrożyć się w pracę – nikt przecież nie zamierzał natychmiast obdarzać ich całkowitym zaufaniem. To w pełni mu odpowiadało: nie śpieszyło mu się, żeby usiąść za biurkiem.

Wszelkiego typu podróże stanowiły znakomity trening. Przejście obok różnych funkcjonariuszy – urzędników celnych lub imigracyjnych, kontrolerów biletów, wszystkich tych ludzi w mundurach, które wskazywały na ich pozycję,

lecz brak jakiegokolwiek realnej władzy – wymagało przybrania szczególnego wyglądu. Uprzejmość z domieszką znudzenia sugerowały, że dana osoba nie stanowi absolutnie żadnego zagrożenia. Na tym właśnie polegał błąd nielegalnych imigrantów lub szmuglerów narkotyków: albo okazywali ogromny strach, albo byli nadmiernie przyjaźni. Tymczasem należało znaleźć równowagę. Osoba w okienku lub za biurkiem z pewnością była równie znudzona, więc tkwiliście w tym razem.

Kiedy już się usadowił w hali odlotów albo w poczekalni dworca kolejowego, lubił odrabiać zadanie domowe. Wpatrywał się w ludzi i sprawdzał, jak szybko odwrócą wzrok. Z rodzinami sprawa była prosta: rodzice kurczowo ściskali dzieci, wyczerpani swoim kieratem, a przede wszystkim brakiem wdzięczności dla ich poświęcenia. Biznesmeni zawsze lubili siadać nieco z boku, by zaznaczyć, że są tutaj tylko dlatego, że im za to płacą. Były też młode pary, toczące zazwyczaj idiotyczne kłótnie, ponieważ wszystkie kłótnie pomiędzy parami w tym wieku są idiotyczne, wszystkie zapowiadają czekające ich lata pełne rozczarowań.

– Jak widać, z coca-colą nie wszystko idzie lepiej²⁴. – Piękna, młoda kobieta besztła nieszczęsnego narzeczonego, który przewędrował połowę lotniska w San Diego w poszukiwaniu automatu z napojami, a potem przyniósł butelkę coca-coli, zapomniawszy ją jednak otworzyć. W rzeczywistości miała jednak na myśli co innego: „Czy to ten jedyny? Czy to właśnie z nim będę mieć dzieci? Klamka zapadła?”. Chciała powiedzieć: „Jeśli w wieku czterdziestu pięciu lat będziesz miał problemy w pracy, czy okazesz się facetem, który pozwoli pomiatać sobą szefowi, nie dostanie premii i nie zdoła zaopiekować się mną oraz dziećmi? Bo jeśli nie jesteś na tyle zaradny, żeby najpierw otworzyć butelkę coca-coli za pomocą otwieracza przymocowanego do automatu z napojami, a dopiero potem mi ją przynieść, to skąd mam wiedzieć, że zdołasz utrzymać dobrą pracę i zaspokajać moje potrzeby?”. Ta piękna, młoda kobieta nie wiedziała o tym, ale właśnie o to pytała, a towarzyszący jej

mężczyzna tylko cicho westchnął – nie odgryzł się, lecz z pokorą przyjął upomnienie, jednak w gruncie rzeczy chciał powiedzieć: „Tak, no cóż, to wszystko pewnie prawda, ale jestem przynajmniej wyluzowany, a to być może ważniejsze, niż ci się wydaje, więc bierz mnie takim, jaki jestem, albo do widzenia, kochanie”.

W takich chwilach Harpera przechodził dreszcz i cieszył się ze statusu obserwatora. Kto by chciał być częścią czegoś takiego? Prawda jest taka, że choć był w podobnym wieku, jego praca kuriera sprawiała, że czuł się oddalony od nich o lata świetlne. Był dojrzały i mocny.

Czy widywał w którymś z tych przejściowych miejsc kogoś, z kim chciałby się zamienić? Rzadko, nie było jednak nic dziwnego w tym, że w dużej grupie ciągle przemieszczających się osób zdarzało mu się natrafić na takiego odmieńca – lub dwóch – jak on. Na lotnisku na Cejlonie, skąd wracał po dostarczeniu raportu pewnej brytyjskiej firmie, zauważył jednego, siedzącego między pasażerami, którzy czekali na któreś z nowych połączeń. Podczas wojny lotnisko służyło jako baza RAF-u i dopiero niedawno przystosowano je do lotów komercyjnych. Ceny biletów były jednak zaporowe dla wszystkich oprócz urzędników państwowych oraz najzamożniejszych tutejszych rodzin, więc czekający ludzie byli dobrze ubrani, a dużą część stanowili wracający do domu Hindusi. Pomiędzy nimi, wyraźnie zadowolony z tego, że się wyróżnia, siedział biały mężczyzna, niski, rudowłosy, twardy jak mały terier – Harper zawsze umiał takich rozpoznać. Zwykli ludzie myśleli, że powinni się bać wielkich typów w mundurach i z bronią, którzy głośno i agresywnie pokrzykują, on jednak wiedział lepiej. Ten człowiek siedział spokojnie w hali odlotów, ubrany w luźne spodnie i koszulę rozpiętą pod szyją, ale całe jego ciało było zwarte i napięte, a oczy uważnie obserwowały. Mężczyzna prowadził tę samą grę. Być może CIA, zgadywał Harper, w każdym razie na pewno Amerykanin, w drodze powrotnej z jakiejś misji, pewnie po skończonej służbie, ale niepotrafiący się rozluźnić. Musiał współpracować

z Brytyjczykami, ponieważ Amerykanie nie mieli zbyt wielu interesów na Cejlonie. Tak samo jak Harper, mężczyzna przyglądał się bacznie każdemu pasażerowi z osobna. Kiedy jego wzrok spoczął na Harperze, ten odpowiedział mu takim samym spojrzeniem, zachowując całkowicie obojętną minę, a gdy obaj w końcu dokładnie się nawzajem zlustrowali, podążyli wzrokiem dalej. Każdy, kto by ich obserwował, uznałby, że nawet nie zwrócili na siebie uwagi, gdy tymczasem Harper dobrze wiedział, że nieznajomy w sekundę się domyślił, że ma przed sobą kolegę po fachu, aczkolwiek nie całkiem równego mu rangą.

W odległym kącie hali Harper dostrzegł hinduskie małżeństwo w średnim wieku; siedzieli obok siebie, ale patrzyli na wprost. Kobieta miała narzucony na sari brązowy rozpinany sweter zrobiony na drutach. Jej mąż opierał ręce na główce laski, którą trzymał prosto przed sobą. Usta miał lekko otwarte. Harper wiedział, że tych dwoje – każde na swój sposób – zrobiłoby niemal wszystko, by nie przebywać ani minuty dłużej we własnym towarzystwie. Naprzeciw hinduskiego małżeństwa siedziały dwie brytyjskie dziewczyny, być może sekretarki pracujące w ambasadzie, i z powodu morderczej duchoty wachlowały się czasopismami. Nogi podwinęły pod krzesła i skrzyżowały je w kostkach, od czasu do czasu wymieniając się spojrzeniami. Domyślał się, że pewnie wynajmują wspólnie mieszkanie. Teraz wracały do domu z głowami pełnymi tajemnic o sobie nawzajem. Jedna miała płaskie sznurowane buty na masywnym obcasie, druga – ta, której rodzina miała pieniądze – włożyła delikatne błękitne czółenka. Mimo że przed przyjazdem tutaj w ogóle się nie znały ani nie miały ze sobą wiele wspólnego, teraz są na siebie skazane. Niemal wszyscy czekający na samolot wyglądali na zirytowanych i zniecierpliwionych. Świat podróżnych wypełniali ludzie, którzy tak bardzo chcieli przybyć wreszcie na miejsce, że to pragnienie przeszkadzało im w obserwowaniu samej podróży. Gdy nie zależało ci na tym aż tak bardzo, od razu zdobywałeś przewagę.

Jeśli lot był dostatecznie długo opóźniony, Harper odnosił wrażenie, że pod koniec podróży mógłby napisać biografię niemal każdego, kto leciał z nim samolotem.

Gdy grupa pasażerów podniosła się do odprawy, Amerykanin w rozpiętej pod szyją koszuli przeszedł obok niego. Ich spojrzenia znów się spotkały, ale nie zamienili choćby słowa, nawet nie skinęli sobie głowami. W tej właśnie chwili Harper, nowy w tej branży, poczuł, że choć jest wyłączony z życia cywilnego, nie ma prawdziwej narodowości ani domu, stanowi część czegoś innego: jakiegoś bractwa połączonego porozumieniem, które wyraża się w najbardziej przelotnych spojrzeniach. Okazało się, że cały świat oplata wspólnota ludzi żyjących w cieniu; można ich spotkać na lotniskach, dworcach kolejowych i ulicach, kryją się w pokojach hotelowych, podszywają pod zwykłych ludzi i są niedostrzegalni dla niemal wszystkich, z wyjątkiem takich samych jak oni. Niewidzialni ludzie widma, wszyscy prowadzący tę samą grę. On również trafił do tego grona.

Mnóstwo szkoleń, mnóstwo gier, mnóstwo seksu: tak zapamiętał lata w Amsterdamie poprzedzające rok 1965. Był młodym, dwudziestoparoletnim mężczyzną i poza wielokrotnie rozwiedzioną matką, która piła tak dużo, że czasami nawet go nie poznawała, nie miał żadnych zobowiązań. Nie przypominał wyglądem ludzi, którzy go otaczali, ale nie przypominał też wyglądem kogokolwiek innego.

„Jakiś mieszaniec”.

Cała sztuka polegała na tym, w jaki sposób wykorzystać niezwykle wygląd. Lubił posługiwać się swoim miejscem urodzenia, aby wywieść w pole rozmówców, zwłaszcza kobiety, które usiłował zaciągnąć do łóżka. Wybierał odpowiedni moment, aby co nieco o sobie wyjawic – zwykle po kilku drinkach, kiedy ich spojrzenia zetknęły się ze sobą raz czy dwa. Może

pojawiło się już między nimi jakieś delikatne dotknięcie, muśnięcie rękawa, przelotne położenie ręki na kolanie, choć w tamtych czasach to było dość bezczelne. Na początku lat sześćdziesiątych, jak dobrze pamiętał, ulubionym sposobem inicjowania kontaktu fizycznego przez kobiety było ściągnięcie kłaczka z marynarki mężczyzny, często za pomocą szorstkiego, niemal matczyngo trzepnięcia. Po tych wszystkich podchodach, kiedy kobieta traktowała go niczym małego chłopca, nadchodził moment, w którym mógł zacząć przejmować inicjatywę. Te drobne fizyczne gesty były tylko wskazówkami. Prawdziwa akcja następowała wówczas, gdy zaczynali rozmawiać i dzielić się opowieściami o sobie. Wtedy już wiedział, że jest w domu.

Jeden z jego ulubionych forteli polegał na tym, by zapytać kobietę, gdzie się urodziła: było to bardziej taktowne niż zapytanie jej, ile ma lat. Na tym drugim pytaniu można się było łatwo przejechać: kobiety zwykle odpowiadały: „Zgadnij”, co zaskakująco ciężko było obrócić na własną korzyść. Jeśli natomiast pytało się nie „kiedy”, lecz „gdzie”, otwierało to prostą i łatwą drogę do większej zażyłości. Nie mogłeś tak po prostu poprosić: „Opowiedz mi o swoim najsmutniejszym wspomnieniu z dzieciństwa”, ale gdy ją pytałeś, gdzie się urodziła, rozmowa od razu stawała się znacznie bardziej intymna. Tragiczne wydarzenie z jej dzieciństwa i tak będzie czekać gdzieś w zawieszeniu na końcu odpowiedzi na to proste, rzeczowe pytanie. Czasami nie kryło się za tym żadne nieszczęście – historia miejsca urodzenia była całkiem zwyczajna i towarzyszył jej autoironiczny śmiech, jakby dla potwierdzenia jej pospolitości. A potem, jako że kobieta była miła – Harper umawiał się tylko z miłymi kobietami – ona pytała go o to samo.

Chwila milczenia. Opuuszczony wzrok. Łagodny głos sugerujący, że nie jest to coś, z czego zazwyczaj zwierzałyby się dopiero co poznanej osobie.

– Urodziłem się w obozie.

Najwspanialszą nagrodą było to nieruchome, pełne konsternacji spojrzenie,

kiedy kobieta, z którą rozmawiał, uświadamiała sobie, jak niewiele wie o tym młodym, wysokim mężczyźnie o brązowej, lecz nie całkiem ciemnej skórze, i czarnych włosach, który zdecydowanie nie wygląda jak Holender, ale nie przypomina też nikogo innego.

Raz, ale tylko raz, jedna z nich powiedziała dość sceptycznym tonem:

– Nie wyglądasz na Żyda.

Czy to była Alida? Nie, Alida pojawiła się później, po sześćdziesiątym piątym. To Alida szukała blizn na jego plecach: blizn, których tam nie było.

Pewnego razu na Gravenstraat, gdy siedział na wysokim stołku przy barze, stanęła obok niego piegowata kobieta z dużym biustem i godnymi pożałowania zębami, czekając, aż zostanie obsłużona. Nie zamierzał wcale spędzić tu całego wieczoru, wyskoczył tylko po pracy na jedno piwo – Frankenmuth, „warzone z myślą o podniebieniu nowoczesnego Amerykanina”. Kobieta stała nieco bliżej, niż było to konieczne, zważywszy na to, że bar nie był wcale zatłoczony, zachwiała się nieco – wydała mu się dość pijana – i położyła rękę na jego udzie, aby utrzymać równowagę.

– Och, przepraszam – powiedziała i szybko zabrała rękę, jakby jego udo parzyło.

Barman oparł się o bar, przyglądając się im wyczekująco, aż w końcu kobieta się odezwała:

– Och, teraz moja kolej, dziękuję ci, kochany... Pink Squirrel. Dwa razy. – Uniosła dwa palce w geście zwycięstwa.

Barman spojrzał na nich z taką pogardą, że Harper miał ochotę powiedzieć: „Ten drugi drink nie jest dla mnie”.

– No dobra – stwierdziła nagle. – Niech będzie dwa razy Old-fashioned. – Spojrzała na Harpera i dodała: – Moja koleżanka siedzi tam w rogu. Jest bardzo miła.

Gawędzili przez chwilę, gdy barman przyrządzał drinki. W tyle, za rzędami butelek na drewnianych półkach, znajdowało się duże lustro, w którym odbijały się mieniące się złoto, brązowo i pomarańczowo alkohole. Kiedy poruszał głową, widział w lustrze odpryski ich twarzy: jej linię włosów, oko lub ucho, swój nos. Kobieta stanęła tyłem do baru, oparła się o niego łokciami i przyglądała się knajpie, jakby byli szpiegami, po czym nagle odezwała się półgłosem:

– Nigdy wcześniej nie spotkałam Negra. Idziemy później z koleżanką na imprezę. Wybierzesz się z nami? Poznasz naszych przyjaciół. To naprawdę mili ludzie.

Aż do tego momentu naprawdę się zastanawiał, czy jednak się nie zabawić.

– Dzięki – odparł, zbierając drobne, które zostawił na barze i chowając je do kieszeni – ale poznałem już wystarczająco dużo białych ludzi.

– Wybierz jakieś anglosaskie nazwisko – poradził mu instruktor w Instytucie, gdy siedzieli z notatnikami w sali konferencyjnej i opracowywali szczegóły jego nowej tożsamości do celów podróży. – Coś łatwego do zrozumienia dla każdego, coś dobrze brzmiącego i neutralnego. Tylko nie Smith, na miłość boską! Prawdę mówiąc, Barnhardt wybrał Smitha.

Nicolaas Den Herder, urodzony na wyspie Sulawesi w Holenderskich Indiach Wschodnich jako syn białej Holenderki oraz oficera Indo służącego w holenderskiej armii kolonialnej, zmieniał już nazwisko na Luther, potem na Aaltink, a potem znów na Den Herder.

– Ulubiony aktor filmowy? Zwierzę z dzieciństwa? – Instruktor starał się pomóc.

– Mam pustkę w głowie.

Jak można nadać sobie samemu nazwisko?

Instruktor westchnął, uniósł kartkę, zerknął w dół i zaczął wymieniać:

- Walton, Fullerton, Jamieson, Johnson, Harper, Headley...
- Harper – przerwał instruktorowi, a następnie, jakby właśnie przymierzał idealnie dopasowaną parę butów, oznajmił stanowczo: – John Harper.

Po próbnym roku i otrzymaniu certyfikatu bezpieczeństwa pierwszego stopnia trafił do centrali w Amsterdamie. Jego szkolenie odbywało się dwutorowo: pierwsze dotyczyło tego, co ma mówić ludziom na temat swojej pracy, drugie zaś tego, czym rzeczywiście ma się zajmować. Oficjalnie John Harper był analitykiem Międzynarodowego Instytutu Ekonomicznego z siedzibą w Amsterdamie. Do jego zadań należało czytanie gazet, sporządzanie prognoz ekonomicznych oraz raportów. Przedsiębiorstwa, które korzystały z usług Instytutu, posługiwały się później tymi raportami przy podejmowaniu decyzji o wysłaniu swoich pracowników, wybudowaniu fabryki albo wykopaniu dziur w interesującej ich części świata.

Nieoficjalnie Harper prowadził grę. Może właśnie dlatego trafił do tej branży. Może właśnie dlatego ludzie w ogóle trafiali do tej branży: ponieważ lubili grać w różne gry, a przynajmniej mężczyźni, jak przypuszczał. Kobiety aż tak bardzo nie zawracały sobie głowy prowadzeniem gier, nie mówiąc już o ich wygrywaniu. Chodziło o obserwowanie – tak, to było to. Może nie miały po prostu natury voyeura: były bardziej przyzwyczajone do bycia obserwowanymi niż do roli obserwatorów.

Podczas drugiego etapu inicjacji instruktor kazał mu iść do poczekalni u lekarza i siedzieć tam, dopóki nie rozpracuje, co dolega każdemu pacjentowi.

– Ale po co? – spytał Harper. – I skąd będę wiedział, czy dobrze odgadłem?

– Nie to jest celem ćwiczenia – westchnął instruktor. – Masz się przyzwyczaić do obserwowania ludzi i nauczyć się rozpracowywać ich

przeszłość. Nie obchodzi mnie, czy dobrze ją odgadniesz. Chcę, żebyś tu wrócił i wyjaśnił mi, w jaki sposób doszedłeś do takich, a nie innych wniosków.

W kolejnych latach, kiedy jego branża przekształciła się w wielki biznes – prawdziwy skok przypadł na lata osiemdziesiąte – pojawiły się całe podręczniki poświęcone temu zagadnieniu, weekendowe szkolenia, profesjonalne prezentacje, materiały w teczkach, które można było wziąć ze sobą i przeczytać w wolnym czasie, wykresy, statystyki. Ale wtedy, w latach sześćdziesiątych, ludzie, którzy cię szkolili, w mniejszym lub większym stopniu opracowywali metody działania właściwie na bieżąco: odrobina amatorskiej psychologii wymieszanej z całą furą intuicji. Może wtedy było łatwiej, bo wiedziało się, kim jest wróg – a to było jasne jak słońce.

Mimo tego, co się działo w Sajgonie, wydział Harpera – azjatycki – nie był w 1964 roku najbardziej fascynującym miejscem w Instytucie: prezydent Johnson wciąż nie słuchał de Gaulle'a, więc wszystko toczyło się po staremu. Wszyscy najlepsi ludzie pracowali w sekcji sowieckiej; była to cała oddzielna komórka z personelem, który mówił po rosyjsku lub w którymś z języków bloku wschodniego: zamienili się w istną bandę komediantów, kiedy władzę w Moskwie przejął facet z krzaczastymi brwiami, choć krążące po biurze żarty o Groucho Marksie szybko wszystkim spowszedniały. Poza tym niektóre kraje z takich lub innych względów zyskiwały ogromną, choć krótkotrwałą popularność: małe biuro południowoamerykańskie ogarnęła wielka euforia z powodu przewrotu w Brazylii. Były też Panama, Zanzibar i oczywiście Kuba. Stopień zainteresowania zmieniał się w zależności od priorytetów Departamentu Stanu. Mimo że Instytut był organizacją niezależną i teoretycznie holenderską, jego najważniejszymi klientami byli Amerykanie – od nich pochodziło niemal trzy czwarte wszystkich kontraktów. Instytut miał w planach otworzyć biura w Los Angeles oraz Nowym Jorku i w rezultacie nawiązał współpracę z innymi podobnymi firmami z Zachodniego Wybrzeża – później

doszło między nimi do fuzji. Harper, jako jeden z wielu agentów, ubiegał się o przeniesienie do Stanów, ale wysyłano tam tylko tych, którzy mieli doświadczenie w sekcji sowieckiej.

Ludzie, jeśli mieli taką możliwość, woleli być w Ameryce, a nie w Europie, z jej starymi, zimnymi miastami, zniszczonymi w bombardowaniach, z tanimi, betonowymi blokami mieszkalnymi, rozklekotanymi niczym proteza w rozbitych ustach. A w Nowym Jorku miał akurat powstać ogromny drapacz chmur, najwyższy budynek na świecie. Spierali się tam o to od lat, ale teraz wyglądało na to, że zaprojektuje go pewien Japończyk – co za ironia. Harper odbył na ten temat dyskusję z Joostenem, który twierdził, że architekt nie jest Japońcem, tylko Amerykaninem z japońskim nazwiskiem, na co Harper odrzekł, że ma to gdzieś; może kolesie, którzy dali mu tę robotę, mają krótką pamięć i zapomnieli o Pearl Harbor i samolotach nadlatujących niespodziewanie w pewien słoneczny dzień. „Pamiętasz o tym?” Harper tak naprawdę nie mówił serio i Joosten to wiedział. Antyjapońska postawa była rodzajem demonstracji, która miała przypomnieć jego kolegom, że nie wszyscy brązowi są tacy sami. To było po prostu coś, o czym można pogadać, przesiadując po pracy w barze. Już chwilę później kłócili się o to, czy Apollo 11 spali się na wiór na wysokości dwudziestu tysięcy metrów nad ziemią.

Pewnego dnia Gregor, szef Harpera, stanął w drzwiach jego gabinetu i skrzyżowawszy ramiona, oparł się swobodnie o framugę. Harper pochylał głowę nad biurkiem, ale gdy tylko się zorientował, że jakaś postać zasłania mu światło, od razu wiedział, kto to jest. Gregor nigdy nie oznajmiał swego przybycia, mówiąc „dzień dobry” lub „cześć”. Jego obecność sygnalizowała cisza.

Harper siedział pochylony nad rzędami cyfr. Mruczał je na głos pod nosem

i stawiał obok nich ptaszki i krzyżyki, więc miał małą, lecz wystarczającą wymówkę, by odczekać chwilę lub dwie, zanim podniesie wzrok. W tym czasie Gregor czekał. Gdy Harper w końcu uniósł głowę, tak długo mierzyli się wzrokiem, że atmosfera zrobiła się cokolwiek dziwna, pełna napięcia.

Gregor opuścił oczy, ponownie spojrzął na Harpera, poprawił okulary, pociągnął nosem i dopiero wówczas zapytał:

– Masz chwilę?

Harper odchylił się na oparciu fotela, by dać mu do zrozumienia, że, owszem, ma. Nie odłożył jednak ołówka.

Gregor odepchnął się od framugi, zerknął przez ramię na otwartą przestrzeń biura, którego ciszę zakłócał jedynie stukot kilku różnych maszyn do pisania, i dopiero wtedy opuścił ramiona, wszedł do gabinetu Harpera i zamknął za sobą drzwi.

– Pada – oznajmił, unosząc ramię, by wskazać roztaczający się z okna widok, który obejmował kanał z brunatną wodą oraz pustą ceglana ścianę magazynu opadającą wprost do wody. Harperowi podobało się to, że wokół nie ma żadnych innych okien, z których byłoby widać wnętrze jego gabinetu. Na tle ceglanej ściany deszcz wydawał się niewidoczny, ale gdy spojrzął na brunatny kanał, zobaczył drobne kropki pojawiające się i znikające na jego powierzchni. – A więc nasz Wydział Azjatycki. – Było to raczej stwierdzenie, więc Harper się nie odzywał. – No cóż – dodał Gregor z westchnieniem, jakby tego popołudnia Harper był szczególnie wrogo nastawiony. – Potrzebujemy człowieka w terenie. W Dżakarcie, kraju twojego urodzenia. To była Dżakarta, prawda? Na sześć miesięcy, może rok. Może dłużej.

– To długo.

– On mówi! Człowiek enigma przemówił!

Harper nie odwzajemnił uśmiechu Gregora.

– Prosili o mnie?

– Ja o ciebie proszę.

Harper zmarszczył czoło, pochylił się do przodu i upuścił ołówek na biurko.

– Czemu ja?

Gregor wzruszył ramionami.

– Słuchaj, to zależy od ciebie. Wiem, że to wielka sprawa. To byłaby twoja pierwsza duża robota i będziesz potrzebował certyfikatu trzeciego stopnia, a do tego badań lekarskich. Szczerze mówiąc, gdy widzę, jak bardzo jesteś nieopierzony, mam duże wątpliwości, ale znasz region. – Pociągnął nosem i potarł jego skrzydełko wyciągniętym palcem. – Chodzi więc bardziej o twoje pochodzenie niż doświadczenie.

– Joosten zna region lepiej ode mnie. Już tam był.

– To nie jest zadanie dla Joostena. Nawiązanie kontaktów na miejscu wymaga czasu i musimy wysłać tam kogoś najszybciej, jak tylko się da, w związku z tym, że facet w czarnej czapce wyprowadził ich z ONZ-etu²⁵. Weźmiesz ze sobą skrzynkę, którą trzeba dostarczyć, więc zamiast lecieć samolotem przez Karaczi, popłyniesz statkiem. Całkiem niezłe, jak sędzę. Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby odrobić zadanie domowe... A poza tym Joosten nie mógłby uchodzić za miejscowego, gdyby wystąpiła taka konieczność. Dla nas, bladych twarzy, robi się tam trochę gorąco.

– Czemu więc nie wykorzystać miejscowych pracowników?

– Nasz klient im nie ufa. Chce kogoś stąd, kogo jesteśmy pewni i kogo możemy szybko przenieść na inną wyspę, gdy tylko zadanie będzie skończone, ale zarazem musi to być człowiek, który będzie wyglądał jak ktoś stamtąd, co zawęza nam listę kandydatów do ciebie. *Pronto*.

Harperowi przeszło przez myśl, że Gregor ogląda zbyt wiele filmów.

– Skąd ten pośpiech?

– Nie mogę ci powiedzieć, dopóki się nie zgodzisz.

Harper czekał na zagraniczną misję, odkąd wstąpił do Instytutu. Zawsze chciał odwiedzić kraj, w którym spędził pierwsze trzy lata życia, mimo – a może dlatego – że nie miał żadnych wspomnień z tego okresu, lecz tylko

mocno wątpliwe opowieści matki. Zgoda, ta część świata była prawdziwym zadupiem, ale to dawało mu większą autonomię.

Tymczasem Gregor czekał. Jego cierpliwość do tego stopnia irytowała Harpera, że był o krok od powiedzenia mu, że nie czuje się gotowy i nie chce słyszeć żadnych szczegółów – tylko po to, by zrobić mu na złość – ale wtedy Gregor uniósł obie dłonie w taki sposób, jakby Harper wyciągnął właśnie z szuflady pistolet, a on chciał się poddać.

– Posłuchaj, wiązą się z tym dodatkowe korzyści. Dość spore, prawdę mówiąc. I szansa na przeniesienie, czego – jak podejrzewam – nie możesz się doczekać. A więc wszystko to, czego wy, nowi i młodzi, chcecie, nieprawdaż?

– Przeniesienie gdzie?

– Nie wyglądasz na szczególnie szczęśliwego za biurkiem.

Czy ktokolwiek wygląda na szczęśliwego za biurkiem?

W następnym tygodniu Gregor wezwał go do swojego gabinetu i przedstawił Amerykaninowi w średnim wieku o nazwisku Johnson. Facet miał ziemistą twarz pokrytą dziobami, zapewne pozostałość jakiejś choroby z dzieciństwa, oraz całkiem łysą i bardzo błyszczącą głowę – efekt dojrzałego wieku. Kiedy mówił, lubił przesuwac dłonią po lśniącej łysinie, jakby w ten sposób ją polerował.

Po uzgodnieniu wszystkich spraw Harper uścisnął dłonie obu mężczyznom, a Johnson oznajmił:

– Gregor bardzo pochlebnie się o tobie wyraża. Muszę przyznać, że czułem się nieco zaniepokojony tym, że brakuje ci doświadczenia, znaczy się na papierze, ale teraz, gdy cię już poznałem, rozumiem, skąd tak znakomita opinia.

„Dopiero teraz zobaczyłeś kolor mojej skóry”, pomyślał Harper.

– Powiedziałem mu, że otrzymałeś specjalne wyróżnienie na swoim roku –

wtrącił Gregor. – I zdobyłeś dziewięćdziesiąt osiem procent podczas naszego kursu szkoleniowego. Zostało jeszcze kilka testów medycznych, ale to nie powinno potrwać długo.

– Dziękuję panu – odparł Harper.

Później tego samego dnia Gregor oznajmił:

– Powiedziałem mu też, że posługujesz się wszystkimi używanymi tam językami. Dasz radę to szybko nadrobić, gdy już będziesz na miejscu? Nie powinno ci zająć dużo czasu, by jako tako się dogadać.

Harper zastanawiał się, czy malajski, którego nauczył się jako dziecko, pomoże mu z indonezyjskim, i czy uda mu się go odgrzebać z odmętów pamięci. Nauka języków przychodziła mu łatwo, osiągał poziom zaawansowany znacznie szybciej niż większość ludzi, ale wejście na taki rodzaj biegłości, o jakim mówił Gregor, wymagało lat – a jawajski to już zupełnie osobna historia. Optymizm Gregora co do jego lingwistycznych zdolności opierał się wyłącznie na jego własnej kolosalnej ignorancji. Harper zrobił skrzywioną minę, jakby chciał zasugerować, że to nie jest takie proste, na co Gregor odpowiedział:

– Och, daj spokój. Wy, mieszkańcy, łatwo uczycie się języków, macie do tego prawdziwy talent. Na pewno w ciągu kilku tygodni będziesz mówił całkiem płynnie, z akcentem i w ogóle.

Harper czuł, jak z wypowiedzi Gregora kropla po kropli przesączają się wszystkie krążące po biurze uwagi na jego temat: o tym, jaką ma świetną opaleniznę, jak bardzo musi lubić pikantne potrawy. Tego rodzaju komentarze zawsze były formułowane jako komplementy. Od dwunastego roku życia na stałe mieszkał w Holandii, ale ludzie wciąż często zwracali uwagę na to, jak nienagannie mówi po holendersku.

Jego próg bólu był dość wysoki, ale Harper miał jedną słabość: wielki i przygniatający lęk przed każdą sytuacją, w której oddychanie jest utrudnione. To nie było to samo co klaustrofobia: nie miał żadnych problemów z windami czy samochodami. Jeśli okoliczności tego wymagały, mógł bez trudu przez wiele godzin ukrywać się w szafie, o ile tylko były w niej otwory, przez które dało się oddychać – za to myśl o śmierci w wyniku uduszenia lub utopienia napełniała go przerażeniem. Czasami myślał, że chodzi o totalność tego uczucia. Ból należał do miejsca, w którym znajdowało się jego źródło – złamana ręka, jakkolwiek by bolała, była tylko złamaną ręką. Nawet ból brzucha lub pleców, te najbardziej wewnętrzne z wszystkich rodzajów bólu, można było wyodrębnić z reszty ciała, odgrodzić od własnej świadomości, jeśli miało się tylko dość siły, ale niemożność oddychania, bez względu na powód, to był stan ogarniający całego człowieka.

Więc gdy narzucono mu na głowę kaptur, wpadł w panikę i gwałtownie wziął haust powietrza, zasysając przy okazji do ust szorstką tkaninę. Dwaj mężczyźni – każdy trzymał za jedno ramię – rzucili go na ziemię; wylądował na plecach z głuchym łupnięciem, aż szarpnęło mu do tyłu głową, co pozbawiło jego płuca resztek tchu i musiał wziąć kolejny oddech, tym razem znacznie łapczywiej. Gdy przewrócił się na bok, zmusił się do szybkiej analizy sytuacji: zapewne uraz kręgosłupa szyjnego, na pewno stłuczenia na plecach. Przynajmniej nie miał złamanej kości ogonowej – to by natychmiast poczuł. Przycisnął brodę do klatki piersiowej i napiął mięśnie, czekając, aż któryś z mężczyzn zacznie go kopać: mając ręce związane z tyłu, nie mógł zwinąć się w kłębek, więc jego głowa była całkowicie odsłonięta. Jednak nie to, lecz oddychanie martwiło go najbardziej. Zdążył już nawet zanotować, jaką sprawnością się wykazał, uświadamiając sobie to wszystko.

Zamiast mu przyłożyć, mężczyźni wyszli jednak z pomieszczenia. Przynajmniej tak mu się wydawało, bo rozległo się szuranie ich nóg na podłodze i trzaśnięcie drzwi.

Leżał całkiem nieruchomo, ale jego zdyszany oddech był na tyle głośny, że nie pozwalał nasłuchiwać tego, co się dzieje w pomieszczeniu. Harper ciągle gwałtownie wciągał powietrze, z każdym haustem zasysając materiał kaptura do ust, co skracało jego oddech i sprawiało, że dyszał jeszcze ciężiej. Wreszcie zrozumiał, że jeśli nie uspokoi oddechu, może się udusić sam, bez niczyjej pomocy. Tak właśnie się działo: skracałeś oddech, milimetr po milimetrze, zupełnie jak ktoś ze sznurem na szyi, kto tak rozpaczliwie usiłuje się uwolnić, że tylko coraz mocniej zaciska pętlę. Czy zastosują na nim sztuczkę z wodą? Słyszał historie o ludziach, którzy w trakcie podtapiania dusili się własnymi wymiocinami.

To byłoby naprawdę głupie: udusić się, gdy nawet nie próbowali go zabić. Leżał, starając się uspokoić płuca, sprawdzając stopień bólu w ramionach ściągniętych za plecami. Odkrył, że jeśli wykonuje nimi krótkie koliste ruchy, jak podczas rozgrzewki, to nieco łagodzi ból.

Udało mu się spowolnić odrobinę oddech, ale tylko odrobinę. Za każdym razem, gdy robił wdech, nadal wciągał do ust kaptur niczym wydęty żagiel, co go skracało. Gdy zaś robił wydech, wydymał tkaninę o wiele mocniej, niż nakazywałby rozsądek, wypełniając wnętrze kaptura dwutlenkiem węgla. „Muszę z tym skończyć”, pomyślał.

Drzwi znowu się otworzyły, uderzając o ścianę. Światło w pomieszczeniu uległo zmianie – widział to przez kaptur. Dobiegały go przytłumione dźwięki, ale był pewien, że do środka weszło kilku mężczyzn. Czyjaś para rąk zaczęła manipulować przy jego szyi oraz przy sznurku do ściągania u kaptura. Przeszło mu przez głowę, że jeśli nie będą dostatecznie ostrożni, zamiast go uwolnić, sprawią, że się udusi. Sznurek zacisnął się na jego tchawicy, potem ktoś go poluzował i ściągnął mu kaptur z głowy. Gdy wzrok nieco mu się przyzwyczaił, dostrzegł przed sobą czyjaś rozmazaną sylwetkę i kolejne dwie postaci nieco dalej, oparte o ścianę, ale zanim zdążył się zorientować, z kim ma do czynienia, jakaś ręka chwyciła go garścią za włosy i zaczęła potrząsać

jego głową z boku na bok. W jego polu widzenia nagle pojawiła się okrągła twarz Joostena, a w uszach zadudnił jego głos:

– Pobudka, Nic, staruszkule! Zdałeś!

– Pieprz się, Joosten – wysapał Harper. Każdy oddech wywoływał ból w jego piersiach. – Pieprz się.

Obaj instruktorzy, oparci ze skrzyżowanymi rękami o ścianę celi, wybuchli śmiechem. Joosten poklepał go po ramieniu, a Harperowi przemknęło przez myśl – gdy ciężki jak piasek oddech wciąż świszczął mu w gardle, a klatka piersiowa unosiła się spazmatycznie – że kiedy znajdzie się w terenie, to wcale nie będzie zabawa.

W tym, że przybył do Dżakarty statkiem, dostrzegł ciekawą symetrię. W wieku trzech lat wyruszył w długą morską podróż z tego samego portu, być może nawet z tego samego nabrzeża, i oto teraz, dwie dekady później, wracał tutaj w ten sam sposób. Ostatni raz, gdy stał w tym miejscu, był mizernym chłopcem z ogoloną głową, ze względu na wszy. Teraz był mężczyzną. Odbił służbę wojskową, a nawet – na co Gregor zwrócił uwagę Johnsonowi – otrzymał specjalne wyróżnienie; był wyszkolony i świetnie przygotowany.

Wyobrażał sobie siebie jako wielkookiego, niedożywionego uchodźcę, który uczepiony matczynej spódnicy patrzy z podziwem na mężczyznę, jakim się stał. „Wróciłem”, pomyślał, gdy stanął na nabrzeżu długo po tym, jak pozostali pasażerowie zeszli na ląd. Czekał, aż wyładują skrzynię, z którą podróżował, przyglądając się przestronnym magazynom, brygadam półnagich robotników oraz brygadziście pokrzykującemu na nich piskliwym głosem. Pirs służył do obsługi rejsów dalekomorskich, pasażerskich liniowców, a jego statek był jedynym, który obecnie przybił do portu. W oddali, po prawej stronie, ciągnął się długi rząd doków, gdzie cumowały mniejsze frachtowce, drewniane łajby, wyglądające jak ledwo zdatne do żeglugi, z łuszczącą się farbą na wysokich dziobach. Te statki kursowały między Sumatrą, Borneo i może też mniejszymi wyspami, przewożąc niemal wszystko: od cementu

przez łupiny kokosów po paszę dla zwierząt, kawę i przyprawę. Harper mógłby wsiąść na jeden z nich i znaleźć się niemal wszędzie, a dla wszystkich innych – nigdzie. Co za doskonały pomysł. Im bardziej się oddalałeś, tym bardziej rozmazany stawał się twój obraz, aż w końcu już nikt nie wiedział, gdzie się znajdujesz, a nawet czy w ogóle istniejesz. Gdyby nie poważny charakter jego misji, mógłby podejść teraz do jednej z tych łodzi, porzucić skrzynię i pełen rozmaitych materiałów metalowy kufer, pozbyć się wszelkich śladów amerykańskości i holenderskości, dać kapitanowi łapówkę, zaszyć się gdzieś na pokładzie – i zniknąć.

Port był w trakcie rozbudowy; wokół wznosiły się szkielety nowych magazynów, a spod mechanicznego szumu silników okrętowych oraz pokrzykiwań robotników portowych dobiegały chrzęst i łomot pracujących maszyn: narastający hałas, który sprawiał, że port wydawał się żywą istotą, wymagającym nakarmienia potworem. Z lewej strony, wzdłuż krawędzi betonowego nabrzeża, stał rząd ciężarówek wyładowanych workami z piaskiem i zwojami lin – Harper pomyślał, że samochody zaparkowały niebezpiecznie blisko wody. W pewnym momencie stojący na szczycie worków mężczyzna uniósł rękę zakończoną stalowym pytajnikiem haka. Zaczepił hak o jeden z worków, następnie pociągnął i rozciął worek na pół. Piasek wysypał się gwałtowną strugą z paki ciężarówki i wpadł do taczki trzymanej przez innego mężczyznę. Indonezja: kraj w ciągłej przebudowie. Na tyle śledził najnowszą historię, by to wiedzieć. Ale co dalej? Gdzie teraz zmierza kraj, kiedy wielki Bung Karno²⁶ dryfuje coraz bardziej w stronę Pekinu?

Na pokładzie statku kupił paczkę kretków i przystanął ceremonialnie, żeby zapalić jednego – obiecał sobie, że z tym poczeka, dopóki nie stanie na jawajskiej ziemi. Nie było to nic wielkiego, ledwie drobny, prywatny gest dla uczczenia powrotu, ale to mu zupełnie odpowiadało: jedyną osobą, która potrafiłaby docenić wagę tej chwili, była jego matka, a ona nawet nie miała

pojęcia, gdzie Harper się teraz znajduje – wiedziała jedynie, że wyjechał z Amsterdamu „w kolejną z tych swoich durnych podróży”, jak je określała. Później zresztą oskarżała go, że w ogóle nie wyjechał, tylko po prostu jej unikał.

– Kiedy zamierzasz znaleźć jakąś miłą dziewczynę i wreszcie się ustatkować? Co jest z tobą nie tak? W twoim wieku byłam już dwukrotnie zamężna. – To akurat nie do końca było zgodne z prawdą, ale Anika rzadko trzymała się faktów.

Pstryknął zapałką na nabrzeże, zaciągnął się głęboko papierosem, wypuścił dym, po czym odgonił ręką młodego mężczyznę, który wyrwał się z tłumu z nadzieją, że będzie mógł zabrać jego kufer albo jedną z leżących na nim walizek.

– *Tidak, tidak* – powiedział Harper, po czym dodał: – *Terima kasih, tak usah*²⁷.

Przesunął językiem po wargach i poczuł słodki smak goździków: kretek wprowadził w stan słodkiego jak miód, delikatnego delirium, krótkotrwałego, lecz uzależniającego. Po trzech tygodniach na morzu wydawało mu się, że ziemia ugina się pod jego stopami.

Miał się spotkać z kierowcą – zorganizowało to miejscowe biuro. Statek przybił do portu wcześniej, ale Harperowi zajmie trochę czasu zlokalizowanie skrzyni, gdy już zakończy się rozładunek. Kierowca się spóźnił. Nie było pośpiechu. Z prawej strony wisiały już w powietrzu na linach skrzynie podniesione z ładowni, poniżej czekali robotnicy portowi, brygadzista pokrzykiwał.

Jeśli chodzi o Instytut, to nie było tu jeszcze biura w sensie fizycznym, tylko personel składający się z dwóch miejscowych, którzy pracowali ze swoich domów, a teraz byli gdzieś poza miastem, w środkowej części Jawy, i starali się rozeznać w sytuacji. Przez pewien czas, a nawet i potem, nie będzie więc żadnych odpraw; Harper będzie w mniejszym lub większym stopniu prowadził

samodzielną operację, zgodnie z instrukcjami Johnsona. Miejscowy personel miał mu pomóc w kwestiach językowych, a także doradzić w sprawach obyczajów i norm postępowania – to nie byli wyszkoleni ludzie. Będzie więc miał okazję, by zorientować się nieco w okolicy, przespacerować się, przywyknąć do wilgotności powietrza, poćwiczyć indonezyjski w sklepach i restauracjach w dzielnicach miasta oddalonych od tych, w których przyjdzie mu pracować – a także kupić więcej kretków. Gregor może i wykazał się nadmiernym optymizmem co do jego umiejętności językowych, ale jedno było pewne: wkrótce zaczną palić jak miejscowi.

Zgodnie z instrukcjami miał pojechać z kierowcą do dzielnicy leżącej na północ od Glodok. Kierowca wiedział, gdzie ma jechać i na której ulicy poczekać. Po wszystkim Harper miał zostać zawieszony do pensjonatu w dzielnicy Menteng, najpierw jednak musiał przekazać Amerykanom skrzynię. Po drodze zaczął siąpić delikatny deszcz, okrywając mgiełką kolejne rzędy niskich budynków. Po pewnym czasie magazyny ustąpiły miejsca długim szeregom sklepików z otwartymi frontami. Harper od czasu do czasu zerkał na kierowcę, cichego mężczyznę z trójkątną twarzą. Domyślał się, że jest kimś więcej niż tylko kierowcą. Próbował poćwiczyć na nim swój indonezyjski, ale mężczyzna odpowiadał tak szybko i krótko, że zupełnie nie mógł go zrozumieć.

W starej części Dżakarty główne ulice były szerokie, ale za nimi rozciągała się platanina mniejszych dróg i alejek, choć Harperowi poradzono, że jeśli chce poznać prawdziwe znaczenie słowa „wąski”, powinien przejechać się przez kampong. Większa część Dżakarty składała się z kampongów, jak mówił Joosten: dzielnic slumsów podzielonych na mniejsze części, z małymi uliczkami, które były zabudowane gęsto ściśniętymi otwartymi szopami, tak że spacerując tamtędy, przechodziło się właściwie przez środek czyjegoś domostwa. W kulminacyjnym momencie suchego monsunu wiele baraków

płonęło. Szybko wyrastały na nowo, a gdy następowało załamanie pogody i nadciągał wilgotny monsun, zalewała je powódź. Ogień i woda: dwa występujące na przemian główne niebezpieczeństwa Dżakarty.

Zaparkowali na ulicy na tyłach dworca kolejowego Kota i czekali w milczeniu. Harper zaproponował kierowcy papierosa, a ten przyjął go z krótkim skinieniem głową. W końcu zatrzymał się za nimi inny samochód, z którego wysiadł biały, mniej więcej w wieku Harpera, wraz z dwoma Indonezyjczykami. Harper zobaczył ich w tylnym lusterku i otworzył drzwi. Gdy zdołał wreszcie wysiąść, facet już stał obok i wyciągał rękę na powitanie.

– Jestem Michael, witamy w Dżakarcie. – Mówił z amerykańskim akcentem, a z kieszeni jego marynarki wystawał pod kątem nieduży łom.

– John.

Uścisnęli sobie dłonie.

Michael odwrócił się w stronę swoich dwóch towarzyszy, którzy już podnosili skrzynię z bagażnika samochodu Harpera. Była ciężka – nieśli ją, trzymając oburącz i powłócząc nogami; w końcu załadowali do bagażnika wozu Amerykanina. Harper czekał, podczas gdy Michael podszedł do tyłu swojego pojazdu, pokazał swoim ludziom, żeby wsiedli z powrotem, sam zaś wsunął głowę do bagażnika. Rozległ się trzask pękającego drewna, gdy podważył wieko skrzyni. Przez kilka chwil stał pochylony – być może coś liczył albo odgarniał słomę. Karabiny M1 Garand? Heckler & Koch? A może amunicja, co bardziej prawdopodobne przy tak małej dostawie – lub jakiś specjalistyczny sprzęt? W końcu Michael wyprostował się i podniósł rękę do Harpera w geście pozdrowienia.

Pierwsze zadanie wykonane. To było dość łatwe.

– Teraz do pensjonatu, proszę pana? – spytał kierowca, a na jego twarzy po raz pierwszy zagościł uśmiech.

Harper skinął głową.

– Teraz do pensjonatu.

Przez kilka miesięcy przechodził aklimatyzację. Przyzwyczał się do fali upałów zalewającej miasto o każdej porze dnia i nocy oraz do tego, jak wisząca w powietrzu duchota przyprawia go z samego rana o lekkie mdłości. Objeżdżał miasto na motorowerze, lawirując pomiędzy samochodami na szerokich autostradach, które wrzynały się w dzielnice slumsów niczym ścinająca trawę kosiarka: Wielki Przywódca Sukarno przeprowadzał ogromny program budowlany, który miał udowodnić, że Dżakarta jest prawdziwie nowoczesnym miastem, Paryżem Wschodu. Pisał raporty dla Johnsona i Amsterdamu na temat rosnących wpływów komunistycznej PKI w niektórych dzielnicach; wszędzie na murach było widać antyzachodnie hasła: „ŚMIERĆ KAPITALISTYCZNYM ŚWINIOM”. Zaprzyjaźnił się z gangsterem o imieniu Benni i był świadkiem pierwszego, lecz nie ostatniego w swym życiu przypadku torturowania człowieka.

W miarę jak w Dżakarcie narastała wrogość wobec cudzoziemców, zaczęli oni wyjeżdżać z miasta, zwłaszcza Amerykanie i Brytyjczycy. Harper już rozumiał, dlaczego Gregor wybrał do tej misji właśnie jego. Kupił sobie ubrania w sklepie obok pensjonatu, zapuścił nieco włosy, a potem poszedł do fryzjera na Dżalan Gondangdia, który obciął mu je tak, jak nosili się miejscowi mężczyźni – Harper uświadomił sobie, że przyjechał z nieco za krótkimi włosami, zbyt starannie przystrzyżonymi w okolicach uszu. Szlifował język i pracował nad lokalnymi zwyczajami. Gdy nie towarzyszył gangowi Benniego, wałęsał się po mieście ubrany w białą koszulę i sarong. Czasami spędzał czas, przesiadując w kucki przy drodze wraz z innymi kierowcami motorowerów, którzy nie mieli nic innego do roboty, ponieważ ciągle brakowało benzyny. Wziął udział w kilku demonstracjach, na których nosił czerwoną bandanę i wykrzykiwał slogany, ale instrukcje były jasne: obserwować, przyłączać się, ale nie angażować w sposób aktywny. Tylko raz

zdarzyło mu się przekroczyć granicę i dał się ponieść emocjom, kiedy australijska ekipa telewizyjna filmowała marsz, w którym uczestniczył. Mijając dziennikarzy, potrząsnął w ich stronę pięścią i krzyknął: „Pachołki Brytyjczyków!”, a otaczający go młodzi ludzie podchwycili hasło. Ekipa podążała za nimi przez kilka minut, aż w końcu dwóch młodzieńców z grupy Harpera odłączyło się od reszty, podeszło do Australijczyków i zaczęło ich odpychać. Harper szedł dalej, ale zerkał za siebie: to okropnie frustrujące, że zawsze znajdował się na uboczu prawdziwej akcji.

Kiedy indziej ubierał się w beżowe luźne spodnie i koszulę, traktował włosy pomadą, wkładał na głowę panamę i robił rundę po barach uczęszczanych przez zagranicznych dziennikarzy. Raz natknął się nawet na mężczyznę, który – był tego pewien – znajdował się wtedy w australijskiej ekipie telewizyjnej, ale Harper, ubrany w zachodnie ciuchy i mówiący nienaganną angielszczyzną, był zupełnie nie do poznania dla Australijczyka, dla którego zapewne wszyscy indonezyjscy demonstranci wyglądali tak samo. Mężczyzna nazywał się Gibson; siedzieli razem przy okrągłym stoliku w knajpie w bocznej uliczce odchodzącej od Dżalan Thamrin, i pili Tjap Tikus, gatunkowy arak.

– Sukarno zaczyna zjadać własny ogon – wyjawiał mu Gibson. – Wiesz, że wielu ministrów nocuje z dala od domów? Ojciec Narodu traci czujność. Kiedy sprawiasz, że twoi ludzie robią się nerwowi, to sam wiesz... – Szturchnął znacząco Harpera w żebra.

Później, gdy Harper przerzucił się na sok owocowy, Gibson, który dalej popijał arak, stał się jeszcze bardziej gadatliwy.

– Indonezja to nie nacja, lecz imaginacja – oznajmił, po czym rozejrzał się wokół zadowolony z siebie. – Sukarno to wymyślił! Powiedział to w przemówieniu, ale uwierz mi, kiedy go usuną, całe to miejsce zniknie... niczym sen... – W tym momencie Gibson rozczapierzył palce i zaczął robić półkoliste ruchy przed twarzą Harpera. – To wszystko się rozpadnie. Łatwo

się z niego naśmiewać, z tej jego czapki, z tych jego dziewczyn, ale zobaczysz, co się stanie, gdy go zabraknie. Tylko poczekaj. On to trzyma razem. – Gibson zacisnął pięść.

Harper odnotował w myślach, jakie sympatie ma Gibson – być może Amerykanie powinni go sprawdzić – i nie mogąc się powstrzymać, dodał:

– Cóż, może poczekamy i zobaczymy, co się stanie, gdy cały ten region zamieni się w kolejny blok komunistyczny. Ciekawe, jak po indonezyjsku mówi się na gułag.

W barze panował półmrok; wentylator nad nimi nie dawał chłodu, do tego był spory tłok. Wielu cudzoziemców wyjechało, a w mieście pozostało już mało miejsc, w których przybysze z Zachodu czuli się swobodnie. Gibson wyjął z kieszeni chusteczkę i przetarł twarz.

– Bóg jeden wie, czemu nazywają to zimną wojną, skoro w Dżakarcie jest tak kurewsko gorąco. – Harper klepnął go w ramię i obdarzył przekonującym wybuchem śmiechu.

Wtedy przyszło nagłe polecenie od Johnsona: zapomnij o gangsterach. Cztery miesiące starannego, napawającego obrzydzeniem, a czasami i niebezpiecznego urabiania Benniego poszło na marne.

– Dlaczego? – zapytał Harper.

Siedzieli z Johnsonem w tym samym barze, w którym spał do nieprzytomności Gibsona, ale tym razem był dzień, a oni popijali zieloną herbatę. Godzina policyjna sprawiała, że nocne wypadki stawały się coraz bardziej kłopotliwe; wszyscy dziennikarze tkwili teraz w hotelowym barze, a z powodu przerw w dostawie prądu niektóre miejsca i tak zamykano na noc. Hari Merdeka²⁸ przyszło i minęło, a Sukarno ogłosił nowy etap rewolucji, co dla większości ludzi oznaczało, że braki w dostawach ryżu osiągnęły rozmiary epidemii głodu. Nikt już nie płacił rupiami, bo to nie miało sensu: ludzie

domagali się, by płacono im ryżem, a nie było tyle ryżu, by można nim płacić, więc niektórzy całymi bandami wpadali do sklepów i sami się obsługiwali.

Harper z Johnsonem siedzieli od frontu, przy oknach z zaciągniętymi żaluzjami, w miejscu, w którym stał samochód Johnsona zaparkowany przy krawężniku. Harper zauważył, że Amerykanin już nigdzie nie chodzi piechotą – zawsze jeździł autem z dwoma ochroniarzami w środku. Młodzieżówka PKI zabrała się już do bicia cudzoziemców.

Johnson znajdował się w swoim zwykłym, małomównym nastroju i ostrożnie sączył herbatę, raz na jakiś czas zerkając przez okno.

– Sytuacja szybko się zmienia – oświadczył. – Musimy podkręcić tempo.

Johnson upierał się, żeby Harper przeprowadził się do hotelu Indonesia, który był pełen zagranicznych dziennikarzy w rodzaju Gibsona oraz biznesmenów gotowych przymknąć oko na narastające napięcia polityczne, dopóki Dżakarta stwarza okazję do zysku: wszak Sukarno w dalszym ciągu budował autostrady.

– Nie możemy ci zagwarantować bezpieczeństwa, jeśli zostaniesz w pensjonacie – oznajmił Johnson, a Harper od razu miał ochotę zapytać: „A kiedy w ogóle stanowiliście gwarancję mojego bezpieczeństwa?”. Johnson będzie troszczył się o niego do czasu, aż Harper zostanie w ten czy inny sposób zdekonspirowany, a wówczas zaprzeczy, by on lub jakikolwiek amerykański urzędnik spotkał kiedyś tego człowieka, a nawet go znał. Pobyt w takim miejscu jak hotel Indonesia, pełnym nieustannie śledzonych obcokrajowców, narażał go z pewnością na inny rodzaj niebezpieczeństw.

I tak oto Harper znów zmienił tożsamość. Starannie złożył i schował sarong, a w hotelu zameldował się ubrany w spodnie i panamę, z gazetą pod pachą, krocząc z wyprostowanymi plecami.

– Witamy w hotelu Indonesia, proszę pana – przywitał go portier z głębokim

ukłonem.

Odpowiedział na uprzejmość, dotykając gazetą brzegu czoła i przez chwilę rozważał, czy nie powiedzieć „*ciao*”. Może powinien nauczyć się trochę włoskiego? Nieraz już brano go za Włocha. Znał Żydów, Arabów i Azjatów, którzy udawali Włochów. Włochów wszyscy lubili – mieli świetną kuchnię, piękne kobiety, a do tego byli beznadziejni w podbijaniu innych krajów.

Nie podobało mu się, że musi mieszkać w eleganckim hotelu, w którym niemal na pewno podsłuchiowano wszystkie rozmowy telefoniczne, a część personelu stanowili aparaczczyki rządowych służb bezpieczeństwa. No dobra, klimatyzacja i wygodne łóżko były w porządku, lecz z profesjonalnego punktu widzenia czuł się zbyt odsłonięty, by wykonywać swoją pracę. Nie mógł już operować pod przykryciem – koniec z przechadzkami po ulicach w sarongu. Zaczął się zastanawiać, czy Johnson nie umieścił go w tak absurdalnie drogim miejscu dlatego, że doszedł do wniosku, iż Harper już do niczego mu się nie przyda. Nie byłby to zresztą pierwszy taki przypadek. „Ciekawe – pomyślał – ile takie operacje kosztują i jak czuliby się amerykańscy podatnicy finansujący takich kolesi z CIA jak Johnson, gdyby o tym wiedzieli”.

Pewnego wieczoru Harper zszedł na dół do holu i odkrył, że stojący w środku portier nie otwiera szeroko drzwi na podjazd przed hotelem, nie uśmiecha się ani nie gnie w ukłonach, lecz stoi nieruchomy i wyprostowany, ze skrzyżowanymi rękami i poważnym wyrazem twarzy.

Zastępca dyrektora hotelu stał obok niego uśmiechnięty. Na widok Harpera podszedł i powiedział:

– Dobry wieczór, życzy pan sobie skorzystać z sali restauracyjnej lub z baru? – Zamaszystym gestem wskazał drugą stronę holu.

– Czy coś się stało? – spytał Harper, wyglądając na podjazd, gdzie zatrzymywały się kolejne eleganckie samochody, z których wysiadali

roześmiani pasażerowie udający się do nocnego klubu na najwyższym piętrze. Ulice wyglądały w miarę normalnie.

– Nie, ależ skąd – odparł szybko zastępca dyrektora, nie przestając się uśmiechać. – Czy mam wezwać dla pana taksówkę?

To było tylko przeczucie, nic konkretnego.

– Nie, dziękuję – odrzekł.

Po powrocie do pokoju przekręcił gałkę w radiu stojącym przy łóżku, ale znalazł tylko pasmo z muzyką nadawaną przez hotel, a poza tym biały szum. Dziwna sprawa. Zwykle w radiu bez przerwy nadawano przemówienia Sukarno, a wcześniej tego wieczoru prezydent występował na stadionie Senayan. Harper wyłączył radio i podszedł do okna. Ogromna okrągła sadzawka, która zajmowała cały środek ronda pod hotelem, tonęła w ciemnościach, a reflektory były wygaszone. Kilka pojedynczych samochodów okrążało rondo. Harper miał wrażenie, jakby miasto wstrzymało oddech.

Rano obudził się z tym samym dziwnym uczuciem. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Na rondzie panowała cisza. Normalnie o tej porze na korytarzu byłoby już słychać krzątanie personelu – czy mu się zdawało, czy tam też panowała cisza? Po miesiącach niemal codziennych demonstracji czegoś wyraźnie mu brakowało – czy to unoszące się w powietrzu napięcie nagle zniknęło? Może jest już po prostu zmęczony czekaniem. Wiadomo, że nic tak nie wyczerpuje, jak bezczynność.

Jedynym miejscem, w którym mógł uzyskać jakieś informacje, był bar.

Wszyscy dziennikarze pili i jedli na śniadanie orzeszki. Wtedy właśnie się dowiedział. Ci, którzy monitorowali Radio Republiki Indonezji, usłyszeli po przebudzeniu komunikat o komunistycznym zamachu stanu. W barze siedziała już większość dziennikarzy, oprócz tych, którzy wciąż jeszcze spali: krążyła

plotka, że nowozelandzki korespondent, który słynął z szalonych, ryzykanckich akcji w pogoni za materiałem, wyruszył na plac Merdeka, gdzie żołnierze ustawiali już blokady wokół pałacu prezydenckiego.

Harper też zamówił sobie drinka i usiadł na stołku barowym obok grupki Australijczyków.

– To koniec, chłopcy, mówię wam – rozprawiał jeden z nich. – Komuchy przejmują władzę, więc równie dobrze możemy się spić, bo przed zachodem słońca wpakują każdemu z nas po kulce w tył głowy.

– Poczekamy, zobaczymy – odparł przeciągle inny, podnosząc szklanę.

Wśród dziennikarzy panował lekko histeryczny nastrój, którego Harper jednak nie podzielał. Po pewnym czasie poszedł na górę i zaczął palić jednego papierosa za drugim, czekając na telefon z instrukcjami. Ale telefon nie dzwonił.

Wystarczyły trzy dni, a ci sami dziennikarze znów siedzieli w barze i świętowali. Komunistyczny przewrót poniósł klęskę. Wojsko odzyskało władzę. Dwa dni później generałowie zabici przez komunistów podczas próby zamachu stanu, puczu czy jakkolwiek to nazwać zostali pochowani z pompą i honorami na Cmentarzu Bohaterów Kalibata.

Wciąż nie było żadnych wieści od Johnsona.

Tego popołudnia Harper postanowił sprawdzić, czy uda mu się nawiązać międzynarodowe połączenie: linie były wyłączone od kilku dni, ale od czasu do czasu warto było spróbować. Kilka razy zdarzyło się, że któryś z pismaków wkraczał do baru, pusząc się jak paw, że udało mu się połączyć, na co wszyscy rzucali się w popłochu do wyjścia. Po chwili wracali niepokieszeni, ponieważ linie znowu były zerwane.

Harper wolał korzystać z aparatu w holu niż z tego w swoim pokoju, choć

oba prawdopodobnie znajdowały się na podsłuchu. Gdzieś w podziemiach hotelu mieściła się zapewne piwnica z niskim stropem, a w niej, za biurkami ustawionymi w rzędach, siedzieli młodzi mężczyźni ze starannie uczesаныmi włosami, słuchawkami przyciśniętymi do ucha i ołówkami w dłoniach. Bez względu na to, jak często zmieniał się reżim, tam wciąż siedzieli ci sami ludzie i bez przerwy robili notatki. Aparat rządowy niższego szczebla zwykle pozostawał niezmienny, przynajmniej przez pewien czas: meldunki dostarczano po prostu innemu szefowi, to wszystko. Małe trybiki ciągle się obracały, mimo że wielkie koło nad nimi stopniowo zwalniało, a potem – tak naprawdę nigdy nie stojąc w całkowitym bezruchu – zaczynało się poruszać w przeciwnym kierunku.

– Nie ruszaj się stamtąd – polecił pracownik obsługujący telefon w Instytucie. To było na długo przed czasami dwudziestoczworgodzinnej gorącej linii i przetwarzanych komputerowo informacji: facet w centrali siedział przy biurku z listą ręcznie zapisanych poleceń, które miał przekazać Harperowi, gdyby ten zadzwonił. – Kiedy sytuacja się ustabilizuje, będziemy chcieli twojej analizy dotyczącej tego, jak odbudowuje się gospodarka.

– Z radością zbiorę na ten temat więcej informacji, gdy tylko będzie to możliwe – odparł Harper.

Kilka dni później wybrał się na spacer bocznymi uliczkami, tylko na parę minut, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Poczł wielką ulgę, mogąc choć na krótko pobyć na zewnątrz, z dala od klaustrofobicznej hotelowej rzeczywistości. Gdy w drodze powrotnej skręcił za róg, ujrzał grupkę młodych ludzi zdzierających z muru ręcznie zrobione plakaty. Na jednym z nich mignął mu komunistyczny slogan. Mężczyźni darli papier na strzępy i skakali po nim.

Zdziwiło go nie to, że ci młodzieńcy zrywali plakaty, lecz że zostały w ogóle rozwieszane: bezsensowny prowokacyjny gest ze strony PKI,

pomyślał, zwłaszcza że antykomunistyczne nastroje osiągnęły stan wrzenia. Nie miało to najmniejszego sensu.

Radio codziennie podawało szczegółowe doniesienia na temat tego, jakich to okropności dopuścili się komunistyczni zdrajcy, zanim dzielna i lojalna armia zdołała przywrócić porządek i ocalić naród. Po tym, jak bohaterskich generałów uprowadzono w środku nocy, nikczemne kobiety z Gerwani obcięły im jądra i aby ich dodatkowo udręczyć, tańczyły przed nimi całkiem nagie. Wyglądało na to, że komunistki są jeszcze gorsze od komunistów.

„Śmierć komunistycznym zdrajcom!”, nawoływał spiker radiowy.

W kolejnym tygodniu Johnson wreszcie nawiązał z nim kontakt. Spotkali się na ulicy na tyłach hotelu; szli do siebie z naprzeciwka długim, nierównym chodnikiem, wzdłuż którego z jednej strony biegła jezdnia, a z drugiej ciągnął się popękany mur z betonu. Pokrywały go graffiti i pozdzierane plakaty, u stóp palm rosnących wzdłuż drogi wałały się śmieci, niebo było zachmurzone, a w powietrzu unosiła się nienaturalna cisza. Johnson skinął mu od niechcenia głową, zupełnie jakby widzieli się zaledwie dzień wcześniej. Gdy podeszli do siebie, zatrzymali się, stając do siebie twarzami. Obaj skrzyżowali ramiona na piersiach.

– Pak Parno – powiedział Johnson. Bez przerwy rozglądał się na boki.

– Kto to taki?

– Nie musisz wiedzieć. Ustosunkowany człowiek, to wszystko. Tu masz adres. – Podał Harperowi złożoną kartkę.

Pejompongan, Dżalan Danau Manindzau, niedaleko od Szpitala Marynarki. Znał trochę tę okolicę – meczet, kościół katolicki, parterowe domki klasy średniej; mieszkało tam wielu urzędników służby cywilnej. Może to był jakiś attaché marynarki wojennej? Marynarka była jednak mocno zinfiltrowana przez komunistów, a ten człowiek znajdował się przypuszczalnie po stronie

wojska, więc może raczej miał jakieś związki z siłami lądowymi lub lotnictwem?

– Spotkaj się z nim dziś po południu, w godzinach przyjęć. Postaraj się go wyczuć i niech on też wyczuje ciebie. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, dostarczysz listę nazwisk pewnemu generałowi, który w przyszłym tygodniu będzie przebywał u niego w domu.

– Jaki jest cel tej wizyty?

– Żaden, to towarzyskie spotkanie w celu zacieśnienia relacji. Wiesz, jacy są tutejsi. Zakumpluj się z nim odrobinę. Zachowuj się, jakbyś był zaszczycony tym spotkaniem.

Ulica była pusta, co wyraźnie wywoływało u Johnsona zdenerwowanie. Po drugiej stronie jezdni stał zaparkowany samochód z jego dwoma ochroniarzami, ale on i tak ciągle rozglądał się dookoła. W końcu spojrzał na zegarek i powiedział:

– Bądź tam o piątej.

Po południu Harper wziął spod hotelu *betjak*²⁹. Pochylił się, opierając przedramiona na poziomym drążku, a riksarz zaczął pedałowac.

– Pejompongan zajmuje duży obszar, proszę pana – rzucił przez ramię. Był starszym mężczyzną, z twarzą pokrytą zmarszczkami i rzednącymi włosami, lecz mimo tego, co się działo w mieście, wciąż wykonywał swoją robotę – w przeciwnym razie nie miałby co jeść. Większość riksarzy była młodymi ludźmi, ale ten tutaj wydawał się jednocześnie stary i pozbawiony wieku.

– Po prostu jedź w tamtym kierunku. Powiem ci, gdzie się zatrzymać – odparł Harper, który nie podał riksarzowi dokładnego adresu.

Zaczęła się akurat najgorętsza, najbardziej parna część dnia; powietrze kleiło się do ciała, niebo było zamglone. Riksarz miał duże i kościste kolana, które wydawały się nieproporcjonalne do jego chudych nóg: gdy pedałowac,

na przemian unosiły się i opadały niczym błyszczące kule w sklepieniu arkady. Harper czuł się zmęczony samym siedzeniem. „Ten człowiek musi być ode mnie trzy razy starszy i o połowę lżejszy – pomyślał – a patrzcie, jak sobie radzi”. Zmrok zapadnie dopiero za kilka godzin, a już miało się wrażenie, że budynki i ziemia oddają żar nagromadzony w ciągu dnia. Nawet jazda rikszą, choć kierowca mocno naciskał na pedały, nie przynosiła dającego ulgę wiaterku.

Na ulicach panował taki spokój, że podróż przebiegła znacznie szybciej, niż Harper się spodziewał. Kazał riksarzowi wysadzić się nad rzeką i postanowił nieco się rozejrzeć i rozeznac w okolicy. Woda w kolorze kawy z mlekiem miała wysoki poziom; pływało w niej trochę śmieci. Właśnie rozpoczęła się pora monsunowa i deszcz z każdym dniem robił się coraz bardziej ulewny. Ta rzeka wkrótce wyleje, podobnie jak większość rzek w Dżakarcie, ponieważ kolonialny system kanalizacyjny już dawno zamienił się w ruinę.

Harper nie był w kampongu od zamachu i kontrzamachu stanu. Przekroczył niepewnie wyglądający most zбитy z bambusa oraz starych desek i ruszył w kierunku nabrzeża z wałącymi się chatami, które gdzieniegdzie tak zwisały nad wodą, jakby lada moment miały do niej runąć. Wybetonowane nabrzeże było pęknięte nieopodal miejsca, w którym kobiety prały ubrania. Ziemia osypywała się tam do wody. Wszędzie wokół chat suszyło się pranie: tutaj każdy żył na widoku, w tych małych domkach wszystko robiło się wspólnie, a prywatność stanowiła kolejną pozycję na długiej liście rzeczy niedostępnych dla biednych.

Harper przespacerował się kawałek po kampongu, pozdrawiając skinieniem głowy kobiety siedzące z dziećmi na schodkach. Pomiędzy chatami i ubitymi ścieżkami biegły niewielkie rowy – miały odprowadzać wodę z wylewającej rzeki – nad nimi zaś przerzucono betonowe płyty, żeby ludzie mogli się dostać do swoich domów. Rowy były wypełnione wodą tylko w połowie, ale gdy

codzienne ulewy przybiorą na sile, miejscowi najpierw będą brodzić po kostki, a potem po kolana w brązowej wodzie. Kilka osób przyglądało mu się łagodnie, bez żadnej wrogości. Mimo że w mieście wrzało – torturowani generałowie, strach, ciągle utrzymujące się napięcie na placu Merdeka i szerokich bulwarach w centrum Dżakarty – tutaj panował niczym niezmacony spokój. Nikt na jego widok nie podrywał się z progu i nie wchodził do środka; ludzie kiwali głowami i uśmiechali się do niego.

Przewrót obchodził tylko tych ludzi, których dotyczył bezpośrednio – właśnie to wówczas przyszło mu do głowy, właśnie o tym zapominali ludzie pokroju Johnsona. Doniosłe wydarzenia były całym światem Johnsona, i do pewnego stopnia również jego, a jednak dla tych ludzi stanowiły one zaledwie tło rozmyślań o tym, skąd tego dnia wziąć ryż, czym za niego zapłacić i gdzie ukryć dobytek, gdy podniesie się poziom rzeki.

Na koniec obchodu, kiedy wracał w kierunku mostu, natknął się na grupę starszych, chudych jak szkielety ludzi z mętными oczami. Wyciągali do niego ręce, lecz albo byli zbyt słabi, żeby wymamrotać jakiegokolwiek błagania, albo też nie mieli złudzeń, że w ogóle warto się starać. Harper przemknął obok nich. Gdyby ktoś taki jak on dał im pieniądze, rozniosłoby się to po całym kampongu. Słyszając za sobą nawoływania i gwar rozmów, obejrzał się i zobaczył, że idzie za nim niewielka grupka podskakujących i roześmianych chłopców. On również się do nich uśmiechnął i pokręcił głową. Poszli za nim i tak, aż w końcu dotarli do mostu. Gdy na niego wszedł, zerknął do tyłu i zorientował się, że chłopcy zostali na brzegu, jakby rzeka stanowiła niewidzialny mur, którego nie mogą przekroczyć, mimo że w dalszym ciągu skakali, śmiali się i pokrzykiwali.

Po drugiej stronie mostu od razu znalazł się w dzielnicy typowych dla klasy średniej parterowych domków, gdzie mieszkał człowiek o nazwisku Parno. Harperowi było gorąco i czuł pragnienie; teraz żałował, że wybrał się na tę przechadzkę. Oby Parno podał coś chłodnego do picia.

Dwie minuty od rzeki na ulicach zalegała już zupełna cisza. Bungalowy były długie i niskie, z takimi samymi dachami wyłożonymi terakotą. Dom Parno stał na samym końcu ulicy. Zbliżywszy się do niego, Harper usłyszał w oddali hipnotyczne gongi gamelanu³⁰: ich dźwięk zawsze napełniał go dziwnym spokojem. Pomyślał, że pewnie musiał go słyszeć jako dziecko. Na tym właśnie polegała osobliwość tych jego kilku ostatnich miesięcy na Jawie: nowe widoki, nowe dźwięki, nowe zapachy, ale wiele z nich poruszało w nim coś znajomego, jakiś nieuświadomiony rezerwuar pamięci – a może tylko wydawało mu się, że tak właśnie powinno być.

Gdy pchnął niewielką bramkę z kutego żelaza i wszedł na dziedziniec, drzwi do domu otworzyły się szeroko. Wewnątrz stał młody mężczyzna z pochyloną głową, w beżowej koszuli, zapewne jakiś urzędnik. Kiedy Harper przekroczył próg, młodzieniec wyciągnął rękę, żeby wziąć od niego kapelusz.

Harper podał mu panamę, którą zakładał, gdy nie starał się uchodzić za miejscowego, jakby to ujął Gregor, i obrócił się, by ujrzeć, że na drewnianym cokole za drzwiami siedzi wypchany tygrys: cały tygrys, nieco podniszczony, w nienaturalnej pozycji, z obnażonymi kłami i szklanymi oczami patrzącymi w taki sposób, w jaki tylko szklane oczy potrafią patrzeć. Był nieruchomy, a mimo to jakby nie całkiem martwy.

– Czy jest coś smutniejszego niż wypchany tygrys?

Harper obrócił się i zobaczył kobietę rasy mieszanej, o jasnej karnacji, w zachodniej koktajlowej sukni, z wypomadowanymi czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu, pięknie wyrzeźbionymi rysami twarzy i złotymi kolczykami zwisającymi z uszu.

– Zniknęła cała jego siła, w środku został tylko piasek – dodała i odwróciła się od niego. Harper poszedł za nią do pokoju po lewej stronie. Gdy znaleźli się w środku, kobieta oznajmiła: – Mój mąż jest tutaj.

Pak Parno siedział za wielkim biurkiem, ubrany w purpurowo-złotą batikową koszulę. Gdy Harper podszedł do biurka, nie wstał, lecz tylko

wskazał wychodzącą kobietę.

– Moja żona jest bardzo piękna – oświadczył swobodnym tonem. Harper popatrzył na nią. Z tyłu wydawała się chuda jak grabie, w ogóle nie miała tyłka. – W dodatku pochodzi z dobrej rodziny.

Ta uwaga najwyraźniej go rozbawiła, ponieważ zachichotał pod nosem. W końcu wstał, obszedł biurko i wyciągnął rękę. Był pulchny, tak jak Harper się tego spodziewał, chociaż nie tak niski.

– Żona to wielkie błogosławieństwo, panie Harper, choć rozumiem, że pan nie jest żonaty. – Uśmiechnął się szeroko.

– To prawda. – Harper uklonił się lekko.

– Być może uda się panu znaleźć miłą jawajską żonę.

Parno wskazał na komplet wypoczynkowy w zachodnim stylu. Usiedli, a jego żona po chwili wróciła ze srebrną tacą, na której stały dwie ciężkie kryształowe szklanki oraz karafka. Gdy postawiła ją na stoliku, napełniła szklanki dla nich obu, po czym obróciła się do kominka, na którego gzymsie stało pudełko cygar.

Harper znał tę rutynę: whisky, cygara, męskie pogawędki. Parno należał do tego rodzaju biurokratów, którzy szczylic się prowadzeniem zachodniego stylu życia, lecz z zachowaniem umiaru – w łazience raczej nie było złotych kurków. To właśnie ta względna skromność pozwalała mu robić interesy, na których korzystali jego krewni i znajomi. Takiemu człowiekowi jak Parno nie wręczało się walizki pełnej pieniędzy: odebrałby to jako zniewagę. Należało raczej zaproponować pracę jego bratankowi. Dzięki temu czuł się hojny, a nie skorumpowany. Zawsze były sposoby na to, by przekupić tych, którzy nie chcieli czuć się skorumpowani. Pod wieloma względami właśnie oni byli najłatwiejsi do skorumpowania.

– A więc, panie Harper – zaczął Parno, gdy sączyli drinki. – Co pan myśli? Jaka jest pańska opinia, jeśli chodzi o walkę z Malezją? – Zrobił już dwie rzeczy: dał Harperowi do zrozumienia, że zna niektóre osobiste informacje na

jego temat, i zasygnalizował, że nie będą dyskutować o ostatnich wydarzeniach w Dżakarcie. Gospodarz wolał trzymać się bezpiecznego tematu. Konfrontasi³¹: tutejsze klasy polityczne lubiły rozmawiać o tym w taki sam sposób, w jaki Anglicy rozmawiali o pogodzie, czyli w ramach grzecznościowego wstępu do rozmowy.

Według Harpera wymachiwanie szabelką wokół cieśniny Malakka nie przyniesie rezultatów.

– Wolałbym się nie wypowiadać... – odparł uprzejmie, unosząc ręce. – Brytyjczycy słyną z tego, że są uparci. Jedyne, co naprawdę rozumieją, to upór innych ludzi wobec nich samych.

– To prawda, panie Harper, szczerą prawdą.

Pozwolił gospodarzowi prowadzić rozmowę, ale liczył na moment, kiedy będzie mógł posunąć sprawy do przodu. W końcu Parno nachylił się do niego i nieco zbyt melodramatycznie zapytał:

– Więc jak szybko pańscy przyjaciele mogą nam dostarczyć listę?

Zapadło krótkie milczenie. Harper zdążył się już nauczyć co nieco od Gregora.

– Lista jest już gotowa.

Twarz Parno niczego nie zdradzała.

– Ile, panie Harper?

– Osiemset. Osób, nie licząc rodzin. – Amerykanie od lat opracowywali listę komunistów oraz ich zwolenników; w końcu rozrosła się do tysięcy nazwisk. Pomoc w zdobyciu takiej listy zapewniłaby Parno bezpieczną pozycję pod rządami nowego reżimu. Harper domyślał się, że Indonezyjczyk, choć na zewnątrz zachowuje spokój, w gruncie rzeczy musi być bardzo podekscytowany. Wtedy ten jednak wprawił go w zdumienie.

– A jak dokładna, pańskim zdaniem, jest ta lista?

Kto by przypuszczał, że taki człowiek będzie się przejmował dokładnością listy. Bez wątplenia bardziej liczyła się tu ilość niż jakość.

– To nie jest moja sprawa – odparł Harper.

„Ani też twoja”.

Parno zamilkł. Twarz mu stężała. A więc czasem jednak dopuszczał do siebie wątpliwości. Może Harper jednak źle go ocenił.

– Kiedy?

– Pod koniec przyszłego tygodnia.

– A kto ją dostarczy?

– Sam ją przyniosę. Ale muszę ją przekazać osobiście do rąk generała. Moi pracodawcy chcą mieć co do tego pewność. Przyszedłem tu dzisiaj, żeby uzyskać takie zapewnienie. Wtedy będziemy mogli kontynuować współpracę.

Parno nieznacznie uniósł brwi. Oficjalnie Harper przyszedł tu jako suplikant, nieoficjalnie jednak obaj wiedzieli, że to właśnie on ma silniejszą pozycję w tej rozmowie. Szybko wyczuł u gospodarza pragnienie, by ich transakcja nie ograniczała się wyłącznie do kwestii praktycznych. Wyglądało na to, że jest ideowo zaangażowanym urzędnikiem, a nie tylko chcącym dorobić cwaniakiem.

– Jest pan Amerykaninem. Gdzie nauczył się pan mówić po indonezyjsku? – spytał Parno.

– Urodziłem się w czterdziestym drugim na Sulawesi – wyjaśnił Harper. – Po wojnie spędziłem trochę czasu tu, w Dżakarcie, a potem wyemigrowałem wraz z rodzicami do Stanów Zjednoczonych. Ojciec miał krewnych w Chicago, którzy wspierali nas finansowo.

– Ach, jaka szkoda, jakie wielkie nieszczęście, gdy nie jest się Jawajczykiem. – Parno znów zachichotał. Jawajczycy uważali, że jest tylko jedna wyspa, na której warto się urodzić, czyli Jawa, a resztę wysp obwiniali o wszystko. – Pańscy rodzice słusznie postąpili, że wyjechali, zważywszy na to, jak później traktowali nas Holendrzy. – Ta uwaga zawierała niezbyt zawoalowany podtekst: Parno się zastanawiał, dlaczego nie zostali i nie walczyli o niepodległość, ale stworzenie takiej legendy byłoby dość

ryzykowne. Prawdopodobnie on sam walczył, a później siedział w więzieniu. Gdyby Harper twierdził, że jego rodzice też walczyli, jego rozmówca chciałby pewnie poznać wszystkie szczegóły tego, co robili oraz gdzie i z kim działali. – Wie pan, jak wsteczne było podejście Holendrów? Kilku z nich zostało uwięzionych przez Japończyków, a gdy wszystko się skończyło, uznali, że ten fakt całkowicie usprawiedliwia ponowne przejęcie naszych ziem... – W tonie Parno pobrzmiwała prawdziwa nienawiść; nieraz tak się zdarzało, gdy rozmowy Indonezyjczyków schodziły na temat Holendrów. Legenda, jaką posługiwał się Harper, nawet nie zahaczała o jego holenderskie korzenie, w przeciwnym razie już dawno dostałby kulkę w tył głowy w jakimś zaułku. Gospodarz wychylił swoją whisky. – W sumie dość łatwo się wywinęli.

Harper się zastanawiał, czy jego ojciec też łatwo się wywinął, gdy krzyżący japoński oficer kazał mu uklęknąć na zakurzonej ulicy – albo jego matka, która jako młoda, przymierająca głodem wdowa urodziła go w rojącym się od karaluchów baraku.

– Ale proszę mi coś powiedzieć...

„Jeśli użyje frazy «obaj jesteśmy światowymi ludźmi» – pomyślał Harper – wstanę i natychmiast wyjdę”.

– Proszę mi powiedzieć, czy to prawda, że są ludzie, którzy po tylu latach wciąż ścigają nazistów? Na świecie bez przerwy dzieje się coś złego. A mimo to są tacy, którzy – choć minęło już dwadzieścia lat – dalej ścigają tych Niemców. Słyszał pan o tym? Podobno nawet w Ameryce Południowej.

– Tak sędzę – odparł Harper.

Parno potrząsnął głową.

– Żydzi. Idę o zakład, że oni nigdy tego nie zapomną. Czy nie udowodniono czasem, że połowa tych historii po prostu została zmyślona?

– Cóż – rzekł ostrożnie Harper. – Z udokumentowanych relacji wynika, że wyglądało to okropnie.

Przez twarz Parno przemknął cień pogardy.

– Dlaczego ludzie Zachodu myślą, że zabicie żydowskiego dziecka jest czymś gorszym niż zabicie naszego dziecka? – Uniósł palce i potarł nimi o siebie.

Harper spojrzał na jego twarz, która wyglądała jak maska, i nagle zrozumiał, o co tak naprawdę chodzi w całej tej rozmowie. Parno się zastanawiał, co się stanie z ludźmi, których nazwiska znajdują się na tej liście; co się stanie z nimi i ich dziećmi. Właśnie to kryło się za tym wszystkim: ten człowiek miał sumienie, a Harper musiał je uspokoić, aby mogli dobić targu. Być może powinien wspomnieć przy nim o Stalinie. Może wówczas porozmawialiby o tym, co się wydarzy w bloku sowieckim po usunięciu Chruszczowa. Może gdyby mieli okazję porozmawiać o ludziach próbujących przedostać się przez cholerny mur, który dzieli Berlin na pół, wówczas Parno przestałby odczuwać wyrzuty sumienia w związku z przekazaniem wojsku listy komunistów. A skoro już o tym mowa: mógłby wówczas się zastanowić nad tym, co stałoby się z nim i jego rodziną, gdyby komunistom udało się dokonać przewrotu – bez względu na to, jakie stanowisko zajmował oficjalnie, jego związki z generałami były na pewno powszechnie znane. Wszak armia i służba publiczna były pełne informatorów PKI. Łatwo było mieć moralne skrupuły co do ludzi, którzy mieli zostać aresztowani, gdy samemu stało się po stronie władzy. Tego rodzaju obiekcje były luksusem dostępnym jedynie dla zwycięzców. Gdyby Parno klęczał teraz na stadionie z rękami związanymi za plecami, czy martwiłby się zdrowiem młodzieńca w czerwonej bandanie trzymającego pistolet przyciśnięty do jego skroni? Miałby szczęście, gdyby się okazało, że zamierzają to załatwić przy użyciu pistoletu.

Harper czuł się zmęczony. Nie jadł tego dnia za wiele, bo było na to zbyt gorąco, a whisky – całkiem niezła – szumiała mu w głowie. Poza tym wypalił jedno cygaro, choć niespecjalnie za nimi przepadał. Parno chciał go wciągnąć w dyskusję, która miała zgłuszyć jego wyrzuty sumienia, a on chciał chwycić go za kłapy, przyciągnąć do siebie i rzucić mu prosto w twarz: „Nie

rozumiesz, że nie moim zadaniem jest poprawić ci samopoczucie, a ty w ogóle nie powinienesz czuć się winny? Nie naszym zadaniem jest myśleć lub cokolwiek czuć. Nie rozumiesz tego?”.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, aż w końcu Harper zaczął ostentacyjnie ziewać. Wiedział, że może w ten sposób obrazić gospodarza, ale zrobiło się już naprawdę późno. Nie chciał, żeby zastały go tu zmierzch i godzina policyjna.

– Może pan zostać na noc – zaproponował Parno. – Zjeść z nami kolację.

– Z żalem, ale muszę odmówić. Jestem już umówiony.

Parno uśmiechnął się szeroko, jakby byli starymi przyjaciółmi.

– Moja żona będzie niepokieszona. Proszę się z nią chociaż pożegnać – powiedział, klepiąc Harpera w ramię.

Wyszli na korytarz: po jego drugiej stronie znajdował się kolejny salon. Przez drzwi widać było żonę Parno siedzącą w fotelu. Przedramiona trzymała na oparciu w pozie, którą – jak sądził Harper – musiała przybrać, słysząc otwierające się drzwi do gabinetu męża. Popatrzyła na nich, ale nie wstała. Wzrok miała szklisty jak wypchany tygrys. Harper również na nią spojrzał, lecz ona zdawała się go w ogóle nie rozpoznawać, jakby w ogóle nie witała się z nim nieco ponad godzinę temu. Otworzyła usta i spomiędzy jej szerokich, błyszczących warg wydobył się biały obłok dymu. Wtedy Harper zauważył, że pomiędzy dwoma palcami jej prawej dłoni spoczywa zwijany ręcznie papieros, a popiół na jego czubku niebezpiecznie zagina się w dół, jakby zaraz miał opaść.

Bezbronność jej pozy wywołała u Harpera krótki przypływ pożądania, jednak oznajmił już, że musi wyjść, a poza tym powinien jak najszybciej zdać raport o tym, że się umówili na przekazanie listy. Ukłonił się lekko gospodyni, po czym odwrócił się w stronę bogato zdobionego korytarza, gdzie stał szeroko uśmiechnięty Parno i wskazywał na wypchanego tygrysa, na którego czubku głowy żona położyła lekko sfatygowaną panamę Harpera.

Wziął *betjak* i kazał się wysadzić po drugiej stronie ronda, pod hotelem Indonesia. Ruch uliczny znów się wzmógł i Harper szedł wzdłuż długiego sznura samochodów i obok zrujnowanego gmachu brytyjskiej ambasady, teraz opuszczonej i zamkniętej na głucho, z wypłowiałymi napisami na ścianach: „ZGNIĘŚĆ BRYTYJSKICH IMPERIALISTÓW”. Ciekawe, kiedy ambasada zostanie ponownie otwarta, skoro wojsko odzyskało władzę.

W holu dwóch niemieckich biznesmenów paliło i głośno rozmawiało – z ich gestów wnioskował, że spierają się, czy wieczorem można bezpiecznie wyjść z hotelu.

Idąc korytarzem do swojego pokoju, gdzie – jak wiedział – powietrze będzie smakować tak, jakby oddychało nim ze stu poprzednich gości, rozmyślał o żonie Parno i przez chwilę się zastanawiał, czy nie powinien zamówić sobie dziewczyny, jak to robiło tylu dziennikarzy i biznesmenów (w barze na dole przechwalali się, jakie biorą później antybiotyki). Ale potem pomyślał o szklistych spojrzeniach tych dziewcząt, tak szklistych jak wzrok wypchanego tygrysa. Nie mogły ich zatuszować radosne uśmiechy ani nieustanne trajkotanie. A zresztą jaki sens brać coś, co masz podane na tacy? W tym wszystkim chodziło przecież o zdobywanie, prawda? Sam akt trwał góra piętnaście minut. prostytutki były dla facetów w średnim wieku, dla grubasów, dla mężczyzn, którzy nie potrafili w żaden inny sposób zdobyć kobiety. Poza tym płacenie musiało być poniżające. To już raczej wolałby sam uporać się z problemem: przynajmniej nie musiałyby się martwić prowadzeniem wymuszonej konwersacji z chusteczką.

Mógłby zejść na dół do baru, ale wiedział, że teraz będzie się tam kłębił tłum dziennikarzy. Ostatnio stali się nie do wytrzymania, pełni samozadowolenia: byli właściwymi ludźmi we właściwym miejscu i o właściwej porze, prawdziwi bohaterowie wojenni z tego tylko tytułu, że

przebywali w Dzakarcie, choć cały przewrót przesiedzieli w hotelu, podobnie jak Harper, a najcięższym doświadczeniem, jakie na nich spadło, była chwilowa awaria klimatyzacji. Na szczęście dla nich hotel dysponował generatorem i w parę minut wszystko zostało naprawione.

Wszystko wskazywało na to, że sytuacja powoli zmierza do stabilizacji, w związku z czym dziennikarze chcieli się teraz dostać do Wietnamu; opowiadali rozpromienieni, jak tam jest niebezpiecznie, jakby w Dzakarcie nie było dość niebezpieczeństw, a uliczne obławy na Indonezyjczyków pakowanych następnie na ciężarówki nie były warte uwagi. Harperowi żał było żon tych facetów, kiedy ci już wrócą do swoich domów. On sam wolałby spędzić wieczór w towarzystwie Parno niż z którymkolwiek z tych pismaków. Mimo całej swej próżności i wszystkich uprzedzeń, ten żył przynajmniej we własnym kraju i w odniesieniu do niego podejmował własne – dobre lub złe – decyzje. W wyniku tych decyzji mógł rosnąć w siłę lub upaść. Podczas gdy jemu przyjdzie w taki czy inny sposób zmierzyć się z konsekwencjami własnych wyborów i zawieranych sojuszy, zgraja pismaków będzie siedzieć w kolejnym barze, w kolejnym międzynarodowym hotelu, i przyglądać się tragedii kolejnego kraju. Czy mężczyźni nie są w gruncie rzeczy odrażający? Właśnie dlatego chodzą do prostytutek. Nie szukają u nich tylko fizycznej ulgi, ale możliwości uwolnienia się od towarzystwa przedstawicieli swojego gatunku, od siebie samych.

Harper stał na korytarzu i przesuwiał dłonią wokół drzwi do pokoju, sprawdzając, czy małe skrawki papieru, które umieszczał zawsze pomiędzy framugą a drzwiami, są wciąż na swoich miejscach. „A więc – pomyślał, gdy już je namierzył – po tych wszystkich miesiącach w końcu robię coś konkretnego. Może nawet spotkam generała”.

Gdy tylko znalazł się w pokoju, od razu włączył klimatyzację, a potem zrobił to, co robił zwykle, czyli podszedł do łóżka, opadł na plecy i przymknął oczy: oddychał i czekał, aż klimatyzator zacznie z terkotem mieszać powietrze

i rozproszy jego klaustrofobię.

Listę przekazał mu Johnson. Był to ostatni raz, kiedy widział tego dziwnego, pozbawionego wyrazu człowieka. Spotkanie odbyło się na cmentarzu.

Harper miał ze sobą płócienną torbę. Wymeldował się z hotelu Indonesia i kupił motorower, który był tak mały, że musiał na nim siedzieć z wysoko zgiętymi nogami niczym świerszcz. W drżącym od upału powietrzu smród benzyny roznosił się wyjątkowo mocno – za każdym razem, gdy uruchamiał silnik, robił to tak ostrożnie, jakby rozgrzany metal, na którym siedział, mógł stanąć w płomieniach. Biorąc pod uwagę, jak niebezpiecznie było na ulicach, cholerną głupotą byłoby dać się zabić w ten sposób.

Po dostarczeniu listy do domu Parno miał pojechać prosto na lotnisko – przynosili go na Bali, gdzie musiał przejąć obowiązki tamtejszego agenta, którego z kolei wysyłano na rekonesans po mniejszych wyspach. Wcześniej Harper miał wykonać telefon, aby się upewnić, że droga jest bezpieczna: może będzie musiał porzucić motorower i przesiąść się do wojskowego dżipa, ponieważ poruszający się na własnym motorowerze Indo w zachodnim stroju mógłby zwrócić uwagę członków milicji, która ustawiła punkty kontrolne wzdłuż całej drogi. Oficjalnie lotnisko w dalszym ciągu było zamknięte, ale krążyły plotki, że tego popołudnia ma wystartować samolot, a Harper miał dość dolarów, by za odpowiednią łapówkę wejść na pokład, o ile w ogóle tam dotrze. Instrukcje były jasne. Amerykanie chcieli, żeby opuścił Jawę, gdy tylko wykona zadanie – dlatego właśnie ambasadzie zależało na skorzystaniu z usług pośrednika. Kolejna lista będzie już zmartwieniem kogoś innego. Harper był po prostu jednym z wielu pośredników.

Torbę miał przewieszoną na ukos przez klatkę piersiową, a jej pasek ocierał mu ramię przez przesiąkniętą potem cienką tkaninę koszuli. Jechał drogą biegnącą wzdłuż cmentarnego muru; po jej drugiej stronie ciągnęły się pola porośnięte zaroślami, krzakami i drzewami. O tej porze ulica była wyludniona. Gdy skręcił za róg w alejkę wiodącą do bramy cmentarza, ujrzał

zdezelowanego vana marki Borgward zaparkowanego na końcu ulicy, blisko skrzyżowania z główną drogą. To pewnie goryle Johnsona.

Harper wtoczył się na cmentarz, przejechał kawałek alejką i zaparkował tak, żeby mieć motorower na oku. Na przeciwnym końcu wokół grobu stała niewielka rodzina; część kobiet miała zakryte głowy, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Usiadł na ławce niedaleko motoroweru, zapalił papierosa i czekał. Cmentarz ze wszystkich stron był otoczony murem – pośrodku każdego boku znajdowała się brama. Mur zapewniał poczucie odizolowania od reszty miasta i właśnie tutaj, pomiędzy grobami oraz palmami rosnącymi wzdłuż szerokich alejek, doświadczył chwili spokoju i wytchnienia od napięcia, jakie wiązało się z poruszaniem po ulicach.

Johnson pojawił się w bramie, zanim Harper zdążył dopalić papierosa: miał płócienną torbę zawieszoną na ramieniu, a jego łysa głowa lśniła w słońcu. Rozejrzał się wokół. Najpierw zobaczył motorower, dopiero potem Harpera; pozdrowił go skinieniem głowy, podszedł do ławki i usiadł obok. Harper wyciągnął do niego paczkę papierosów, ale skrzywił się z dezaprobatą. Nurtowało go, jakie Amerykanin może mieć słabości. Odnosił się podejrzliwie do mężczyzn, którzy w ostentacyjny sposób dają do zrozumienia, że nie piją, nie palą i nie uganiają się za kobietami, takich, którzy chcą, aby wszyscy podziwiali ich za to, jacy są porządni. Jakie sekretne pragnienia skrywa Johnson pod tą lśniącą czaszką? Jakiego rodzaju serce bije pod tą koszulą, czystsza i mniej pogniecioną niż jakakolwiek inna koszula w takim upale (poza łysą głową ten facet w ogóle się nie pocił)? Może lubi chłopców? A może przebiera się w damską bieliznę i każe się chłostać pejczem? „Cokolwiek go kręci – pomyślał Harper – założę się, że po wszystkim się modli”.

Johnson sięgnął do swojej torby i wyjął z niej małą skórzaną teczkę – wyglądała niczym damska torebka, tyle że bez paska – i podał ją Harperowi.

– Nie zaglądamy do środka – powiedział łagodnym głosem. – Wyjeżdżasz

dziś po południu?

– Tak – odparł Harper. – Taki jest plan, ale wszystko zależy od tego, jak długo zabierze mi dostarczenie listy. Pewnie ciężko będzie zdążyć, więc może jutro albo pojutrze. A ty?

– Zatrzymują mnie tu, dopóki wszystko się nie uspokoi. – Johnson westchnął. – Tam jest naprawdę źle. – Patrzył w kierunku bramy cmentarza, ale miał na myśli świat na zewnątrz: uliczki Dżakarty, miasta i wioski w środkowej i wschodniej części Jawy, gdzie robiono obławy na wszystkich, którzy są lub kiedykolwiek byli komunistami, oraz na spokrewnionych z tymi, którzy są lub kiedykolwiek byli komunistami. Harper jednak o tym nie myślał. Myślenie o tym nie należało do jego obowiązków.

Przyszło mu do głowy, że Johnsona i Parno wiele ze sobą łączy. Ciekawe, czy wda się z nim w taką samą szczerą rozmowę jak tamten, o ile tylko myśli o kobietach i mężczyznach klęczących przy przydrożnym rowie ze związanymi z tyłu rękami dręczyła jego sumienie w takim samym stopniu, w jakim dręczyła sumienie Parno.

Johnson jednak podniósł się z ławki.

– Nie spieprz tego – oznajmił, po czym obrócił się i odszedł cmentarną alejką.

Później, kiedy składał sprawozdanie w Holandii, wypytywali go o Dżakartę, o to, czego był świadkiem, w jakich okolicznościach porzucił motorower, o chaos i niebezpieczeństwo, z jakim wiązało się przedostanie na drugą stronę miasta, o opóźnienie w dostarczeniu listy i opuszczenie Jawy. Dwóch ludzi przyszło go odwiedzić w domu wypoczynkowym na wsi: był to duży budynek z jasnymi, przestronnymi pokojami z oknami od podłogi do sufitu, z których roztaczał się widok na pola. Siedzieli, trzymając podkładki do pisania, i wypełniali kolejne arkusze papieru, podczas gdy on szczegółowo

relacjonował im wszystko, co wydarzyło się najpierw na Jawie, a później na Bali. Powiedzieli, że rozumieją, że Harper nie czuł się na siłach, aby samemu sporządzić raport.

– Dlaczego dotarcie na lotnisko zajęło ci aż dwa dni? – zapytał jeden.

Spojrzał na nich z osłupieniem, starając się ukryć pogardę malującą się na twarzy.

– Wtedy już zaczęła się czystka. Dwa dni to i tak był cud. Miałem szczęście, że w ogóle tam dotarłem, nie mówiąc o tym, że wsiadłem do samolotu.

Następnie zapytali go, co się wydarzyło na polach ryżowych na Bali, a on opowiedział im to, co powinni wiedzieć.

– A dlaczego potem zniknąłeś? – zapytał jeden łagodnie. – Zniknąłeś nam z radaru na całe tygodnie, aż w końcu wróciłeś do kraju przez Kalifornię. Czemu nie zwykłą trasą? Dlaczego nie skontaktowałeś się z nami i nie pozwoliłeś, żebyśmy sprowadzili cię z powrotem przez Karaczi?

Po tym, co się stało w domu Komanga, Harper musiał przycziąć się w górach na dwa miesiące – i to prawda, przez cały ten czas nie podjął żadnych starań, żeby nawiązać kontakt z Instytutem. Nikogo nawet nie powiadomił, że żyje.

– Miałem sprawę do załatwienia w Los Angeles, osobistą. – Nie naciskali go dalej w tej kwestii.

Ludzi z Instytutu interesowały przede wszystkim fakty: co robił i kiedy. Lekarzy interesowały zdjęcia. Pytali go o odcięte głowy, które widział na poboczach dróg, gdy przejeżdżał przez balijskie wioski. O wiszące na drzewach zwęglone zwłoki z tabliczkami na szyjach, które zdobiły niemal każde skrzyżowanie w Dżakarcie. W drodze na lotnisko widział jedne takie zwłoki bite przez młodego mężczyznę trzymającego składane krzesło. Lekarze – tacy uprzejmi i dobrze wychowani. Wszystkich otaczała aura praktyczności, granicząca niekiedy ze sceptycyzmem. Zwłaszcza tego brodatego – jak on się nazywał? W połowie rzeczowej opowieści Harpera

o rzędach sklepów, wzdłuż których frontów dyndały z dachów przywiązane na sznurkach ludzkie dłonie, brodaty lekarz spojrział na niego i zapytał:

– Dłonie na sznurkach? Jak to w ogóle możliwe?

Później Harper miał udawać, że to było tym, czym było – częściami ciała; że to właśnie go niepokoiło, że stąd właśnie brały się te obrazy, które budziły go w nocy i sprawiały, że w ułamku sekundy z głębokiego snu przeskakiwał do pełnej przytomności, tak jak to się działo przez dwa lata po powrocie do domu. Potem długo leżał w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami.

Do Pejompongan postanowił dostać się bocznymi uliczkami. Słońce znajdowało się wysoko na niebie, panowała duchota, zanosilo się na burzę. Smród ścieków z kanałów, swąd palonych śmieci na tyłach sklepów i domów, wilgotność – wszystko to tworzyło miazmaty, które spowalniały wszelki ruch. Nadciągała codzienna dzakarcza burza. Jeśli się rozleje, zanim on dotrze do Parno, jego szanse na to, żeby dostać się później na lotnisko, staną się nikłe, nawet w wojskowym dziupie.

Odkąd opuścił cmentarz, jechał przez piętnaście minut, nie będąc do końca pewny, w jakim kierunku zmierza, i zdając się na własną intuicję. Na końcu wąskiej dróżki zatrzymał motorower i zostawiwszy włączony silnik, uniósł brzeg koszuli, aby otrzeć twarz.

Opuścił koszulę, rozejrzał się wokół i właśnie wtedy ich zobaczył: czterech młodych mężczyzn na przeciwnym końcu drogi, nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od niego – stali, przyglądając mu się z minami pełnymi zaciekawienia i agresji. Jeden z nich – najwyższy, ten po lewej – trzymał w ręce pałkę, inny miał coś, co wyglądało jak noga od stołu. Za tą czwórką, zastygłą nieruchomo jak na żywym obrazie, przebiegali ludzie – grupa młodych kobiet, kobiety zmieszane z mężczyznami, dwaj mężczyźni – wszyscy w wieku Harpera lub młodszy. Gdzieś w głębi było słycać niepozostawiające żadnych wątpliwości

odgłosy paniki: pomruk tłumu w niebezpieczeństwie, sporadyczne strzały, wrzaski i krzyki. W ciągu tych kilku sekund, które zajęło Harperowi ogarnięcie tego wszystkiego, dokonał on również kalkulacji: w czasie, który będzie mu potrzebny na to, by ponownie wystartować i skręcić motorowerem w gruntową dróżkę wysypaną kamieniami – kamienie sprawiają, że nie będzie mógł szybko odjechać, nie ryzykując upadku – młodzi, pobudzeni, gotowi do ataku mężczyźni bez trudu go dopadną.

I wtedy to się stało. Zaczęli na niego biec, a Harper nie miał pojęcia, kim są ani też za kogo go biorą; wiedział tylko, że ma przed sobą watahę i jeśli zawaha się choćby przez chwilę, będzie po nim.

Wciąż jeszcze się zastanawiał, czy porzucić motorower, gdy nagle zeskoczył z niego i pobiegł w głąb alejki, ciągle rozmyślając, czy jednak nie powinien na nim zostać, ale jego napędzane adrenaliną długie nogi pędziły już ze sporą szybkością i mimo niespodziewanego oraz bliskiego niebezpieczeństwa ten bieg sprawiał mu niejaką przyjemność. Przez dwa lata służył w holenderskiej armii i był świetnie wyszkolonym żołnierzem, a to byli tylko chłopcy.

Harper był już prawie na drugim końcu wąskiej dróżki, już niemal dobiegł do zatłoczonej głównej ulicy, gdy jeden z goniących go chłopców musiał go złapać za torbę, ponieważ poleciał do tyłu i wykonawszy półobrót, wylądował bokiem na ziemi. W tym samym momencie na jego głowę spadł cios – stało się to tak nagle i gwałtownie, że nie potrafił stwierdzić, czym został uderzony ani przez kogo. Na chwilę ogarnęła go ciemność, a kiedy się z niej ocknął, leżał zwinięty w kłębek na ziemi, z ramionami skrzyżowanymi dla ochrony na głowie, a tamci bili go pałkami, kopali i wrzeszczeli.

– *Ampun-ampun!*³² – zawołał Harper, lecz tamci w pierwszej chwili go nie usłyszeli. Któryś zadał mu straszliwy cios w środek pleców, za którego sprawą w jednej chwili wygiął całe ciało w łuk.

Nagle mężczyźni przestali i zaczęli krzyczeć na siebie nawzajem; mówili

tak szybko, że zupełnie nie mógł ich zrozumieć, a gdy otworzył oczy, zobaczył, że jeden z nich, ten wysoki, położył rękę na klatce piersiowej swojego kompana i usiłuje go powstrzymać – toczyła się między nimi jakaś zażarta kłótnia. Harper przetoczył się ostrożnie na kolana, ale wiedział, że jeśli spróbuje się podnieść, tamci zatłuką go na śmierć. Próbował sformułować zdanie: „Bracia, jestem z wami, jestem waszym kuzynem”, ale usta odmówiły mu posłuszeństwa. Uniósł rękę i dotknął brody, która była opuchnięta i pokryta brudem. Splunął, a w ślinie zauważył smużki krwi.

Mężczyźni po prostu odeszli. Pobiegli alejką tam, skąd przybyli. Harper, patrząc za nimi, zobaczył, że jeden z nich zatrzymał się i podniósł leżący na boku, wciąż burczący motorower. Był to ten najmłodszy, trzynasto-, może czternastoletni. Usiadł na motorowerze i próbował nim odjechać, po czym zaczął wołać na pozostałych, żeby wrócili i mu pomogli. Harper dźwignął się na nogi i długimi susami ruszył w przeciwnym kierunku, z torbą objającą mu się o plecy. Nie oglądał się za siebie.

Na głównej ulicy wciąż było pełno uciekających ludzi, ale nikt go nie zatrzymywał, gdy szedł pod prąd, z nisko opuszczoną głową. Kiedy w końcu ją podniósł, starał się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z nikim. Nagle dostrzegł ogromny obłok dymu kilka ulic dalej. Podpalano wszystkie budynki, które miały jakikolwiek związek z komunistami, a czasami nawet i nie. W powietrzu unosił się swąd palonej gumy. Gdy przyglądał się kłębowi dymu, ulicą przebiegł tłum młodych ludzi podobnych do tych, którzy przed chwilą go zaatakowali. Byli od tamtych tylko nieznacznie starsi: studenci, jak się domyślał, ubrani w spodnie i białe koszule, wymachiwali w powietrzu kijami i pałkami, pokrzykiwali entuzjastycznie i popychali się nawzajem. Za nimi jechał wojskowy dżip z sześcioma żołnierzami, którzy uśmiechali się i machali rękami. To byli myśliwi z nagonką, a ich zwierzyną stali się ludzie z PKI. Taka grupa stanowiła coś więcej niż tylko sumę własnych części. Ci ludzie nie przejmowali się żadnymi listami.

Harper przysunął się bliżej muru, ale szedł dalej z wzrokiem wbitym w ziemię. Czuł zapach nafty. Podpalone budynki niemal zawsze oznaczały tyle, że płoną w nich również ludzie.

Strata motoroweru nie była taka istotna. Znajdzie inny sposób, żeby dostać się do Parno. Najważniejsze, że wciąż ma torbę, wprawdzie wybrudzoną ziemią i lekko potarganą, ale poza tym nietkniętą, a w niej skórzaną teczkę. Tylko to się liczy. Jego obrażenia kiedyś się zagoją. Nie wydawało mu się, by miał jakiś uraz kręgosłupa, ale przy każdym ruchu lewą nogą ból przeszywał mu cały bok – może zerwał więzadło? Przy każdym ukłuciu bólu ogarniała go fala mdłości i zawrotów głowy.

Musiał zejść z głównych ulic. Człowiek wyglądający tak, jakby ledwo uszedł z życiem po solidnym biciu, ryzykował tym, że zaraz jakaś inna banda zechce dokończyć to, czego nie zdążyli zrobić inni.

Harper skręcił w boczną uliczkę, minął mały meczet i stojący obok niego budynek administracyjny; na końcu ulicy znów skręcił za róg i w jednej chwili znalazł się w znacznie cichszej dzielnicy, na skraju kampongu, lecz wciąż w sąsiedztwie głównych dróg. Chwilowo bezpieczny przystanął na końcu ulicy, gdzie działał – kiedy wszystko jeszcze wyglądało normalnie – lokalny targ, teraz zamknięty i nienaturalnie opustoszały. Stragany były pozabijane wszystkim, co tylko ludzie mieli pod ręką, choć niektóre miały odpowiednio skonstruowane drewniane okiennice i drzwi. Inni właściciele starali się prowizorycznie zabezpieczyć swój skromny dobytek, przybijając gwoźdźmi do frontów stoisk skrzyżowane połamane deski lub bambusowe żerdzie. Ci, którzy nie mogli zabezpieczyć swoich otwartych stoisk, pościągali po prostu z półek wszystkie towary. Na zapleczach sklepików piętrzyły się stosy plastikowych wiader, drewnianych rzeźb i skrzyń z owocami, a pomiędzy nimi, jak domyślał się Harper, zapewne kulily się ze strachu całe rodziny, czekając, aż wszystko znów się uspokoi. Smród palonej gumy i nafty było czuć i tutaj. Pośród całego tego chaosu wciąż jednak toczyło się życie, trzeba było

uspokoić i nakarmić dzieci. Kawałek dalej, przy ulicy biegnącej wzdłuż targu, ktoś gotował obiad: spod smrodu spalenizny przebijał się zapach oleju kokosowego, suszonej ryby, dymu i przypraw.

Bez ostrzeżenia lunął mocny deszcz. Harper odgiął głowę i rozchylił usta, pozwalając wielkim, ciężkim kroplom zmyć brud i krew z jego twarzy. Chętnie zostałby tak dłużej, ale nie mógł ryzykować, że woda przesiąknie przez płócienny materiał torby.

U wylotu ulicy stała rozpadająca się buda. Przez pusty ganek było widać rozwalone drzwi, nawet nie zabite deskami – otworzyły się z łatwością, bo w połowie wisały na zawiasach. Za drzwiami znajdowało się niewielkie kwadratowe pomieszczenie, w którym ciasno stłoczona mogła spać cała rodzina: ubita podłoga, pusta drewniana skrzynka i leżący w kącie pęknięty plastikowy sandał – widocznie niedawno ktoś opuścił tę chatę. Zważywszy na to, jakie przeludnione były kampongi, znalezienie pustego lokum było czymś niezwykłym. Ciekawe, dlaczego rodzina postanowiła uciec.

Po drugiej stronie było widać niczym niezastłonięty wąski otwór drzwiowy, który służył zapewne do wentylacji. Harper podszedł do niego i wyjrzał na zewnątrz. Pomieszczenie wychodziło z tyłu na kanał, ale nie jeden z tych wielkich, jakie budowano w bardziej eleganckich dzielnicach miasta, ani nawet nie na rzekę, która oddzielała osiedle, na którym mieszkał Parno, od kampongu, tylko mały, płytki i nieco większy od rowu kanalizacyjnego. Z lewej strony ciągnął się wzdłuż całej ulicy targowej, a z prawej zakręcał; dalej zasłaniały go chaty. Harper zaczął się zastanawiać, ile osób – mężczyzn, kobiet i dzieci – spało tutaj bez żadnej ochrony przed komarami, obrzydliwym fetorem stojącej wody i czającymi się w niej chorobami.

Gdy zrobił krok do tyłu, poczuł, że kolana mu się trzęsą. Zaczynało się. Ta sprawa stanowiła elementarną część jego wyszkolenia zarówno wtedy, gdy odbywał służbę wojskową, jak i w Instytucie. Jedno z największych niebezpieczeństw pojawia się wówczas, gdy ci się wydaje, że nic ci już nie

grozi: wtedy odpływa cała adrenalina, a ty czujesz się głodny, spragniony i zupełnie wyczerpany. Przed chwilą myślał, że właśnie znalazł schronienie przed deszczem, ale w rzeczywistości wpadł tylko niczym zranione zwierzę do jamy w ziemi.

Zdjął torbę i opadł na kolana. Zaczynał dygotać. Otworzył torbę i znalazł kilka zawiniętych w papier kulek *klepon*³³, które zabrał rano z hotelowej restauracji. Zdążyły się już rozpaść, a płynny cukier przesiąkł przez papier. Odwinął je najostrożniej, jak potrafił, i wepchnął sobie dwie do ust, a ich lepka słodycz rozpuściła mu się na języku. Wyciągnął z torby bawełnianą marynarkę: była czysta, ale można ją było poświęcić. Miał też mały ręcznik, który zabrał z łazienki w pokoju hotelowym, wprawdzie nieco zbyt mały jak na to, do czego chciał go użyć, ale to i tak lepsze niż nic. Rozłożył go na ubitej podłodze, wyciągnął się na nim, wkładając sobie pod głowę torbę w charakterze poduszki, i zamknął oczy.

Kiedy się obudził, zdążył już zapaść zmierzch. Wszystko go bolało. Poruszył ostrożnie lewą nogą, ale była tak zeszywniała, że miał wrażenie, iż złamie ją przy najmniejszej próbie zmiany pozycji. Bolały go również ramiona – ale dlaczego? Nie mógł sobie przypomnieć, by tam go bili. Gdy wygiął plecy w łuk, niemal czuł, jak chrupią kręgi. Głowa pulsowała. Na myśl, że musi wstać i dokończyć misję, zbierało mu się na wymioty. Deszcz nie przestawał padać. Wkrótce miały zapaść zupełne ciemności. Nie ma szans, by jeszcze dziś dotarł do Parno. Musiał doczekać świtu. Opóźnienie nie powinno wywołać alarmu: nie było wcale pewne, czy z powodu chaosu na ulicach generał zdołał tam dziś dotrzeć albo czy w ogóle się pojawi. Możliwe, że Harper stawiałby się w domu Parno tylko po to, żeby się dowiedzieć, iż musi czekać kolejny tydzień.

Podłoga leżała nieco powyżej poziomu ulicy, w przeciwnym razie Harper

obudziłyby się skąpany w błocie. Kiedy podszedł wreszcie do otworu z tyłu chaty, deszcz wciąż padał na czarną wodę kanału, lecz już znacznie słabiej. Niebawem całkiem ustanie, później pojawi się słabe, przyćmione światło, aż w końcu zapanuje ciemność, a na nocnym niebie nad Dżakartą wszędzie żółty księżyc wiszący tutaj zawsze nisko nad ziemią niczym matka bacznie obserwująca swoje dzieci.

Harper wrócił do chaty, zjadł pozostałe kulki *klepon*, potem usiadł i przeprowadził powolną inwentaryzację całego ciała, poczynając od lewej stopy i przesuwając rękami w górę każdej nogi w poszukiwaniu opuchlizn i służeń. W kosmetyczce nosił okrągłe lusterko: oderwał je od puderniczki zostawionej w jego mieszkaniu w Amsterdamie przez jedną z kobiet, z którą był przelotnie związany. Pamiętał, że kiedy od niego odeszła, złamał puderniczkę na pół i tę część z pudrem wyrzucił do kosza na śmieci, a małe lusterko zostawił, gdyż uznał, że może mu się przydać. Teraz przetarł je brzegiem koszuli, ale w ten sposób jeszcze bardziej je zabrudził, splunął więc na nie, wyczyścił raz jeszcze i poprzez rozmazaną smugę przyjrzał się swojej twarzy. Podbródek miał nieco zdeformowany, wzdłuż linii włosów z jednej strony biegło długie otarcie, ale nie wyglądał tak źle, jak się czuł. Delikatnie zbadał lewą kość policzkową i doszedł do wniosku, że nie została złamana. Rano, kiedy wstanie świt, umyje porządnie twarz w kanale. W torbie miał czystą koszulę. Przebierze się w nią, zanim wyruszy.

Gdy już skończył przegląd obrażeń, przejrzał dokładnie swoje rzeczy, a potem – ponieważ czuł pogardę do Johnsona, Parno i wszystkich tych, z którymi miał do czynienia, a którzy większość swoich interesów załatwiali, siedząc w bezpiecznym zaciszu domów i biur – zrobił coś nieprofesjonalnego. Wyjął z płóciennej torby skórzaną teczkę, otworzył ją i wyciągnął listę nazwisk.

Spodziewał się, że będzie napisana ręcznie – nie sądził, że w otoczonej zwojami drutu kolczastego amerykańskiej ambasadzie ostała się jeszcze jakaś

stenotypistka. Tymczasem lista została sporządzona na maszynie, na papierze w linie wyrwanym z dużego notatnika; był tak cienki, że uderzenia klawisza „i” zostawiały w miejscu kropki małe dziurki. W sumie było jakieś trzydzieści kartek, spiętych z lewej strony dwoma niedużymi spinaczami. Harper odpiął spinacze i uniół do góry jeden arkusz: przez niewielkie otworki przeświecały maleńkie białe promienie. Na każdej kartce widniało od dwudziestu pięciu do trzydziestu nazwisk. Były zapisane z lewej strony, a pod każdym dopisano jeden wyraz: „członek” przy osobie będącej szeregowym członkiem PKI lub „oficjel” – przy znajdującej się wyżej w partyjnej hierarchii. Nazwiska nie układały się w żaden logiczny ciąg. Harper pomyślał, że oficjele mogli być zaangażowanymi ideowo komunistami, a członkowie to w większości pewnie chłopcy i robotnicy, którzy myśleli, że partia wywalczy dla nich kilka godzin harówki mniej. Przy paru nazwiskach dopisano dużymi literami „PRIORYTET” – to na tych ludziach wojsku najbardziej zależało. „Priorytet” mógł oznaczać, że mieli zostać natychmiast rozstrzelani lub przewiezieni na przesłuchanie. Po nazwiskach znajdowały się liczby w nawiasach: (4), (2), czasem (9). Niekiedy pozostawiono tylko znak zapytania – (?).

W środkowej kolumnie umieszczono adresy poszczególnych osób, a niekiedy tylko nazwę ulicy bądź dzielnicy. Za adresami była trzecia kolumna – adnotacje zrobione cienkim ołówkiem. Harper przyjrzał się im, ale nie potrafił odszyfrować zwartego, ciasnego pisma. Osiemset nazwisk tylko na tej jednej liście. Ośmiuset ludzi.

Dopiero gdy z powrotem spiął plik kartek, strzepnął z nich odrobinę ziemi, którą przez przypadek przeniósł własnymi dłońmi, i włożył je do skórzanej teczki, uświadomił sobie, co mogły znaczyć liczby w nawiasach: liczba członków rodziny – żony, dzieci, kuzyni lub służący, wszyscy pozostali domownicy, którzy mogą stanowić przedmiot zainteresowania.

Harper wstał i z teczką w rękach podszedł do otworu z tyłu chaty. Deszcz przestał padać i zapadła ciemność. Wkrótce wszędzie księżyc.

Usiadł w kucki i z grymasem bólu na twarzy oparł się o nędznie wyglądającą ścianę. Objął ramionami skórzaną teczkę i przycisnął ją mocno do piersi. Przymknął oczy.

Plik kartek, który trzymał przy sercu, przy swym bijącym sercu, zawierał listę nazwisk: Harper trzymał w ramionach śmierć. On sam był śmiercią.

Siedział z wciąż zamkniętymi oczami. Jak na tak wczesny wieczór w Dżakarcie panowała nienaturalna cisza, ale wokół siebie słyszał krzątanie ludzi w okolicznych chatach; kobieta coś zawołała, po czym umilkła, niemowlę lub może małe dziecko wydało wymuszony, niemal starchy krzyk.

Rozmyślał o Parno czekającym w swoim bungalowie wraz z żoną i wypchanym tygrysem. Myślał o ludziach z listy, którzy gdzieś teraz jedli kolację, spali albo rozmawiali z dziećmi. Myślał o sekretarce, która przepisała listę, o tej sekretarce, której palce uderzały tak mocno w stukoczącą maszynę do pisania, że klawisz z literą „i” przebijał papier na wylot. Myślał o gabinecie pełnym mężczyzn w garniturach: wszyscy siedzieli wokół dużego owalnego stołu, na blacie stały filiżanki z kawą i popielniczki, a obok leżały notatniki i drogi zegarek, który przewodniczący temu spotkaniu zdjął z nadgarstka i położył przed sobą, aby kontrolować czas, ponieważ do końca nie ufał wiszącemu na ścianie zegarowi, który nie był nawet w przybliżeniu tak drogi jak jego cacko. Myślał o żołnierzu czyszczącym broń gdzieś niedaleko, w koszarach w Dżakarcie. Ktoś gdzieś sprawdzał poziom oleju w silniku wojskowego dżipa, który zawiezie właśnie tego żołnierza pod jeden z adresów z listy, którą miał przy sobie.

Otworzył oczy. Księżyc był już na niebie. Jego blask oświetlał powierzchnię wody w kanale. Gdyby Harper się nad nią pochylił, ujrzałby w niej odbicie jednej z wersji siebie.

Ze wszystkich osób, o których przed chwilą pomyślał, on jako jedyny – o ile wiedział – był w posiadaniu tej listy. Może istniała gdzieś jej kopia, a może nie. Założenie, że jest jej jedynym właścicielem, wydało mu się nagle nieco

egoistyczne: wszak był tylko kurierem. Nikogo przecież nie zabije. Jednak wszyscy ci ludzie, o których właśnie pomyślał – wraz z nim – zabijają wspólnie osiemset osób z listy wraz z rodzinami: (4), (2) lub (9).

Ale przecież ci ludzie i tak zostaną zabici. Lista może jedynie nieco przyspieszyć ich śmierć, to wszystko. A ilu by zginęło, gdyby komunistom udało się przejąć władzę? Nie do niego należy decydowanie o takich sprawach. Ważne decyzje mogli podejmować wyłącznie ludzie, którzy mieli dostęp do wszystkich faktów. On, Harper, znał zaś niewielki ułamek całej historii, tymczasem trzeba było mieć pełen obraz. Wynajęto go, aby odebrał skórzaną teczkę i dostarczył ją w konkretne miejsce. Gdyby nie jemu zlecono to zadanie, wykonałby je ktoś inny.

Wpatrywał się w powierzchnię kanału, płaską i czarną jak olej, lśniąca w blasku księżyca, i uzmysłowił sobie, że jednak ma wybór. Mógłby wstać i jednym machnięciem ramienia, nie używając szczególnie dużej siły, wrzucić teczkę do wody. Po kilku chwilach pewnie by zatonała. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby w obliczu tego chaosu, jaki ogarnął Dżakartę, nie udało mu się wykonać zadania. W czasie, który byłby potrzebny do stworzenia nowej listy lub skopiowania starej oraz zaaranżowania kolejnego spotkania w celu jej przekazania, być może część osób zdążyłaby zostać ostrzeżona i zniknąć, uciec na wieś – kto wie?

Gdzieś znad kanału dobiegł go dziewczęcy śmiech. Jako że na ulicach się uspokoiło, a swąd spalenizny został rozmyty przez deszcz, wymknęły się pod osłoną nocy, która miała je chronić przed męskimi spojrzeniami. Będą się kąpać i myć włosy w czarnej wodzie, do której wszyscy oddawali mocz i wyrzucali śmieci, w miejscu, gdzie kanał był na tyle ciemny, by ukryć wszelkiego rodzaju sekrety.

Harper patrzył na wodę. Jedynym sekretem, jaki zdoła ukryć tej nocy, jest ten, że zdał sobie sprawę, iż jednak ma wybór. Wszedł z powrotem do chaty. Schował skórzaną teczkę do torby, a potem zwinął ją tak, żeby zrobić z niej

poduszkę. Położył na niej głowę i zapadł w krótki sen. Obudził się, gdy wciąż jeszcze było ciemno, i leżał z otwartymi oczami w oczekiwaniu na świt.

Dwa dni później, gdy już przekazał listę, pił z Abangiem piwo przy Bali Beach Hotel i miał wrażenie, że to najsmaczniejsze piwo w jego życiu. „Krew naprawdę szybko wsiąka w piach”.

Potem Abang zawiózł go do swojego bungalowu w Denpasar, zaledwie dziesięć minut od centrum miasta, przy szerokiej trzypasmowej ulicy ze starymi budynkami, które teraz były zamknięte i zabite deskami. Na zewnątrz kręciło się tylko kilka osób: dwaj półnaczy, żyłaści starsi mężczyźni, ubrani w bambusowe kapelusze i sarongi, kopali coś w przydrożnym rowie; była też kobieta, która szła z ogromnym, zawiniętym w tkaninę tobołkiem na głowie. Jej niewielka sylwetka kołysała się delikatnie, ręce trzymała swobodnie wzdłuż ciała. Gdy przejeżdżali obok niej, Harper zerknął za siebie, żeby sprawdzić, czy jest ładna, ale okazała się starsza, niż wydawała się, gdy widział ją od tyłu. W Denpasar przywitała ich nienaturalna cisza.

Abang na jakiś czas został wraz z rodziną w chińskiej dzielnicy – twierdził, że to dobra metoda, by wiedzieć, co się dzieje w terenie, ale na dłuższą metę mieszkanie tam wiązało się ze zbyt dużym niebezpieczeństwem.

– Brytyjczycy mają takie powiedzenie... Nie wiem, czy je znasz. Ptaszek w kopalni. Chodzi o takiego małego, żółtego ptaszka...

– Kanarek. Kanarek w kopalni.

– Otóż to.

Abang przywiązywał wagę do tego, by przeprowadzać się co trzy miesiące. Kiedy się wyprowadzałeś, ludzie zapominali o podejrzaniach – nawet jeśli cię zapamiętali, twoja nieobecność świadczyła o twojej niewinności.

Bungalow stał kawałek od drogi, ukryty za murem sięgającym na wysokość głowy, który z kolei zasłaniały wysokie krzewy. Drzwi w wąskim kamiennym wejściu były zrobione z grubego, rzeźbionego drewna – zawiasy skrzypiały przy otwieraniu. Nigdy nie naoliwiaj zawiasów i zawsze rozsypuj żwir pod

drzwiami i oknami: w ten sposób zabezpieczysz swój dom, tak że nikt się nawet o tym nie dowie. Gdy przeszli przez niewielki, lecz bujnie porośnięty ogród i zbliżyli się do ganku, Harper zobaczył kobietę klęczącą na jednym ze stopni, która przygotowywała ofiarę. Uśmiechnęła się do Abanga, a on odwzajemnił uśmiech i powiedział do niej coś w języku, którego Harper nie rozumiał. Młoda kobieta pochyliła się nad ofiarą, przymknęła na chwilę oczy, po czym podniosła się ze schodów i w lekko pochylonej pozycji wycofała się w dół ścieżki.

Wnętrze domu było proste i panował w nim porządek. Gospodarz wyciągnął rękę zapraszającym gestem i Harper usiadł na dwuosobowej kanapie z tkanymi poduszkami, a on sam zniknął gdzieś w głębi domu; po chwili wrócił z dwiema butelkami piwa i podał jedną gościowi. Obaj wznieśli butelki w niewielkim toaście, po czym Abang podszedł do znajdującej się przy ścianie starej szafki na dokumenty, na której stała szeroka i płytka miska pełna kadzidełek oraz przywiedłych płatków ze zwiniętymi, brązowymi brzegami. Przechylił miskę i wyjął spod niej cienki notes, który rzucił Harperowi.

– Wewnętrzna strona tylnej okładki.

Widniały tam imię i delikatnie naszkicowany ołówkiem plan wioski.

– To jest wioska, Komang mieszka tuż obok – oznajmił Abang, siadając obok Harpera i wskazując stronę w notesie. – To nasz kontakt w tym rejonie. Jest bardzo dobrze ustosunkowany, zasiada w komisji do spraw irygacji, a jego kuzyn jest ważną osobistością w sąsiedniej wiosce. Szwagier jest urzędnikiem w Klungkung.

– Dlaczego pracuje dla nas? Co z tego ma? – spytał Harper.

Abang wzruszył ramionami.

– To przyzwoity facet, rodzinny człowiek, martwi się przejmowaniem ziemi przez PKI. Chłopi też się tym niepokoją, ponieważ są lojalni wobec starych właścicieli ziemskich. Nie do końca rozumieją ideę rozparcelowywania

gruntów, mimo że na tym skorzystają. Komang jednak nie jest chłopem, daleko mu do tego, powinien więc dać sobie radę. Cieszy się prestiżem. Kłopot w tym, że w zeszłym roku jego brat wstąpił do PKI i wszyscy o tym wiedzą. Kiedy zaczną się tu nagonki na komunistów, cała rodzina znajdzie się w niebezpieczeństwie.

– Możemy przekazać wiadomość armii? Żeby go zostawili w spokoju.

– To tak nie działa. – Abang potrząsnął głową. – Przyjdą po niego miejscowe bojówki. A gdy one wkraczają do akcji, działają już całkiem na własną rękę.

– Aha. – Harper wyjął z tylnej kieszeni oprawiony w skórę notes oraz ogryzek ołówka i przytrzymując dłonią otwarty notatnik Abanga na jednym kolanie, a swój na drugim, zaczął przepisywać wszystkie informacje drobnym, nieczytelnym pismem oraz szyfrem, który sam opracował; była to znana tylko jemu mieszanka angielskiego, holenderskiego, indonezyjskiego, odrobiny jawańskiego oraz kilku słów i skrótów własnego pomysłu. Jeśli ten notes wpadnie w niepowołane ręce – cóż, powodzenia.

Gdy podniósł wzrok, zauważył, że Abang podszedł do otwartych drzwi wychodzących na ganek, oparł się o framugę i wygląda na zewnątrz. Światło z ogrodu podkreślało jego sylwetkę: zwalisty facet z wystającym brzuchem. Wydawał się nieco rozkojarzony. Zazwyczaj sprawiał wrażenie człowieka solidnego i godnego zaufania, a w niektórych sytuacjach nawet sympatycznego. „Typ kochanego wujka”, pomyślał Harper. Po chwili Abang zapalił kretka i ciągle stał, patrząc w kierunku ulicy. Harper miał przeczucie, że rozmyśla o młodej kobiecie, która tak nagle się wycofała, gdy wchodzili. Może się zastanawiał, co się z nią stanie, kiedy on stąd odejdzie?

Nagle zerknął za siebie i przyłapał Harpera na tym, że go obserwuje.

– Przepraszam. – Poklepał się po kieszeni.

– Nie szkodzi – odparł Harper. – Jeszcze chwila.

Abang zaciągnął się papierosem.

– Ale nie przepraszam za to, że się ulotnię z Denpasar, zanim to wszystko się tu zacznie.

– Wtedy już będę na wsi.

– Tak, ale nie liczyłbym na to, że tam będzie lepiej. Kiedy już ostrzeżesz Komanga, wszystko zależy od ciebie. Obierz taką trasę, jaką chcesz. Idź w góry, obserwuj i rób notatki, pilnuj tylko, żeby nie zostawać dłużej niż dwie noce w jednym miejscu. Rzekłbym, że spędzisz tu przynajmniej kilka tygodni, chyba że Amsterdam w swojej mądrości zmieni jednak zdanie. Jakie masz dyspozycje?

– Będę musiał wrócić do Denpasar. Ale wiedzą, że przez jakiś czas nie będzie ze mną kontaktu.

– Dobre posunięcie. – Abang skłonił głowę z uznaniem.

Ulubiona robota każdego agenta: swoboda działania i własna inicjatywa.

Abang się uśmiechnął.

– Nie jesteś romantykiem, prawda?

Harper spojrział na niego pytająco.

– To znaczy, nie należysz do osób, które zachwycąłyby się krajobrazem? Wybacz, oczywiście, że nie... – Odchylił głowę i wydmuchnął mocno do góry dym. – Nie jesteś taki jak Joosten i pozostali.

W gruncie rzeczy Abang chciał powiedzieć: „Nie jesteś głupcem. Nie pomyślisz, że skoro pole jest zielone i stoi na nim piękna kobieta z lśnącymi, czarnymi włosami, pochylając się nad zbiorami, to znaczy, że możesz opuścić gardę. Nie jesteś na tyle głupi, by wierzyć – jak ci wszyscy agenci daleko stąd – że w pięknych miejscach nie może dojść do straszliwych rzeczy”. W gruncie rzeczy Abang chciał powiedzieć: „Nie jesteś biały”.

– Nie – odrzekł Harper, pochylając głowę nad notesami. – Nie jestem jak oni.

Nazajutrz rano obudził się po wschodzie słońca na niskiej leżance stojącej w kącie salonu Abanga. Z ganku na tyłach domu dobiegało pobrzękiwanie oraz melodyjne mruczenie gospodarza śpiewającego cicho trudną do zidentyfikowania pieśń.

Spał głęboko. Światło wpadało do środka przez listwy w okiennicach jasnobiałymi smugami. Odrzucił sarong, który dostał od Abanga, usiadł i zaczął się rozciągać: najpierw ramiona – zgiął je w łokciach – wygiął w łuk plecy, a potem pokręcił głową. Spojrzał na tułów, dotknął siniego stłuczenia na klatce piersiowej – opuchlizna już zesza, a czerwone brzegi rozciągały się w fioletowo-żółty ornament przypominający koronkę. Jego fiut, mały i wiotki, opierał się o lewe udo i Harper nie po raz pierwszy pomyślał, że mogło się skończyć znacznie gorzej. W następnych latach, już jako starszy mężczyzna, niejednokrotnie wspominał szybkość, z jaką wrócił do zdrowia po incydencie w Dżakarcie i to, że wówczas traktował to wszystko jak coś oczywistego: tę niezachwianą wiarę we własną zdolność przetrwania, tempo, w jakim blakły siniaki, pewność siebie, młodzieńczą sprężystość.

Wstał, zawinął sarong wokół pasa, po czym założył koszulkę, którą zostawił na leżance. Nie powiedział Abangowi o pobiciu. Nie zamierzał również wspominać o tym w swoich raportach. Gregor od razu by zapytał: „Dlaczego nie zastosowałeś lepszego manewru wymijającego, skoro wiedziałeś o zamieszkach?”. Bez względu na to, co przydarzyło się któremuś z agentów w terenie, lubił dać mu do zrozumienia – jak również wszystkim pozostałym – że to była wyłącznie jego wina.

Abang smażył ryż w woku na kamiennym piecu na drugim końcu ganku. Gdy Harper wyszedł na zewnątrz, przeczesując rękami włosy i drapiąc się po głowie, zasalutował mu drewnianą szpatułką, a potem przerzucił ryż na dwa cynowe talerze. Zdjął z ramienia ścierkę i złapał przez nią jeden talerz, który podał Harperowi.

– Proszę, *adik*³⁴ – powiedział z uśmiechem. – Tylko ostrożnie, gorące.

– Dziękuję.

Harper usiadł na schodach, talerz ze ścierką oparł sobie na kolanach i zaczął jeść, nabierając ryż palcami. Abang zszedł z patelnią do ogrodu i obrócił ją do góry dnem, uderzając w nią drewnianą szpatułką, aby wszystkie resztki mogły zjeść dwie dziobiące w pobliżu kury. Później wziął swój talerz i usiadł z nim obok gościa. Kawalek dalej, za krzakami, w małym skarłowaciałym ogródku Harper widział ubłoconą świnię śpiącą na boku w prowizorycznej drewnianej zagrodzie. Zwierzę było całkowicie nieruchome, z wyjątkiem długiej, owłosionej krzywizny brzucha, która unosiła się i opadała w rytm oddechu.

– Twoja świnia? – spytał.

Abang potrząsnął głową.

– Sąsiada. Nie do wiary, że jeszcze żyje, ale chyba już niedługo. Chcesz wiedzieć, ile musiałem zapłacić za ten worek ryżu? – Rzucił głową do tyłu, tam, gdzie musiał być ukryty ryż. – Tysiąc rupii. Wystarczy mi może na parę tygodni, tylko mnie, bez rodziny, choć przyznaję, lubię zjeść, to prawda. Domyślałem się, że miejscowa rodzina pociągnęłaby na tym worku z miesiąc.

Harper skinął głową, starannie zwijając ryż w kulkę, zanim podniósł go do ust. Abang dodał do niego trochę liści limonki kafir i posiekanej papryczki chili z pestkami: brakowało tylko odrobiny smażonej ryby i może jeszcze jajka na wierzchu. Czy kury Abanga nie znoszą jajek? Ale i tak nie zamierzał narzekać: w porównaniu z klaustrofobicznym hotelem Indonesia i cuchnącą spaloną gumą Dżakartą czuł się tutaj jak na wakacjach ze starym znajomym.

– Chcesz wiedzieć, ile miesięcznie zarabiają tu nauczyciele?

Harper znów skinął głową.

– Pięćset rupii.

Zaraz obok kamiennego pieca leżała duża materiałowa torba z zewnętrznymi kieszeniami. Abang już się spakował.

Siedzieli obok siebie i jedli, kręcąc głowami i patrząc na ogród oraz

sapiącą przez sen świnie: może śniła o resztkach z kuchni, zupełnie nieświadoma nieuchronnie zbliżającego się przeznaczenia? „Jesteśmy jak ta świnia – pomyślał Harper – gdy tak obżeramy się ryżem na śniadanie. Czy nie o tym tak naprawdę wszyscy myślą – skąd wziąć kolejny posiłek? A gdy już wiadomo, że ten posiłek się pojawi, czy tak trudno uwierzyć, że to wszystko, czego nam potrzeba? Ale gdy nie wiesz, kiedy ani gdzie zjesz kolejny posiłek, wtedy staje się to jedyną rzeczą, o której możesz myśleć. Tysiąc rupii za worek ryżu, gdy tymczasem nauczyciel zarabia miesięcznie połowę z tego. Jak ktokolwiek jest w stanie tu przeżyć? Nic dziwnego, że ten kraj się rozpada. Kiedy ryż jest tak drogi, ludzkie życie staje się tanie”.

„Wreszcie wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg”. W dalszą podróż wyruszył na tylnym siodełku motoru, którym kierował Wayan. Chciał pojechać sam, ale Abang wyperswadował mu ten pomysł, twierdząc, że Wayan jest godny zaufania, a poza tym zna okolicę.

– Kiedy już tam będziesz, sam zobaczysz – mówił – jakie tam są drogi, jakie ścieżki. Znacznie łatwiej będzie ci z kimś, kto je zna. Wayan tam dorastał. Gdy już spotkasz się z Komangiem, wtedy możesz wyruszyć sam, nie będzie pośpiechu.

Kiedy opuścili Denpasar, Harper poprosił Wayana, chudego mężczyznę mniej więcej w jego wieku, żeby jechał powoli. Nie chciał ryzykować wypadku na dziurawej drodze, a ponadto zamierzał przy okazji rozeznaczyć się w sytuacji. W większości wiosek panował spokój. Nie było zwęglonych zwłok zwisających z drzew jak na Jawie, przynajmniej na razie. Od czasu do czasu widywał grupki młodych ludzi przesiadujących na schodach, raz czterech starszych mężczyzn wyglądających na zorganizowaną bojówkę, ale nie było tutaj czuć podskórnego napięcia, tak jak w Dżakarcie. Kto jednak wie, co się działo w bardziej oddalonych górskich wioskach? Tam już mogło się

zacząć, tylko tutaj jeszcze o tym nie wiedzieli.

Z Denpasar wyjechali rankiem, ale nie pokonali nawet połowy trasy, kiedy się rozpadało. Schronili się na ganku sklepu sprzedającego wyplatane koszyki w różnych rozmiarach: od bardzo malutkich po takie wielkości wanny. Właściciel poczęstował ich herbatą w niedużych filiżankach i usiadł obok nich; czekając, aż przestanie padać, wdali się z nim w luźną pogawędkę. Naprzeciw łagodnymi, zielonymi zakolami wznosiło się tarasowe pole ryżowe, jego ciemna zieleń była teraz zupełnie zalana wodą, gleba i rośliny wchłaniały w siebie całą ulewę – podczas tak intensywnego deszczu ziemia wydawała się wręcz ożywiona, zupełnie jakby oddychała wodą. Łatwo było sobie wyobrazić, jak pola unoszą się i opadają z każdym oddechem, jakby cała wyspa była śpiącym olbrzymem.

Deszcz padał rześście przez ponad dwie godziny. Po pewnym czasie Harper oparł się o pień palmy rosnącej tuż przy skraju schodów i zasnął ukołysany uspokajającym bębnieniem deszczu oraz cichym szmerem głosów Wayana i sklepikarza.

W końcu ulewa ustała i wyszło słońce. Wayan uśmiechnął się do niego, wycierając motocykl – wciągnęli go wprawdzie pod zadaszenie z liści palmowych, ale woda i tak kapała między nimi na siodełko.

– Długo pan spał, szefie. Jest pan zmęczony.

Harper skrzywił się w odpowiedzi. Czuł się nie tyle zmęczony, ile spokojny; miał zadanie do wykonania i potrzebne do tego środki.

Byli mniej więcej w połowie drogi, przejeżdżając przez kolejną wioskę, gdy Harper nachylił się do przodu i klepnął Wayana w ramię. Ten zahamował i wyłączył silnik, żeby dało się porozmawiać.

– Zatrzymajmy się, żeby coś zjeść – zaproponował Harper. Nie chciał tracić

czasu na szukanie jedzenia, gdy już dotrą do celu – to ściągnęłoby na nich uwagę miejscowych, zanim zdążyliby porozmawiać z Komangiem, a jeśli rzeczywiście groziło mu takie niebezpieczeństwo, jak mówił Abang, nie byłby to zbyt dobry pomysł. Zsiedli z motoru. Harper dał Wayanowi trochę rupii i kazał mu załatwić sprawę najszybciej, jak to możliwe, bez wzbudzania większych podejrzeń. Sam wycofał się pod drzewo rosnące blisko zarośli na końcu ulicy, z dala od przechodniów. Tym razem nie chciał siedzieć obok motoru na schodach prowadzących do sklepu, gdzie każdy mieszkaniec wioski mógł się zatrzymać, żeby pogawędzić.

Z miejsca, które wybrał, miał widok na motor oraz niewielki szereg sklepów; w jednym z nich zniknął Wayan. Z przeciwnego końca ulicy dobiegł go krzyk i obróciwszy się w tamtą stronę, ujrzał dwóch mężczyzn kłócących się z trzecim. Zerknął z powrotem w kierunku sklepów i zauważył, że na schody wyszła para starszych ludzi i dwie kobiety. Nagle zaczepiony mężczyzna stanął i zbliżył się do pozostałych dwóch. W jednej chwili cała trójka pochyliła głowy, wspólnie się naradzając.

Harper rozejrzał się wokół. Czworo ludzi, którzy wyszli się przyjrzeć sprzeczce, już zniknęło. Ulica była pusta, nie licząc parchatego szarego psa, który biegał tam i z powrotem z nosem przy ziemi.

„No jasne – pomyślał Harper. – Ten człowiek właśnie kogoś wydał. «Wreszcie wiadomo, kto przyjaciel, a kto wróg»”. Cóż, w rzeczywistości nie jest to tak do końca oczywiste, ale jeśli chcesz być przyjacielem, musisz wydać wroga. Neutralność nie wchodzi w grę. Kiedy członkowie bojówki – ośmiu lub dziesięciu facetów w czarnych ubraniach i z zakrzywionymi jak sierpy maczetami – staną w nocy pod twoimi drzwiami, ucieczka nie będzie wchodzić w grę. Ile masz dzieci – czworo, pięcioro? Nawet jeśli uda się wam wydostać przez tylne okno i nawet jeśli dowódca nie postawił tam już człowieka, żeby cię zatrzymał – szybkie cięcie w nogi, zazwyczaj tuż poniżej kolan – i tak nie uciekniecie daleko, dopadną was gdzieś na polach ryżowych.

Więc gdy kulisz się ze strachu w najodleglejszym kącie domu, patrząc, jak drzwi się trzęsą pod gradem uderzeń, masz następujący wybór: możesz czekać, aż ustąpią i otworzą się na oścież; możesz czekać, aż napastnicy wpadną do chaty i wywloką na zewnątrz ciebie, twoją żonę i twoje krzyczące, przerażone dzieci, albo też możesz wstać, podejść do drzwi i zawołać: „Bracia!”.

Wołasz na tyle głośno, by na chwilę przestali łomotać w drzwi. Potem podajesz im nazwisko.

Tanu. To nazwisko twojego sąsiada. Mieszka w domu w dole wzgórza – domu znacznie lepszym od twojej chaty składającej się z jednej izby. A teraz przychodzi najtrudniejszy moment. Musisz otworzyć drzwi. Musisz uśmiechnąć się do stojących na zewnątrz mężczyzn, przywitać się z nimi. Musisz zachowywać się tak, jakbyś się cieszył, że przyszli – jeśli pokażesz, że się ich boisz, dojdą do wniosku, że masz coś do ukrycia. A zatem, odnajdując w sobie resztki odwagi, zdejmujesz zasuwę. Zapraszasz ich gestem do środka, po czym odwracasz się i przez ramię warczysz na żonę, żeby przestała płakać jak idiotka, ponieważ ci ludzie to przyjaciele i może chcieliby dostać coś do jedzenia i picia. I jeszcze uśmiechasz się w ciemność i mówisz: „Tanu, moi przyjaciele. Mówię prawdę. Słyszałem, że jego żona jest w Gerwani”. I gdy teraz o tym myślisz, to rzeczywiście jest prawda. Jego żona ciągle opowiadała twojej o tym, jak ważna jest edukacja dziewczynek, że kobiety są wydajnymi pracownikami i pracują dla dobra całej wioski. I choć chyba nie usiłowała zwerbować jej do PKI, wydaje się to nieco dziwne, prawda? Bo skoro nie jest komunistką, to dlaczego tak bardzo namawiała ją do tego, by posłać dziewczynki do szkoły?

Mężczyźni nie wchodzą do chaty. Nawet ich wyraźnie nie widzisz, ponieważ blask płonących pochodni jest tak jasny, że są tylko ciemnymi sylwetkami podświetlonymi przez pomarańczową poświatę. Rozmawiają przez chwilę i odchodzą. Zakładasz zasuwę na drzwi i wracasz do kąta, do żony i dzieci.

Po jakimś czasie słyszysz krzyk dobiegający z dołu wzgórza. To taki rodzaj krzyku, jakiego jeszcze nigdy nie słyszałeś. To taki krzyk, który przeszywa ci uszy. Twój sąsiad Tanu i jego bliscy zostali wywleczeni z łóżek. Siedzisz skulony w kącie, obejmując ramionami popłakujące cicho dzieci, a krzyk tymczasem ciągle słychać – wiesz, że gdy ujrzysz o brzasku spalone ciała powieszzone na głównym placu wioski, ogarną cię przerażenie i odraza, ale póki co odczuwasz ulgę, że w pierwszej kolejności przyszli do twojego domu, bo tylko dzięki temu zrządzeniu losu miałeś okazję wydać Tanu, zanim on wydałby ciebie.

Trzej mężczyźni zawrócili i odeszli. Droga zakręcała, więc wkrótce zniknęli z pola widzenia. Być może dwaj napastnicy prowadzili tego trzeciego w jakieś ustronne miejsce, żeby go tam zabić, albo zostali współnikami i knuli coś razem. Harper obserwował starszą kobietę, która wyszła ze sklepu i zaczęła zamiatać schody. Po chwili dojrzał Wayana, niosącego dwie porcje jedzenia zawinięte w liście bananowca.

Dotarcie do położonej w górach wioski Komanga zajęło więcej czasu, niż Harper przewidywał. Deszcz był tak ulewny, że drogi gruntowe stały się grząskie, a szosa zrobiła się błotnista i nieprzejezdna. Kiedy zsiadli z motoru, żeby go obrócić, z drzew spadły na nich grube krople deszczu.

Gdy w końcu dojechali do celu, było już późne popołudnie i Harper zaczął liczyć się z tym, że mogą tu utknąć na noc, co nie było idealnym rozwiązaniem, lecz z pewnością o wiele bezpieczniejszym niż podróżowanie po zmroku. Zgodnie z instrukcjami Abanga kazał zaparkować Wayanowi zaraz obok głównego placu wioski. Przez kilka minut stali przy motorze, pijąc wodę z butelki, a Harper próbował się zorientować w terenie. Gospodarstwo Komanga leżało niedaleko wioski, na stromym zboczu prowadzącym na

północ.

Kiedy Harper zaczął się na nie wspinać, ruszyło za nim trzech chłopców, wołając:

– Halo! Halo!

Wkrótce dołączyło do nich czterech lub pięciu kolejnych i razem skakali wokół niego uśmiechnięci, chcąc ogłosić wszystkim jego przybycie. Gdy zbliżył się do celu, chłopcy zostali z tyłu, po czym z wrzaskiem zbiegli w dół zbocza.

Dom był okazałą, długą i niską siedzibą rolnika zajmującego się uprawą ryżu. Na powitanie wybiegły trzy psy, warcząc na Harpera bez przekonania. Mały kogut spacerujący po podwórku uniósł łeb, wyciągnął szyję i zatrzepotał skrzydłami. Zza rogu domu wyłoniła się mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, która na widok gościa stanęła jak wryta, po czym odwróciła się i pobiegła tam, skąd przyszła.

Harper postanowił poczekać przed domem. Zastanawiał się, czy zapalenie papierosa byłoby nieuprzejmością.

Po chwili zza rogu domu wyszedł mężczyzna w koszuli i sarongu. Zatrzymał się kilka kroków od Harpera, tak aby mogli oszacować się wzrokiem: nie ulegało wątpliwości, że to gospodarz, Komang. Był chudym trzydziestoparolatkiem, ale miał krzepką budowę człowieka, który od najmłodszych lat pracuje na roli: na pierwszy rzut oka wydawał się drobny, ale po bliższym przyjrzeniu się naprężonym mięśniom jego łydek i twardym jak stal ramionom stawało się jasne, że nie jest słabeuszem. Gdyby ktoś chciał na przykład podnieść pień drzewa, na pewno przydałaby mu się pomoc kogoś takiego.

Komang powoli zlustrował Harpera. W jego spojrzeniu nie było agresji ani podejrzliwości, ale raczej coś na kształt pozbawionej lęku świadomości, zupełnie jakby się go spodziewał. Przyglądał się rozpiętej pod szyją koszuli Harpera i jego spodniom, przyznając niejako sam przed sobą, że ten

nieznajomy pojawił się tu nie bez powodu.

– Kiedy żniwa? – zapytał Harper.

– Jak zwykle, bracie – odparł Komang. W branży nazywało się to identyfikatorem.

– Abang przesyła pozdrowienia – dodał Harper.

Komang skinął głową.

– Witaj – powiedział i podszedł bliżej.

Na werandzie pojawiła się żona Komanga. Ona też była chuda, ale wyglądała starzej od męża i zachowywała się z większą nieufnością. Jej twarz wydawała się szczerą, lecz pełną napięcia. Zamienili kilka słów. Harper domyślał się, że Komang dawał jej wskazówki, jak ma przyjąć gościa.

Następnie gospodarz wskazał na pola i powiedział:

– Może się przejdziemy, póki jeszcze jest jasno?

Harper skinął głową. Światło tutaj miało tę szczególną właściwość, że pojawiała się późnym popołudniem, po ulewnym deszczu. Wilgotna mgiełka wciąż unosiła się w powietrzu, teraz podświetlona przez złote promienie.

Kiedy szli, Harper przede wszystkim zadawał pytania. Jakie są najnowsze wieści na temat działalności PKI w tym rejonie? Jak przebiega reforma rolna? Co myślą okoliczni mieszkańcy? Ile wiedzą o tym, co się dzieje na Jawie? Odpowiedzi wyglądały mniej więcej tak, jak się tego spodziewał. Zarówno muzułmańscy, jak i chrześcijańscy generałowie na Jawie przedstawiali komunistów jako ateistycznych barbarzyńców; tutaj, na Bali, gdzie panował hinduizm, wrogie PKI ugrupowania przekonywały, że komuniści nie tylko są przeciwko bogom, lecz także zamierzają zniszczyć wszystkie miejscowe zwyczaje: naruszą budowaną przez stulecia delikatną równowagę, zakazą obrzędów i praktyk religijnych, które stanowią nieodłączoną część życia Balińczyków. Ludzie się niepokoiли, wszędzie widzieli złe znaki. Gunung Agung okazał gniew, bo wypłynęła z niego lawa; na szczęście bogowie oszczędzili Matkę Świątyni.

„A nauczyciel zarabia miesięcznie tylko tyle, żeby kupić dwutygodniowy zapas ryżu” – pomyślał Harper. Nic dziwnego, że ludzie są wściekli; nic dziwnego, że szukają kogoś, kogo mogliby obarczyć winą.

Dotarli do końca pola: pędy ryżu tworzyły falujący dywan, marszczyły się pod podmuchami wiatru niczym tafla zielonego morza. Po przeciwnej stronie rosła zwarta ściana drzew palmowych. Harper szacował, że pokonanie pola i dobiegnięcie do linii drzew mogło zająć dobre dziesięć minut: pole nie miało zbyt solidnego podłoża, rośliny stały w wodzie. Ktoś bardziej zwinny, kto poruszałby się na bosaka, na przykład dziecko, mógłby zrobić to szybciej, ale każdy, kto miałby buty i normalną wagę, zacząłby grzęznąć. Błoto lepiłoby mu się do stóp. Mógłby liczyć tylko na to, że ludzie, którzy go ścigają, także poruszałiby się wolniej. Zaczął się zastanawiać, ile czasu zostało jeszcze do zmroku.

Stali obok siebie z twarzami zwróconymi w stronę pól.

– Abang powiedział mi, że powinieneś wiedzieć, co działalność polityczna twojego brata może oznaczać dla ciebie i twojej rodziny. Wszystko, co dzieje się na Jawie, może się wydarzyć również tutaj... – urwał, pozwalając, by Komang dopowiedział sobie resztę.

Wpatrywali się w pole, które mieniło się w promieniach nisko wiszącego słońca. Harperowi przyszło do głowy, że w takich chwilach można niemal uwierzyć w to, że warto umrzeć właśnie w tym miejscu, ponieważ ta ziemia, te zielone rośliny i to światło to raj. Jak ktoś taki jak Komang zdoła to wszystko zostawić i zrezygnuje z dorobku całego życia?

Wrócili do gospodarstwa. Na ich widok z domostwa wyszła żona Komanga, niosąc tacę z dwiema szklankami. Wpatrywała się uważnie w męża.

Gdy siedzieli na ganku z tyłu i popijali herbatę, między domem a podwórkiem ciągle biegały dzieci. Było ich co najmniej ośmioro. Żona

Komanga przyniosła pokrojone banany i owoce salaka w porcelanowej misce z zakręconym niebieskim wzorkiem – szkliwo było lekko popękane, pewnie trzymali ją dla gości. Kobieta uśmiechnęła się niepewnie, ukloniła mężowi i Harperowi, po czym wycofała się do kuchni, przeganiając po drodze dzieci. Kilka minut później jakaś staruszka wychyliła głowę przez tylne drzwi, spojrzała na mężczyzn i natychmiast się schowała. Harper zastanawiał się, ile osób żyje w sumie w tym domu. Oprócz rodziny samego Komanga mogło tam mieszkać jego młodszemu rodzeństwu, ich rodziny, starsi krewni. Część dzieci to pewnie jego bratankowie lub siostrzeńcy. Zbyt duża grupa, by prędko uciec; zbyt wiele osób, które nie mogą szybko biec.

Komang nachylił się do przodu i powiedział cichym głosem:

– Szczęście mi sprzyjało, panie Harper, byłem błogosławiony. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób taki człowiek jak ja może zachować swoje szczęście?

Szałeństwo prędzej czy później wkroczy do tej wioski. To tylko kwestia czasu. Harper to wiedział i Komang też, ale czy miał pojęcie, jak źle może być?

– Co będą mówić w wiosce o mojej wizycie? – spytał cicho.

– Jestem rolnikiem, ale rozumie pan... – Komang zerknął ponad ramieniem Harpera na dom. – Większość rolników mieszka w mniejszych domach. Oczywiście, że ludzie gadają.

Harper wyobrażał sobie cały scenariusz aż nazbyt wyraźnie: zazdrość i uraza, szeptanie po wiosce. Część pieniędzy, które zarabiał na udzielaniu informacji Instytutowi, Komang płacił zapewne jakimś miejscowym oddziałom milicji w zamian za ochronę, ale jeśli ten układ się załamie, nie będzie komu go chronić.

– Mój brat nie jest złym człowiekiem – oznajmił Komang. – Chce podarować kawałek ziemi ludziom, którzy nie mają nic, żeby za te długie godziny pracy mogli wykarmić rodziny, zamiast poświęcać je właścicielowi

ziemskiemu, który w ogóle o nich nie dba. PKI idzie zdecydowanie za daleko, nie zgadzam się z komunizmem, ale ludzie, którzy działają w partii, wcale nie są źli.

– Wiem o tym, ale nie wszyscy tak to widzą.

Komang siedział z nieruchomą twarzą. Harper podziwiał opanowanie tego człowieka, zważywszy na to, jakie konsekwencje dla jego rodziny będą miały decyzje, które musiał czym prędzej podjąć.

Milczał przez chwilę i Harperowi przeszło przez myśl, że sumuje to, co zapewne straci. Jego rodzina uprawiała tę ziemię od pokoleń: nie mieściło się w głowie, że mógłby stąd odejść. Może powinien zostać, licząc na to, że zdoła się obronić, a może lepiej spakować trochę rzeczy i z żoną oraz dziećmi wyjechać do Denpasar? Ale kim będzie w mieście? Zamiataczem ulic? Tu, w wiosce, ma przyjaciół. Czy siedząc na własnej werandzie i patrząc na złote światło ścielące się po polach, potrafił sobie wyobrazić, że jego przyjaciele i sąsiedzi, którzy mieszkają niżej, mogą przyjść tutaj z sierpami i maczetami?

Harper popatrzył na Komanga i zrozumiał, jaką walkę musi toczyć. Kiedy należysz do jakiejś społeczności, czujesz się u siebie, bezpieczny. Na jego miejscu ukrywałyby się przynajmniej na noc. Znalazłby sobie kryjówkę gdzieś na polach ryżowych, jakiś rodzaj przepustu albo opuszczony spichlerz, i każdej nocy, zaraz po zmroku, zabierałby tam żonę i dzieci. Musieliby przysiąc, że zachowają to miejsce w tajemnicy. Dzieci jak to dzieci, mogłyby wygadać wszystko kolegom. I co wtedy? Ale oczywiście nie był Komangiem. On nigdy nie opuściłby swojego domu całkiem bezbronny, z pustymi rękami.

– Mój dom... Ta wioska... – wydusił w końcu z siebie Komang i znów zamilkł.

– Wiem – odparł cicho Harper. – Przykro mi. Komang, nie możesz z nikim rozmawiać, nawet z własną rodziną, a zwłaszcza z bratem. Sam musisz podjąć decyzję, a potem działać. I to szybko.

– Ile zostało mi czasu?

– Najwyżej kilka dni. Nie podoba mi się panująca tu atmosfera. Na twoim miejscu wyjechałbym natychmiast.

Komang tylko utkwiał w Harperze nieruchomy wzrok.

Harper zszedł ze wzgórza i skręcił w dróżkę prowadzącą na główny plac. Dwie starsze kobiety przed nim niosły na głowach długie wiązki gałęzi, kołysząc się zgodnie. Wayan czekał na końcu dróżki, tuż obok motoru, siedząc w kucki i kołysząc się na piętach. Nad nim stało paru miejscowych mężczyzn. „Skąd jesteś?” – pytania były dostatecznie jasne. Kilka nietoperzy śmignęło w koronach drzew. Złote światło zaczynało szarzeć: szybko nadchodził zmierzch. Harper się zastanawiał, czy nie wyruszyć w drogę po ciemku, ale znacznie rozsądniej było pozostać na miejscu – inne wioski, które miał odwiedzić, leżały na północ stąd. Komang zaoferował mu nocleg, ale Harper wiedział, że lepiej zostawić go samego, aby podjął konieczne decyzje i poczynił przygotowania.

Gdy miejscowi zobaczyli Harpera, uśmiechnęli się do niego, ale nie zostali, żeby z nim porozmawiać, lecz odwrócili się i odeszli. Wayan podniósł się i wygładził spodnie.

Wynajęli pokój w domu starszej kobiety: Wayan znalazł im kwatere z wyżywieniem. Zjedli z mieszkającą tam rodziną, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze; dzieci zachowywały się wyjątkowo cicho, bo były onieśmiałe ich obecnością. Po wypiciu słodkiej herbaty wszyscy udali się na spoczynek. Harper i Wayan dzielili leżankę w otwartym pomieszczeniu, częściowo tylko zasłoniętą przez dużą tkaninę zwisającą ze sznura, a czarna świnia węszyła wokół ich stóp. Gospodyni wręczyła im obu po sarongu i zgasła jedyną lampę naftową zawieszoną na sznurze. Zapadła ciemność.

Obudził go krótki krzyk i w jednej chwili poczuł się rozbudzony – był to ten rodzaj gwałtownego przebudzenia, kiedy coś człowiekowi podpowiada, że grozi mu niebezpieczeństwo, choć świadoma część umysłu jeszcze nie zdążyła tego wychwycić. Było zupełnie ciemno. Usiadł prosto, po czym przycupnął w pozycji pełnej gotowości. Leżący obok Wayan również już nie spał.

– Proszę pana? – wyszeptał.

Harper wyciągnął dłoń, żeby go uciszyć, choć w tych ciemnościach i tak nic nie można było zobaczyć. Zamrugał kilka razy, by przyzwyczaić wzrok do mroku, i w końcu zdołał dojrzeć z lewej strony pomarańczowy blask, tam gdzie znajdowała się kamienna brama prowadząca z obejścia na ulicę.

– Zostań tutaj – szepnął. Wstał z łóżka – tym razem spał w ubraniu i z pasem na pieniądze przypiętym do koszuli od wewnątrz – i podpełzł do drzwi.

Na ulicy stała duża grupa mężczyzn. Niektórzy trzymali zapalone pochodnie, a kilku lampy naftowe. Tu i tam migwały bezcielesne twarze, które wyłaniały się nagle z ciemności i zaraz znikwały w rozkołysanym świetle. W końcu zniknęła cała grupa, rozplynęła się w ciemnościach. Harper stał przez minutę, nasłuchując, w którym kierunku poszli: na północ, w górę zbocza. Nagle rozległo się krótkie szczekanie psów z gospodarstwa powyżej wioski, a potem skomlenie i cisza.

Do domu Komanga można było się dostać inną drogą, tak powiedział mu Abang: „Możesz podejść albo przez wioskę, na piechotę, albo pojechać motorowerem dróżką przez pola, ale wtedy będziesz musiał zostawić Wayana z motorem pośrodku pól, a to mu się nie spodoba”. Wielu Balijszczyków wierzyło, że w wodzie mieszkają duchy, Niewidzialni. „Dziś w nocy to bardzo prawdopodobne”, pomyślał Harper.

Wrócił do domu i syknął do Wayana:

– Odpal motorower.

Abang narysował mu w notesie szkic przedstawiający drogi i ścieżki wokół wioski, ale choć Harper miał dobrą pamięć wzrokową, nie był pewien, czy uda mu się odnaleźć drogę w ciemnościach.

Gdy wrócił do leżanki po torbę, wygrzebał z kieszeni zapalniczkę, zapalił ją i przytrzymał, by zobaczyć twarz Wayana, zastygłą w dziwnym grymasie i zarazem pozbawioną wyrazu.

– Mamy tu zostać, proszę pana? – zapytał.

– Nie możemy – odrzekł Harper. – Nie jesteśmy tu bezpieczni. – To nie była prawda. Szczerze wątpił, żeby mężczyźni po nich przyszli. Obawiałby się, że jego status jest niepotwierdzony, że może być zbyt ważną osobą. Wiedział, że Wayan nie odpali motoroweru, chyba że uzna, iż pozostanie w domu jest bardziej niebezpieczne niż jazda w nocy, więc powtórzył: – Nie jesteśmy tu bezpieczni, ci ludzie wrócą. Musimy pojechać okrężną drogą. Poprowadzę cię.

Odgłos silnika motoroweru: w dzień tak wszechobecny, że w ogóle nie zwraca uwagi, a tymczasem w nocy tak bardzo jazgotliwy. Zaalarmuje mężczyzn o ich obecności, dlatego postanowił wybrać inną, okrężną trasę. Wayan trzęsącymi się rękami próbował przekreślić kluczyk w stacyjce i przez chwilę Harper się zastanawiał, czy nie powinien go tu zostawić. W końcu silnik zaskoczył i rozległ się cichy warkot. Harper wskoczył na siodełko.

– Do końca drogi, a potem w lewo – szepnął do ucha Wayanowi. – Bądź ostrożny, jedź powoli i trzymaj się środka. – Nie mogli sobie pozwolić na to, by po ciemku wylądować w rowie.

Skreśli w lewo w dróżkę okrążającą wioskę. Ściskając siodełko kolanami, Harper trzymał w ręku zapalniczkę i zapalał ją raz na jakiś czas, by oświetlić drogę: błotnista ścieżka, krzaki, cień rzucany przez motor oraz dwóch pasażerów. W końcu wspięli się na wzniesienie i podskakując na wybojach,

powoli wjechali w kolejną dróżkę, która w końcu zwęziła się i urwała. W tym miejscu, jeśli Harperowi udało się dobrze obliczyć, powinien się znajdować skraj pola Komanga.

– Wyłącz silnik – szepnął Wayanowi do ucha.

Gdy motor umilkł, przez chwilę lub dwie Harper miał wrażenie, że wokół nich panuje absolutna cisza; dopiero gdy jego słuch przywykł, zaczął słyszeć brzęk owadów, bzyczenie i szmer.

– Proszę pana? – rzucił Wayan, a Harper położył mu dłoń na ramieniu, żeby go uciszyć.

Przez kilka minut nasłuchiwali. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność, a Harper nie miał odwagi użyć zapalniczki, jako że znajdowali się na odsłoniętym terenie. Gdyby okrążył drzewa, może z tamtej strony znalazłoby się choć trochę światła księżyca, żeby rozeznać się w okolicy. Oszacował, że pokonanie trasy, którą szli po południu z Komangiem, i przejście wzdłuż granicy pola ryżowego oraz minięcie linii drzew zajmie mu dziesięć minut lub więcej – o ile prawidłowo odgadł, że to właśnie ta ścieżka.

Harper zsiadł z motoru, zdjął przewieszoną przez pierś torbę i podał ją Wayanowi.

– Ustaw motor w przeciwnym kierunku, ale nie odpalaj silnika – nakazał. – Zostań tutaj, żebym mógł cię znaleźć. Nie ruszaj się z miejsca, nie zapalaj papierosa i nie używaj zapalniczki. Posłuchaj, Wayan, grozi nam wielkie niebezpieczeństwo, rozumiesz? To ważne, żebyś mnie słuchał... Wystarczy, że będziesz mnie słuchał, a nic ci się nie stanie. Zostań tutaj. Właśnie w tym miejscu. Niedługo wrócę.

Harper odwrócił się i ruszył, zanim Wayan zdążył zaprotestować. Zapewne obawiał się nocnych duchów, które mogły podejść do niego niespodziewanie, zwłaszcza że nie wolno mu było skorzystać z zapalniczki. Harper nie był w stanie przedstawić mu żadnego argumentu, który uśmierzyłby akurat ten lęk, a miał niewiele czasu. Lecz gdy okrążył skraj pola, a jego stopy z każdym

krokiem zapadały się nieco głębiej w miękkie błoto, pomyślał, że może Wayan miał rację: może ta grupa mężczyzn zmierzających teraz do domu Komanga z maczetami i lampami naftowymi w dłoniach to tylko duchy? Czy nie łatwiej myśleć o nich, a nawet o sobie, w tych właśnie kategoriach, niż spojrzeć w świetle dziennym w twarz sąsiada i poznać prawdę?

Owady brzęczały i cykały; jego stopy wydawały w błocie cmokające odgłosy, ale poza tym, gdy zbliżał się do końca pola, było cicho. Wiedział, że kiedy linia drzew się skończy, zdoła zobaczyć poprzez pole sąsiada dom Komanga.

Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując, i wtedy przez czarną noc spowijającą pole doszedł do niego pojedynczy, przeciągły, rozdzierający wrzask.

Znieruchomiał, po czym rzucił się biegiem. Błoto kleiło mu się do podeszew butów, opóźniając unoszenie się jego stóp o ułamki sekund, choć to wystarczyło, by miał wrażenie, jakby coś go zasysało i ciągnęło w dół.

Gdy dotarł do skraju drzew, przyczaił się, choć wiedział, że mężczyźni nie będą patrzeć w jego kierunku. Przebiegł kawałek w takiej przygarbionej pozycji, po czym przeszedł przez kolejne pole w stronę plamy pomarańczowego światła widocznej na tyłach domu Komanga. Z tej odległości nie sposób było dostrzec, co się tam dzieje. Widział tylko grupę stojących blisko siebie mężczyzn oświetlonych przez gołą żarówkę wiszącą na werandzie oraz pomarańczowy blask ich pochodni. Na tle bijącej od domu poświaty odcinały się czarne sylwetki, które wstawały i upadały. Nie było słychać dalszych wrzasków.

Nagle rozległy się okrzyki, a grupa mężczyzn się rozbiegła. Harperowi wydało się, że mignął mu ktoś uciekający pędem z domu. Podkradł się nieco bliżej, brodząc teraz po kolana w mętnej wodzie. Niektórzy z mężczyzn wskazywali kierunek, gdzie zniknął uciekający cień.

Na werandzie pojawiła się mniej więcej sześciolatnia dziewczynka z włosami zaplecionymi w warkocze – być może biegnący cień należał do

jednego ze starszych dzieci, które rzuciło się do panicznej ucieczki, a ona wyszła za nim, lecz nie pobiegła. „Wracaj do środka” – pomyślał z rozpaczą Harper, wpatrując się przez mrok w małą postać, ale mężczyźni znajdujący się najbliżej werandy już ją zauważyli. Mała uświadomiła sobie swój błąd, odwróciła się i pobiegła do domu. Drzwi zatrasnęły się za nią, ale napastnicy wpadli na werandę i Harper już wiedział, co się za chwilę wydarzy.

Ruszył z powrotem przez pole ryżowe, znów po kolana w wodzie, załamany porażką – wysłano go, żeby zrobił jedną prostą rzecz, a on zawiódł. Nie był dość stanowczy, gdy kilka godzin wcześniej siedzieli na werandzie, patrzyli na złote światło kładące się na polach i popijali słodzoną herbatę. Od strony domu dobiegły go wrzaski dzieci, wysokie i piskliwe, ale dopiero gdy za jego plecami rozległ się krzyk mężczyzny – o wiele bliżej, niż mógłby się spodziewać – Harper obrócił się i zobaczył kilka sylwetek na skraju pola. Zauważyli go.

Dalsza ostrożność była zbyteczna. Zaczął się przedzierać przez wodę, z każdym krokiem unosząc wyżej nogi. Jak mogli go namierzyć w tych ciemnościach? Musieli rozglądać się za osobą, która uciekła z domu. Harper skrzył i przystanął na chwilę za pniem drzewa. Przycisnął do niego plecy, starając się uspokoić oddech. Słyszał mężczyzn kroczących przez pole, widział kołyszące się światło jednej, dwóch, trzech lamp naftowych, ale poruszali się wolno, rozproszeni. Tropili go. Myśleli, że ukrył się gdzieś w wodzie. Właśnie tam powinien był się schować, ale w panice pobiegł znacznie dalej.

Powoli wycofywał się wzdłuż granicy drzew, które rosły na tyle gęsto, by zamaskować jego ruchy. W dalszym ciągu widział blask ich lamp migoczących tu i tam w prześwitach między drzewami. Jeszcze pięć minut, a będzie bezpieczny. Zważywszy na tempo, w jakim poruszali się mężczyźni, zdoła wrócić do szczytu wzniesienia, zanim tamci dotrą do drzew. Kiedy usłyszą cichy pomruk silnika i ustalą, skąd dobiega, Harper i Wayan będą już w połowie dróżki prowadzącej z powrotem do wioski, a potem znikną na

dobrze.

Znajdował się trzy, może cztery minuty od miejsca, w którym rozstał się z Wayanem. Skradał się po cichu, gdy nagle noc przeszył cichy warkot, odległy, a zarazem bliski. Wayanowi puściły nerwy, kopnął w dźwignię rozrusznika i uruchomił motor. Nie... Harper rzucił się w tamtym kierunku, lecz ujrzał tylko czerwone światło motocykla opadające w dół pochyłej ścieżki, gdy jego biedny kierowca, wytrzymałszy tak długo, jak tylko zdołał, bez popadnięcia w obłąd, uciekał od rozgrywających się wokół niego okropieństw.

Pojedyncze czerwone światło oddalało się od niego, stopniowo opadając, schodząc w głąb ziemi – jakby ziemia zamykała się nad nim, a ono znikowało w jakiejś kryjówce. Poczł się osamotniony, zupełnie bezbronny pośrodku pola ryżowego na kompletnym pustkowiu, z deptającą mu po piętach bandą uzbrojonych w maczety mężczyzn, dyszących żądzą krwi dzieciobójców, którzy byli gotowi na wszystko.

Gdy ludzie z Instytutu zapytali go:

– Jak sądzisz, dlaczego udało ci się przeżyć tę noc? Jak to się stało, że cię oszczędzili? – Harper milczał przez dłuższą chwilę, po czym powoli, jakby zwracał się do pary głupków, odparł:

– Ukryłem się. Ukryłem się w rowie irygacyjnym.

Siedział odchyłony w głębokim fotelu. Jedną zgiętą nogę opierał kostką na kolanie drugiej. W żadnym momencie tej rozmowy nie siedział prosto ani pochylony do przodu.

Jeden z pracowników Instytutu zapisał jego odpowiedź w notatniku, drugi ani drgnął. Siedział na krześle ze skrzyżowanymi ramionami. Miał okulary w okrągłych drucianych oprawkach, które sprawiały, że oczy mu błyszczały. Spojrzał na Harpera i spokojnie, całkiem neutralnym tonem, powiedział:

– To kłamstwo, mam rację, Nicolaasie?

Oczywiście, że nie miał na to żadnego dowodu. Był po prostu mądrzejszy od swojego kolegi. Potrafił się domyślić, co kryło się za długim milczeniem Harpera.

– Nie – odparł Harper, patrząc mężczyźnie prosto w oczy, co mógł zresztą zrobić z czystym sumieniem, ponieważ tamtej nocy rzeczywiście ukrył się w rowie. – To prawda. Tak właśnie zrobiłem.

To nie było ani kłamstwo, ani cała prawda. Tamtej nocy, godzinę lub dwie przed świtem, znalazł kryjówkę w rowie irygacyjnym. Czerwone tylne światełko motoru i szare światło wstającego świtu: wszystko to, co wydarzyło się pomiędzy tymi dwiema chwilami, i to, w jaki sposób Harper uratował skórę, w żadnym razie nie powinno ich interesować.

Świt to obietnica. Brzask przychodzi łagodnie – tak łagodnie, że w gruncie rzeczy trudno uchwycić ten konkretny moment. To już? A może teraz? Zbliża się niesłychanie wolno, ale nastaje w jednej chwili: na tym właśnie polega zagadka. Leżysz w rowie irygacyjnym płasko wyciągnięty, tak by móc się jak najbardziej zanurzyć, z połową twarzy zwróconą do góry dla zaczerpnięcia oddechu; starasz się oddychać tak płytko, jak tylko się da, żeby się utrzymać przy życiu, wiedząc, że każda sekunda może być twoją ostatnią, ponieważ mężczyźni z pochodniami i maczetami są zaledwie kilka metrów od ciebie i lada moment mogą cię znaleźć. Bez przerwy łapią cię skurcze mięśni w wodzie, która choć nie jest lodowata, zmroziła wszystkie twoje członki. Ramię masz przyciśnięte do kamienia – ale nawet delikatna zmiana pozycji dla złagodzenia bólu może wywołać na powierzchni wody małą zmarszczkę, którą ktoś mógłby zobaczyć. Błoto przesiąkło przez ubranie i jakiś owad wszedł do nogawki twoich spodni, szukając tam dla siebie nowego domu, ale największy ból odczuwasz w szyi, trzymając przez cały czas głowę zwróconą w jedną

stronę, żeby móc oddychać. Najgorsze jest jednak to, co się dzieje w twoim umyśle. Tak bardzo skupiasz się na tym, co musisz zrobić, a czego pod żadnym pozorem zrobić nie możesz, by cię nie odkryli, że masz wrażenie, jakby wszystko w tobie wrzeszczało. Nie możesz uwierzyć, że ten zgiełk myśli w głowie jeszcze nie zdradził twojej pozycji, nie naprowadził ich na twój trop; na przykład teraz. Albo teraz. To trwa godzinami.

I wtedy łagodnie nastaje świt. Przychodzi wraz z ptakami: pojedyncze, nieśmiałe cziip, cziip, delikatny, pełen nadziei dźwięk. Pierwsze smużki szarego światła pojawiają się na obrzeżach nieba – tak ci się wydaje, bo nie jesteś tego pewien – i nagle, po chwili strojenia instrumentów, rozbrzmiewa triumfująca ptasia orkiestra, wybuchają wszystkie te melodyjne wrzaski, ponieważ bez względu na to, jak ciemna była noc, te ptaki nigdzie się stąd nie ruszały, a potem gdzieś z oddali dobiega pianie koguta, szczekanie psa i nagle niebo robi się szare, i jaśnieje z każdą minutą, a ty obracasz się w rowie, zeszywniały i zziębnięty do szpiku kości, podnosisz się powoli, opierając się na łokciu. Jesteś obolały, ubłocony i wciąż jeszcze przestraszony, ale jest już dostatecznie jasno, byś mógł popatrzeć na pole ryżowe, które z każdą chwilą staje się coraz bardziej zielone. Ludzie z maczetami odeszli, a ty – choć trudno w to uwierzyć i nie ma słów, by to opisać – nadal żyjesz.



Black water
(1998)

Siedział na werandzie swojej chaty, palił i obserwował, jak w dolinie nad rzeką Ayung wstaje świt. Stroma ściana drzew palmowych wyłoniła się z ciemności; z początku wydawała się szara, potem coraz jaśniejsza i jaśniejsza, lecz wciąż monochromatyczna, aż nagle w magiczny sposób stała się zielona. Nawoływania ptaków w drzewach, rozbrzmiewający gwarem bezruch powietrza – to zawsze tutaj było. I jeszcze coś, co wydawało mu się jednocześnie tajemnicze i oczywiste: nieustępliwość świtu, świadomość, że cokolwiek się wydarzyło w tych nocnych godzinach, zostanie oświetlone przez brzask.

Po tym, jak go zabiją, w chatce zapanuje cisza. Jego trup przez jakiś czas będzie leżał w zupełnych ciemnościach. Oto, co z niego zostanie: nieruchome, pozbawione oddechu, samotne ciało. Wraz z nastaniem świtu scena w chacie nabierze barw. Światło ujawni, że śmierć przydała jego skórze ziemistego koloru. Będzie też utleniona już krew, ciemna plama na drewnianej podłodze – albo też nieco jaśniejsza, jeśli dopadną go w łóżku, na białej pościeli. Myślał o tym, jak tego ranka zjawi się Kadek, odkryje roztrzaskane okiennice i uchylone drzwi, powoli i ostrożnie wejdzie do środka, zlustruje całą scenę. Ci chłopcy pewnie go okaleczą. Będą odczuwali potrzebę zabicia go więcej niż raz. Rozpłataną szyję, odrąbane kończyny: nie chciał, żeby takie obrazy pozostały w głowie Kadeka. Nie było go jeszcze na świecie, gdy w 1965 doszło do masakry.

Najgorsze są obrazy, bo przed obrazami w głowie nigdy nie uciekniesz. Teraz już o tym wiedział.

Skończył palić kretka i trzymał przez chwilę niedopałek między palcami; w końcu wstał, zrobił dwa kroki do skraju werandy i oparł się łokciami o balustradę, przyglądając się dolinie.

– Palenie to pierwsze, co rano robisz?

Rita stała za nim w drzwiach, ubrana tylko w bieliznę i jedną z jego koszul, rozpiętą aż do pasa i pogniecioną. Miała bladą, zmęczoną twarz, lekko

opuchniętą od snu. Uśmiechnęła się i przestąpiła przez próg.

Harper zerknął w lewo. Nie było jeszcze śladu Kadeka. Przyciągnął ją do siebie, tak aby stała zwrócona twarzą w stronę doliny, po czym stanął za nią, objął ją ramionami i przycisnął do drewnianej balustrady. Stali tak przez chwilę, aż w końcu Harper odgarnął ręką włosy Rity splątane na kołnierzyku koszuli i pocałował ją w kark.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś – odezwała się cicho Rita. – To był prezent od ciebie, tak myślę.

Nie odezwał się. Poprzedniej nocy opowiedział jej o sześćdziesiątym piątym: „Byłem młodym człowiekiem, kurierem, dostarczyłem listę nazwisk. Amerykanie sporządzali listy tysięcy komunistów oraz podejrzewanych o komunistyczne sympatie i przekazywali je dowództwu indonezyjskiej armii, a figurujący na nich ludzie byli wyciągani z domów wraz z rodzinami, torturowani i zabijani. Byłem jedną z osób, dzięki którym ten proces przebiegał sprawniej. Można powiedzieć, że wykonywałem swoją pracę, ale w przeciwieństwie do wielu ludzi miałem możliwość, by jej nie wykonywać. Spędziłem noc w rozpadającej się chacie nad czarną wodą dzakarckiego kanału. W tym chaosie, który się wówczas rozpętał, nietrudno byłoby zgubić powierzoną mi listę; w końcu trafiłem w sam środek zamieszek. Wróciłbym wówczas do domu z piętnem nieudacznika, ale nikt by się przecież nie dowiedział, że zgubiłem listę celowo, więc nie spotkałaby mnie z tego powodu żadna krzywda. Może by to coś zmieniło, a może nie. Nie wrzuciłem jednak tej listy do kanału. Dostarczyłem ją, a ci ludzie niemal na pewno na drugi dzień zostali zabrani z domów, podczas gdy ja popijałem piwo z facetem o imieniu Abang, podziwiałem budowę Bali Beach Hotel i czułem wdzięczność, że wreszcie wydostałem się z Jawy”.

– Byłeś szpiegiem? – spytała Rita.

– Nie, szpiedzy pracują dla rządów. Ludzie tacy jak ja są wynajmowani do zadań, których rządy nie chcą zlecać swoim szpiegom albo nie chcą, by ktoś

ich przyłapał na zlecaniu tego typu zadań. Pracujemy dla wszystkich, ale głównie dla firm naftowych, przemysłu górniczego, banków.

– Więc jesteście najemnikami.

– Ludzie z mojej firmy poczuliby się bardzo urażeni, gdybyś ich tak nazwała. To znacznie bardziej finezyjna praca, przynajmniej teraz. Wtedy to był po prostu Dziki Zachód.

Harper nie opowiedział jej jednak o swojej wizycie u Komanga ani o tym, co się wydarzyło później w nocy.

Powiedział, że po wykonaniu zadania wrócił do Holandii i przeżył załamanie nerwowe, więc odszedł z firmy i przez jakiś czas mieszkał na wsi. Nie opowiedział jej jednak, że cztery lata później wrócił do tej samej firmy i że od tamtej pory pracował za biurkiem. Gdy już raz się w to wdepnie, to na amen. Zresztą raczej nie przekwalifikuje się na nauczyciela czy dentystę.

Opowiedział jej o latach spędzonych w Los Angeles z Papą, Niną, Michaeliem i matką. Opowiedział o młodszym bracie, który utonął – nie przyznał się jednak, że Bud unosił się w lodowatej wodzie tylko dlatego, że on go do tego sprowokował.

Opowiedział jej, że jego matka była alkoholiczką, nie dodał jednak, że wciąż żyje. Opowiedział o swym krótkim małżeństwie z Francisą, ale nie o tym, że rozpadło się nie tak dawno i że mieli dziecko. I w jakiś osobliwy sposób te wszystkie półprawdy zaczęły łączyć się w jego głowie, tworząc spójną całość, coś, co mógł trzymać w ryzach, gdyby został z tą kobietą – cała sztuka polegała na tym, by zapomnieć, że się kłamie.

– Czemu więc tu wróciłeś? – spytała w końcu.

Ludzie mówili o przeszłości, jakby była rzeczą, przedmiotem – przeszłość niczym pudełko albo dom, albo drzewo – jakby była czymś konkretnym i pojedynczym. Ale przeszłość nie jest przedmiotem, który ma granice, ale

czymś płynnym i nieustannie się zmieniającym, niczym rzeka. Nikt nie ma jednej przeszłości. W 1965 roku Harper pamiętał 1950 rok w pewien określony sposób, a teraz, w 1998, pamiętał 1965 inaczej, niż to wyglądało w rzeczywistości, a 1950 inaczej od tego, w jaki sposób pamiętał ten rok w 1965. Zupełnie jakby znajdował się w skrzyni pełnej luster i odwracał się, by ujrzeć swoje odbicie zwielokrotnione w nieskończonej liczbie powtórzeń. W jego przypadku każde odbicie różniło się nieco od poprzedniego.

Ostatni raz widział matkę przed rokiem, latem 1997. Wpadł do niej z wizytą w niedzielny poranek – to Francisca go zmusiła.

– Idę zobaczyć się z ciotką Lies. To kawał drogi, więc ty przynajmniej mógłbyś odwiedzić matkę.

Francisca zaadoptowała matkę i ciotkę, obie w podeszłym wieku – zdaniem Harpera stanowiły dla niej marne namiastki dzieci, których nie mogli mieć. Im dzieci starsze, tym opieka nad nimi wymaga mniej czasu. W przypadku rodziców było na odwrót.

Matka mieszkała w ogromnym, ponurym domu na Noorderstraat, który Harperowi kojarzył się z mauzoleum pełnym reliktyw po zmarłym mężu i znacznie dłużej martwym małżeństwie. Przez całe życie Anika cierpiała na brak pieniędzy, aż w końcu doszła do tego momentu, kiedy przestała ich potrzebować. Mieszkała teraz w domu wartym fortunę. Gdyby go sprzedała, mogłaby sobie kupić nowe mieszkanie i zostałyby jej jeszcze mnóstwo pieniędzy, które zapewne z łatwością wydałaby na ubrania, kosmetyki i nocne wypadki na miasto, o których marzyła przez całe życie.

Ubierała się byle jak, w cokolwiek, co znajdowało się akurat pod ręką. Makijaż często spływał z tej części twarzy, na którą go nałożyła. Rzadko wychodziła z domu. Cuchnęła.

Był jasny poranek, słońce wciąż jeszcze wydawało się nieco blade, ale

powietrze tchnęło rzeźkością. Harper wbiegł na kamienne schodki, zastukał ciężką kołatką i odsunął się o krok. Matka wpadała w niepokój, gdy myślała, że ktoś usiłuje wtargnąć do jej domu – zdarzyło się już, że zatrzasnęła mu drzwi przed nosem. Teraz drzwi otworzyły się na kilka centymetrów i w tej szczelinie mignął kłęb siwych włosów; po chwili Anika odwróciła się i powlekła z powrotem do środka. Harper przekroczył powoli próg, po czym delikatnym pchnięciem zamknął za sobą drzwi, lecz mimo niewielkiej siły, jaką w to włożył, zatrzasnęły się z głuchym łomotem, w którym pobrzmiwało echo synowskiego poczucia winy skumulowanego z pięćdziesięciu lat. Matka wróciła do salonu. Była niedziela, jedenasta rano, a ona oczywiście już się upiła.

W korytarzu panował mrok, ale nie taki jak w salonie. Harperowi zajęło chwilę, zanim jego wzrok przyzwyczał się do ciemności, a wtedy zobaczył drobną postać matki na stojącym w kącie zapadłym fotelu, odzianą w fioletową suknię przetykaną srebrnymi nićmi – kiedyś należała do jej ulubionych – na której wierzch narzuciła wielki zielony sweter z wełny. Była boso, a jej sękaty kostki wystawały spod brzegu sukni. Wyglądała jak pomarszczone dziecko w stroju dorosłego. Miała zaledwie siedemdziesiąt kilka lat, ale na pierwszy rzut oka wydawała się taka skurczona, z rzednącymi siwymi włosami i łysymi plackami na głowie, że wyglądała na dziewięćdziesiąt. Opasła i starsza o dziesięć lat ciocia Lies, która z powodu podagry żyła w domu opieki, była o wiele bardziej żwawa.

– Otwórzmy okiennice – zaproponował Harper, podchodząc do okien. – W końcu mamy lato.

– Nie zapomnij zostawić ciasta na stole. Nie zapomnij, bo ostatnio zapomniałaś.

Harper zrozumiał, że w tym konkretnym momencie – a to mogło się zmienić w każdej chwili – brała go za jedną z opiekunek, które zatrudniał, żeby ją odwiedzały, gotowały posiłki, które matka rzadko zjadała, i dotrzymywały jej

towarzystwa. Wino i ciasto. Ciekawe, jak dieta składająca się z wina i ciasta działała na system trawienny. Harper postanowił się nad tym nie rozwodzić.

Światło, które wpadło przez wysokie okna, oświetliło panujący w pokoju bałagan: stojące rzędem na pianinie słoiki z butwiejącymi kwiatami zanurzonymi w kleistej, brązowej cieczy, stosy pożółkłych gazet na kanapie – nie zdążyła jeszcze zrezygnować z prenumeraty magazynu wędkarskiego swojego ostatniego męża, choć nie żył od dziewięciu lat – brudne talerze i sztucce wystające spod foteli. Harper zastanawiał się przez chwilę, czy nie lepiej jednak zamknąć okiennic. Matka zapomniała zrobić to później i zostawiła je otwarte na całą noc, lecz na myśl o tym, że ma siedzieć tu z nią w letni dzień w zakurzonym półmroku, poczuł, że zaraz zacznie się dusić.

– Może zrobię ci filiżankę kawy, Ma? – spytał.

– Nie przychodź tutaj ze swoimi jęczeniem i płaczem – wymamrotała matka i Harper domyślił się, że tym razem wraca we wspomnieniach do sytuacji sprzed wielu lat, kiedy żona jednego z jej kochanków zjawiała się na progu z dwojgiem dzieci i płacząc, błagała ją, żeby zostawiła jej rodzinę w spokoju. Anika zatrzasnęła kobiecie drzwi przed nosem, po czym odwróciła się do piętnastoletniego wówczas Harpera, który stał na korytarzu, i powiedziała:

– Trzeba było słyszeć, co on o niej mówi. Ta kobieta bez przerwy go dręczy. Zasługuje na to, by stracić męża, skoro tak się zachowuje.

Harper pomyślał o tym, żeby pójść do kuchni, ale pewnie będzie się ona znajdować w jeszcze bardziej opłakanym stanie niż salon, a matka i tak nie wypije kawy. Siedział więc i rozmawiał z nią przez chwilę, ale odpowiadała nieskładnie i było jasne, że to będzie krótka wizyta. Może właśnie dlatego zadał jej wówczas to pytanie.

– Ma, pamiętasz Buda?

Nie odpowiedziała. Zwilżyła wargi, zacisnęła palce na małej szklaneczce, która wyglądała tak, jakby niedawno znajdował się w niej jakiś gęsty likier.

– Bud – powtórzył Harper. – Został ochrzczony jako Joseph, ale wszyscy

nazywaliśmy go Bud. Syn Michaela. – Nie zamierzał jej pomagać, dodając: „Również twój syn”.

– Michael... – powiedziała wolno Anika, jakby delectowała się tym słowem, a przez jej twarz przemknął cień uśmiechu. – Michael... – Uniosła się w fotelu i przy użyciu łokci opartych na poręczach podciągnęła się do góry, spojrzała na Harpera z szerokim uśmiechem i uniosła kościsty palec. – Wiesz, mój mały. – Już dawno tak się do niego nie zwracała. – Michael był jedynym mężczyzną, którego szczerze kochałam.

Harper popatrzył na nią.

– To prawda – rzekła z lekkim oburzeniem, nagle całkiem świadoma. Odgarnęła z twarzy kilka siwych kosmyków, a potem przyklepała delikatnie włosy, jakby wciąż miała natapirowaną fryzurę. – On był tym jedynym, jedynym dla mnie. Michael. Najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego znałam, i taki wysoki. – Znów spochmurniała. – Byłam zrozpaczona, kiedy mnie porzucił. *Tatum Pole Boogie*, to dopiero było coś. Myślisz, że ci starzy farmerzy słyszeli kiedykolwiek coś takiego? – Machnęła ręką w stronę okna, jakby tym gestem chciała objąć wszystkich mężczyzn, którzy pojawili się w jej życiu po Michaelu, albo nawet więcej: całą męską populację Amsterdamu, a może i Europy. – Kalifornia... – powiedziała śpiewnym głosem. – Powinniśmy byli tam zostać. Wróciliśmy tutaj tylko ze względu na twoją edukację. Powinniśmy tam zostać. Czułam się tam szczęśliwa.

Harper przymknął na chwilę oczy, po czym otworzył je, aby przybrać taki wyraz twarzy, który zamaskuje jego rozpacz. Czy to możliwe, że jego matka w spowodowanej alkoholem demencji przepisała historię ich życia, że naprawdę uwierzyła, iż wrócili do Holandii dla jego dobra? „Po pewnym czasie zdaliśmy sobie sprawę, że Anika nigdy za nic nie ponosi winy” – powiedział kiedyś Papa. Harper wiedział, że to zdanie jest teraz prawdziwsze niż kiedykolwiek wcześniej, że matka w swym niestrudzonym poszukiwaniu miłości wywoływała wszędzie chaos, niszczyła życie innych ludzi i nawet na

chwilę się nie zatrzymała, żeby pomyśleć, że ktoś jeszcze poza nią może mieć prawo do szczęścia. Na przykład jej własny syn. Miał już pięćdziesiąt cztery lata. Może najwyższy czas na rozwód z matką.

Bud był wysokim, krzepkim chłopcem, taki mały czołg, jak mawiała Nina. Najbardziej na świecie lubił ssać cytrynę. Nina przecinała ją dla niego na pół i jedną połówkę kładła mięszem w dół na spodku, żeby nie wyschła, a drugą mu dawała. Chodził przez cały dzień z połówką cytryny przyciśniętą do ust i roziskrzonymi oczami.

– Nicolaasz – mówił. Jako maluch lekko seplenił, ale zanim zginął, zdążył z tego wyrosnąć. – Nicolaasz, czemu nie lubisz szytryny? – Mówiąc to, wprost promieniał, jakby samo istnienie „szytryny” oznaczało, że ze światem jest absolutnie wszystko w porządku.

– Ale pytam o Buda. Ma, pamiętasz Buda?

Matka wpatrywała się w niego z zaciśniętymi ustami. Na jej czoło wystąpiły dwie głębokie bruzdy. Przechyliła głowę w odrobinę kokieteryjnym geście, przywołując wspomnienia o swych mężach, eksmężach oraz mężach innych kobiet... A Harper poczuł, że jedyne, czego pragnie, to uciec od niej tak daleko i tak szybko, jak tylko się da, i znaleźć się po drugiej stronie świata, kiedy ona będzie umierać.

Po wyjściu od matki szedł powoli Noorderstraat – nie dlatego, że nie chciał się z nią rozstać, zostawiając ją samą w jej mauzoleum, ale dlatego, że nie miał ochoty wracać do domu. Francisca przyjdzie znacznie później, ale on obiecał jej zająć się pewną drobną robotą, kiedy jej nie będzie: miał naprawić szufladę w komodzie. Szuflada się zacinała, co ją irytowało.

– Kiedy to wreszcie naprawisz? – pytała.

Letnie powietrze było lekkie, niezbyt upalne, a niebo wciąż jasne i czyste. Przyszło mu do głowy, że najprzyjemniejszą częścią tej niedzieli będzie

zapewne spacer od jednego obowiązku do drugiego i że ani wielki, ciemny dom jego matki, ani mały, jasny dom jego żony nie dawały mu poczucia komfortu. Przestrzenią, w której czuł się najlepiej, była trasa pomiędzy tymi dwoma miejscami.

Szef od pewnego czasu go pytał, co myśli o powrocie do Indonezji. Władze poszerzyły dopuszczalne wahania kursu walut z ośmiu do dwunastu procent: notowania rupii poleciały w dół, a biorąc pod uwagę to, co działo w innych częściach regionu, klienci Instytutu zaczęli się robić nerwowi. Harper udzielał wymijających odpowiedzi – nie przedyskutował tego jeszcze z Franciscą – i w pewnym momencie szef go spytał:

– Czy to z powodu tego, co się wydarzyło poprzednim razem, w sześćdziesiątym piątym?

– Nie – odrzekł z lekkim uśmiechem. – To było trzydzieści dwa lata temu.

Lubił swojego obecnego szefa. Gregor dawno odszedł, a Jan był solidnym, przyzwoitym facetem. Pewnego razu oznajmił Harperowi:

– Wiesz, jestem przerażony tym, na co narażaliśmy wówczas młodych agentów. To się już nie powtórzy, przynajmniej póki ja tu rządę.

Początkowo nie zastanawiał się zbyt nad propozycją Jana. Był już starszym człowiekiem, miał zobowiązania wobec Franciszki. Departament Azji był teraz ogromny w porównaniu z latami sześćdziesiątymi, a firma w ciągu trzech dekad rozrosła się z grupki dwudziestu agentów i personelu pomocniczego do setek pracowników w samym tylko Amsterdamie, nie licząc osób zatrudnionych w biurach w większości stolic na świecie. Pod ręką było mnóstwo innych ludzi, których mogli wysłać do Indonezji. Teraz jednak, kiedy Harper wracał do domu, stało się to dla niego jasne jak słońce. Jeśli wyjedzie, uwolni się od... tego wszystkiego.

Przeprowadził w myślach mały remanent. Był rok 1997, a on miał pięćdziesiąt cztery lata, jeszcze w tym roku skończy pięćdziesiąt pięć: mężczyzna w średnim wieku, żonaty, bezdzietny, człowiek z traumatycznym

dzieciństwem i dramatyczną młodością, który jednak trzy ostatnie dekady spędził za biurkiem. Matka już go prawie nie rozpoznawała. Jego małżeństwo było w nie najlepszej kondycji: wiedział to od pewnego czasu. Interesujące, że choć zdajesz sobie sprawę z niektórych spraw, tak długo zajmuje ci przyznanie się do tego przed samym sobą.

Idąc do domu, przyznał się również sam przed sobą do tego, że od początku wiedział, iż małżeństwo z Francisą nie jest dobrym pomysłem. Ożenił się z nią dla waloru nowości: był to w końcu jeden z nielicznych błędów, których jeszcze nie popełnił. Starali się o dziecko, a gdy umarło, mogli zamiast niego zająć się swoją rozpaczą, pielęgnować ją, troszczyć się o nią i wychowywać, aż w końcu dorosłaby na tyle, że znów mieliby nieco więcej czasu dla siebie. To było cztery lata temu. Rozpacz powinna być już bardziej samodzielna, powinna czasami bawić się sama ze sobą, przesypiać całą noc. Czemu więc ciągle wrywała ich ze snu? Co robili źle?

Wracając do małego domu, w którym mieszkał z żoną, Harper rozmyślał o propozycji Jana. Francisca, dzielna i delikatna, troszcząca się z oddaniem o jego podstarzałą matkę i ciotkę wobec braku dziecka, którym mogłaby się opiekować; ich przyjemny dom, bardzo odpowiadający jej gustowi; okolicznościowe kolacje z przyjaciółmi, wyłącznie przyjaciółmi Franciski; jego jednostronne rozmowy z matką... I to by było na tyle, oto cały rachunek jego życia.

Po tym, jak stracili dziecko, Anika przeżyła krótki okres trzeźwości i mimo jej niechęci do synowej, zdołały zawrzeć jakąś formę porozumienia. Porozumienia, które napełniało Harpera obrzydzeniem. Zamiłowanie jego matki do tragedii było powszechnie znane. Jako śliczna, szczęśliwa dziewczyna, a potem żona, Francisca nie budziła zainteresowania Aniki. Aż w końcu zamieniła się w zapłakaną biedaczkę, która straciła dziecko, i nagle jego matka z radością uznała ją za swoją synową, nie mogąc się doczekać, aby mieć drobny udział w całym tym dramacie. Kilka razy wybrały się nawet

wspólnie na zakupy i umówiły na gorącą czekoladę, aż w końcu Anika pogrążyła się w picciu na nowo.

Francisca oczywiście zareagowała na to o wiele mniej cynicznie niż Harper.

– Och, Nicolaas – westchnęła, gdy wyraził irytację z powodu nagłego zainteresowania matki ich życiem. – Nie przyszło ci do głowy, że ona straciła wnuczkę? To była pewnie jej jedyna szansa na wnuka. Oczywiście, że ma prawo do takiej samej żałoby jak my.

Harper nie ukrywał, że jego zdaniem Francisca jest zdecydowanie zbyt wspaniałomyślna.

Francisca wróciła od ciotki Lies późnym popołudniem i wspólnie gotowali w kuchni obiad: Harper kroił pomidory i czosnek do makaronu, a ona robiła sałatkę. Prowadzili towarzyską rozmowę o stanie zdrowia starszych pań, gdy nagle Francisca powiedziała:

– Wiesz, z jakiegoś powodu zaczęła dzisiaj opowiadać o tym, jak twój ojciec po raz pierwszy zjawił się w ich domu w Lejdzie i jak twoja matka oszalała na jego punkcie. Podobno był bardzo przystojny w mundurze oficera. To było naprawdę urocze. Nie wiedziałam, że reszta rodziny już nigdy więcej nie odezwała się do niej po tym, jak wyjechała z nim do Indonezji. Wyobrażasz sobie? Jej ojczym najpierw się zgodził, a potem nie zapisał jej ani grosza. Obłęd, co nie? Wiedziałaś o tym?

– No... – bąknął, myjąc pomidora pod kranem i kładąc go na desce do krojenia.

– Nigdy za wiele o tym nie mówiłeś. Nie sądzisz, że to trochę... no wiesz...

Harper stał odwrócony do niej plecami. Wzniósł oczy ku niebu, po czym opuścił nóż na bladego i niedojrzałego pomidora. Nóż był tępy i skóra opierała się naciskowi ostrza, lecz w końcu ustąpiła.

– Mam nadzieję, że nie opowiadała ci, że ojciec był miłością życia Aniki, po której utracie nigdy się nie otrząsnęła. Dziś rano matka mówiła mi to samo o Michaelu. Najwyraźniej to on był miłością jej życia. Za tydzień podobnie będzie mówić o Janie. – Jan Aaltink był farmerem o wydatnym torsie, którego poślubiła po powrocie do Holandii w 1952 roku, drugim z czterech ojczymów, których w ciągu kolejnych dekad sprawiła swojemu synowi.

Francisca nie odpowiedziała. Stała nad miską, obracając w swych drobnych, jasnych palcach liście sałaty. Harper znał ten rodzaj milczenia – zapadało zwykle wtedy, gdy się zastanawiała, jak w możliwie najmniej konfrontacyjny sposób wyrazić krytykę.

– Dlaczego jesteś tak okrutny dla swojej matki? – odezwała się w końcu. – To był odważny krok, nie sądzisz? Poślubić mężczyznę o mieszanym rasowo pochodzeniu w tamtym czasie, w jej wieku, a potem wyjechać z nim na drugi kraniec świata. W dodatku wkrótce wybuchła wojna i matka utknęła tam na dobre. Nie możesz jej choć raz wybaczyć? Z powodu tego wszystkiego, przez co przeszła?

Harper nie był w nastroju do takich rozmów. Uderzył nożem w deskę do krojenia, wydał z siebie szydercze prychnięcie i odwrócił się do żony.

– Dobra, już dobra! – powiedziała szybko Francisca, unosząc dłonie.

– Nie, nie. Przez całe życie w kółko wysłuchuję, przez co ona musiała przejść. Słucham o tym, jakie to było okropne, gdy musiała mnie urodzić w obozie, o jej niekończących się cierpieniach... Wszyscy ją zawodzili... – Spojrzał gniewnie na Franciscę. – Zabawne, że nigdy choć raz nie słyszałem, by powiedziała, że mnie również mogło być ciężko z powodu jej postępowania.

Głos Franciski w takich sytuacjach stawał się spokojny i wyważony, nabierał łagodzącego, pojednawczego tonu, który tak bardzo drażnił Harpera. Przez pierwsze pół godziny sporu usiłowała go udobruchać, a potem sama traciła nad sobą kontrolę. Ta chwila zawsze przynosiła ulgę.

– Wiem, że tobie też było ciężko. Potrafię to dostrzec, ponieważ w porównaniu z tobą miałam łatwe życie, ale to, co przytrafiło się twojej matce...

– Tak, tak, myślisz, że nie odbyłem już podobnej rozmowy?

– Ona to widziała, Nicolaasie.

Mierzyli się wzrokiem, stojąc po dwóch stronach niewielkiej kuchni. Malachi, ich chuda, szara kotka weszła przez niewielką szparę w uchylonych drzwiach, przemaszerowała przez kuchnię z uniesionym wysoko ogonem i wskoczyła na blat, po czym zaczęła im się przyglądać nieruchomym spojrzeniem, czekając, aż któreś z nich ją podniesie i odstawi z powrotem na podłogę.

Francisca odwróciła się i w zamyśleniu pogłaskała kotkę po głowie.

– Anika wszystko widziała. Nie sądzę, abyśmy potrafili sobie wyobrazić, jak musiała się czuć, zobaczywszy coś tak potwornego w tak młodym wieku. Jak to musiało na nią wpłynąć.

Harper patrzył na nią bez słowa.

– Ciotka Lies opowiedziała mi o tym dzisiaj. Nie byłam pewna, czy mam ci o tym mówić, czy nie. Myślałam o tym przez całą drogę do domu. Nie mam pojęcia, dlaczego zaczęła opowiadać o tym akurat teraz. Może była smutna, że nigdy do niej nie przychodzisz.

To prawda, Francisca o wiele częściej odwiedzała ciotkę Lies niż Harper, nie wspominając o Anice.

– Wspomniałam, że chciałabym, żeby pomiędzy tobą a twoją matką układało się trochę lepiej, i rozmawialiśmy o tym, że zawsze się na nią wściekasz.

„Czasami mam dość kobiet, które obgadują mnie za plecami”, pomyślał Harper.

– I wtedy ciotka zdradziła mi, że aby cię chronić, twoja mama zawsze opowiadała ci bohaterską wersję śmierci ojca, żebyś zapamiętał go jako

odważnego żołnierza, który zginął w heroicznej walce w górach. Uważała, że to ważne, aby chłopiec myślał w ten sposób o ojcu, zwłaszcza takim, który zginął na wojnie. Wiesz, w tamtym czasie wszyscy chłopcy, którzy stracili ojców, musieli wierzyć, że byli oni bohaterami, którzy stracili życie, ratując swoich towarzyszy broni lub coś w tym stylu, choć nie miało to nic wspólnego z prawdą. – Francisca przestała głaskać Malachi, nachyliła się i pocałowała kotkę w czubek głowy, a potem wzięła ją na ręce i postawiła delikatnie na podłodze.

Harper zabrał się z powrotem do krojenia pomidorów.

– No więc Lies zapomniała, że już mi opowiedziała prawdziwą wersję tej historii. Ojciec zginął na końcu ulicy tylko dlatego, że został zatrzymany po godzinie policyjnej. Opowiedziała mi to, gdy byłem bardzo mały. I szczerze mówiąc, uważam, że robienie z niego bohatera to głupota. W tych okolicznościach, gdy próbował ocalić własne życie i życie swojej żony, miał prawo być przerażony, jak każdy. – Zawsze się zastanawiał, dlaczego ciotka Lies postanowiła przedstawić mu prawdziwą wersję śmierci ojca. Pewnego dnia, gdy Aniki nie było w domu, wyjawiała mu to w wielkiej tajemnicy i kazała obiecać, że nigdy nie będzie wypytywał o to matki.

– Wcale tego nie zapomniała. Pamiętała, że była już w połowie całej opowieści, ale ty byłeś jeszcze mały i nie dokończyła jej. Pamiętała całą waszą rozmowę. Nie powiedziała ci wtedy tego, że matka wszystko widziała.

– Co widziała? – zapytał bezmyślnie.

Stali teraz naprzeciw siebie. Harper wciąż trzymał w ręce tępy nóż, a subtelne, drobne rysy żony rozciągnęły się, gdy otworzyła szeroko oczy z miną pełną litości. Nie potrafił wywnioskować, czy ta litość jest przeznaczona dla niego, dla jego matki czy po prostu dla wszystkich cierpiących tego świata.

– Och, Nicolaasie, twoja matka widziała, jak twojemu ojcu ścięto głowę. Usłyszała jakieś zamieszanie na końcu ulicy. Była młodą dziewczyną w ciąży,

wyobraż to sobie. Pobiegła ulicą i zobaczyła na własne oczy, jak jej mężowi odrąbują głowę. Poza nim nie miała nikogo. A ty się zastanawiasz, dlaczego przez pół życia pije, a przez drugie pół próbuje ukraść mężów innym kobietom?

Harper odwrócił się gwałtownie i wbił wzrok w deskę do krojenia. Był tak wściekły, że nie mógł wydobyć z siebie słowa. Kiedy Francisca mówiła, Malachi krążyła wokół jego nóg, ale teraz wymknęła się szybko przez drzwi.

Francisca wróciła do robienia sałatki.

– Myślisz, że ktokolwiek może się otrząsnąć? Po zobaczeniu czegoś takiego?

To była ta chwila – mignęła mu przelotnie niczym zwięzający się snop światła w zamykających się drzwiach – kiedy mógł powiedzieć Francisce o rzeczach, których sam był świadkiem jako młody człowiek oraz o innych, które sam zrobił, ale rzekł tylko cicho: „Nie”. Drzwi się zamknęły.

W następnym tygodniu Jan znów go o to zapytał. Kryzys gospodarczy przyczynił się do niepokojów w regionie i biuro w Dżakarcie przydałby się ktoś mający analityczne doświadczenie, a przecież tym właśnie Harper się zajmował przez ostatnie trzydzieści lat.

Tym razem, jak przypominał sobie później, nawet się nie wahał, nie dopytywał o szczegóły ani nie zastanawiał się głośno, co się z tym wiąże. Odparł po prostu:

– Tak, jasne. Pojadę.

Gdy oznajmił, że wyjeżdża do Indonezji i nie wie, kiedy wróci, Francisca wpatrywała się w niego przez chwilę, po czym powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szeptu:

– Nie możesz przez całe życie uciekać przed smutkiem, który nosisz

w sobie. Nie rozumiesz, że zabierasz go wszędzie ze sobą?

Później w nocy, kiedy dyskusja stała się bardziej wrzaskliwa, Francisca dźgnęła go palcem w środek klatki piersiowej i wybuchła:

– A więc uciekasz od wszystkiego: ode mnie, od matki, od swoich obowiązków. Dobrze, jedź. Przekonamy się, czy będziesz szczęśliwy, gdy twoim jedynym obowiązkiem będzie wpatrywanie się we własne odbicie w lustrze.

Tej nocy, gdy leżał na kanapie przykryty grubym wełnianym jasnoniebieskim kocem, pomyślał sobie: „Przepiszę dom na Franciscę, to będzie jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. Jak szybko mogę zacząć się pakować? Na pewno nie jutro, to byłoby nieuprzejme. Poczekam z tym do weekendu”.

W hali odlotów lotniska Schiphol wpatrywał się w innych pasażerów i starał się nie okazywać nadmiernej ekscytacji: znów ogarnęło go to uczucie, stan przejściowy, jakby trzydzieści lat ustabilizowanego życia nie było niczym więcej jak poczekalnią pomiędzy jedną podróżą a drugą. „Moje życie można podzielić na trzy części – pomyślał. – Najpierw pierwsza, przed 1965 rokiem, z jej przerywanymi fazami i transoceanicznymi podróżami: Indonezja, Los Angeles, Holandia. Potem okres, który nastąpił po sześćdziesiątym piątym, trzy spokojne dekady spędzone w większości za biurkiem w Amsterdamie. A teraz zaczyna się trzecia i ostatnia część: powrót”. Indonezja była niczym trójnożny stołek, na którym balansowało jego życie.

Po szybkiej przesiadce w Singapurze wyciągnął walizkę ze schowka na bagaże i wygiął zeszywniałe plecy. Sunął powoli za starszą kobietą przez przejście między siedzeniami, a chwilę później już schodził po stalowych schodkach na asfalt portu lotniczego Dżakarta-Soekarno-Hatta. „I wtenczas łódź będzie latać po niebie”. Starożytna przepowiednia się sprawdziła.

Biuro w Dżakarcie zaproponowało, że ktoś go odbierze, ale Harper odparł, że weźmie taksówkę z postoju pod lotniskiem: chciał przyjechać sam, chłonąć pierwsze wrażenia. Gdy wjechali na estakadę, kierowca bardzo szybko zaczął zmieniać pasy i Harper nagle sobie przypomniał, jakie to uczucie: znaleźć się w miejscu, w którym w każdej chwili wszystko się może zdarzyć. Wyglądał przez okno taksówki, czując w brzuchu buzowanie adrenaliny. Ale frajda. Miasto wciąż okrężały i przecinały sześciopasmowe jezdnie – przejścia dla pieszych zbudowano ponad nimi, co stanowiło już jakiś postęp, choć sprawiały wrażenie nieco chybotliwych. I wszędzie drapacze chmur, międzynarodowe banki, hotele – tak, trzydzieści lat łamania praw człowieka przyczyniło się do zalewu zagranicznych inwestycji. Harper się zastanawiał, co się stało z ogromnymi połączeniami zatłoczonych kampongów, siatkami małych kanałów i rowów irygacyjnych, chatami oraz placami targowymi – później się dowiedział, że były po prostu poprzecinane autostradami, wciśnięte pomiędzy dwudziestoosmio-, trzydziestodwu- lub czterdziestosiedmiopiętrowe wieżowce ze stali i szkła, które sterczały w nowej centralnej dzielnicy biznesowej niczym ostrza noży, pnąc się w kierunku białego, zachmurzonego i obwisłego nieba pełnego pyłów.

Z okien pędzącego samochodu budynki wydawały mu się dziwne. Minęli blok, w którym każde piętro miało balkon wystający pod innym kątem, a każdy balkon, a także dach, wręcz kipiały zielenią: lianami, pnączami, palmami. Harper zakładał, że miało to upiększyć znajdujący się pod spodem beton, ale wyglądało to tak, jakby budynek stanowił pozostałość w postapokaliptycznym krajobrazie, z którego uciekli wszyscy ludzie, a dżungla stopniowo odzyskiwała miasto. Nie byłoby nic zaskakującego w tym, gdyby po ulicach zaczęły nagle krążyć puny.

W końcu zatrzymali się przed hotelem, w którym miał zarezerwowany pokój

na kilka pierwszych dni, do czasu, aż zostanie przygotowane dla niego mieszkanie. Ubrany w liberię odźwierny otworzył dłonią w białej rękawicze drzwi taksówki i obdarzył go uśmiechem. Portier podbiegł, by wyjąć jego walizkę z bagażnika, a Harper, gdy tylko wysiadł z samochodu, natychmiast został oślepiony przez blask odbijający się od bezszelestnie kręcących się szklanych drzwi obrotowych, które zagarnęły go wprost do klimatyzowanego holu. Od razu podeszła do niego młoda kobieta z tacą, na której leżał zwinięty w rulon mokry ręcznik i stała schłodzona szklanka soku z mango. Harper przypomniał sobie duszny pensjonat, w którym zatrzymał się przed trzydziestu laty, i doszedł do wniosku, że są jednak pewne korzyści z tego, że przyjechał tu w charakterze starszego analityka gospodarczego, faceta w średnim wieku, a nie młodego agenta pracującego pod przykrywką.

Dżakarckie biuro Instytutu mieściło się w nowoczesnym budynku w dzielnicy Setiabudi. Najpierw, gdy mieszkał w hotelu, dojeżdżał tam taksówką, lecz pod koniec pierwszego tygodnia przeniósł się do mieszkania, z którego mógł już chodzić do pracy na piechotę. Z początku spędzał w nim wiele czasu: odczuwał ulgę, przebywając w tym cichym, białym pudełku, które miał tylko dla siebie. Do jego zadań należało zaaklimatyzowanie się, czytanie raportów, nawiązywanie kontaktów z miejscowymi klientami i przedstawicielami rządu – tym razem zamiast z gangsterami, miał się zaprzyjaźniać z urzędnikami służby cywilnej. Prezydent Suharto, Ojciec Rozwoju, sprawował władzę od trzydziestu dwóch lat, i nic nie wskazywało na to, by on lub którykolwiek z jego rozlicznych krewnych mieli w najbliższym czasie zwolnić stanowiska, które zajmowali.

Harperowi nie było spieszo, by przemierzać ulice Dżakarty, jak podczas poprzedniej wizyty. Był teraz starym człowiekiem. Zamiast biegać z młodymi lub przesiadywać w barach dla ekspatów i rozmawiać z dziennikarzami,

pracował w biurze Instytutu lub w swoim białym mieszkaniu, do którego codziennie przychodziła sprzątaczką i gdzie miał do dyspozycji brązową skórzaną kanapę, popękana, lecz bardzo wygodną. Przez kilka pierwszych tygodni spędzał w mieszkaniu niemal każdy wieczór; odrabiał pracę domową, oglądał wiadomości i studiował raporty na temat tego, jak doszło do azjatyckiego kryzysu finansowego. Odświeżył swój indonezyjski, który przypominał mu się z zaskakującą klarownością. Wciąż próbował przebrnąć przez holenderskie opracowanie księgi *Prelambang Jayabaya*³⁵: starożytne przepowiednie w takim kraju jak ten i w takim czasie jak teraz zawsze się przydawały. Uczył się zasad Pancasila³⁶, które indonezyjscy politycy cytowali na każdym kroku. Bardzo poważnie traktował papierkową część swojej roboty. Taki był teraz.

Dwa tygodnie po przyjeździe, w sobotnie popołudnie, gdy czytał na swojej brązowej skórzanej kanapie w białym mieszkaniu, z ustawioną na pełną moc klimatyzacją, zadzwonił telefon. To była Francisca. W Amsterdamie był ranek i gdy tylko się odezwała, Harper domyślił się, że tej nocy nie spała najlepiej.

– Cześć... – powiedziała zaspanym głosem. Harper wyobrażał ją sobie, jak stoi w kuchni w swoim cytrynowożółtym szlafroku, czekając, aż zaparzy się kawa. Piła ją zawsze czarną i bardzo gorącą, w swojej ulubionej filiżance. Był pewien, że postanowiła zadzwonić do niego pod wpływem chwili.

– Cześć... – odparł, myśląc o jej szczupłej sylwetce i mocno zaciśniętym pasku szlafroka, o płataninie loków na jej głowie. Odezwało się w nim pragnienie poufałości. Leżąc w łóżku, lubił trzymać głowę Franciski opartą na piersi – a może po prostu to ona lubiła kłaść się na jego piersi, a on odruchowo przesuwiał rękę na tył jej głowy, ponieważ tego właśnie od niego oczekiwała? Wiedział tylko, że w tej chwili nie może się oprzeć urokowi tego wyobrażenia: ten obraz i to uczucie wydawały się nagle niezwykle wyraziste,

mimo tysięcy dzielących ich mil. Związek trwający tak długo jak ich siłą rzeczy musi najpierw wejść w okres połowicznego zaniku, mimo że oboje byli przekonani, że już wszystko skończone.

– Jak leci? – spytała łagodnie i przez chwilę gawędzili o niczym. Gdy się obudziła, poczuła się samotna i postanowiła zatelefonować, by jego głos dodał jej otuchy. – Jak praca? – zagadnęła, ale Harper słyszał, jak krząta się po kuchni, i wiedział, że ona tak naprawdę wcale nie słucha tego, co on mówi, podobnie jak wtedy, gdy byli razem, i podobnie jak on nie słucha jej. Tak to wyglądało po kilku wspólnych latach: mogłeś wieść małżeńskie życie niemal na autopilocie, dzięki Bogu.

– Miejscowe firmy mają teraz spore kłopoty – powiedział dla podtrzymania rozmowy. – W ich zestawieniach finansowych pokazały się spadki wartości, nie mogą dostatecznie szybko pozbyć się własnej waluty, wykupują resztki dolarów, dopóki jeszcze mogą je kupować. Jest źle.

– Mmmm... – mruknęła. Przez lata doprowadziła do perfekcji sztukę wydawania niezobowiązujących odgłosów, które zachęcały go do dalszego mówienia, podczas gdy ona sama przebywała myślami zupełnie gdzie indziej. – Zdaje się, że zawsze jest źle, prawda? – Usłyszał, że upiła łyk kawy.

– Tym razem jest inaczej – odparł. – Nikt już nie może kupować towarów z importu. Pomyśl tylko, co to znaczy.

– Mmmm, serio?

Francisca pracowała jako kierowniczka działu personalnego w średniej wielkości firmie importującej odzież, z siedzibą niedaleko dworca kolejowego Muiderpoort. Doskonale wiedziała, w jakim stopniu kurs walut wpływa na biznes, ale Harper nigdy nie zdołał nakłonić jej do dyskusji o tych kwestiach w szerszym kontekście. Zawsze irytowało go, że tak inteligentna kobieta nie wykazuje większego zainteresowania globalnymi problemami. Inna rzecz, że ludzie żyjący w krajach, które mają mocną walutę, w ogóle nie potrafią pojąć, że czyjaś praca lub czyjeś życie mogą być tak bezbronne wobec

wahań kursów, jak dom wobec zalewającej go fali przyływu.

– Niedługo święta. Tęsknię za tobą – powiedziała Francisca łamiącym się głosem, lecz Harper wiedział, że to kłamstwo i że on również za nią nie tęskni. To po prostu duchy ich dawnych wcieleń rozmawiały ze sobą przez telefon, przedrzeźniając ich wspólną przeszłość.

W Dżakarcie nie było Bożego Narodzenia, a w styczniu za jednego dolara trzeba będzie tu zapłacić ponad jedenaście tysięcy rupii.

Harper codziennie wstawał o świcie i bardzo wczesnie wyruszał do pracy – spacer do biura, mimo upału, i tak był nieporównywalnie lepszy od klaustrofobicznego uczucia, które ogarniało go, gdy tkwił w samochodzie. Dżakarta była mokra i zakurzona, rzadko bywało tutaj słonecznie. Anty- oraz prorządowe demonstracje odbywały się zazwyczaj bardziej na północ, na rondzie przed hotelem Indonesia albo na placu Merdeka. Czas odcisnął piętno na starym hotelu, który uznano za narodowy zabytek. Architektura lat sześćdziesiątych nie zachwycała już elegancją i nowoczesnością, lecz stała się reliktem wymagającym ochrony. Tak naprawdę budynek potrzebował wielkiego międzynarodowego przedsiębiorstwa, które by go zmodernizowało i odrestaurowało, ale kto miał się tym teraz zająć, kiedy sytuacja w kraju była tak niestabilna?

Tuż pod biurem Harpera biegła sześciopasmowa droga szybkiego ruchu. Zanim ją przekroczył, przystawał zwykle przy stoisku z jedzeniem na rogu, pod niebieskim centrum handlowym, i jadł na stojąco, a potem wykupywał wszystkie codzienne gazety z kiosku obok. Często pojawiał się jako pierwszy w brzydkim budynku z szarego kamienia wetkniętym pomiędzy dwa znacznie bardziej reprezentacyjne, lśniące wieżowce. Otwierał biuro, odsłaniał żaluzje w swoim gabinecie, jedynym pomieszczeniu z odrobiną naturalnego światła. Biuro zatrudniało obecnie sześcioro miejscowych, a troje z nich pracowało

bezpośrednio z Harperem: Wahid, mężczyzna w tym samym wieku co on, oraz dwie młode kobiety, które zajmowały się głównie sprawami administracyjnymi i pomagały jako tłumaczki. Były wykształconymi, młodymi dziewczynami, które żywiły nadzieję, że jeśli będą pracować do późna, pewnego dnia ta zachodnia firma zacznie im w końcu godziwie płacić. Wahid z kolei przypominał Harperowi jego dawnego kolegę, Abanga: flegmatyczny typ, wykonywał pracę, żeby wyżywić rodzinę, i rzadko dawał wyraz swoim poglądom. A co się stało z Abangiem? Musi mieć ponad siedemdziesiąt lat, o ile jeszcze żyje.

Amber i Wahid zjawiali się niedługo po nim. Ona robiła dla wszystkich kawę, a w tym czasie Harper rozkładał na biurku gazety i uruchamiał komputer, by włączyć tę rzecz nazywaną się pocztą e-mail, do której wciąż nie mógł się przekonać – pisanie wiadomości na ekranie, linijka po linijce, trwało całe wieki. Jego zdaniem o wiele skuteczniejsze byłoby po prostu skorzystanie z telefonu.

Miejscowi klienci wciąż posługiwali się głównie telefonami i każdego dnia Amber odpowiadała na coraz więcej pytań od kolejnych firm, które chciały wiedzieć, co się dzieje i co mają robić. W lutym rząd ogłosił dwudziestopięciodniowy zakaz wszelkich ulicznych protestów. Tego typu zakazy zawsze prowadzą jednak do wzrostu aktywności, którą próbuje się powstrzymać. Amsterdam zaczął się robić nerwowy, a w zasadzie to klienci zaczęli się robić nerwowi i właśnie to Amsterdam zakomunikował całej ekipie. Harper radził, żeby duże firmy – ważni międzynarodowi klienci – uzbroiły się w cierpliwość i czekały. Taki brak stabilności występuje tutaj od lat, a Suharto nie pozwoli, by rządzony przez niego kraj pogrążył się w chaosie.

– Jesteś pewien? – pytał wciąż Jan z Amsterdamu. – Tu chodzi o naszą wiarygodność. Jeśli dojdzie tam do bankructwa, nasi klienci woleliby zostać o tym ostrzeżeni, nie chcą być zaskoczeni. – Nikt z tak dużym wyprzedzeniem

nie wiedział, co się wydarzy w Dżakarcie, a już szczególnie ludzie, którzy tam mieszkali.

Wreszcie w maju coś się stało: protest na Uniwersytecie Trisakti, czterech zastrzelonych studentów. Później nazwą to wydarzenie incydem w Trisakti – ale kiedy do tego doszło, to nie był żaden incydent, po prostu po miesiącach niepokojów żołnierze nazbyt szybko otworzyli ogień. Był to zaledwie początek. Dżakarta eksplodowała.

I właśnie wtedy Amsterdam przysłał Henriksona.

Kiedy to wszystko się zaczęło, Harper siedział w swoim mieszkaniu, oglądał rozruchy na małym telewizorze stojącym naprzeciw brązowej skórzanej kanapy, zamykanym zwykle w szafce z orzecha włoskiego. Przez cały dzień pracował nad raportem i dopiero wieczorem włączył telewizor. W relacjach atakowano siły spiskujące przeciwko ludowi, tymczasem kamera pokazywała ulicę, na której młodzi mężczyźni wymierzali kopniaki witrynom sklepowym – skacząc, niemal lecieli w powietrzu, przybierając nieprawdopodobne wręcz pozycje. Nagle w kierunku kamery zaczęły biec dwie roześmiane kobiety, niosące między sobą coś ciężkiego. Harper usiadł całkiem wyprostowany, bo przez chwilę sądził, że to ludzki tułów, ale po chwili zdał sobie sprawę, że to wielki, zamrożony kawał mięsa, który był na tyle ciężki, że musiały dźwigać go zgięte wpół, i lada moment mógł się im wyslizgnąć z rąk. Minęły w końcu kamerzystę, a za nimi ukazał się człowiek, który podnosił coś nad głowę i potrząsał tym triumfalnie. Przypominało to plastikowy kij do mopa. Za nim było widać tłum biegnący ulicą: każdy coś dźwigał, a w tle z wnętrza sklepu unosił się niewyraźnie czarny dym. Tak właśnie się dzieje, gdy sprawiasz, że ludziom żyje się coraz ciężiej i ciężiej, aż w końcu jest im tak ciężko, że nie mają już nic do stracenia. Dlaczego ktoś miałby bać się kary, skoro jego życie i tak jest udręką?

Harper postanowił zadzwonić do Wahida: najpierw próbował go złapać w biurze, ale nikt nie odpowiadał, a potem zadzwonił do niego do domu, ale było zajęte. Przez to wszystko ich zdenerwowani klienci staną się bardzo niezadowoleni: krążyły pogłoski o ludziach usiłujących dostać się na lotnisko, na których samochody złodzieje napadali na estakadzie. Nie dodzwoniwszy się do Wahida, zaczął się zastanawiać, czy powinien się skontaktować z Amsterdamem. Potem jednak wypił jeszcze jedno piwo i położył się spać.

Gdy zgasił światło, wiedział, że nie to powinien teraz robić: powiedział sobie jednak, że co ma się stać, i tak się stanie, a najważniejsze, żeby dobrze się wyspać – jak tylko się obudzi, zaraz zadzwoni do Wahida po najświeższe nowiny.

Pager zaczął brzęczeć przed świtem. Gdy tylko usłyszał jego sygnał, wiedział, że wczoraj wieczorem popełnił błąd. Zadzwonił do biura w Amsterdamie, tak jak nakazano mu w przesłanej wiadomości. Jan – spokojny, niewzruszony Jan – nie był szczęśliwy. Domagał się wyjaśnień, co Harper, do cholery, robi w mieszkaniu i dlaczego nie udał się od razu do biura, jak tylko rozeszła się wieść o zamieszkach. Dlaczego nie spędził nocy w biurze, siedząc przy telefonie? W wydziale azjatyckim odbyło się zebranie kryzysowe. Wysyłają zespół ewakuacyjny dla klientów. Dowodził będzie Henrikson, specjalista od takich akcji.

Harper usiadł na brzegu łóżka; w pokoju było bardzo ciemno i duszno, pościel kleiła mu się do ud. Wciąż był spocony po tak gwałtownym przebudzeniu.

– Jeśli jest plan ewakuacji, mogę wszystko zorganizować – oświadczył twardo. – Mamy kontakty. – Może jeśli będzie dostatecznie stanowczy, zdoła przekonać szefa, że klienci dramatyzują, a on ma wszystko pod kontrolą.

– Dawno już nie zajmowałeś się czymś takim.

„Czemu po prostu tego nie powiesz? – pomyślał Harper. – Jestem stary. Nie można na mnie polegać. Nie wierzysz, że poradzę sobie z taką wyjątkową sytuacją”.

– Jestem na miejscu i mam Wahida do pomocy. – Nie zamierzał się poddać bez walki.

– Henrikson też wkrótce będzie na miejscu. Jeszcze dziś. Wahid zarezerwował mu samochód z lotniska. Najpierw zamelduje się w Le Méridien, a wczesnym popołudniem stawi się w biurze na odprawie. Powiedzieliśmy już klientom, żeby przygotowali personel.

– Będziemy potrzebowali SUV-ów, mnóstwa SUV-ów, nie ma już sensu starać się zachowywać dyskrecję. Bandyci napadają na ludzi i zabierają im samochody, dlatego właśnie nie...

Jan nie był w nastroju do dyskusji.

– Wahid zajmie się transportem. Henrikson zadba o ochronę. Ty masz być łącznikiem między nimi.

– Ale to... – zaczął Harper.

– Udziel mu wszelkiej potrzebnej pomocy – warknął w odpowiedzi szef. – Nie przeszkadzaj mu. Od tygodni powtarzasz, żeby czekać. No więc klienci nie będą już dłużej czekać i musimy ich czym prędzej stamtąd wydostać. Nie są z tego powodu zadowoleni. Ja zresztą też nie.

Henrikson pojawił się w biurze ubrany w chinosy i koszulkę polo, świeżo po wyjściu spod prysznic w Le Méridien. Był przeciętnego wzrostu, przeciętnej budowy ciała, biały, z brązowymi włosami – wszystko w nim było przeciętne. Wyglądał, jakby został zaprojektowany przez komisję mającą za zadanie stworzenie człowieka, który nigdy, przenigdy, nie będzie się wyróżniał z tłumu. Komisja nie dopilnowała tylko jednego: jego bezpośredniego szarookiego spojrzenia. Kiedy się z kimś witał, wydawało się

oczywiste, że jest za dobrze wyszkolony, żeby być prawdziwy.

– Henrikson. – Przedstawiał się każdemu osobno, ściskając mu dłoń i patrząc prosto w oczy.

– Henrikson. – W końcu doszedł do Harpera, a kiedy ściskał mu rękę, drugą dłoń położył na wierzchu jego dłoni, dla podkreślenia szczególnej sympatii. Zrobił to tylko na chwilę. Nie chciał przecież wyjść na wariata. Harper już sobie wyobrażał, jak jego szef tłumaczy Henriksonowi: „Harper może czuć się trochę niezadowolony z tego, że przejmujesz dowodzenie. Jest nieco staroświecki, więc działaj powoli i przeciągnij go na swoją stronę”.

– No cóż – powiedział po tym, jak wreszcie przywitał się ze wszystkimi, po czym uniósł nieco do góry ręce w pełnym serdeczności geście i opuścił je wzdłuż ciała. – Dobrze was poznać. Słyszałem, że wykonujecie tutaj fantastyczną robotę. – Harper poczuł się uspokojony, widząc, że wszystkie inne osoby w pokoju również nabrały natychmiastowej niechęci do Henriksona.

Gdy weszli do gabinetu, Henrikson usiadł po przeciwnej stronie biurka i potakiwał z wielkim poważaniem, gdy Harper omawiał listę klientów i wskazywał tych, którzy zdążyli już wyjechać. Jeśli chodzi o korpus dyplomatyczny, siły specjalne poszczególnych państw zajęły się swoimi ludźmi zaraz po zamieszkach w Trisakti. Pozostali klienci pochodzili z instytucji komercyjnych. Priorytetem było wydostanie ich rodzin. Zastanawiali się, czy powinni odradzać małżonkom udzielania wywiadów po wylądowaniu na lotnisku w Londynie, Sydney czy Nowym Jorku. Nic nie stanowiło gorętszego newsa niż atrakcyjna, roztrzęsiona kobieta ściskająca w ramionach dziecko, która opowiada o płonących budynkach. Media uwielbiały białych, elokwentnych uciekinierów.

A niech mówią, tak uważał Harper.

– Nie możemy przecież zamknąć mediom ust na temat tego, co się tu dzieje. Nic na to nie poradzimy.

Henrikson złączył palce obu rąk, tak że stworzył małą piramidę, i z wielką powagą skinął głową.

– Cóż, to ty jesteś ekspertem – powiedział. „Och, spierdalaj”, pomyślał Harper. – Muszę jednak zaznaczyć, że odbyliśmy na ten temat dyskusję w Amsterdamie i firma stoi na stanowisku, by zdecydowanie zniechęcać wszystkich do rozmów z prasą: personel, klientów, rodziny. Ryzyko fałszywego przedstawienia sytuacji jest po prostu zbyt wysokie. Nie chcemy, by nasi klienci pomyśleli, że sami doprowadziliśmy do tak krytycznej sytuacji. – Krytyka strategii cierpliwego wyczekiwania Harpera była aż nadto widoczna.

Harper postanowił zignorować tę uwagę, myśląc sobie, że Henrikson nawet mówi tekstami z podręcznika szkoleniowego. Nie do wiary, że wciąż jeszcze musiał prowadzić te gierki.

– Ale prasa może też być bardzo przydatna.

– Zgoda, zgoda... – Henrikson skinął kilka razy głową, jakby chciał podkreślić, że się z nim zgadza. – Masz całkowitą rację. Cóż, chyba lepiej znajdę sobie jakieś biurko i telefon, żeby zacząć obdzwaniać klientów. – Uderzył dłońmi w kolana i zacisnął je mocno. Harper zauważył, że ma umięśnione nogi. Po jednej stronie szyi pulsowała mu gruba żyła, a w jego zdecydowanym, szarookim spojrzeniu czaił się cień psychozy. „Boże, miej nas w opiece”, pomyślał Harper. A więc to takich osobników produkuje ostatnimi czasy Instytut.

Rozległo się ciche pukanie i po chwili w drzwiach stanął Wahid.

– Szefie? – zwrócił się do Harpera.

– Co takiego? – spytał Henrikson.

– Amber mówi, że powinniśmy pójść na dach coś zobaczyć – powiedział do Harpera.

Amber została w biurze, by odbierać telefony, tymczasem Harper, Henrikson, Wahid oraz dwaj pracownicy z innego zespołu zaczęli wspinać się

wewnętrzną klatką schodową na najwyższe piętro. Wahid pchnął drzwi prowadzące na korytarz dla obsługi technicznej, gdzie spod pomalowanych ścian i płytek na podłodze wyzierały pustaki, i znaleźli się na niewielkiej żelaznej klatce schodowej wiodącej na dach. Gdy wyszli na zewnątrz, zmrużyli oczy od jaskrawego światła. Wahid wyciągnął rękę na północ i Harper od razu zobaczył obłoki czarnego dymu nad starą Dżakartą – cztery olbrzymie, czarne, kłębiące się słupy. Z prawej strony, bardziej w oddali, widniały rozmazane plamy kolejnych obłoków.

– Amber od razu odebrała dwa telefony – powiedział Wahid. – Nie brzmiało to zbyt spontanicznie.

– I wcale tak nie wygląda – odparł Harper. – Zdaje się, że jest ich więcej niż wczoraj, jak ci się wydaje?

– O wiele więcej.

Henrikson podciągnął spodnie, klasnął w dłonie, nachylił się do nich i zupełnie serio powiedział:

– Do roboty, drużyno.

Minął tydzień od zastrzelenia studentów. Przeszono plądrować centra handlowe, ale w mieście huczało od plotek, że bandy żołnierzy w cywilnych ubraniach krążą po domach, zabijają Chińczyków i gwałcą kobiety. Mówiło się o setkach zabitych, a ludzie Harpera podejrzewali, że ta liczba jest znacznie wyższa. Większość rodzin ich klientów została już ewakuowana; pozostali tylko niezbędni pracownicy, ale nawet oni byli w pogotowiu. Instytut zamierzał na wszelki wypadek zamknąć biuro i przenieść centrum operacyjne do Le Méridien, co Harper uważał za kolosalne marnotrawstwo pieniędzy. Wszyscy pracowali teraz dzień i noc.

Gdy tego ranka wszedł do gabinetu Wahida i zamknął za sobą drzwi, ten stał przy biurku i trzymał w ręce młotek ciesielski. Pomachał nim Harperowi.

– Jeśli chodzi o obronę osobistą, wygląda to dość prymitywnie.

– Wystarczy, żeby roztrzaskać czaszkę, ale tak naprawdę jest mi potrzebny do tego. – Wskazał młotkiem na biurko zavalone dyskietkami w niebieskich plastikowych pudełkach.

– To konieczne? – spytał Harper. Dyskietki nie zajmowały wiele miejsca. Z pewnością można było je gdzieś ukryć.

– Rozkazy Henriksona – odparł Wahid, przechylając głowę w jedną stronę i zaciskając wargi.

– Gdzie jest dziś rano ta kupa mięsa?

– W którejś z ambasad albo w banku, nie powiedział.

Harper i Wahid spojrzeli na siebie, po czym obaj postukali się w bok nosa – taki gest wykonywał Henrikson, gdy chciał uniknąć odpowiedzi na jakieś pytanie.

– Amber powiedziała, że zostawił tu dla mnie jakieś instrukcje.

– A tak, to.

Wahid odłożył młotek i otworzył małą szufladę w swoim biurku. Wyciągnął z niej czarny notes w twardej oprawie.

– Lista klientów, spisana ręcznie wczoraj w nocy. Wyczyściliśmy wszystkie komputery, a teraz czas na dyskietki. Masz się zaopiekować listą. Henrikson chce, żebyś przechował ją u siebie w mieszkaniu, a jutro zaniósł do hotelu, gdzie on osobiście umieści ją w sejfie w swoim pokoju.

Harper jęknął.

– Dlaczego więc po prostu nie zabierze jej ze sobą?

– Powiedział, że zanim wniesie ją do budynku, najpierw chce przesłuchać ochronę hotelu.

– Żartujesz, prawda?

– Obawiam się, że nie. – Wahid znów stuknął palcem w bok nosa.

Gdy Harper z notesem w kieszeni marynarki odwrócił się do wyjścia, dodał:

– Jeszcze jedno, jest tu jakiś Anglik. Czeka na ciebie od godziny. Amber popełniła błąd i powiedziała mu, że zjawisz się dzisiaj. Podał twoje nazwisko.

– Jak wygląda?

– Jak typowy klient. Raczej lokalny, drobny handel.

– Branża wydobywcza czy import-eksport?

Wahid zmarszczył brwi, przyglądając się dyskietkom.

– Nie sądzisz, że w ten sposób zniszczę sobie biurko?

– Cóż, w przeciwnym razie nie zniszczysz dyskietek.

– Słuszna uwaga. – Wziął garść dyskietek, pochylił się, by ułożyć je w równy stos na podłodze, i klęknął obok. – Branża wydobywcza – dodał – ale raczej drobna firma, powiedziałbym, że zbliża się do końca, nie jestem nawet pewien, czy jeszcze nam płaci. – Opuścił młotek na stertę dyskietek i ta znajdująca się na górze przeleciała przez cały pokój, odbiła się od ściany i nieuszkodzona wylądowała na podłodze.

– Życzę powodzenia – rzucił Harper i skierował się do drzwi.

Anglik czekał w małym, pustym pokoju, którego używano do spotkań i rozmów kwalifikacyjnych. Jediną jego ozdobą były nieco rachityczny kaktus w czerwonej doniczce na parapecie – okno miało matową szybę i wychodziło na wewnętrzny korytarz – oraz obszarpana, wyblakła mapa Indonezji umocowana między dwoma bambusowymi kijkami i wisząca na kawałku sznurka na wbitym w ścianę gwoździu.

Pośrodku pokoju stał prostokątny stół z czterema krzesłami. Facet usiadł na jednym z nich odchylony do tyłu, z nogami założonymi jedna na drugą na stole oraz brzuchem, który sprawiał, że marynarka jego garnituru była dość mocno napięta. Miał zamknięte oczy. Na stole stała butelka taniej whisky i dwie szklaneczki, jedna w połowie pełna.

– Długo pan na mnie czekał? – spytał uprzejmie Harper.

Cholera, jak ten facet się nazywa?

Anglik natychmiast usiadł, opuścił nogi i potrząsnął głową, jakby został wyrwany ze snu.

– Och, Harper, wreszcie jesteś. Co tak długo? – Mówił nieco bełkotliwie.

– Zatrzymał mnie pewien drobiazg. Pograżone w chaosie miasto – odparł Harper. Usiadł na krześle naprzeciw, nalał sobie whisky i uzupełnił do pełna szklaneczkę Anglika. – Może kawy?

– Okropny nawyk – odrzekł Anglik. – I bardzo szkodliwy. Teraz pijam tylko zieloną herbatę.

Harper już obrócił się w stronę drzwi, ale nieznajomy go powstrzymał:

– Nie kłopotz swoich młodych dam, i tak mają wystarczająco dużo roboty z niszczeniem tych wszystkich dokumentów.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał Harper. Przypomniawszy sobie, że spotkali się ze trzy lub cztery razy. Facet był lokalnym wiceprezesem jakiejś firmy. Czy nie zajmował się czasem eksportem drzewa sandałowego?

– Jestem tu nieoficjalnie – powiedział mężczyzna, sącząc whisky. – Całkiem nieformalnie, bo wiesz, zastanawiałem się, jaka jest twoja opinia na temat tego, co tu się... no wiesz, dzieje. – Przy ostatnim słowie machnął ręką w powietrzu.

Aha, chodzi mu o darmową poradę. Dlatego przyniósł butelkę whisky, taki gest wdzięczności od jednego kumpla dla drugiego.

– Cóż, miejmy nadzieję, że bez względu na to, jak to się skończy, przyniesie większą stabilność obywatelom Indonezji – oznajmił Harper na tyle oficjalnym tonem, by dać mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru przekazywać mu jakichkolwiek informacji za darmo. Jeśli chce otrzymać raport, niech jego firma za to zapłaci.

Anglik jęknął.

– Daj spokój, Harper, jesteś doświadczonym gościem, nie próbuj mnie brać na sentymenty, bo muszę podjąć konkretne decyzje. Lubisz wędkować?

„Jest bardziej pijany, niż sądziłem – pomyślał Harper. – Daję mu dziesięć

minut ze zwykłej uprzejmości, nie więcej, a potem będę musiał wyrzucić go za drzwi”.

– Tak. Nie mam na to zbyt wiele czasu, ale lubię. – Harper nigdy w życiu nie wędkował.

– Wyobraź sobie więc siatkę pełną ryb, w tym jakiegoś wielkiego pstrąga czy coś takiego. I jest tam jedna ryba, którą chcesz wypuścić, bo na przykład jest mała albo chora, ale przecież nie zrobisz dziury w siatce, prawda? Bo ani się obejrzysz, a wydostaną się wszystkie.

– Nie całkiem nadążam.

– Cóż, wielki pan raczej nie pozwoli protestantom postawić na swoim. Słyszałeś, że do akcji zaangażowano Kopassus³⁷?

– Dlaczego tak pan uważa?

– Daj spokój, Harper. Wokół kręci się trochę za dużo „studentów” z wojskowymi fryzurami, nie sądzisz? – Anglik nagle pochylił się do przodu i klepnął dłońmi o kolana. – Dobra! Masz rację! – zawołał, jakby odpowiadał na coś, co powiedział Harper, jakby otrzymał informację, po którą tutaj przyszedł. Wstał nieco chwiejnie, bo jego środek ciężkości przesuwiał się z boku na bok, aż w końcu zdołał odzyskać równowagę. Następnie się odwrócił, lecz zamiast ruszyć w stronę drzwi, zawrócił w kierunku ściany z wypłowiałą mapą.

– Wygląda to tak, jakby Bóg wziął kilka kamieni i garść żwiru, a potem... – Anglik wykonał zamaszysty gest szklanką. – Ale to piękne. Cały kraj składający się z wysp. Jakies piętnaście tysięcy... nie da rady... ścisnąć ich wszystkich... ze sobą. – Odwrócił się do Harpera, trzymając rozłożone ręce, po czym ścisnął znajdujące się między nimi powietrze, jakby Harper osobiście odpowiadał za dopilnowanie tego, żeby wyspy archipelagu nie odpłynęły w przeciwnych kierunkach, dryfując nieodpowiedzialnie, aby przyłączyć się do innych kontynentów. Teraz głos Anglika przybrał lekko oskarżycielski ton. – Jak można oczekiwać, że to wszystko razem się utrzyma?

Tak naprawdę było siedemnaście tysięcy wysp. Harper nie miał pewności, czy facet jest po prostu kompletnie zalany, czy też właśnie odkrywa mistyczną stronę swojej osobowości. Musiał pewnie ukrywać swoją skłonność do popijania przed centralą firmy – żaden problem, gdy znajdujesz się tysiące mil od kraju – ale nawet brytyjskie firmy coraz lepiej radziły sobie ostatnio ze zwalnianiem pijaków. Harper zanotował w pamięci, żeby wykorzystać tę wiedzę, jeśli zajdzie potrzeba. Będzie musiał sprawdzić, jak ten facet się nazywa i jakie relacje – jeśli w ogóle – łączą go z ich firmą.

– Myślałem, że Bóg mnie wtedy opuścił... – wymamrotał Anglik, patrząc w szklanę. – Oni tutaj wierzą w tyle rzeczy, na pewno nie w to, co my, ale przynajmniej...

„Zaraz pewnie zacznie opowiadać o tym, jak to Timor został stworzony przez dwóch małych chłopców i krokodyla”.

Zamiast tego Anglik wziął ogromny łyk whisky, obrócił się, rzucił gniewne spojrzenie Harperowi, a jego głos stał się szorstki.

– A teraz wielki Suharto, Podtrzymywacz Wszechświata, jest na wylocie, jak oni wszyscy. – Kaszlnął głośno. – Spójrz prawdzie w oczy, Harper, ci ludzie po prostu lubią zabijać się nawzajem.

Harperowi przyszło do głowy, że w rzeczywistości ludzie nie zabijają się nawzajem. Ludzie spaleni żywcem w centrach handlowych w północnej części miasta nie palili nikogo w odwecie. Kiedy na wschodniej Jawie zlinczowano starszą kobietę za to, że rzekomo jest czarownicą, staruszka nie linczowała nikogo w zamian. Na tym właśnie polega zabijanie: są sprawcy i są ofiary. To nie jest dwustronny proces.

– Myśli pan, że Suharto jest na wylocie? – zapytał uprzejmym tonem. – Od kogo w takim razie Kopassus otrzymuje rozkazy?

Mężczyzna spojrzał w dół.

– Nie, masz rację, on nigdy nie odejdzie, przynajmniej nie bez walki, bez kilku kolejnych tysięcy ciał piętrzących się na ulicach.

Harper wstał z krzesła. Głos mężczyzny stracił całą energię. Musi pozbyć się go z biura, zanim facet znowu usiadzie, w przeciwnym razie nie dadzą rady go podnieść.

– Tutaj muszę się z panem zgodzić – powiedział, po czym podszedł z boku do mężczyzny i położył mu delikatnie rękę poniżej łokcia, aby skierować go do wyjścia.

– Naprawdę tak myślisz? – Facet poważnie popatrzył na Harpera, po czym znów opuścił wzrok. – Ty tu jesteś ekspertem. No nic, dzięki za drinka. – Odstawił szklanekę, rozpiął marynarkę i obiema dłońmi podciągnął sobie spodnie.

Harper wyprowadził go na korytarz i lekko popchnął w stronę drzwi. Mężczyzna przystanął, zakołysał się, po czym wykonał pożegnalny salut, dotykając ręką czoła, a następnie wyrzucając ją do góry.

Wróciwszy do biura, Harper spojrzał z uniesionymi brwiami na Amber, która akurat rozmawiała przez telefon.

– Przepraszam – powiedziała bezgłośnie znad słuchawki.

Wszedł do swojego gabinetu, usiadł za biurkiem, otworzył kluczykiem szufladę, po czym wyciągnął z niej duży blok listowy i ołówek. Nawet pijany Anglik wiedział, że Suharto nigdy nie odejdzie z własnej woli. Harper pochylił się nad blokiem listowym, ale gdy przystawił do niego zaostrzony ołówek, jego czubek się złamał. Nagle zaczęło mu brakować tchu. Oparł się na krześle, wpatrując się w ołówek, i zdał sobie sprawę z tego, że przycisnął go do papieru z taką siłą, że zaczęła mu się trząść ręka. Odłożył go ostrożnie, a następnie lewą dłonią chwycił drżącą prawą rękę i delikatnie ją ścisnął. To sprawiło, że ręka trzęsła się jeszcze mocniej. Rozluźnił uścisk, odchylił się na oparciu krzesła, przymknął oczy i zaczął głęboko oddychać... raz, dwa, trzy, wdech... raz, dwa, trzy, wydech... Teraz trzęsła się również jego lewa noga, podrygując gwałtownie pod biurkiem.

Henrikson nie pojawił się przez cały dzień, z czego Harper był bardzo zadowolony. Przez trzy godziny padało, a gdy się przejaśniło, Harper wszedł do gabinetu Wahida i powiedział, że chce zamówić samochód, żeby zrobić rundkę po barach, zatrzymać się tu i ówdzie na drinka, zobaczyć, czy mieszkający tu cudzoziemcy wyjechali, porozmawiać z kilkoma ludźmi. Niektórzy w takich kryzysowych czasach robią się bardzo gadatliwi, tyle zapamiętał z sześćdziesiątego piątego: ludzie zwierali szeregi, ale mimo wszystko rozmawiali.

Wahid popatrzył na niego i Harper zauważył niepokój za jego małymi, okrągłymi okularami.

– To na pewno dobry pomysł?

Wzruszył ramionami.

– Tkwimy w biurze całymi dniami, a tymczasem Henrikson biega po całym mieście, jakby był Jamesem Bondem.

– Zamierzasz mu to najpierw zgłosić?

– A skąd. Jeśli spyta, gdzie jestem, powiedz, że próbowałem się do niego dozwonić, ale nie mogłem się połączyć.

Obudził go pisk pagera. „Cholera”, pomyślał, przewracając się na łóżku z wyciągniętą ręką i od razu zauważając przez szpary między żaluzjami, że jest zupełnie jasno. Która to godzina? W mieszkaniu panowała nienaturalna cisza. Normalnie z zewnątrz dobiegałby szum ruchu ulicznego. Choć był zaledwie w połowie rozbudzony, macając po omacku dłonią między kluczami, telefonem, butelką wody i chusteczkami leżącymi na nocnym stoliku, wiedział, że ulice są wyludnione. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje ani która jest godzina? Potem pomyślał sobie: „Mieszkanie”. Ale dlaczego jest tak jasno? Najwyraźniej nie opuścił żaluzji, gdy wrócił wczoraj w nocy.

Wczoraj w nocy?

Pager umilkł. Harper usiadł i rozejrzał się wokół. Nie widział go na nocnym stoliku. Do diabła, nie może sobie pozwolić na to, żeby przegapić kolejną sytuację kryzysową. Pager jednak znów zaczął piszczeć i Harper odnalazł go na podłodze. Spodnie leżały zwinięte koło łóżka, więc musiał wypaść z kieszeni. Telefon, motorola. Zadzwoił do biurowego systemu obsługi, lecz zamiast Henriksona lub Wahida usłyszał nieznamy kobiecy głos:

– Cześć, tu Alison z FT. Dzięki za mojito. Odezwij się, gdy się obudzisz, będę superdyskretna, tak jak obiecałam. *Ciao*, kolego! – Ostatnie dwa słowa wypowiedziała z przyjacielską emfazą.

Dlaczego jakaś dziennikarka wysyła mu wiadomości na pager służący do nagłych wypadków? Może była klientką i starała się zachować swobodny ton? Podniósł spodnie z podłogi i zaczął przetrząsać kieszenie, aż wreszcie znalazł wizytówkę: „Alison Rutgers, azjatycka korespondentka »Financial Times«” i miejscowy numer telefonu.

Gdy odebrała, wcale nie sprawiała wrażenia klientki, która chciałaby prosić o natychmiastową ewakuację.

– Hej, dobrze cię słyszeć. Jak głowa?

Harper starał się naśladować jej ton.

– Hm, powiedzmy, że bywało lepiej, a twoja?

Zaśmiała się cicho.

– Dość ciężko było wstać dziś rano. – Harper od razu się zorientował, że kobieta wcale nie ma kaca i bez względu na to, ile mojito wczoraj wspólnie wypili, nie tknęła ani kropli alkoholu. Być może szepnęła na ucho kelnerowi: „Do mojego nie dodawaj rumu”. Już raz został tak załatwiony. – W Café Batavia robią dość mocne drinki, kiedy właściciel urządza jedną z tych swoich nocnych imprez – ciągnęła. – Facet jest Australijczykiem, chyba ci wspominałam, prawda? Ale prawdziwa zabawa jest w Tanamur. Nie do

wiary, że tam jeszcze nie był. – Harper doskonale znał reputację tego klubu i właśnie dlatego trzymał się od niego z daleka. Ale czy naprawdę zwierzył się tej kobiecie, że nigdy tam nie był? Kim ona, do licha, jest i czego chce? – Posłuchaj – powiedziała – niestety dzwonię nie tylko po to, żeby sprawdzić, czy żyjesz...

– Skąd masz numer mojego pagera? – przerwał jej Harper.

Odpowiedź padła błyskawicznie.

– Sam mi go wczoraj dałeś. – Harperowi zrobiło się gorąco i niedobrze. – Ale słuchaj...

– Nie mam ci nic do powiedzenia – rzucił i się rozłączył.

Pięć minut później, otoczony ścisłą tajemnicą pager, używany wyłącznie w nagłych przypadkach w pracy, znowu zapiszczał. Harper zadzwonił na numer motoroli. Tym razem ton Alison był zgoła odmienny.

– Cześć, John, to znowu ja. Wybacz, jeśli ci przeszkadzam. Posłuchaj, zamierzam zadzwonić do twojej centrali w Amsterdamie i załatwić to oficjalnie. Zależy mi po prostu na komentarzu, udzielonym pod nazwiskiem bądź anonimowo, na temat planów ewakuacyjnych Instytutu. Interesują mnie głównie duże banki. Ale rozumiem, że to, co powiedziałaś mi wczoraj, nie jest przeznaczone do publikacji. Jeśli jesteś dziś zajęty, załatwię to oficjalnymi kanałami. – Ostatnie zdanie jawnie ociekało złośliwością.

Cholera. Ukrył twarz w dłoniach. Mógł do niej oddzwonić. Pewnie da mu godzinę lub coś koło tego, żeby zobaczyć, czy to zrobi. A potem, w zamian za informacje, obieca nie ujawniać jego nazwiska, choć na podstawie jego słów będzie można ustalić źródło: ta dziennikarka to wiedziała. O tej porze biuro w Amsterdamie było zamknięte, ale działała dwudziestoczworogodzinna linia specjalna, która stale monitorowała automatyczne sekretarki w biurze, więc jeśli ta cała Alison nagra wiadomość, mogą do niej od razu oddzwonić, aby ją powstrzymać. Ograniczyć szkody. Czy szefostwo ma jakieś kontakty w „Financial Times”, żeby ukręcić łeb tej sprawie? Gorączkowo szukał

rozwiązań. Czy ona przygotowuje jakiś większy artykuł, czy tylko krótką depeszę?

Nie miał pojęcia. W ogóle jej nie pamiętał, ledwie jakiś mglisty obraz: może opadające ciemne włosy? Dłoń na jego kolanie? Choć starał się skupić, niewiele potrafił sobie przypomnieć. Tylko tyle, że wezwał taksówkę i najpierw kazał się zawieźć do kilku hotelowych barów, a potem do starej Dżakarty. Wciąż jeszcze obowiązywała godzina policyjna i wszędzie stały kordony policji, lecz ku jego zaskoczeniu Café Batavia, z wiszącymi na ścianach zdjęciami hollywoodzkich gwiazd w ciemnych drewnianych ramkach, była ciągle otwarta, a w środku panował dość spory ruch – roiło się tam od niedawno przybyłych do Dżakarty dziennikarzy i agentów. Trwała jakaś impreza. Ktoś trącił go w łokieć, rzucił „przepraszam”. Harper się odwrócił... Uśmiech, ciemne włosy...

Teraz już ją sobie przypominał: brązowe oczy, drobna sylwetka, bezbronny wygląd. Nie pamiętał, jak długo tam został ani co powiedział. Nie pamiętał też, jak dotarł do mieszkania.

Powiedział Wahidowi, że wbrew protokołowi zamierza powłóczyć się po mieście, żeby trochę popytać. Tymczasem wyglądało na to, że to on się wygadał. Jeśli naruszył klauzulę poufności wobec któregoś z klientów, Instytut z miejsca go wyleje. Będzie skończony.

I wtedy przyszło mu do głowy, żeby sprawdzić kieszenie marynarki, która zwisała z brzegu łóżka. Były puste.

Taksówka dojechała nie dalej niż do Glodok – wciąż znajdowali się kilka ulic od placu Fatahillah – kiedy musieli się zatrzymać przed kordonem policyjnym: szlabany, funkcjonariusze w białych hełmach. Policjant, który podszedł do okna od strony kierowcy, miał w ustach gwizdek, a rękę opierał na pistolecie wetkniętym w kaburę. Razem z taksówkarzem odbyli krótką

rozmowę.

– Powiedz mi, że jestem dziennikarzem – odezwał się Harper z tylnego siedzenia. – Powiedz, że muszę się dostać na plac, bo zostawiłem coś wczoraj w Café Batavia. Wprawdzie nic ważnego, ale powiedz mu to, będę ci za to bardzo wdzięczny. – Gdyby chciał wręczyć policjantowi łapówkę, musiałby opuścić szybę od swojej strony.

Taksówkarz potrząsnął tylko głową i zaczął cofać.

– Przykro mi, proszę pana, dalej nie można.

– Dobra, to zawróć, skręć w prawo, jedź do końca ulicy i skręć jeszcze raz.

Kierowca cofał powoli samochód wzdłuż ulicy. Po dwóch kolejnych skrętach w prawo Harper rzucił:

– Zatrzymaj się w tym miejscu.

Kierowca zrobił, jak mu kazano, ale wciąż siedział z ręką na dźwigni zmiany biegów i patrzył przed siebie, najwyraźniej nie chcąc obrazić klienta.

– Proszę pana, myślę, że dobrze, jak odwiozę pana z powrotem w to miejsce, z którego pana zabrałem. Proszę pana?

– Wsiądę tutaj – odparł Harper, unosząc się nieco, żeby sięgnąć do kieszeni spodni po pieniądze.

– Nie wydaje mi się to właściwe, proszę pana – stwierdził kierowca, przyjmując zapłatę za kurs, ale Harper już naciskał klamkę.

Szedł bocznymi uliczkami; zdawały się wyludnione, ale przynajmniej nie były otoczone kordonem: blokady miały na celu powstrzymać samochody i duże zgromadzenia, nie pojedyncze osoby. Dotarcie na piechotę na plac nie przedstawiało większej trudności. Na jednej z ulic, przed rozpadającym się budynkiem, sprawiającym wrażenie opuszczonego, zobaczył nawet starszą kobietę, która zupełnie spokojnie zmiatała do rowu suche liście i patyki. Większość budynków miała jednak pozamykane okiennice. Ludzie nadal nie

wychodzili z domów.

Plac Fatahillah był opustoszały, z wyjątkiem jednego dżipa stojącego pod Muzeum Historycznym. Siedziało w nim kilku mężczyzn i paliło papierosy. Harper widział z drugiej strony placu, że Café Batavia jest zamknięta, ale i tak podszedł do przeszklonych drzwi, podniósł rękę i przycisnął twarz do szyby. W mroku spowijającym parter dostrzegł jakiś ruch, choć równie dobrze mogło to być odbicie czegoś z zewnątrz; mimo to zaczął stukać w szybę i szarpać za klamkę. Gdy się obejrzał przez ramię, zobaczył, że zwrócił na siebie uwagę młodych mężczyzn w dżipie, którzy teraz bacznie go obserwowali.

Jeśli w Café Batavia był ktoś z personelu, nie miał najmniejszego zamiaru otwierać – Harper jednak przeczuwał, że i tak niczego tu nie znajdzie. Jakie było prawdopodobieństwo, że notes leży gdzieś na podłodze? W tej chwili Alison Rutgers zapewne uważnie go studiuje, przesuwając swym wymanikiowanym palcem wzdłuż listy klientów.

Gdy Harper odwrócił się od wejścia do Café Batavia, jeden z mężczyzn zeskoczył z dżipa, lądując zgrabnie z lekko ugiętymi kolanami na ziemi, i niespiesznie zaczął iść przez plac w jego kierunku. Harper skręcił w lewo i szybkim, lecz spokojnym krokiem ruszył w przeciwną stronę. Znajdował się zbyt daleko, by pokonać całą trasę na piechotę, a poza tym niebo znów stało się ciężkie i ciemne: zbliżała się kolejna ulewa. Postanowił się kierować na południe z nadzieją, że gdy minie kordony policyjne, uda mu się znaleźć taksówkę.

Maszerował już pół godziny na południe od placu, kiedy usłyszał niedający się pomylić z niczym innym tumult rozwścieczonego tłumu: był to zbiorowy odgłos, odwieczny i znajomy, mieszanina wrzasków i krzyków, brzęk rozwalanych przedmiotów, skandowanie. Harper przystanął, nasłuchując: miał wrażenie, że wrzawa dobiega z ulicy równoległej do tej, na której się

znajdował. Skręcił w łączącą je boczną uliczkę. Czuł ssanie w żołądku. Przed wyjściem z mieszkania nic nie jadł, a po drodze nie napotkał ani jednego otwartego sklepu czy straganu. Powietrze było parne i wilgotne z powodu nadciągającej burzy. Czuł się tak, jakby oddychał zupą.

Równoległa ulica była pełna; kłębił się tam spory tłum, który gęstniał w okolicy małego centrum handlowego znajdującego się na rogu po prawej stronie jezdni. Na Harpera nikt nie zwracał uwagi. Gdy zaczął się przepychać do przodu, zobaczył chmarę ludzi pod wejściem do sklepu. Większość osób była do niego odwrócona plecami, skupiona wokół czegoś, co znajdowało się pośrodku. Harpera ogarnęły złe przeczucia, lecz tylko na chwilę. W okrzykach kobiet i mężczyzn słychać było nutę hysterii, a ich głosy wciąż przybierały na sile.

Kiedy podszedł do tej grupy, trzech stojących z brzegu mężczyzn odwróciło się do niego. Jeden zaczął krzyczeć i gestykulować, ale jego sąsiad tylko się roześmiał, więc Harper też się roześmiał i cała trójka znów stanęła do niego tyłem. Był na tyle wysoki, że mógł patrzeć ponad ich głowami, ale jako że tłum ciągle się poruszał, musiał wepchnąć się w jego środek. W zbiegowisku przeważali młodzi mężczyźni, poza tym dostrzegł dwie, może trzy młode kobiety – ci ludzie nie wyglądali jednak na studentów, raczej na sprzedawców albo robotników z fabryki; mieli na sobie luźne, proste koszule i plastikowe buty. Niebo ponad ich głowami zrobiło się teraz bardzo ciemne.

Pośrodku tego tłumu siedział na ziemi młody chłopak. Miał gęste, proste włosy, które opadały mu na czoło, oraz jasną skórę. Był pewnie Indonezyjczykiem chińskiego pochodzenia albo po prostu miał pecha, że na takiego wyglądał. Jego włosy były pozlepiane krwią, krew płynęła mu też po twarzy. Koszulę miał rozdartą, a od pasa w dół był nagi. Obok niego leżała para poszarpanych, brudnych spodni. Ramiona trzymał uniesione nad głową, jakby próbował osłonić ją przed ciosami, a jedno przedramię miał rozcięte i mocno obtarte. Gdy mężczyźni wokół Harpera rozstąpili się odrobinę,

chłopak podniósł głowę. Spojrzał na Harpera, rozpoznając w nim – z błyskiem nadziei i strachu w szeroko otwartych oczach – przedstawiciela władzy.

Tłum cofnął się odrobinę, patrząc na niego, czekając na jego reakcję. Harper wiedział, że wystarczy, aby skinął głową i odsunął się na bok, a tłum pobije tego nieszczęśnika na śmierć. Na jego oko chłopak mógł mieć około siedemnastu lat.

– To syn właściciela sklepu! – rzucił gniewnie mężczyzna z lewej strony, choć Harper nie domagał się żadnych wyjaśnień. – Wiadomo, jacy oni są! Ten tutaj znieważył moją siostrę! – Mężczyzna zamachnął się nogą, chcąc wymierzyć kopniaka siedzącemu na ziemi chłopakowi, ale źle ocenił odległość i jego stopa przecięła powietrze.

Harper trzema dużymi krokami wszedł w głąb tłumu – dwaj naciskający na niego z obu stron mężczyźni odsunęli się na boki. Chwycił chłopaka za zranione ramię i podniósł go brutalnie na nogi. Młokos krzyknął ze strachu i bólu; brzmiało to jak wysoki, płaczący jęk. Był drobny, chudy i gdy tylko Harper go podźwignął, zaczął się osuwać z powrotem na ziemię. Nagle pewien starszy mężczyzna zadarł nogę na wysokość uda i wymierzył mu mocne, okrutne kopnięcie, które trafiło chłopaka w tułów, tuż ponad biodrem.

Harper wiedział, że ma parę sekund. Odciągnął bezwładnego chłopaka od mężczyzny, który go kopnął, i jednocześnie zawołał:

– *Ayo! Nèk wani!*³⁸

Tymczasem zupełnie zdezorientowany i spanikowany chłopak zaczął słabo kopać Harpera, który szarpnął go ostro za ramię i wrzasnął gniewnie, czym zyskał sobie sympatię tłumu. Niektórzy zaczęli nawet wiwatować na jego cześć.

Tak szybko, jak tylko mógł, odciągnął chłopaka w stronę, z której przyszedł, ale kilka osób z tłumu poszło ich śladem. Przed nimi otwierała się teraz pusta i szeroka ulica, a wzdłuż niej ciągnęły się betonowe fronty sklepów z roztrzaskanymi okiennicami, przez które wysypywały się rozmaite towary:

plastikowe wiadra, ręczniki, buty i sandały. Na środku drogi leżał przewrócony na bok biały metalowy przedmiot, który mógł być szafką bądź lodówką, a wokół walało się rozbite szkło. Od bocznej uliczki, którą przyszedł Harper, dzieliło ich kilka minut, a po drodze nie było żadnych przejść ani zakrętów, którymi mogliby uciec. Poczł na ramionach pierwsze krople deszczu i spojrzł w góre dokładnie w chwili, w której z szarego nieba lunęła gwałtowna ulewa.

Ludzie w tłumie zaczęli wrzeszczeć i się śmiać. Dwaj młodzi mężczyźni z lewej strony Harpera, którzy szli za nim bardzo blisko, schronili się w splądrowanym sklepie, gdzie znaleźli stertę tac do podawania herbaty, którymi nakryli sobie głowy, wołając przyjaciół – przez cały ten czas Harper rozglądał się wokół, aż zyskał pewność, że tłum przestał się nimi interesować, i dopiero wtedy pociągnął za sobą opierającego się chłopaka, raz jeszcze rzucając do niego: „Ayo!”. Tym razem przypominało to raczej syknięcie niż krzyk.

Chłopak w dalszym ciągu nie rozumiał, że został uratowany. Harper, wlokąc go za sobą, musiał z całej siły zacisnąć rękę na jego ramieniu, aż wreszcie na końcu ulicy mógł skrócić w prawo. Za zakrętem pchnął chłopaka na ścianę i przez minutę trzymał go za ramiona, patrząc mu prosto w oczy.

– Idź do domu. Nie wracaj tamtą drogą. Zrozumiałeś? – powiedział po indonezyjsku, ale chłopak był w takim szoku, że nic do niego nie docierało i gdy tylko Harper zdjął dłonie z jego ramion, wyrwał się mu i ruszył w tym samym kierunku, z którego przyszedł.

Harper krzyknął, gdy tamten już skręcał za róg – niech to szlag, jeśli cały jego wysiłek pójdzie na marne, a ten młody narazi ich obu na niebezpieczeństwo, biegnąc z powrotem prosto w tłum. Nagle jednak chłopak stanął w miejscu, popatrzył w głąb głównej ulicy i w końcu zrozumiał, więc szybko zawrócił i zgięty wpół chwiejnym krokiem ruszył w boczną uliczkę.

Teraz już lało jak z cebra. Harper stał przez chwilę i czuł, jak opada

adrenalina. Niewielki, błotnisty strumyk płynął już do studzienki ściekowej po drugiej stronie ulicy. Podniósł poły koszuli, która w tym całym zamieszaniu wysunęła mu się ze spodni, i przetarł nią twarz. Większość ludzi szukała teraz schronienia w splądrowanych sklepach, oczywiście z wyjątkiem najbardziej zdeterminowanych uczestników zamieszek. Powrót do mieszkania powinien być w miarę bezpieczny, ale lepiej unikać głównych ulic, dopóki nie oddali się od starej części miasta i nie znajdzie taksówki. Podniósł twarz w kierunku nieba, przymknął oczy i rozchylił usta, pozwalając, by twarde krople spadały mu na język i smagały twarz. „Dobrze zrobili, przysyłając Henriksona – pomyślał. – Jestem już na to za stary”.

Mieszkanie znajdowało się na piątym piętrze, a winda stała zepsuta od kilku miesięcy – konserwatora nie było stać na części zamienne, które należało sprowadzić z Niemiec. Harper wspinał się wolno po schodach. Na wysokości trzeciego piętra zaczęły mu dygotać nogi, przystanął więc na chwilę, myśląc sobie, że to w sumie beznadziejne. A potem do niego dotarło: nie, to wcale nie wina schodów, wchodziłeś po nich bez większego trudu już tyle razy. Nie chodzi też o upał czy wilgotność, ale o gwałtowny spadek adrenaliny.

Drżącą ręką wsunął klucz do zamka i otworzył drzwi. Podczas jego nieobecności musiała przyjść sprzątaczką, ponieważ mieszkanie było czyste. Sarta książek i papierów, którą zostawił na małym stole, została starannie ułożona, a obok w równym rzędzie leżały długopisy. Nogi wciąż mu się trzęsły. Dziwne. A potem zaczął się trząść cały, od stóp do głów. Czuł, że trzęsą mu się nawet płuca, i musiał łapać powietrze wielkimi haustami. Uratował tego chłopaka. Bez najmniejszego ostrzeżenia z którejkolwiek części ciała – oprócz drżenia, które zdawało się pochodzić zewsząd i znikąd – upadł na kolana na wyfroterowaną drewnianą podłogę. Uratował tego chłopaka. To już był jakiś wyłom. To już było dużo.

Czołgał się po podłodze, zwijając po drodze cienki chodnik, w kierunku szafki z ciemnego, lakierowanego drewna, w której trzymał whisky. Szklaneczka, którą wyjął ze środka, wysunęła mu się z ręki i zatoczyła półokrąg przy jego kolanie. Chwycił ją i odrzucił na bok, chcąc ją usunąć ze swojego bezpośredniego sąsiedztwa, ponieważ nie zamierzał z niej korzystać, ale zrobił to z taką siłą, że przeleciała przez pokój i roztrzaskała się na ścianie. Odkręcił butelkę i odrzucił zakrętkę w tym samym kierunku, ta zaś wylądowała na podłodze z metalicznym brzękiem. Pił długo i łapczywie, a kiedy już zaczął, nie potrafił przestać. Chodziło o bliskość tego wszystkiego. Siedział teraz w swoim mieszkaniu, podłoga była czysta i wyfroterowana, ponieważ sprzątaczką przyszła tutaj w czasie, kiedy on przebywał w mieście, w którym ludzie byli bici i zabijani; były tu telewizor i kanapa, i lodówka wypełniona jedzeniem, i wszystkie te inne normalne przedmioty z normalnego życia. A przecież ledwie kilka minut temu patrzył na chłopca, który niemal został pobity na śmierć – to naprawdę mogło się zdarzyć lub prawie się zdarzyło, a on, Harper, mógł później wrócić do domu, wsunąć klucz do zamka, otworzyć piwo, może coś zjeść. A tymczasem kilka minut stąd dla tego chłopca – lub jakiegoś innego – kończył się świat, i to w potworny sposób. To wcale nie działo się dawno temu w jakiejś odległej krainie, ale tu i teraz, w jednym z najnowocześniejszych miast na świecie. I nagle sobie uświadomił, że to, czego tak naprawdę nie jest w stanie znieść, to bliskość tego wszystkiego. Tak, właśnie o to chodziło. Na świecie zawsze będą się dziać przerażające rzeczy. Być może w dziejach ludzkości nigdy nie nadejdzie taki czas, że znikną, ponieważ osiągnięcie takiego etapu rozwoju trwałoby dla *homo sapiens* zbyt długo – nad Ziemią szybciej zapadnie nieprzenikniona ciemność, niż ta chora, słaba rasa w końcu wymyśli, jak sprawić, żeby ogromna jej część nie cierpiała zimna, głodu i poniżenia tylko po to, aby nieliczni szczęśliwcy mogli żyć w warunkach względnego pokoju i dobrobytu. Natomiast bliskość tego wszystkiego: fakt, że jeśli ma ochotę, może wyjść

z czystego, białego mieszkania, a tymczasem kilka ulic dalej... W dodatku to się rozpełzło poza Dżakartę i poza Jawę – na Borneo Dajakowie nienawidzili Madurczyków, a Madurczycy Dajaków, zresztą czemu ograniczać się tylko do tych wysp? Nie były wyjątkowe. Bo choćby Bliski Wschód – lecz po co szukać tak daleko? Wszak Pakistańczycy testują nowe pociski i mają Indie w zasięgu wzroku. I jeszcze Papa i Nina, która mówi: „Papa posprząta tylko coś z trawnika”. I dlaczego w ogóle coś było na ich trawniku? Och, dlatego że Papa miał czarną skórę. A potem nie mogli nawet w spokoju wspiąć się na tę górę, bo ludzie się na nich gapili – i to nie dlatego, że coś zrobili bądź chcieli zrobić, ale dlatego, że tak, a nie inaczej wyglądali. I jego matka: szczupła dziewczyna, która biegnie drogą, i ojciec, którego nigdy nie poznał, zabity tylko za to, że nie miał na ramieniu opaski. Zobaczył swoją żonę płaczącą nieprzerwanie w szpitalu: twarz ich dziecka, które utonęło, doskonała w niezmaconym spokoju, z lekko otwartymi ustami – nigdy nie widział niczego doskonalszego. Zobaczył uniesioną twarz Buda, rozmarzoną, zwróconą ku niebu, i usłyszał własny krzyk: „Bud!”, tak głośny, jak to tylko możliwe. I w tym samym momencie Bud otworzył oczy.

Harper czołgał się po lśniącej podłodze. Wszyscy na świecie wiedzieli, że takie rzeczy się dzieją, i odwracali wzrok – wsiadali do autobusów jadących do pracy, odbierali dzieci ze szkoły – lecz przynajmniej ci odrażający, słabi, zwykli ludzie z Holandii, Anglii czy Ameryki mieli ten przywilej, że mieszkali daleko i mogli tym przykrywać swą ignorancję. Ale on i jemu podobni, oni wiedzieli, jak blisko to wszystko się znajduje. Znali zapach spalonego ciała. Harper słyszał dzieci Komanga, słyszał ich krzyki.

A potem ze ścian zaczęły wypełzać stwory. Zadzwoił na dwudziestoczworgodziną gorącą linię Instytutu w Amsterdamie, linię przeznaczoną dla klientów i agentów, którym grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, i powiedział, że kanibale pożerają mu żywcem nogi. Suharto nigdy nie zrezygnuje. Wyśle kanibali, którzy będą odkrawać kawałki

jego ciała i ciał ludzi takich jak on i na ich oczach piec je nad ogniskiem. Wszyscy powinni uciekać, uciekać, uciekać. Wrzeszczał do telefonu. Potem się rozłączył i zasnął na podłodze.

Nazajutrz rano obudziło go stukanie do drzwi, wyjątkowo uporczywe, mimo swej delikatności. Harper otworzył oczy. Nie leżał w łóżku, lecz na drewnianej podłodze, całkiem nieruchomo. Znow rozległo się ciche stukanie. Był spokojny.

Usiadł i podparł się na łokciu. Było już zupełnie widno, żaluzje były odsłonięte, a powietrze w pokoju zdawało się zadymione. Harper podniósł się na nogi, lekko zatoczył, po czym ruszył chwiejnie w stronę drzwi, ale nim do nich dotarł, rozległ się cichy zgrzyt klucza i w drzwiach ukazał się Wahid w towarzystwie dwóch mężczyzn, których Harper nie znał. Współpracownik zatrzymał się na jego widok i z dziwnym spojrzeniem na twarzy oznajmił:

– Stary odszedł, John. Suharto zrezygnował. Musisz zaraz zadzwonić do Amsterdamu, a potem zabierzemy cię na lotnisko. Lecisz na wakacje.

Wpatrywał się w Wahida. Pozostali dwaj mężczyźni przeszli obok niego i zaczęli się krzątać po mieszkaniu. Jeden pochylił się i wyprostował zwinięty chodnik. Drugi przesunął stopą kawałki stłuczonego szkła na skraj podłogi, pod ścianę. Dopiero wówczas Harper rozejrzał się po pokoju i zauważył, że mały stolik stoi przesunięty pod dziwnym kątem, krzesło jest przewrócone, a książki, papiery i ołówki leżą na podłodze.

– Spakuję twoje rzeczy – powiedział Wahid i poszedł do sypialni.

Harper wszedł do łazienki i zamknął za sobą drzwi. Pochylił się nad umywalką i ochlapał twarz zimną wodą. Zsunął rękę na kurek, by zakręcić kran – kurek był zrobiony z nakrapianego brązowego plastiku, który miał imitować marmur. W lustrze nad umywalką zobaczył swą zniszczoną twarz, rzednące włosy, lekko mokre. Oczy miał duże i wodniste, jak wielu mężczyzn

w jego wieku – kanaliki łzowe nie funkcjonowały jak należy. Nie spodziewał się, że ze wszystkich irytujących dolegliwości, jakie przynosi starość, akurat to będzie mu tak bardzo przeszkadzać. Mimo że nie wymiotował, w gardle czuł gorzki smak. Pochylił się, odkręcił zimną wodę i próbował przepłukać usta. Nabierał i wypluwał wodę, ale ta gorycz znajdowała się na tyle głęboko w gardle, że nie mógł się jej pozbyć. „Dość tego”, pomyślał, opierając ręce na brzegu umywalki. Opuścił głowę niczym zbity pies; świadomość, że nie może się pozbyć gorzkiego posmaku, narastała w jego umyśle niby jakiś guz. Dość tego. Zrobi, co mu każą.

Wahid zapukał delikatnie w drzwi łazienki.

– John! – zawołał. – John, musisz wyjść i porozmawiać z Amsterdamem. Właśnie dzwonią.

Nastał ranek, zniknęła cała szarość, słońce świeciło na całego, a dolina lśniła, jakby została spryskana delikatną złotą farbą. Kadek wciąż się nie pojawił i Harper zaczął się zastanawiać, czy nie obserwował ich czasem z Ritą na werandzie i nie czekał dyskretnie w ukryciu. Albo też – to dopiero była myśl – zobaczywszy ich, wrócił do wioski, by donieść komu trzeba, że Harper zaprosił na noc kobietę.

W Amsterdamie bez wątpienia odbyło się zebranie. Już raz się załamał i przygarnęli go z powrotem, ale wtedy miał dwadzieścia parę lat, był świeżo po szkoleniu i czekały go jeszcze długie lata czynnego zawodowego życia. A kim jest teraz?

Musiał nieźle wystraszyć młodą kobietę obsługującą dwudziestoczwierogodziną gorącą linię. Rozmowa na pewno została zarejestrowana. Wyobrażał sobie, jak Jan i pozostali spotykają się w gabinecie na końcu budynku, tym z zaokrągloną szklaną ścianą i gołymi cegłami. Firma miała czternastu partnerów, ale rozwiązanie problemu z jednym z pracowników nie wymagało wzywania ich wszystkich. Zjawi się ich pewnie pięciu lub sześciu, do tego szef działu personalnego oraz

sekretarka mająca protokołować spotkanie – Hannah nie weźmie w nim udziału ze względu na przyjaźń łączącą ją z Harperem: było dla niego jasne, że nic nie wiedziała na jego temat, gdy zadzwonił do niej z hotelu w Sanur. Wyobrażał sobie, jak szef personelu wyciąga rękę i naciska z głośnym szczęknięciem guzik magnetofonu, a wszyscy zgromadzeni wokół stołu słuchają jego wrzasków o kanibalach. Młoda kobieta, która odebrała jego telefon, zachowuje ogromny spokój i mówi: „Czy może pan to jeszcze raz powtórzyć?”. Następnie szef personelu nachyla się i wyłącza nagranie; zapada krótka cisza, mężczyźni wymieniają wymowne spojrzenia, zaciskają usta. Starszy partner kierujący wydziałem Azji, pulchny pół Japończyk, pół Niemiec, którego Harper darzy wielką sympatią, zdejmuje okulary i pociera grzbiet nosa, po czym zakłada je z powrotem, nadyma policzki i wypuszcza powietrze z ust, mówiąc z westchnieniem: „Cóż... to było interesujące...”.

– A więc – powiedział Harper do Rity – oto jestem. Ale nie na wakacjach. Raczej na przymusowym urlopie. Jeśli można to tak określić.

Wciąż obejmował ją, stojąc za jej plecami, i mówił do tyłu jej głowy.

– Łaskocze – rzekła ze śmiechem. – Wcale nie sądziłam, że jesteś na wakacjach. Niespecjalnie interesowało cię zwiedzanie. Zostałeś wyrzucony?

– Nie wiem, prawdopodobnie. Po prostu jeszcze mi o tym nie powiedzieli. Zastanawiają się, jak dyskretnie się mnie pozbyć. – Starał się przedstawić Instytut jako w miarę niegroźną instytucję.

– Daj mi papierosa – poprosiła.

Nachylił się po paczkę, która leżała na brzegu balustrady, zapalił kretka i podał Ricie.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego masz takie kłopoty.

– Prysłano mnie tutaj, żebym przygotował raport na temat spadku wartości rupii i niepokojów społecznych, do których może to doprowadzić. Napisałem w nim, że sytuacja będzie stabilna, a Suharto nie odejdzie z urzędu. Pomyliłem się w obu tych sprawach. A potem zastrzelono studentów, wybuchły zamieszki.

– Okropność...

– Później popadłem chyba w drugą skrajność, i kiedy to wszystko się zaczęło, myślałem, że skończy się tak jak kiedyś.

– Chodzi ci o sześćdziesiąty piąty? – Rita potrząsnęła głową i wsparła ją delikatnie na Harperze. – Świat teraz jest inny.

Oparł podbródek na jej ramieniu.

– Wtedy też wydawało się, że świat jest inny.

Rita zaciągnęła się papierosem i wydmuchała dym.

– Od palenia o tak wczesnej porze kręci mi się w głowie.

– A potem się upiłem i zdradziłem pewnej dziennikarce informacje na temat naszego klienta.

– Domyślam się, że to nie było w porządku.

Harper westchnął, podniósł obie ręce i zaczął masować jej ramiona.

– Rzecz w tym, że jestem stary.

– Nie jesteś stary, ty ośle.

– W tej branży jestem. Szef mnie teraz znienawidzi, bo moja wpadka fatalnie się na nim odbije. To stawia w złym świetle jego zdolność oceny sytuacji. A jeśli stracą zaufanie do mojej intuicji, to znaczy, że nie będę już nikomu potrzebny.

– Intuicja to nic więcej jak doświadczenie, rodzaj spekulacji, prawda?

Harper pokręcił głową.

– Jeśli jesteś prezesem koncernu naftowego, który płaci dziesiątki tysięcy dolarów za przygotowanie raportu, wówczas masz prawo oczekiwać czegoś więcej.

Rita wzruszyła ramionami.

– A więc cię wylali. Albo dopiero wyleją. I co z tego? Zdarza się.

Harper poczuł lekkie ukłucie samotności – spodziewał się, że tak się stanie, kiedy wyjawি tylko część prawdy.

Rita odwróciła się i oddała mu papierosa.

– Kręci mi się od niego w głowie... – powtórzyła, kiwając głową i przewracając oczami.

Harper wziął papierosa, cofnął się odrobinę, po czym zaciągnął się i wyrzucił niedopałek przez barierkę. Stali jeszcze przez chwilę, uśmiechając się do siebie, lecz nagle Harper przypomniał sobie swoje okropne zachowanie z zeszłej nocy i bardzo delikatnie pogładził ramię Rity palcami.

Podniosła głowę i posłała mu pełne spokoju spojrzenie.

Odetchnął.

– W porządku, jest ci przykro, wiem – rzekła łagodnie i oboje podeszli blisko siebie. Harper przycisnął usta do jej warg, podniósł obie ręce i wsunął je w jej włosy. Rita otworzyła szeroko usta i ich języki splotły się ze sobą: dym papierosowy, sen, bliskość. Harper przycisnął do niej krocze i ogarnęło go bolesne pragnienie, by wsunąć się do jej miękkiego, bezpiecznego wnętrza, zaraz, tutaj, na werandzie, gdzie jedynie wątła, drewniana barierka chroniła ich przed upadkiem w dolinę porośniętą gęstymi zaroślami.

Po dłuższej chwili odsunął się i uśmiechnął z nutką żalu. Rita obejrzała się w prawo, żeby się upewnić, czy w pobliżu nie ma Kadeka, i też się uśmiechnęła. Zupełnie jakby zawarli niepisaną umowę: ich wzajemne pożądanie zupełnie wystarczy.

Myślał o tym, jak niedawno się poznali, jak niewiele razy się dotąd widzieli, i przypomniał sobie, jak po ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy w pensjonacie Rita usiadła na brzegu łóżka. Spojrzał wówczas na nią, starając się zrozumieć jej bezruch, i doszedł do wniosku, że jest w niej jakaś skaza, która sprawia, że poranki są dla niej wyjątkowo ciężkie. Był niemal pewien, że w jej życiu jest coś, o czym nie chce myśleć po przebudzeniu.

Wpatrywał się w nią, a ona, skrępowana jego spojrzeniem, opuściła głowę i odwróciła się, by popatrzeć na dolinę.

Czy mógł jeszcze ufać swojemu osądowi? Może jednak się mylił co do niej. Może tylko myślała o tym wszystkim, co ma zrobić tego dnia: czy na przykład

powinna wrócić do rodziny, u której mieszkała, i przebrać się przed pracą. Albo o podręczniku, który obiecała pożyczyć jednej ze swoich uczennic.

I nagle, w jednej chwili, gdy rozglądał się po dolinie, opierając się o miękkie plecy Rity, poczuł nadzieję, przejrzystą jak niedawny świt. Jeśli bowiem się mylił co do Rity, mógł się również mylić co do całej reszty. Może nikt nie zamierzał go zabić. Może nie było żadnego zebrania w gabinecie z przeszkloną ścianą, którego uczestnicy debatowali nad tym, jak rozwiązać ten delikatny problem, jakim się stał dla firmy. Może mógł po prostu powiedzieć: „Lepiej się ubierzmy, zanim przyjdzie Kadek”, i w końcu Kadek by się zjawił, zastał ich na werandzie, a on, Harper, byłby tylko zwykłym facetem na przedłużonym urlopie, któremu się poszczęściło.

Rozmyślał o polach ryżowych za Dżalan Bisma, gdzie były małe działki przeznaczone pod budowę wiejskich willi. Rita знаła balijski, mogła negocjować warunki dzierżawy. Trzeba było jeszcze wykombinować, z czego zapłacić zaliczkę, kiedy już przepisze dom w Amsterdamie na Francisę, wątpił bowiem, żeby Rita dysponowała jakimiś środkami. On za to miał jeszcze pewne oszczędności na koncie dolarowym. Zastanawiał się, jak wygląda tutejsza biurokracja; takie sprawy mogą czasami się ciągnąć, ale odrobina gotówki zawsze pomaga przyspieszyć cały proces, a Rita na pewno ma kontakty w miejscowych urzędach – pewnie pracuje w nich wielu rodziców jej uczniów, a może nawet jacyś jej dawni uczniowie. Mogła dojeżdżać do pracy z Dżalan Bisma, nawet jeśli wybudowałiby się nieco poza miastem. On mógł zrobić półki na jej książki: na pewno miała mnóstwo książek, a on lubił majsterkować, choć nie zajmował się tym za często. Ich dom w Amsterdamie był zbyt mały, żeby cokolwiek mógł w nim zbudować, a także, w pewnym sensie, zbyt doskonały. Francisca już o to zadbała.

Dał się nieco ponieść tym myślom, pozwolił, by pączkowały przez chwilę w jego głowie. Na Bali panował spokój. Suharto upadł, Habibie przejął władzę, sytuacja w kraju zaczynała się uspokajać. Może jednak mylił się co do

wszystkiego? Wspólne życie z nią tutaj jest możliwe. Po tym, jak się jej zwierzył – choć tylko do pewnego stopnia – zmienił charakter wielu trudnych spraw: przekształcił je w opowieści. A opowieści można zamknąć w pudełkach.

– Jak tu pięknie... – rzekła łagodnie Rita. Jej głos przypominał bardziej szept, jakby tylko myślała na głos. – Prawda? Mógłbyś patrzeć na tę dolinę, na drzewa i całą resztę, i na chwilę zapomnieć o wszystkim innym, nie sądzisz? Gdybym mogła budzić się tutaj co rano, może moje poranki nie byłyby takie ciężkie.

Jej głos przybrał dziwny ton. Harper stał nieruchomo.

– A dlaczego są ciężkie?

Nie odzywała się przez dłuższą chwilę. W końcu powiedziała cichym, lecz spokojnym głosem:

– Mam syna.

Harper nie zareagował.

– Nie wiem czemu, ale poranki są najgorsze. Budzę się i jest zupełnie normalnie, a potem zaczynam o nim myśleć. Kojarzysz ten dziwny moment, kiedy już nie śpisz, ale o niczym jeszcze nie myślisz? Trwa ledwie kilka sekund, ale dla mnie to jedyna chwila wytchnienia. A potem zaczynam myśleć i myślę o tym, że go nie widziałam, odkąd miał osiem lat. Teraz jest nastolatkiem. Myślę o nim bez przerwy, ale szczególnie rano, sama nie wiem dlaczego. Mieszka w Belgii. W ciągu dnia, gdy jestem czymś zajęta, nie wydaje się to szczególnie dotkliwie, ale rano, kiedy się budzę i przypominam sobie o tym, mam wrażenie, że jest tak daleko ode mnie, że wszystko zaczyna mnie boleć. I tak co rano.

Harper oparł podbródek na jej ramieniu i przytulił do niej głowę.

Zaśmiała się sztucznie.

– Masz pojęcie, co ludzie myślą o matce, która nie mieszka z własnym dzieckiem? Raz popełniłam ten błąd i zwierzyłam się kobiecie, z którą

leciałam samolotem. Przez resztę podróży przekonywała mnie, że jestem nienormalna. Zaczęłyśmy rozmawiać podczas startu, a lot trwał siedem godzin.

Nagle porzuciła wymuszoną żartobliwość i zaczęła mówić całkiem otwarcie, tonem osoby opowiadającej komuś coś, co powinien wiedzieć.

– Po tym, jak się urodził, miałam dość poważne problemy. – Postukała się palcem w bok głowy. – Na jakiś czas trafiłam do szpitala. Faszzerowali mnie lekami. Potem czułam się dobrze. Kiedy mój syn skończył cztery lata, wszystko wróciło. Nie otrzymałam pomocy wtedy, kiedy powinnam, rozumiesz? Znów wylądowałam w szpitalu, tym razem na osiemnaście miesięcy, a raczej prawie na dwa lata. Jego ojciec uważał, że lepiej, bym nie widywała się z małym, dopóki nie wydobrzeję, ale bardzo długo nie mogłam dojść do siebie, a im dłużej to trwało, tym łatwiej było mi uwierzyć w to, co mówił: że syn dobrze radzi sobie beze mnie, że moje nagłe pojawianie się i znikanie może mieć na niego destrukcyjny wpływ. Teraz ma macochę, Lucię. Jest Włoszką. Myślę o tym, jak smaży dla niego bekon, ponieważ bardzo go lubił. Ale potem zaczynam rozmyślać nad tym, że może ona go nienawidzi, wmawia mu, że matka go porzuciła, bo był do niczego. A jego ojciec ją w tym wspiera, to na pewno. Może mój syn płacze nocami, kiedy jest sam, bo przypuszczam, że nie robi tego na oczach przyjaciół. Może ma okropne życie, a mnie przy nim nie ma.

Harper ciągle obejmował ją od tyłu. Oparł podbródek na jej głowie. Nie wiedział, jak inaczej mógłby ją pocieszyć. Nie miał pojęcia, jak musi się czuć matka rozłączona z własnym dzieckiem, wiedział jednak, że cokolwiek powie w tej chwili, zabrzmiałoby wyjątkowo trywialnie. Rita potrzebowała dotyku, bliskości jego ciała. Jednocześnie nie mógł się pozbyć egoistycznej myśli: „Miałeś jednak rację, ona nosi w sobie skazę. A jeśli nie myliłeś się co do tego, może miałeś też rację co do reszty”.

– W każdym razie – w głosie Rity pojawiła się nuta ożywienia – chciałam tylko, żebyś wiedział, iż jeśli zachowywałam się nieco opryskliwie tamtego

poranka, to nie była twoja wina. Bardzo miło spędziłam z tobą czas. Gdybym nie musiała iść wtedy do pracy, nie wyszłabym tak nagle, ale to, że nie chciałam z tobą rozmawiać ani się nie pożegnałam, nie było twoją winą. Myślałam o moim synu. O tym, jak wstaje każdego ranka i nie wie o mnie nic, oprócz tego, że mieszkam za granicą. Nie wiem nawet, czy czyta listy, które do niego piszę. Muszę je wysyłać jego ojcu. Nigdy nie dostaję odpowiedzi. W zeszłym roku próbowałam z nim porozmawiać, ale nie chciał podejść do telefonu i był wściekły, że zadzwoniłam – tak powiedział mi jego ojciec. – Rita wzruszyła ramionami, po czym obróciła się do Harpera. – Ty nie masz dzieci?

Pokręcił głową.

– Cóż, trudno to opisać, ale gdy się rano budzisz i jesteś z dala od swojego dziecka, czujesz się tak, jakbyś po przebudzeniu przypomniał sobie, że brakuje ci ręki lub nogi. A więc oboje poznaliśmy swoje przygnębiające historie. Dobrze ci tak, Johnie Harperze!

Pocałowali się, ale nie tak namiętnie jak przedtem.

Po chwili Harper odsunął się od Rity i powiedział:

– Chciałbym cię zabrać z powrotem do łóżka, ale lada chwila może się zjawić Kadek.

Posłała mu ironiczny uśmiech.

– Martwisz się, że facet, który się tobą opiekuje, pomyśli, że sprowadziłeś sobie na noc kobietę? Ludzie tutaj są przyzwyczajeni do dziwnych zachowań obcokrajowców, wiesz o tym?

– Chodź – powiedział Harper. – Ubierzmy się.

Rita wracała do miasta w beztroskim nastroju, uradowana tym, że rozmowa z Harperem przyniosła jej odrobinę ulgi. Pomyślał, że każdy ma własny przydział nieszczęścia – jest ono niczym tobołki noszone przez ludzi na

głowach. Każda osoba niesie swój, o konkretnym kształcie i rozmiarze, a jeśli z kimś rozmawia, daje mu na chwilę ten tobolek do poniesienia.

Jednak Harper wiedział – i Rita, gdyby zastanowiła się przez moment, też by to wiedziała – że nazajutrz rano obudzi się w wynajmowanym pokoju sama, myśląc o tym co zawsze.

Lepiej, żeby więcej się z nią nie spotykał. To nie było dla niej bezpieczne. Jeśli Kadek zjawiłby się wtedy, gdy oboje przebywali w chacie, mogłaby zostać powiązana z Harperem. A gdyby przyszli po niego ubiegłej nocy? Już i tak naraził ją na niebezpieczeństwo.

Kiedy się zatrzymali przed jej domem, Rita, sięgając ręką do klamki, oznajmiła:

– Wiem, że nie opowiedziałeś mi jeszcze o tej naprawdę strasznej rzeczy, która przydarzyła ci się w życiu. Nie myśl, że nie zauważyłam.

Harper popatrzył na nią.

– Naprawdę sądziłeś, że nie orientuję się, kiedy usiłujesz coś zataić? – Zaniósł się gardłowym śmiechem, a jej oczy zaślniły z rozbawienia. – Tylko dlatego, że jesteś bywałą w świecie i mieszkasz w wielkich metropoliach? Masz mnie za jakąś prowincjonalną nauczycielkę? No cóż, nie doceniasz mnie. – Przechyliła się i go pocałowała. – Wypytam cię o to później.

– Idź po swoje rzeczy – powiedział Harper. – Podrzucę cię do szkoły.

Przyglądał się, jak biegnie w stronę domu – jej mocna sylwetka była pełna wdzięku. Postronny obserwator mógłby ją uznać za samodzielną, wykształconą kobietę, może nie piękną, lecz przystojną na nordycki sposób, taką, którą chciałoby się mieć przy sobie, na przykład podczas choroby. Jak trudno przychodziło jej stwarzanie takich pozorów? Jak zupełnie inaczej wyglądała, gdy co dzień rano, tuż po przebudzeniu, siadała na brzegu łóżka, przyłoczona żalem z powodu dziecka, które jej odebrano? I gdy się zastanawiała, skąd weźmie w sobie siłę, by wstać i zmierzyć się z nadchodzącym dniem.

Wyszła z domu po kilku minutach, w świeżym ubraniu i kapeluszu na głowie – tego dnia słońce mocno świeciło – uśmiechnęła się do niego promiennie, idąc do samochodu z wielką wiklinową torbą przewieszoną przez ramię. Otworzyła drzwi i wsunęła się na siedzenie pasażera. Harper nacisnął pedał gazu i ruszyli, ale zaraz utknęli za wozem dostawczym.

– Musisz mnie pokierować – powiedział Harper.

– Trzeba wrócić do głównej ulicy, a potem skręcić w Dżalan Hanoman – odparła.

Kazała mu minąć szkołę i zatrzymać się dopiero na odległym końcu ulicy, z dala od miasta, aby jej uczniowie nie widzieli, jak wysiada z samochodu obcego mężczyzny. Gdy podnosiła torbę, Harper wyskoczył na zewnątrz i obszedł samochód, aby otworzyć jej drzwi. Wysiadając, obdarzyła go takim samym uśmiechem jak tamtej nocy na targu, kiedy powiedział, że poniesie jej torbę. Wydawało się, że to było wieki temu. Zupełnie jakby spędzili razem całe życie.

Pocałowali się w policzki, ponieważ znajdowali się w miejscu publicznym, a gdy Harper odwrócił się, by odejść, Rita powiedziała:

– Wiesz co...

Harper usłyszał w jej głosie prośbę, by został. Jak często pojawia się w nas takie pragnienie? Nawet jeśli sami zamierzamy odejść lub chcemy, żeby ta druga osoba odeszła, wówczas przychodzi taki moment, tuż przed samym rozstaniem, kiedy któraś ze stron nie wytrzymuje i mówi: „Zaczekaj chwilę”. W młodości myślał, że osoba, która o to prosi, jest słabsza, i zawsze się pilnował, by nie znaleźć się w takim położeniu. Teraz jednak miał wątpliwości. Głupota i duma młodości: czy tylko o to chodziło w tej walce o dominację? Rita prosiła go tylko o to, by został z nią chwilę dłużej, zanim wsiądzie z powrotem do samochodu i odjedzie. Nie czyniło to z niej kogoś

słabszego, wręcz przeciwnie.

Odwrócił się.

– Co takiego? – zapytał, nadając własnemu głosowi łagodny ton, aby – jeśli miałyby się okazać, że widzą się po raz ostatni – Rita wiedziała, że coś jednak dla niego znaczyła.

– Wiem, że nie powiedziałeś mi jeszcze o sobie wielu rzeczy, nie jedynie o swoim młodszym bracie. To zależy tylko od ciebie. Nie mówiłam wcześniej serio, nie zamierzam na ciebie naciskać, to twoja decyzja. Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział.

Harper spojrzał na nią.

– Powiedziałem ci o wielu rzeczach.

– Wiem o tym – odparła, a w jej oczach pojawiło się coś, co można by wziąć za cień bólu, gdyby nie uśmiech. W końcu oderwała od niego na moment wzrok, żeby sprawdzić, czy nie zostawiła czegoś w samochodzie, a on skorzystał z tej sposobności, z tego chwilowego zerwania cienkiej jak pajęczyna nici, która ich łączyła, aby się odwrócić.

Odjeżdżając, obserwował ją we wstecznym lusterku: postawna kobieta z ogromną wiklinową torbą na ramieniu, zmierzająca wolno w tym samym kierunku co on, lecz coraz bardziej daleka, z opadającym kapeluszem na głowie, który zasłaniał większą część jej twarzy.

Po powrocie do chaty zastał na werandzie Kadeka: trzepał poszewki na poduszki. Reszta pościeli wisiała na poręczy. Harper zaczął się zastanawiać, czy oboje z Ritą zostawili po sobie jakieś ślady ich wspólnej nocy, ale potem przypomniało mu się, że Kadek po prostu raz na tydzień zmienia pościel.

– Dzień dobry, panie Harper – przywitał go z delikatnym ukłonem i szerokim uśmiechem. – To dobry dzień, prawda?

– Zgadza się, Kadek – odparł Harper, zatrzymując się na szczycie schodów

prowadzących na werandę i obrzucając wzrokiem dolinę rozpościerającą się poniżej. Nie dostrzegł dziś choćby śladu mgiełki: niebo było idealnie błękitne, a dolinę wypełniało światło. Był to jeden z tych dni na Bali, za których spędzenie ludzie ze wszystkich stron świata płacą tysiące dolarów. – Cudowny dzień.

– Cudowny dzień – powtórzył Kadek, jakby wypróbowywał słowo „cudowny” i starał się je umieścić we właściwym kontekście. „Cudowny” w znaczeniu piękny, „cudowny” w znaczeniu wspaniały lub może nawet urzekający, ale z pewnością nie „cudowny” jako nadprzyrodzony, jak na przykład w zwrocie „cudowny powrót do zdrowia” lub „cudowne ocalenie”. Odkąd zamieszkał w tej chacie, Harper czekał na taki cudowny dzień.

Kadek odsunął się na bok, żeby go przepuścić, i wtedy Harper zauważył za wydymającą się na wietrze pościelą młodą kobietę w sarongu przepasanym szarfą, która klęczała na drewnianych deskach na drugim końcu werandy i zapalała kadzidełka wystające z leżącego przed nią daru ofiarnego. Za nią na deskach stał bambusowy koszyk. Nawet na chwilę nie podniosła wzroku.

Kadek zerknął na nią i oznajmił:

– Gekon, panie Harper.

No jasne. Przed kilkoma dniami wspomniał, że co noc budzi go uporczywe skrzeczenie gekona. Kadek przyprowadził tę młodą kobietę, aby złożyła na werandzie dary mające obłaskawić bogów i demony. Wszędzie tylko znaki i przepowiednie, wszystko miało swoje znaczenie. A jeśli się w to wierzyło, czy te znaki nie stawały się samospełniającym się proroctwem? Za każdym razem, gdy działo się coś dobrego lub złego, zawsze można było odnaleźć w przeszłości jakieś zwiastuny.

Harper obserwował pochyloną nad ofiarą kobietę, która z troską i uwagą układała kwiaty. Z początku zdawało mu się, że przygląda się jej zabiegom ze sceptycyzmem, ale potem w jego głowie pojawił się obraz Rity we wstecznym lusterku – jej kapelusz z opadającym rondem, uśmiech, z którym powiedziała:

„Nie zamierzam na ciebie naciskać”, jakby chciała zakwestionować szczerść własnych słów, i nagle gdzieś z głębi jego trzewi wydobyło się donośne, grzechotliwe westchnienie, takie, które zazwyczaj wyrywa się nam mimowolnie. Kadek składał poszewkę, młoda kobieta była zaabsorbowana odprawianym rytuałem – żadne z nich nie patrzyło w jego stronę.

„Co powinienem powiedzieć tej dziewczynie układającej kwiaty na mojej werandzie? Że nie ma nic? Że nikogo nie obchodzimy? Że jej wiara jest bezcelowa? Żeby poszła do domu i zaczęła się martwić wszystkimi codziennymi sprawami, które tego wymagają, bo poza nimi nie ma nic?” Ależ skąd, składana przez nią ofiara miała sens, tylko zupełnie inny, niż myślał. Harper nie wierzył w Niewidzialnych: nie istniały żadne duchy ani demony. On wierzył tylko w mężczyzn z maczetami. Jednak to, że Kadek poprosił tę kobietę o przyjście, a ona się tu wspięła, było sposobem na powiedzenie Harperowi: „Martwimy się o ciebie”. Przecież nawet by nie zauważył, gdyby nie przyszła, w ogóle by tego nie odnotował – kim on dla nich jest? Bogatym *bule*? Oboje dostaliby taką samą zapłatę, bez względu na to, czy ofiara zostałaby złożona, czy nie. A zrobili to, ponieważ oboje uważali, że mają obowiązek opiekować się przybyszem goszczącym na ich ziemi. Duchy były ich duchami, tak samo jak bogowie. Harper przypomniał sobie, jak Rita, wsiadając do samochodu tego dnia, gdy jechali do Sanur, powiedziała: „Boże, błogosław Balińczyków”, a on pomyślał sobie, że mimo całego obycia w świecie, całej wiedzy i niechęci do życia być może jest jednak zwyczajnym głupcem.

W chacie zjadł śniadanie, które zostawił mu Kadek, i przypomniał sobie, że Rita nie zdążyła nic zjeść przed pójściem do pracy. Potem wysunął szufladę biurka i znalazł w środku w połowie napisany list do Franciski. Położył go na blacie i rozprostował.

Na biurku stała metalowa popielniczka w miedzianym kolorze, z mnóstwem półkolistych wgłębień wokół brzegu, jakby istniała taka możliwość, że nagle

w tym samym momencie tuzin osób zechce odłożyć na nią papierosy. Korzystanie z niej w pojedynkę zawsze wydawało mu się nieco żałosne. Wewnątrz leżały dwa niedopałki, oba zgniecione i złamane, umoszczone w kupce szarego popiołu słabo pachnącego kretkami. Harper chciałby, żeby na jednym z nich znajdował się ślad po szmince, mimo że Rita nie malowała ust – wówczas wyglądałyby niemal wzruszająco. W rzeczywistości oba niedopałki były jego. Wstał z łóżka w środku nocy, usiadł przy biurku i wypalił dwa papierosy, jednego za drugim. Nie chciał wychodzić na werandę, żeby nie hałasować, a poza tym wolał zostać, choćby dla samej przyjemności siedzenia na krześle przy biurku, słuchania w ciemności oddechu Rity i palenia. Przez chwilę się obawiał, że dym z papierosa może ją obudzić, ale tak się nie stało. Spała tak smacznie, tak głęboko. Pomyślał, że jest w tym naprawdę dobra.

Poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalniczki. Pochylił się do przodu i przyciągnął popielniczkę, po czym starannie podarł nad nią list do Franciski, a potem podpalił jego strzępy. Papier był tak delikatny, że drobny płomyk obrócił go zaraz w popiół i dym: w jednej sekundzie wyglądał jak błękitne skrzydło motyla z poczeriałymi brzegami i delikatną, jarzącą się pomarańczowo obwódką, a po chwili nie było już nic.

Z zewnątrz, ze skapaniej w słońcu werandy dobiegał go cichy odgłos rozmowy Kadeka i młodej kobiety. Drzwi były szeroko otwarte, ale ponieważ oboje znajdowali się po przeciwnych stronach, nie mógł ich widzieć. Usłyszał tylko, że cichy szmer ich głosów nagle się urwał.

Potem Kadek głośno i zdecydowanie powiedział po angielsku:

– Przepraszam pana na chwilę, sprawdzę, czy pan Harper może pana przyjąć. – W jego tonie było coś opiekuńczego.

Harper podniósł wzrok i ujrzał w drzwiach na tle jasnoniebieskiego nieba ciemną sylwetkę Kadeka, który powiedział tym samym tonem:

– Jakiś pan chce się z panem widzieć.

Harper wyszedł na zewnątrz. Kadek nie wrócił do składania pościeli, tylko

z szacunkiem stanął kilka kroków dalej. Młoda kobieta zniknęła. Zostawiona przez nią ofiara żarzyła się na drugim końcu werandy, a zapach kadzidła roznosił się nad doliną.

Biały mężczyzna w okolicach czterdziestki stał u szczytu drewnianych schodków prowadzących na werandę. Był ubrany w luźne spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę, a w ręce trzymał czarną teczkę ze stalowymi kłamrami. Było w nim coś znajomego.

Harper zmierzył go powoli wzrokiem.

Mężczyzna uśmiechnął się, ale nie podszedł do niego ani nie wyciągnął dłoni na powitanie.

– *Goedemorgen* – powiedział. – *Hoe gaat het met je*³⁹?

Harper odwrócił się do Kadeka i zapytał:

– Kadek, musisz już zwrócić samochód, czy mogę jeszcze dziś z niego skorzystać?

– Może pan go wziąć, panie Harper – odrzekł Kadek.

Harper spojrzał na nieznajomego i powiedział po holendersku:

– *Goedemorgen*. Nie mam tu żadnej przyzwoitej kawy ani też nic innego. Przyjechał pan taksówką z miasteczka?

– Przyjechałem prosto z lotniska – rzekł nieznajomy.

„Przynajmniej przysłali kogoś poważnego i dobrze wychowanego – pomyślał Harper. – Nie będę musiał znosić fanfaronady i udawanej życzliwości w stylu Henriksona”.

– W takim razie mogę chociaż zaprosić pana do porządnej restauracji – oznajmił Harper. Jego holenderski brzmiał dziwnie i gardłowo, zupełnie jakby mówił z ustami pełnymi drobnych kamyków. – Powiem pańskiemu kierowcy, gdzie ma jechać, a potem ruszę za wami.

Harper mógł zabrać mężczyznę do kawiarni przy głównej ulicy albo do baru

w pensjonacie na Dżalan Bisma, ale wolał nie jechać z nim w żadne miejsce związane z Ritą. Słyszał od niej o nowej eleganckiej restauracji po drugiej stronie miasta, nad mostem. Nie pamiętał, jak się nazywała, ale opisał jej położenie kierowcy, a potem pojechał za nim.

O tak wczesnej porze restauracja była opustoszała. Udali się prosto na duży kamienny taras wychodzący na dolinę na skraju miasta; roztaczała się z niego o wiele rozleglejsza panorama niż z werandy Harpera: dolina rozchodziła się tutaj znacznie szerzej. Ptaki nurkowały w jasnym świetle w zieleń, rzeka szemrała ukryta za gęstwiną bananowców i drzew palmowych. Usiedli przy stoliku z różowym obrusem, już nakrytym do lunchu, a młoda kelnerka przyniosła im karty. Harper nawet nie zajrzał do swojej, tylko odłożył na stół i powiedział po angielsku:

– Poproszę czarną kawę.

– Ja również – dodał jego towarzysz, odkładając menu i odchylając się na krzesło. Kelnerka wzięła obie karty i odeszła. – Wspaniały widok – rzucił mężczyzna. W samochodzie założył okulary przeciwsłoneczne, ale teraz je zdjął, pochylił się do przodu i wyciągnął rękę. – Przepraszam, nie przedstawiłem się. Johan.

Uścisnęli sobie dłonie ponad stołem.

– Nie musisz czekać, aż przyniosą kawę – rzucił Harper, po czym zerknął na teczkę stojącą obok krzesła.

Johan zacisnął usta, odrzucił głowę w bok z radosnym gestem zdającym się mówić „już się robi” i odsunął krzesło, krzywiąc się, gdy nóżki zazgrzytały o podłogę. Położył sobie teczkę na kolanach, otworzył ją z dwoma głośnymi trzaskami klamer i wyciągnął ze środka szarą kopertę.

– No więc – powiedział, wyjmując z niej plik dokumentów – główną kwestią, którą musimy się zająć w świetle ostatnich wydarzeń, jest klauzula poufności w twojej umowie o pracę. Na pewno nie muszę ci o niej przypominać, ale na wszelki wypadek przyniosłem kopię. Tak więc kwestia

poufności... ach, i oczywiście klauzula o zakazie konkurencji. A ten dokument tutaj... – Położył na wierzchu kolejną kartkę. – To aneks. Są w nim wyszczególnione nowe media, WWW i tak dalej. – Uśmiechnął się lekko. – Oczywiście żadna z tych rzeczy nie istniała w czasach, gdy zaczynałeś pracę!

Młoda kelnerka wróciła z kawą. Harper wyjął z kieszeni paczkę kretek i wyciągnął ją w kierunku Johana, ale on pokręcił głową i powiedział:

– Nie palę.

„Jakoś mnie to nie dziwi”, pomyślał Harper. Nawet nie spojrzał na leżące przed nim dokumenty. Patrzył wyłącznie na Johana. Po chwili odwrócił głowę na bok i wydmuchał dym z dala od twarzy swojego towarzysza, po czym upił łyk kawy. Johan również podniósł do ust filiżankę.

Harper celowo przedłużał panującą ciszę, zmuszając mężczyznę, żeby odezwał się pierwszy.

– Posłuchaj... – zaczął Johan, ale Harper natychmiast mu przerwał.

– Powiedz tylko, jakie proponują warunki.

– Jeśli podpiszesz i będziesz trzymał się z daleka, nie tylko od naszych bezpośrednich konkurentów, wówczas możemy to nazwać redukcją etatu. Otrzymasz całe należne wynagrodzenie, łącznie z tym. – Teczka wciąż leżała na jego kolanach. Koperta, którą teraz z niej wyjął, była podłużna, biała i niezapieczętowana. Wręczył ją Harperowi, pokazując, że powinien zajrzeć do środka. Harper wsunął do niej palec, rozchylił lekko i zobaczył czek z sumą o wiele hojniejszą niż ta, którą był zobowiązany zaoferować Instytut, biorąc pod uwagę okoliczności.

Odłożył kopertę na stolik.

– Mogę prosić o długopis?

Johan wydał z siebie krótki, pełen wdzięczności śmiech. Harperowi przeszło przez myśl, że ten młody człowiek spodziewał się większych kłopotów. W takim razie musiał zostać niewłaściwie poinformowany.

– Aha, Instytut ma jeszcze jedną prośbę – dodał Johan, po raz trzeci

zaglądając do teczki. – Chcielibyśmy, abyś w ciągu trzech dni zwolnił obiekt kwaterunkowy. Czy to wykonalne?

W pierwszej chwili Harper nie był pewien, o co mu chodzi.

– Masz na myśli chatę?

Johan uśmiechnął się cierpko.

– Na podstawie tego, co widziałem rano, muszę przyznać, że wygląda dość prymitywnie.

Harpera ogarnęła nagle nostalgia za chatą, bo uczynił ją w jakimś sensie własną. Trzy dni? Jak ten czas zleciał! Miał wrażenie, że jest tu od zawsze. Nagle zrozumiał, że jakikolwiek powrót do tego, co eufemistycznie nazywa się normalnym życiem, jest niemożliwy, czy to w Dżakarcie, czy w Amsterdamie, czy w Los Angeles. To nie miało znaczenia. Wycofał się ze wszystkich tych miejsc, jak również ze wszystkich miejsc przejściowych, które wiodły od jednego celu do drugiego: samolotów, taksówek, dworcowych poczekalni. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ma ponownie wkroczyć do tej rzeczywistości, wydawało mu się to równie nierealne jak to, by miały mu wyrosnąć skrzydła i przeleciałby dzięki nim nad kraterem Gunung Agung. Co masz zrobić, jeśli przybyłeś w jakieś miejsce, żeby umrzeć, a tymczasem okazuje się, że musisz żyć dalej?

Johan podał mu długopis. Podpisawszy aneks do umowy o zobowiązaniu do zachowania tajemnicy, Harper oznajmił:

– Trzy dni powinny wystarczyć. Jak widziałeś, nie mam ze sobą zbyt wielu rzeczy.

Johan najwyraźniej źle go rozumiał.

– Obawiam się, że dokumenty i raporty, a w zasadzie wszystko, co zostawiłeś w mieszkaniu w Dżakarcie, stanowi własność Instytutu.

Harper położył długopis na umowie i przesunął ją po stole.

– Nie ma sprawy. A tak z ciekawości... – Wskazał głową na dokumenty. – Co zrobiłby Instytut, gdybym nie zgodził się podpisać?

Johan wzruszył ramionami, uśmiechnął się i sięgnął po umowę.

– Na tym to właśnie polega, że gdy już podpiszesz, nigdy się tego nie dowiesz.

Harper odchylił się na krześle.

– Myślałeś kiedyś o tym, że pracujemy dla organizacji, która zabija ludzi?

Zobaczył zaskoczenie na jego twarzy.

– Nawet w waszym wydziale zastanawiacie się na pewno czasami, jakie konsekwencje mają nasze działania. Współpracujemy przecież z rządami, angażujemy się w zamachy stanu.

Johan rozejrzał się wokół, a potem roześmiał się głośno i serdecznie.

– Przez chwilę myślałem, że masz na myśli nas konkretnie! – Czuł się zażenowany, że w ogóle coś tak absurdalnego przyszło mu do głowy.

Harper spojrział na niego i pozwolił, by jego pytanie zawisło między nimi w powietrzu.

– Jestem prawnikiem, a ty ekonomistą. Dostarczamy porad, tym właśnie się zajmujemy. Ludzie tacy jak my zawsze będą potrzebni. – Johan zamknął teczkę. – Gdyby nas nie było, na naszym miejscu pojawiliby się inni ludzie, którzy byłiby prawdopodobnie od nas gorsi. W każdym razie ty sprawiasz wrażenie dość przyzwoitego faceta. Zgadzasz się z tym?

Harper spojrział na rozciągający się w dole widok i uśmiechnął się lekko.

Tym razem postanowił zaryzykować i zaparkował pod szkołą. Do przerwy na lunch zostało jeszcze sporo czasu. Kiedy Rita wyłoniła się w końcu z budynku, była otoczona przez uczniów i nie zauważywszy go, ruszyła Dżalan Hanoman. Zrobiło mu się przykro. Czy nie powinna go wypatrywać? A potem nagle poczuł się rozbawiony swoimi pretensjami; oczywiście, że się nie rozglądała. Bo niby czemu? Harper przypomniał sobie, jak po ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy wymaszerowała z pensjonatu przy Dżalan Bisma

i nie zwróciła na niego uwagi, choć siedział dokładnie na wprost w kawiarni po drugiej stronie ulicy. „Jak zwykle z głową w chmurach”, pomyślał czule. A może jej zachowanie było po prostu... normalne? Może nie rozglądała się, ponieważ nie miała za czym? Może chłopcy czekający tamtego dnia pod kawiarnią naprzeciw pensjonatu byli tylko chłopcami siedzącymi na pniu drzewa, a młodzi mężczyźni przejeżdżający przez miasto dżipem – tylko młodymi mężczyznami w dżipie. Serce przepełniała mu radość. On też mógł taki być. Gdyby był z Ritą, mógłby stać się taki jak ona.

Zaparkował tak blisko rowu melioracyjnego na skraju drogi, jak tylko mógł, nie wpadając przy tym w niego kołem, ale samochody i motorowery i tak musiały go omijać. Uruchomił ponownie silnik i ruszył wolno w pewnej odległości od Rity. Droga była teraz pełna uczniów wylewających się z niskiego budynku szkoły. Dopiero gdy Rita skręciła w główną ulicę, mając ciągle po jednym uczniu z każdej strony, zdołał ją wyprzedzić i zatrzymał się pod sklepem, a gdy się do niego zbliżyła, nacisnął klakson. Obserwował ją we wstecznym lusterku i widział, jak podnosi głowę, a szerokie rondo kapelusza odsłania jej twarz, na której pojawia się uśmiech pełen zaskoczenia.

Zatrzymała się, pożegnała z uczniami, po czym podniosła rękę z rozsuniętymi palcami, dając mu znać, że potrzebuje pięć minut. Harper skinął głową. Weszła do minimarketu, pod którym zaparkował, i wyszła z niego chwilę później z dużą plastikową reklamówką. Harper przechylił się, żeby otworzyć jej drzwi od strony pasażera.

Gdy tylko wsiadła do samochodu, pocałowała go szybko w policzek. Uśmiech, jakim go obdarzyła, był całkiem zwyczajny, ponieważ nie zdawała sobie oczywiście sprawy z tego, że gdy tego ranka podwoził ją do szkoły, sądził, że widzą się po raz ostatni. Nawet nie podejrzewała, że między nimi wszystko już mogło być skończone.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – spytała.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział, wkładając rękę do kieszeni. –

Pamiętasz, jak mówiłem, że zostałem zwolniony? – Wyciągnął białą kopertę, którą złożył starannie w harmonijkę i wsunął do kieszeni spodni. Położył ją teraz na desce rozdzielczej i rozprostował. Następnie wyjął ze środka czek i przytrzymał go przed klatką piersiową, jakby to był dyplom, który wygrał podczas zawodów sportowych.

Rita spojrzała na czek, a potem na jego twarz.

– Co to takiego?

– Czek – odparł.

Uniosła brwi i powiedziała oschle:

– Widzę, że czek, tylko nie wiem, na jaką kwotę, bo nie mam okularów do czytania. Czy to wystarczająco dużo? To znaczy, czy jesteś wolnym człowiekiem?

– Wystarczy, żebym dogadał się z właścicielem tych pól za Dżalan Bisma, i wystarczy, żebym zatrzymał się na razie w jakimś pensjonacie. To znaczy, zanim zdecyduję, który kawałek ziemi na skraju pola ryżowego po drodze do Małpiego Gaju chciałbym wydzierżawić, choć myślę, że dobrym pomysłem byłoby, gdybyśmy popytali też o inne działki w okolicy. Znasz to miasto lepiej niż ja. I to ty będziesz musiała negocjować z robotnikami budowlanymi, *Ibu Rita*. W końcu mówisz po balijsku.

– Nie obawiasz się Niewidzialnych?

– Pamiętaj, że ta ziemia należy do Dewi Sri.

Rita nic nie odrzekła, tylko wpatrywała się w niego, a on tymczasem patrzył na nią: i to właśnie było najwspanialsze, móc obserwować całą gamę emocji malujących się na jej twarzy. Najpierw zobaczył, jak z wolna zaczyna do niej docierać, że mówi całkiem poważnie; później dostrzegł wahanie, jakby się zastanawiała, czy na pewno dobrze go zrozumiała. Kiedy uznała, że tak, zobaczył radość, a także wywołane komplementem zadowolenie, co objawiło się za sprawą nieco rozszerzonych oczu oraz minimalnie uniesionych brwi. Później, ledwie na chwilę, znów pojawił się cień zwątpienia, lecz nie

z powodu tego, że coś źle zrozumiała, tylko ze względu na jej pragnienia: gdy obniżyła brwi, jej czoło przecięła drobna zmarszczka. Harper niemal widział w jej oczach lęk, że oboje nie wiedzą o sobie jeszcze tylu rzeczy, że życie każdego z nich wymaga w całości wyjaśnienia. Chmura tych wzajemnych przemilczeń przesłoniła na chwilę radość: jej spojrzenie stało się rozkojarzone. Wreszcie w jej uśmiechu pojawił się jakiś rodzaj lekkości i beztroski: gdyby była młodsza, nawet by się nad tym nie zastanawiała, a gdyby to on był młodszy, pewnie nie zaproponowałby jej tego. Prywatne nieszczęścia łączyły ich i doprowadziły do takiego punktu w życiu, w którym oboje mieli już niewiele do stracenia, stawiając na kogoś tak samo jak oni uszkodzonego.

Harper dostrzegł na jej twarzy jedynie lekkie drgnienia. Nie miał żadnej pewności, czy właściwie to wszystko zinterpretował, ale w tej chwili czuł, że to mu wystarczy.

Pojechali do pensjonatu na Dżalan Bisma i Rita zapytała, czy może się widzieć z właścicielem. Usiedli we troje przy jednym z okrągłych stolików w barze i zaczęli ustalać warunki długoterminowego wynajmu pokoju – narożnego, na pierwszym piętrze. Balińczycy nie lubili spać na górze, wyjaśniła Harperowi, więc pokoje na wyższych piętrach były odrobinę tańsze. Poszli go wspólnie obejrzeć, ale podczas gdy Rita wszystko sprawdzała – otwierała szafę, odkręcała kurki w łazience i dokręcała je mocno – Harper tylko stał uśmiechnięty przy łóżku i zastanawiał się, czy zdoła ją przekonać, żeby została z nim tutaj na noc. Johan już pewnie dotarł na lotnisko w Denpasar. Być może poleci do Dżakarty, żeby złożyć raport Henriksonowi, lub – co bardziej prawdopodobne – wróci od razu do Amsterdamu, z przesiadką w Singapurze. Zadanie wykonane.

Młody mężczyzna, który pokazywał im pokój, wręczył Ricie klucz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Wtedy Harper podszedł do niej, a ona zaczęła się z uśmiechem cofać w stronę łóżka, udając nieprzystępną.

– Powinnam ci kazać czekać kolejne trzy dni, dopóki nie wyprowadzisz się ze swojego starego mieszkania i nie skończysz z tym wszystkim.

– Czyżby? – spytał, kładąc jej rękę na piersi i popychając delikatnie na łóżko. Chwyciła poduszkę i zasłoniła nią twarz, więc Harper musiał ją odrzucić i odgarnąć Ricie włosy, żeby ją pocałować. Złapał ją za nadgarstki i przytrzymał jej ręce złożone nad głową, ale Rita odepchnęła go, przewróciła na plecy i wskoczyła na niego.

– I kto jest teraz górą, Johnie Harperze? – spytała.

– Ty – przyznał i poddał się jej pocałunkowi.

Wczesnym wieczorem wyszli coś zjeść i choć Rita odmówiła pozostania z nim na noc, Harper nie potrafił się zmusić, żeby wrócić do chaty – przemocował sam w pensjonacie, a ona rano wpadła na śniadanie.

Świeciło piękne słońce, więc usiedli przy narożnym stoliku na piętrze w restauracji: rozciągał się stamtąd widok na ulicę, nie na dolinę, ale mieli przynajmniej świeży sok i jajka. „A więc tak będzie teraz wyglądać moje życie – pomyślał Harper, obserwując, jak Rita przegląda menu. – Oto siedzimy we dwoje przy stole, a naszym głównym obowiązkiem jest podjęcie decyzji, na jaki rodzaj soku mamy ochotę i jak mają być przyrządzone jajka”.

Rita zerknęła na zegarek – musiała iść rano do pracy, ale mieli jeszcze mnóstwo czasu. Kiedy się rozstaną, on wróci do chaty, by spędzić w niej dwie ostatnie noce. Gdy już przeszła mu ta cała paranoja, wreszcie będzie mógł delektować się niedługą samotnością, jaka go czekała.

Jak nedorzeczne wydawały mu się teraz jego lęki: młodzi mężczyźni w dżipie, których widział, gdy pił kawę i jadł cynamonową bułeczkę, byli tylko przejeżdżającymi przez miasto młodymi mężczyznami w dżipie, może żołnierzami na przepustce albo kadetami. I co z tego? A chłopcy, którzy śledzili go od kawiarni naprzeciw pensjonatu – niby czemu tak sądził? Dlatego

że siedzieli na pniu drzewa w pobliżu miejsca, w którym sam usiadł? Dlatego że wstali w tym samym momencie? Nie było żadnego zebrania w gabinecie z przeszkloną ścianą, a nawet jeśli, to dyskusja dotyczyła raczej tego, jak wysoką odprawę należy mu zaproponować, w jaki sposób ochronić firmę przed publiczną kompromitacją. A Joosten, biedny Joosten – może to ten towar, który palił, wpędzał go w taką paranoję? Znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. To mogło się przytrafić każdemu.

„Świat teraz jest inny”. Rita miała rację. Pozwolił, żeby to, co przydarzyło mu się kiedyś, zaciemniło jego perspektywę – smutne, lecz prawdziwe. Dzisiaj wróci do chaty i będzie się cieszył ostatnimi dniami w dolinie, a potem zacznie nowe życie.

– Długo ci zajmie spakowanie rzeczy? – zapytała Rita, a Harper parsknął rozbawiony.

Po tym, jak zjedli, rozłożyła plan miasteczka i pokazała mu, że w gruncie rzeczy to mozaika przylegających do siebie wiosek i osiedli. Wskazała mu tereny na obrzeżach, które dopiero się rozbudowywały, i omówiła zawiłe procedury dzierżawy ziemi w okolicy; wyjaśniła, gdzie będą musieli się zarejestrować.

W pewnym momencie, kiedy przeglądali plan z pochylonymi ku sobie głowami, podniosła na niego wzrok i powiedziała z namysłem:

– John... Wiem, że uznasz to za dziwne, ale mam wrażenie, że to imię do ciebie nie pasuje. Jest fałszywe, prawda? W każdym języku występuje jakaś forma imienia John, zgadza się? Po angielsku to John, po niemiecku Jan albo Hans, a po holendersku też chyba Jan, prawda? A może Johan, mam rację?

Przez cały ten czas, gdy był Johnem Harperem, prawie nikt nie zwracał się do niego po imieniu. W pracy dla wszystkich był Harperem. Francisca nazywała go Nicolaasem.

– Jeśli chcesz, możesz nazywać mnie inaczej. Jak tylko sobie życzysz. Nie oczekuj tylko, że w zamian będę cię nazywał króliczkiem lub jakoś podobnie.

„W sumie – pomyślał – już najwyższy czas rozstać się z Johnem Harperem”.

– Mmm – mruknęła Rita, ignorując jego komentarz o króliczku. – Będę musiała się nad tym zastanowić. Jak nazywali cię twoi dziadkowie w Kalifornii?

– Nicolaas – odparł. – Czasami Nic, tak przeważnie mówiła Nina. A dziadek, sam nie wiem, przez większość czasu zwracał się do mnie „synu”. – I nagle wszystko do niego wróciło: głęboki ton głosu Papy, swoboda, z jaką wymawiał to słowo, ta sama powolność i naturalność, z jaką mówił do Niny „skarbie” albo „kochanie”. Tak, przez pewien czas Harper był jego synem. Potem przypomniał sobie Abanga – powiedział: „Mów do mnie Abang, czyli »starszy bracie«”, jak tylko Harper wylądował na wyspie. Wystarczyło, że obrzucił go ledwie jednym spojrzeniem. „Adik”, czyli „młodszy bracie” – Abang nazwał go tak tylko kilka razy, ale to też wystarczyło: ważne, że troszczył się o niego na tyle, by wybrać dla niego odpowiednie imię, tak jak uczniowie Rity zwracali się do niej „Ibu”. Jak duże znaczenie miało nazwanie kogoś we właściwy sposób! Pewnego razu na ulicy w Amsterdamie widział starszego Hindusa, który schylał się z trudem, by podnieść upuszczoną papierową torebkę. Holenderska młodzież mijała go w pośpiechu, nikt się przy nim nie zatrzymał, ale Harper akurat tego dnia nigdzie się nie spieszył (co, musiał przyznać, należało do rzadkości), więc przystanął i powiedział: „Wujku, proszę”, a potem pochylił się, podniósł torbę i podał ją staruszkowi, który spojrzał na niego przenikliwie i rzekł pozbawionym emocji głosem: „Na świecie powinno być więcej takich ludzi”. Tylko raz usłyszał od kogoś takie słowa, i to dlatego, że nazwał tego staruszka „wujkiem”.

Rita przyglądała mu się bacznie.

– Przez jakiś czas miałeś tam ojca, prawda?

– Tak – odparł. – Masz rację.

Spojrzała na niego, a potem wydała cichy, triumfalny okrzyk:

– Niesłychane! Dziwy się jednak zdarzają!

Harper wymierzył w nią łyżeczkę.

– Tylko nie przyzwyczajaj się do tego. Poza tym nie dziwy, tylko cuda.

– Cuda?

– Cuda się jednak zdarzają, a nie dziwy.

– Dobra, niech będą cuda.

Harper wolałby porozmawiać o niej. Chciałby zapytać: „A co z tobą? Czego ty szukasz? Utraconego syna?”, ale wiedział, że wtedy z jej oczu zniknie cały blask. To nie był odpowiedni moment. Rita musiała wrócić do pracy, a on do chaty.

Ale wraz z wymarzonym domem, który mieli wybudować wspólnie na polach ryżowych, Harper wyobraził sobie również list, który może pewnego dnia nadejdzie z Belgii. Widział, jak Rita trzyma go drżącymi rękami, podnosi wzrok, jakby prosząc o pozwolenie na jego otwarcie, a on sadza ją przy małym stoliku na werandzie, kładzie rękę na jej ramieniu, by dodać jej otuchy, po czym odchodzi, by mogła przeczytać go na osobności. Po pewnym czasie weszłaby do środka z oczami pełnymi łez i wyciągając do niego list, powiedziałałaby: „Mój syn chce mnie odwiedzić”. Potem zaś nastąpiłyby długie miesiące użerania się z ojcem chłopaka, w trakcie których Harper traciłby co jakiś czas panowanie nad sobą i groził, że pojedzie do Belgii i da kopniaka temu idiocie, jej eksmężowi, tak że zleci ze schodów. Rita płakałaby po nocach albo zamykała się w sobie, lecz ostatecznie to wszystko doprowadziłoby do tego, że pewnego dnia, kiedy dom byłby już wykończony, staliby oboje na lotnisku w Denpasar, czekając na chłopaka. I wówczas Harper zauważyłby go pierwszy pośród tłumu młodych ludzi wychodzących z hali przylotów, ponieważ Rita wypatrywała dziecka, więc on szukałby go zamiast niej. Jej syn okazałby się dobrze zbudowanym młodzieńcem z delikatnymi rysami twarzy matki, ale z ciemnymi włosami. Podszedłby do nich i oboje z Ritą objęliby się z zakłopotaniem; żadne nie okazywałoby

większych emocji, przynajmniej na razie, a potem chłopak odwróciłby się do Harpera i uścisnęliby sobie po męsku dłonie, a ich spojrzenia zetknęłyby się ze sobą, jakby zawierali w ten sposób niepisane porozumienie, że choć to spotkanie może być dziwne dla nich wszystkich, to Rita wymaga tutaj szczególnej ochrony.

Nie zdradziła mu jeszcze imienia swojego syna: może Viktor albo Maxim? Prędzej czy później je pozna: Rita wyjawি je, kiedy będzie gotowa mu zaufać. Co robi mężczyzna, kiedy jest zbyt stary na szukanie ojcowskiego autorytetu? Może znajduje sobie syna.

Nagle Rita poderwała się od stolika.

– Muszę już iść – rzuciła. Wrócił jej roztargniony, nieco rozmarzony sposób bycia i Harper wiedział, że kiedy zamieszkają razem, właśnie to będzie go w niej drażnić najbardziej: że gdy skoncentruje się na pracy, na obowiązkach wobec uczniów, on nie będzie już w centrum uwagi. Zawsze będzie się ni z tego, ni z owego wyłączać i mówić nagle: „Muszę już iść”. Musi pogodzić się z tym, że ona wciąż jest otwarta na świat w takim stopniu, w jakim on już nie potrafi. „Lepiej zajmę się projektami budowlanymi – pomyślał – bo w przeciwnym razie to ja zacznę ją irytować”.

Rita pochyliła głowę i pocałowała go w usta.

– Widzimy się za dwa dni – oznajmiła. – Do tego czasu muszę się zastanowić nad imieniem dla ciebie. Może uda mi się coś wymyślić.

I już jej nie było.

Podjechał samochodem aż na sam koniec dróżki, zostawił go tam i poszedł w kierunku chaty. Kadek mógł się zjawić rano i do tej pory już zniknąć, ale jeśli go jeszcze zastanie, zapyta o kupno samochodu. Ciekawe zresztą, czy poinformowano go o jego odejściu, czy też będzie musiał powiedzieć mu o tym sam. Zamierzał zostawić mu sowity napiwek w dolarach. Miał nadzieję,

że Kadekowi będzie choć trochę przykro z powodu jego wyjazdu.

Drzwi do chaty były zamknięte, ale srebrna kłódka nie wisiała na metalowym skoblu, tylko leżała na stoliku na werandzie, tuż obok miednicy, w której się mył. To było niespotykane – Kadek zazwyczaj bardzo pilnował tego, żeby zamykać drzwi. Choć może teraz sytuacja się zmieniła, może wiedział, że będzie doglądał przez jakiś czas pustego budynku, dopóki Instytut nie będzie musiał przechować tu na trochę kolejnego swojego człowieka. Może myślał, że Harper w ogóle nie wróci ze spotkania z prawnikiem? Na pewno już zdążył się przyzwyczaić, że pracownicy Instytutu pojawiają się i znikają o dowolnych porach.

Harper stał na werandzie, patrząc na drzwi. W końcu wyciągnął rękę, chwycił żelazne kółko przymocowane do zasuw i przekręcił je powoli. Zasuwa podniosła się ze skrzypieniem i zgrzytem. Harper pchnął drzwi.

Chata w środku była wysprzątana. Kadek posłał łóżko i nienagannie wygładził pościel. Moskitiera przywiązana wokół każdego ze słupów opadała starannie udrapowanymi kaskadami bawełny, a białe prześcieradło wsunięto pod materac. Kadek opróżnił również popielniczkę ze spalonych strzępków listu do Franciski. Krzesło stało prosto przed biurkiem, a nie w byle jakiej, ukośnej pozycji, w jakiej zawsze zostawiał je Harper. Chata nie mogła być bardziej uporządkowana i bardziej pusta.

Harper przestąpił próg. Na biurku nie czekało na niego śniadanie – czyli Kadeka nie było dziś rano, a chata stała niezamknięta przez całą noc, kiedy on przebywał w pensjonacie. Wszedł do środka, zostawiając za sobą szeroko otwarte drzwi, żeby wpuścić nieco światła. Podeszedł do okna i otworzył na oścież okiennice, a potem stał przez chwilę pośrodku izby.

Spakowanie kilku rzeczy nie zajmie mu dużo czasu. Może Kadek przyjdzie później.

Zszedł nad rzekę na spacer.

Po powrocie zrobił sobie kawę rozpuszczalną.

Gdy zgłodniał, znalazł w szafce kuchennej resztę herbatników, marna pozostałość po jednej z jego nielicznych wypraw do minimarketu w mieście.

Posiedział przez chwilę na werandzie, poobserwował widoki, a potem wszedł do środka i nagle z powodu upału poczuł się senny, więc położył się na nienagannie zasłanym łóżku i uciął sobie drzemkę. Gdy się przebudził, wygramolił się z łóżka i wciąż nieco zaspany spojrzał na pogniecione prześcieradło – poczuł się tak, jakby dopuścił się jakiegoś wykroczenia, normalnie bowiem nigdy nie spał w ciągu dnia. Szarpnął lekko za brzegi prześcieradła i wygładził je dłonią, aby Kadek nie musiał tego robić, gdy pojawi się później, a kiedy się wyprostował, nagle dotarło do niego, dlaczego Johan wydał mu się znajomy. Stał przez chwilę pośrodku chaty, aż w końcu odwrócił się do szafki w kącie, w której trzymał whisky i papierosy.

Na niebie nie było śladu księżyca. Szedł, trzymając wyciągnięte przed sobą ręce; wymacywał pnie drzew, chwycił się ich i powoli się przesuwał, obchodząc je dookoła. Kiedy dotarł do końca lasu, stanął na skraju pola ryżowego, w kompletnej ciemności. Mężczyźni z maczetami byli kilka metrów za nim. Patrzył, jak tylne światło motoru znika w dole wzniesienia. To wszystko, co widział w tej czerni: pojedyncze, małe, czerwone, okrągłe światełko, jego jedyna szansa na ucieczkę, opadające w dół ścieżki, jakby zagłębiało się we wnętrzu ziemi. A potem nie było już nic, tylko noc, a on stał sam na polu ryżowym. Mężczyźni, którzy go ścigali, z pewnością usłyszeli warkot silnika i teraz zmierzali w jego stronę. Wyan nie tylko pozostawił go samego w ciemnościach, lecz także naprowadził ich na jego trop.

Ostrożnie zaczął się oddalać od drzew w kierunku wzniesienia. Powoli unosił stopy, aby nie było słychać chlupotu wody i mlaskania błota, jednak miał wrażenie, że oddycha tak głośno, iż trudno uwierzyć, by w ten sposób nie zdradził swojej pozycji. Mężczyźni znajdowali się niedaleko, wiedział o tym. Może stali właśnie nieruchomo i nasłuchiwali odgłosów świadczących o jego obecności? Co jakiś czas z płonącego domu po drugiej stronie pola dobiegał

wrzask. To towarzysze tropiących go wciąż byli zajęci mordowaniem rodziny Komanga. Te hałasy być może odwracały uwagę mężczyzn, więc gdyby pozostał nieruchomy, niewidoczny, może wróciliby do swojego głównego zadania.

Powinien pozwolić Wayanowi włączyć światło, nawet jeśli miałyby to ich narazić na zdemaskowanie: pozostawienie go samego w ciemnościach na polu zalanym wodą było głupotą i Harper mógł mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Nagle dojrzał jakiś ruch, cień z lewej strony, niewiele więcej jak mgnienie jaśniejszej plamy, na przykład jasnego ubrania na tle ciemnej ściany drzew. Wstrzymał oddech. W ciągu dnia cienie były ciemne, lecz w czarnej jak smoła nocy wydawały się jasne. Jeśli Wayan zobaczył ten widmowy kształt poruszający się w mroku, nic dziwnego, że uciekł.

Duch przemknął w jego stronę, jęknął i uczeplił się jego ramienia, wbijając w nie chude palce. Harper chwycił kościste ramię i w tym momencie chmura na niebie musiała się nieco przesunąć, ponieważ wychynęła spoza niej odrobina księżycowej poświaty. Przyciągnął widmo do siebie – to była żona Komanga. Popatrzył w jej zastygłą ze zgrozy twarz. To ona musiała być tym uciekającym cieniem, który widział, gdy tamci zabijali Komanga – liczyła zapewne na to, że odciągnie mężczyzn od domu i dzieci. Jeśli tak, teraz już chyba wiedziała, że jej strategia zawiodła. Zastanawiało go, jak długo ukrywała się między drzewami, zbyt przerażona, by wrócić do domu, zbyt przerażona, by biec dalej, licząc może na to, że jeden lub dwóch członków rodziny też zdoła uciec w tym zamieszaniu. A potem uświadomiła sobie, że ta wysoka postać, która właśnie wyłoniła się spomiędzy drzew, to Harper, nieznajomy, który wcześniej tego dnia odwiedził ich dom i którego jej mąż nazwał przyjacielem.

Harper trzymał ją za ramię, a ona ścisnęła go kurczowo kościstą ręką. Stali tak wczepieni w siebie nawzajem. Przez chwilę lub dwie po prostu obejmowali się i ciężko dyszeli, a wtedy w jej skamieniałym ze strachu

wzroku Harper ujrzał odbicie własnego lęku. Podniósł palec do ust, dając jej znak, że powinna być cicho, mimo że jego oddech był o wiele głośniejszy od jej oddechu.

W pewnym momencie usłyszał jakiś szelest w zaroślach, obrócił się i zobaczył płonąca pochodnię – i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, spomiędzy drzew wyłonili się mężczyźni – ci, którzy wyruszyli w pogoń za żoną Komanga. Ci, którzy tropili jego, byli nieco bardziej oddaleni. Harpera ogarnęła chwilowa wściekłość, że kobieta nie tylko przepłoszyła Wayana, lecz także sprowadziła tu napastników. Gdyby pozostała między drzewami, tamci mogliby nie wpaść na jego ślad. Przyczaiłby się w rowie irygacyjnym, podczas gdy oni byłiby zajęci pościgiem za nią.

Te myśli szybko wyparowały, bo nagle kilku mężczyzn chwyciło żonę Komanga, która zaczęła wrzeszczeć i bełkotać coś ze strachu, a oni zaczęli na nią krzyczeć. Po chwili przybiegli ci z pochodniami, rozpryskując nogami wodę.

Teraz otaczało ich około piętnastu lub dwudziestu mężczyzn, jak szacował Harper. W ciemnościach trudno było to ocenić, tym bardziej że pochodnie rzucały pełgające cienie: każda podświetlona na pomarańczowo postać miała cienistego sobowtóra, tak więc w mroku każdy z napastników wydawał się podwójny.

Harper wiedział, że ma tylko jedną szansę. Wyprostował się więc i powiedział głośno po indonezyjsku:

– Znalazłem ją. Ukrywała się między drzewami.

Mężczyźni stojący na skraju grupy rozmawiali ze sobą z ekscytacją, ale dwóch spojrzało na niego. Jeden podniósł lampę naftową.

– Znalazłem ją – powtórzył Harper. – Próbowwała tędy uciec. Czekał na nią mężczyzna na motorze, ale odjechał.

Żona Komanga wciąż bardzo szybko mówiła; zawodziła i płakała to głośniejsz, to ciszej – raz jej głos przechodził w cichy krzyk, raz zamieniał się

w jęk skargi, rozpaczliwy odgłos osoby błagającej o życie dla siebie i swoich dzieci. I wtedy jeden z mężczyzn, bardzo mały i w pomarańczowym blasku wyglądający na bardzo młodego, uniósł obie ręce ugięte w łokciach i niewidocznym dla Harpera narzędziem uderzył kobietę w bok głowy. Wydała z siebie pojedynczy, ostry okrzyk i upadła na ziemię. Młodzieniec popatrzył na Harpera, żeby sprawdzić, jak na to zareaguje. Jego twarz pozostała nieruchoma.

Chłopak rozejrzał się wokół, a jego kompani pokleпали go po ramionach. Następnie wszyscy zaczęli rozmawiać z podnieceniem.

Starszy mężczyzna z owalną twarzą nadal stał obok Harpera, a ten skrzyżował ramiona i zapytał:

– Co oni mówią?

Starszy mężczyzna podniósł brodę; jego lampa naftowa kołysała się, oświetlając najpierw jedną stronę jego twarzy i część grupy, a potem drugą stronę i drugą część grupy. Żona Komanga leżała ledwo widoczna na ziemi; wyglądała jak niewielka kupka łachmanów, całkiem cicha, lecz żywa. Łuk jej pleców unosił się i opadał w rytm oddechu.

– Najpierw włożymy do ognia jej twarz, a potem jej cześć – oznajmił mężczyzna, wskazując głową płonąca pochodnię trzymaną przez jednego z członków grupy.

Harper ruszył naprzód. Żona Komanga wciąż leżała skulona na ziemi. Gdy stanął obok niej, stopy zapadły mu się w błocie, a woda podniosła do połowy łydek. Chwycił kobietę za włosy z tyłu – jej głowa była tak bezwładna, że opadła mu na nadgarstek. Zdążyła tylko wydobyć z siebie nieartykułowany jęk, zanim Harper wepchnął jej twarz prosto w błotnistą, czarną wodę, położył drugą rękę na tyle jej głowy i napiął wszystkie mięśnie, by ją przytrzymać.

„*Black water* – pomyślał. – Czarna woda...” Był młodym człowiekiem. Jego ramiona były jak z żelaza, ale i tak zaskoczyła go siła tej drobnej kobiety – zdołała sięgnąć za siebie jedną ręką i zaczęła drapać go

w przedramię. Kopała, rozpryskując wokół wodę. Udało jej się nawet unieść nieco plecy. Kto by przypuszczał, że ma w sobie tyle siły? Jeden z mężczyzn dźwignął wyżej lampę naftową, żeby oświetlić całą scenę. „Umieraj szybko – pomyślał Harper. – Na miłość boską, umieraj już, bo inaczej mnie powstrzymają i nie pozwolą mi cię zabić”. Tymczasem, choć trudno w to uwierzyć, kobieta zdołała przesunąć odrobinę głowę i Harper znów musiał użyć obu rąk, żeby wcisnąć jej twarz w wodę. Wtedy jeden z mężczyzn usiadł na jej nogach, żeby nie mogła kopać, i Harper już wiedział, że nikt nie zamierza go powstrzymać. Mężczyźni zdążyli zapomnieć o własnym planie.

Niektóre kosmyki jej włosów przykleiły mu się do nadgarstka, a pozostałe wiły się wokół jej głowy; rów mienił się w pomarańczowym świetle pochodni, a w wodzie unosiły się pęcherzyki powietrza. Harper pod nosem zaczął liczyć wstecz, zaczynając od stu – zdawał sobie sprawę, że porusza ustami, ale wydobywał się z nich jedynie szept. Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem... Całe jej ciało podrygiwało, a koścista dłoń nie przestawała szarpać jego ramienia... Osiemdziesiąt cztery, osiemdziesiąt trzy, osiemdziesiąt dwa... Wbiła paznokcie w jego ciało... Siedemdziesiąt dwa, siedemdziesiąt jeden, siedemdziesiąt... Harper pomyślał, że policzenie w takim tempie od stu do jednego zajmie mu około trzech minut. Utopienie kogoś trwa dłużej, ale ta kobieta była filigranowa, a poza tym znajdowała się już minutę lub dwie z twarzą w wodzie, zanim zaczął liczyć. Lada moment powinna stracić przytomność. Sześćdziesiąt osiem, sześćdziesiąt siedem, sześćdziesiąt sześć... Nie podnosił wzroku na mężczyzn, którzy zebrali się wokół niego i przyglądali wszystkiemu. Zapadła cisza. Harper skoncentrował cały swój wysiłek na utrzymaniu głowy kobiety pod wodą. Pięćdziesiąt sześć, pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt cztery... Nagle uświadomił sobie, że odlicza po jednej liczbie, ale myśli dziesiątkami. Czterdzieści dwa, czterdzieści jeden, czterdzieści... Nie istniało nic poza liczeniem. Jego ramiona były teraz twarde jak skała. Koncentrował się tylko na liczbach

w swojej głowie i delikatnych ruchach warg. Trzydzieści trzy, trzydzieści dwa, trzydzieści jeden... Czas przestał mieć dla niego znaczenie. Najważniejsze były liczby. Dwadzieścia osiem, dwadzieścia siedem, dwadzieścia sześć... Już prawie dotarł do końca. Piętnaście, czternaście, trzysta... Mężczyźni wokół wciąż nic nie mówili. Rozległ się trzask jednej z płonących pochodni, ale Harper czuł, że wszyscy stoją bez ruchu, choć nawet na nich nie spojrzął. I wreszcie... Trzy, dwa, jeden!

Nawet kiedy już skończył liczyć, wciąż nie puszczał jej głowy. Nie miał odwagi. Gdyby się okazało, że jeszcze żyje, zostałaby spalona żywcem, i on pewnie też. Nie ruszał się z miejsca, czekał, ciężko dysząc.

Nagle zdał sobie sprawę, że wbijające mu się w ramię cienkie palce zwiotczały, może nawet już przed kilkoma sekundami. Ręka zwolniła uścisk i bezwładnie opadła do wody z cichym pluskiem. Harper nie ruszał się przez dłuższą chwilę, żeby zobaczyć, czy spod wody nie wypływają pęcherzyki powietrza, aż wreszcie puścił kobietę i zabrał ręce, lecz nie podniósł się z klęczek. Leżała nieruchomo. Stojący wokół mężczyźni również nie wykonali żadnego ruchu. Patrzyli w dół.

Harper w końcu stanął chwiejnie na nogach. Zerknął na starszego mężczyznę, tego najbliższego, i zobaczył malujący się na jego twarzy szok. Ten człowiek nie widział w jego czynie litości, lecz zwykłe okrucieństwo. Pragnienie torturowania tej kobiety zrodziło się w nim w gorączce napaści i wszyscy mężczyźni rozumieli, że czyny dokonywane w takim stanie są wybaczone, ponieważ tak zachowują się mężczyźni, ale bezwzględność, z jaką Harper utopił żonę Komanga, wydała im się czystym złem. Mimo że sami zrobiliby z nią o wiele gorsze rzeczy, na chwilę zaczęli się go bać.

Mężczyźni cofnęli się, lecz ten młody, który trzymał pochodnię, wysunął się do przodu i podniósł żonę Komanga, trzymając ją za koszulę. Jej ciało było bezwładne, ramiona zwisały, woda kapała z czubków palców, a twarz zakrywały opadające włosy.

Przez grupę mężczyzn przeszedł szmer. Jeden z nich coś zawołał, a dwóch innych się roześmiało. Chwila milczenia pełnego szoku dobiegła końca. Choć pozbawiono ich możliwości torturowania ofiary, mogli przynajmniej zdecydować, co zrobić z jej ciałem – marny substytut, ale musiał im wystarczyć. Pewnie rano powieszą ją na drzewie w środku wioski. Być może rozczłonkują zwłoki, podobnie jak w przypadku jej męża i dzieci. Gdyby został z nimi, przyłączył się do nich, byłby bezpieczny: teraz już nie będą kwestionować jego lojalności.

Ta ekscytacja na ich twarzach – rozszerzone oczy, zaciśnięte zęby – nie musieli pić przez cały dzień araku, jak ludzie Benniego, by znaleźć się w takim stanie. Taką samą ekscytację Harper widział na twarzach chłopców w szkole w Los Angeles i Amsterdamie, a także młodych mężczyzn podczas szkolenia w Instytucie. Teraz zaczął się wycofywać w ciemność. Miał wrażenie, że jego nogi głośno chlupoczą w wodzie, ale mężczyźni byli zajęci rozmową. Znajdował się już w połowie pola, kiedy usłyszał wściekły krzyk. Widocznie odkryli, że ucieka. Rzucił się więc w błotnistą wodę, wziął głęboki oddech i wcisnął twarz w błoto.

Świt to obietnica. Na tym właśnie polega jego zagadka. Zupełnie jakbyś wyłaniał się z grzęzawiska nocy stopniowo, komórka po komórce, a zarazem w jednej chwili. Leżysz w rowie irygacyjnym płasko wyciągnięty, tak by móc się jak najbardziej zanurzyć, z połową twarzy zwróconą do góry dla zaczerpnięcia oddechu; starasz się oddychać tak płytko, jak tylko się da, żeby się utrzymać przy życiu, wiedząc, że każda sekunda może być twoją ostatnią, ponieważ mężczyźni z pochodniami i maczetami są zaledwie kilka metrów od ciebie i lada moment mogą cię znaleźć. I wtedy łagodnie nastaje świt. Przychodzi wraz z ptakami: pojedyncze, nieśmiałe cziip, cziip, delikatny, pełen nadziei dźwięk. Pierwsze smużki szarego światła pojawiają się na

obrzeżach nieba – tak ci się wydaje, nie jesteś tego pewien – i nagle, po chwili strojenia instrumentów, rozbrzmiewa triumfująca ptasia orkiestra, wybuchają wszystkie te melodyjne wrzaski, ponieważ bez względu na to, jak ciemna była noc, te ptaki nigdzie się stąd nie ruszały. Niebo robi się szare i jaśnieje z każdą minutą, a ty obracasz się w rowie, zeszywniały i zziębnięty do szpiku kości. Jesteś wciąż jeszcze przestraszony, ale teraz jest już dostatecznie jasno, byś mógł popatrzeć na pole ryżowe, które z każdą chwilą staje się coraz bardziej zielone. Ludzie z maczetami odeszli, a ty nadal żyjesz.

Dotarcie do Los Angeles zajęło mu cztery miesiące. Wayan wprawdzie go porzucił, ale przynajmniej zostawił jego torbę w miejscu, w którym czekał na niego z motorowerem. Harper znalazł ją, gdy tylko wyszedł o świcie z rowu irygacyjnego, chwycił i ruszył truchtem. W ukrytej kieszonce znajdowały się pieniądze i dokumenty: banknoty w specjalnym pasie, z którym przeleżał całą noc w rowie, były przesiąknięte błotem i nie nadawały się do użytku, nawet po tym, jak przepłukał je w czystej wodzie i wysuszył na skale. To było tydzień później, kiedy pozwolił sobie na to, aby zatrzymać się w jednym miejscu na dłużej niż kilka godzin.

W końcu dotarł na wybrzeże i przez pewien czas ukrywał się na plaży Lovina, w chacie pewnego mocno zapijaczonego i lekko obłąkanego starego Holendra, który miał już tak przeżarty alkoholem mózg, że brał go za swojego służącego. Po trzech tygodniach Harper ukradł staremu motorower – nikt nie jeździł na nim od lat – uruchomił go i wyruszył wzdłuż wybrzeża, aż natrafił na grupę hipisów, którzy od roku włóczyli się po okolicy, palili trawkę i sypiali ze sobą nawzajem. Powiedział im, że ma na imię Leaf i ucieka przed CIA, co w tym momencie było pewnie po części prawdą. Hipisi planowali pozostać na Bali jeszcze dwa tygodnie, a potem wrócić do San Francisco którymś z frachtowców pływających po Pacyfiku. W końcu Harper zawiązał do Zatoki

Humboldta, gdzie zyskał dostęp do swojego konta w Bank of America i wybrał gotówkę na bilet lotniczy do Los Angeles.

Zanim wsiadł do samolotu, udało mu się zadzwonić z budki telefonicznej do Niny. Kiedy odebrała, przez dłuższą chwilę nie potrafił wydusić z siebie słowa.

– Halo? – powiedziała. – Halo?... Kto mówi?... Halo?

Po tonie, z jakim wymówiła ostatnie „halo”, poznał, że zaraz się rozłączy, więc z trudem wydusił:

– Nina, to ja.

Po drugiej stronie słuchawki zapadło pełne niedowierzania milczenie.

Na lotnisku w Los Angeles ustawił się w kolejce za trzema biznesmenami. Mniej więcej co pięć minut do krawężnika podjeżdżała taksówka. W końcu nadeszła jego kolej i wsiadł do zdezelowanego samochodu prowadzonego przez grubego białego faceta w poplamionej koszulce, który tylko coś burknął, gdy Harper podał mu adres. W spojrzeniu taksówkarza, które uchwycił we wstecznym lusterku, gdy wsuwał się na tylne siedzenie, było coś, co mu się nie podobało. Zapuścił nieco włosy i brodę: wyglądał teraz jak młody mężczyzna, na którego pozostali mężczyźni spoglądali z zawiścią. Gdy toczyli się w dół zjazdu na autostradę, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego, nie częstując jednak kierowcy, który sięgnął po własne papierosy leżące na desce rozdzielczej. Obaj przez całą drogę palili w milczeniu.

– Mam zjechać na Crenshaw? – burknął taksówkarz, gdy znajdowali się na Santa Monica Freeway. Harper nie wiedział, o co mu chodzi, więc tylko skinął głową. Ten odcinek autostrady wyglądał na nowy i przecinał wzgórze na dwie części.

Gdy się zatrzymali pod domem Papy i Niny, Harper zobaczył, że kierowca

znów wpatruje się we wsteczne lusterko, kiedy on wyciągał z bocznej kieszeni torby zwój banknotów. W ostentacyjny sposób obrzucił tylko pieniądze wzrokiem i nie przeliczywszy ich, wetknął zmięty zwitek w wyciągniętą dłoń taksówkarza, z zadowoleniem obserwując jego zdumioną minę, gdy facet w końcu zrozumiał, że ten hipisowski wyrzutek ma przy sobie mnóstwo forsy.

Kiedy już umilkł warkot silnika i rozwiął się zapach spalin, Harper odetchnął kilka razy: cicha, pochyła ulica, wspinający się rząd domów z drewnianymi fasadami pomalowanymi na pastelowe kolory, ogromny stary kaktus, który wciąż stał z przodu podwórka. Światło słoneczne wydawało się tutaj takie delikatne w porównaniu z miejscem, z którego przybył. Stojąc na pustej ulicy z torbą u stóp i patrząc na winorośl, która wciąż oplatała podpory ganku, uzmysłowił sobie, że tak bardzo pragnął tutaj wrócić, iż teraz nie mógł zdobyć się na to, by wspiać się na schody i zapukać do drzwi – tak ogromną przyjemność odczuwał w tej chwili. Cóż może być wspanialszego od tych kilku sekund poprzedzających moment, kiedy spotkasz osobę, którą na twój widok opanuje szal radości?

Mógłby tak stać jeszcze długo, lecz za oknem przemknął ciemny kształt i niemal w tej samej chwili Nina otworzyła szeroko drzwi.

Gdy weszli do kuchni, powiedziała:

– Zrobię herbatę. Wyjdziemy z nią do ogrodu?

– Usiądźmy przy stole – odparł Harper, ponieważ to mu przypominało jego pierwszy wieczór w tym domu i to, jak siedzieli z Papą przy kuchennym stole, popijając mleczne koktajle, a on wpatrywał się tęsknym wzrokiem przez okno w ogród i psa Jimmy’ego. Jimmy zdechł już wiele lat temu, ale u podnóża wzniesienia w trawie wciąż było widać żelazny palik.

Od jego poprzedniej wizyty upłynęło sześć lat: przyjechał wtedy na dwa tygodnie, tuż przed rozpoczęciem służby wojskowej w Holandii. Brązowe

włosy Niny były poprzetykane pasemkami siwizny, ona sama zrobiła się bardziej korpulentna, a w jej ruchach pojawiła się pewna sztywność. Postanowiła teraz wyjąć biało-niebieski serwis do herbaty, który podczas ostatniej wizyty Harper przywiózł im z Amsterdamu, stanęła więc na krześle, żeby go zdjąć z szafki, odrzucając jakąkolwiek pomoc, a następnie włożyła go pod dudniący kran, żeby zmyć kurz. Kiedy woda w czajniku na płycie kuchennej zaczęła się gotować, przelała nią dzbanek i filiżanki, żeby je ogrzać, a resztę odstawiła, żeby znów się zagotowała.

Czuli się na tyle swobodnie w swoim towarzystwie, że rozmawiali o zupełnie błahych sprawach, aż wreszcie Nina wytarła dłonie w jasnoniebieski fartuch, usiadła przy stole i powiedziała:

– Tak bardzo się ucieszysz na twój widok. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę jego minę.

– Co z nim?

Nina bardzo się starała, by jej uśmiech wyglądał w miarę naturalnie. Podniosła dzbanek z herbatą.

– Nie za dobrze, Nic – odparła. – Został mu rok, może mniej. Czasami... – Nie dokończyła zdania, lecz Harper się domyślał, że chciała powiedzieć: „Czasami wolałabym, żeby zostało mu o wiele mniej”. Wiadomość, że Papa jest umierający, nadeszła tuż przed wyjazdem Harpera do Dżakarty, nie powstrzymało go to jednak przed przyjęciem zlecenia.

Wszystko to miało potrwać krócej niż rok. Papa przegrał z chorobą pięć miesięcy później, a dwa lata po jego śmierci, kiedy Harper pracował jako robotnik na farmie w północno-wschodniej Holandii, blisko granicy z Niemcami, Nina została śmiertelnie potrącona przez pikapa marki Dodge, wyjeżdżającego ze zbyt dużą prędkością zza rogu Firestone Boulevard. Wraz z jej śmiercią znikło ostatnie ogniwo łączące Harpera z Ameryką, z tymi pięcioma latami, które spędził w Kalifornii, będąc częścią jednej rodziny z dziadkami i młodszym bratem. Nigdy miał już tam nie wrócić.

– Ma dobrego lekarza? Powinienem z nim porozmawiać? Masz dość pieniędzy?

Nina się uśmiechnęła.

– Zawsze wysyłasz nam pieniądze.

– Na co innego mam je wydawać?

– Cóż, wiesz, co powiedziała by Papa: „Na gorzałę i kobiety, synu, na gorzałę i kobiety”. – To był oczywiście żart, Papa bowiem zawsze uchodził za przykładowego obywatela.

– Lubię whisky. W Holandii piłem nawet nieco za dużo. – Wspominanie o jego życiu w Europie było trochę ryzykowne. Nie zrobiłby tego w obecności dziadka, ponieważ to z pewnością sprowokowałyby liczne pytania, ale Nina przyzwyczała się do życia w niewiedzy. Przez lata nie wiedziała, co się dzieje z Michaeliem ani jak Harper sobie radzi w Holandii, i nigdy tak naprawdę się nie dowiedziała, co konkretnie się wydarzyło, kiedy stracili Buda.

– A kobiety?

Harper pokręcił powoli głową, uśmiechając się szeroko, jak dziadek.

– Chcesz mnie wyswatać? – Usłyszał, jak jego akcent zaczyna współbrzmieć z akcentem Niny. W jego angielskim nie było holenderskich naleciałości, oto jednak siedział w kuchni u Niny, popijał doskonałą gorącą herbatą i odzyskiwał sznyt z Zachodniego Wybrzeża.

– Jesteś przystojnym młodym mężczyzną, masz dwadzieścia kilka lat. Idealny wiek, jak mówią niektórzy.

– Nie jestem pewien, czy małżeństwo to coś dla mnie.

– Małżeństwo jest dla każdego. – Nina czekała wiele lat, aby oboje z Papą mogli zgodnie z prawem wziąć ślub, tylko dlatego, że ona była Latynoską, a on był czarny.

– Nie ma zbyt wielu kobiet, które chciałyby, żeby ich mąż podróżował tyle co ja. – Poruszanie tego tematu również byłoby ryzykowne w obecności Papy.

Harper zauważył, że Nina zerka na jego przedramiona. Miał na sobie luźny T-shirt – zadrapania prawie zniknęły, ale na jego brązowej skórze wciąż widniały bardzo delikatne białe ślady, widoczne tylko dla kogoś, kto bardzo mocno się w nie wpatrywał. Gdyby o tym pomyślał wcześniej, założyłby koszulę z długimi rękawami. Może tak naprawdę chciał, żeby Nina je dostrzegła, chciał, żeby zapytała, czy wszystko w porządku?

Ale ona tylko uniosła filiżankę do ust, a następnie ją odstawiła.

– Zawsze chciałem tu wrócić, ale sama rozumiesz, najpierw służba wojskowa, potem ta praca, no i podróże. Nie mówię, że nigdy. Ale muszę pojechać do Holandii i wyprostować kilka rzeczy w pracy, a potem, może, sam nie wiem.

Nina uśmiechnęła się delikatnie, by złagodzić gorycz swych słów.

– Zawsze mieliśmy nadzieję, że pewnego dnia w naszym domu pojawi się kolejne dziecko. To znaczy, kiedy już się ożenisz. Zawsze liczyliśmy na to, iż wrócisz tutaj na dobre, kiedy staniesz się już na tyle dorosły, że Anika nie będzie miała nic do powiedzenia w tej sprawie. Ale w głębi serca wiedzieliśmy, że gdy wyjechałeś do Europy... – Potrząsnęła głową. – Zawsze chciałeś podróżować. Pewnego razu, gdy mieszkaliśmy z nami dopiero jakiś miesiąc, wybrałeś się na wędrowkę po okolicy. Papa i ja wyszliśmy przed dom i po prostu obserwowaliśmy, jak maszerujesz chodnikiem w górę wzniesienia. Ani razu się nie obejrzałeś. Byliśmy tacy rozbawieni, ale gdy w końcu zniknąłeś za grzbietem wzgórza, Papa się zaniepokoił, że możesz się zgubić, i ruszył za tobą w pogoń. Nie wiem dlaczego, byłeś już dostatecznie duży, żeby odnaleźć drogę do domu... Chyba dlatego, że byłeś po prostu dla nas nowy. Martwiliśmy się o ciebie, jakbyś był niemowlęciem, a przecież miałeś już sześć lat.

Zapanowało długie milczenie. Nagle Harper zauważył, jak po policzku Niny wolno toczy się łza, zostawiając za sobą lśniący ślad.

– No już... – wyszeptał.

Zaczęła szperać w rękawie w poszukiwaniu chusteczki, po czym szepnęła:

– Nigdy jej nie wybaczę. Wiem, że źle postępuję. Ale odebranie nam ciebie po tym, jak straciliśmy Buda... Byliśmy jedyną rodziną, jaką znałeś.

– Wiem, wiem.

– Musieliśmy cię wsadzić z plaketką na szyi na statek, wysłać cię jak paczkę przez ocean, zupełnie samego, ciągle jeszcze małego chłopca, do miejsca, którego nawet nie pamiętałeś. Czy nie dość już przeszliśmy?

– Domyślam się, że ona nie postrzegала tego w ten sposób. – Ona, czyli matka, która zażądała jego powrotu po tym, co się stało z Budem, tylko po to, by po pewnym czasie dać mu jasno do zrozumienia, że mieszkanie z synem stanowi nie lada kłopot dla jej skomplikowanego życia miłosnego.

– Nie denerwuj się tylko z powodu mojego przyjazdu.

Nina podniosła głowę, po raz ostatni otarła twarz, po czym uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Twoje wizyty to najwspanialsza rzecz pod słońcem, co do tego nie ma wątpliwości.

Nagle spojrzała w sufit, a potem na Harpera. Już czas.

Pierwsze, co przykuło jego uwagę, gdy wspinali się po schodach, to zapach: silna woń środków antyseptycznych, a pod nią odór jakby czegoś lekko nadgniętego. Potem, gdy przystanęli na podeście, nasłuchując, czy śpi, dobiegł ich szorstki, chrypliwy i pełen wysiłku oddech Papy, oddech człowieka wyczerpanego tym, że wciąż żyje. Drzwi były uchylone i Nina pchnęła je delikatnie. Papa leżał na dużym łóżku, a po drugiej stronie pokoju stało małe łóżko polowe, na którym musiała sypiać Nina. Butla z tlenem stała prosto w żelaznym uchwycie, maska i rurka zwisały ze słupka w zagłówniku. Na ścianie była ta sama kwiecista tapeta co kiedyś – „przydymione róże”, tak zawsze nazywał w myślach ten wzorek, teraz wyblakły w świetle wpadającym

przez firanki.

Zatrzymali się oboje w drzwiach. Papa wyglądał, jakby spał: usta miał otwarte, twarz zwróconą do sufitu – nawet podczas snu jego brwi były ściągnięte w bólu. Harper wpatrywał się w niego przez chwilę: w zapadłe wklęsłości policzków, siwy zarost na podbródku.

Patrząc na swojego dziadka, pomyślał: „Całe życie upłynęło ci na czynieniu dobra i ratowaniu ludzi, a teraz musisz uratować mnie. Dopuszczałem się czegoś absolutnie niewybaczalnego i jeśli nie wskażesz mi, jak mam odszukać drogę do normalności, sam nigdy nie zdołam jej znaleźć”.

Nagle starym człowiekiem wstrząsnął głuchy kaszel: dobiegał z wnętrza jego klatki piersiowej niczym wstrząsy z głębi ziemi podczas trzęsienia. Miało się wrażenie, że od siły tego kaszlu zaraz rozsypią się kości Papy. Po ściągniętych rysach twarzy było widać, że sprawia mu to wielki ból. Oboje weszli do pokoju. Nina położyła rękę na ramieniu Papy, nachyliła się nad nim, gdy otworzył oczy, i powiedziała z cichą radością:

– Spójrz, kto przyszedł cię odwiedzić. – Gdy Papa zobaczył Harpera, usta rozwarły mu się w szerokim, choć wymagającym wysiłku uśmiechu, a ich spojrzenia się zetknęły. Nina patrzyła to na jednego, to na drugiego, uśmiechając się z zadowoleniem.

Unieśli nieco Papę na łóżku i poprawili mu poduszki, a potem Nina wyszła z pokoju ze słowami, że musi zaparzyć więcej herbaty, ale oni wiedzieli, że chciała po prostu zostawić ich samych. Teraz pewnie będzie się krzątać po kuchni i może coś nucić pod nosem.

Harper usiadł na krześle, które przyciągnął z kąta pokoju. Papa przymknął na chwilę oczy, jakby na skutek wysiłku, jakiego wymagało od niego dźwignięcie się na łóżku, ale zaraz znów je otworzył z grymasem na twarzy i rzekł:

– No proszę, spójrz, synu, jaki teraz jesteś wysoki i silny. To akurat pozytywna strona tego, że nie widzimy cię za często. Człowiek naprawdę

docenia zmiany, jakie w tobie zaszły. – Zakaszłał. – Choć nie jestem przekonany co do brody.

– Zgolę ją. Jak się czujesz? – Harper zadał proste i bezpośrednie pytanie, jakby chciał zasygnalizować, że Papa może rozmawiać z nim szczerze, nawet jeśli w obecności Niny starał się robić dobrą minę do złej gry.

Papa znów się skrzywił.

– Nie za dobrze, synu, nie za dobrze.

Później rozmawiali o lekarzach, którzy pojawiali się i znikali, o pielęgniarce, której Papa nie lubił i którą musiał zwolnić, o tym, jak pomocni są sąsiedzi.

– Przyjrzyj się na dole, ile dobrych życzeń dostałem.

Harper nie wiedział, czy Nina powiedziała Papie o pieniądzach, które im przysyłał z Holandii – Papa był na tyle dumnym człowiekiem, że możliwe, iż to przed nim zataiła. Przyznał mu się, że poczuł ulgę, gdy lekarz stwierdził, iż nie ma sensu przeprowadzać kolejnej operacji. Nie bał się śmierci, tylko okaleczenia. Podczas pobytów w szpitalu widział okropne rzeczy, które robiono ludziom. Możliwość skonania w domu była dla niego wielką ulgą. W sprzedaży pojawił się wprawdzie nowy lek, ale wywoływał u niego straszne mdłości.

Po pewnym czasie Papa wyciągnął rękę. Harper pochylił się do przodu i wziął ją w swoją dłoń, a następnie położył głowę na białym prześcieradle. Wtedy Papa pogłaskał go z tyłu głowy, a on cicho zapłakał.

– Przepraszam – wykrztusił po chwili, z głową wciąż na łóżku dziadka, wstydząc się tego płaczu i walcząc, aby się całkowicie nie rozkleić.

– Nie masz za co przepraszać... – powiedział niskim, rzęzącym głosem Papa. – Wiesz, synu, zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, jak wiele osób przychodzi do mnie w odwiedziny, które kończą się płaczem. Kiedy jesteś chory i ludzie wiedzą, że już z tego nie wyjdiesz, no cóż, to dziwne, ale zupełnie jakbyś ofiarowywał im rozgrzeszenie. – Zachichotał. – Nie wiem

czemu. Tyle lat się uczyłem, żeby zostać prawnikiem, a teraz się okazuje, że jestem księdzem. Wiele osób płacze. A czy Nina mówiła ci o zamieszkach, które tu mieliśmy? – Harper potrząsnął głową. – Było bardzo źle.

Harper siedział nieruchomo, w milczeniu, odwrócony nieco od łóżka, pozwalając Papie głaskać się po głowie. Mógłby mu powiedzieć, co zrobił, że zabił kobietę, utopił ją w rowie irygacyjnym. Co wówczas Papa by sobie o nim pomyślał? O synu, którego wychował wyłącznie dlatego, że był po prostu dobrym człowiekiem. Harper spodziewał się, że zostanie dom pełen ludzi, ale Nina musiała się ich wszystkich pozbyć przed jego przyjazdem. Czyż on, Harper, nie zasługuje na rozgrzeszenie najbardziej? Bardziej od tych, którzy korzystali przez te wszystkie lata z usług Papy, którzy go potrzebowali, gdy tymczasem Papa powinien należeć tylko do niego. Oni zaś ciągle go wykorzystywali, nachodzili na łożu śmierci, wciąż czegoś od niego chcieli. Harper sobie uświadomił, że zawsze pragnął mieć więcej Papy dla siebie. Nie podobało mu się, że dziadek troszczył się o innych ludzi. Był wielkim człowiekiem, ale w domu ciągle okazywało się go za mało.

Biedny Papa, zawsze od niego oczekiwano, że będzie miał jakieś rozwiązanie, wykaże się mądrością – ale nawet gdy Harper o tym myślał i czuł z tego powodu wyrzuty sumienia, nie potrafił się powstrzymać przed pragnieniem, by to z siebie wyrzucić. „Powiedz to, co właściwe”, błagał w myślach sam siebie.

Papa z pewnością wyczuje, że nie wszystko jest z nim w porządku, prawda? Na pewno zapyta, co jest nie tak, a potem to naprawi.

– I po co to wszystko, Nicolaasie? – odezwał się Papa.

– Co masz na myśli?

– Cała ta praca. Młodzi ludzie rozbijający te wszystkie rzeczy chcieli pewnie tylko, żeby ich wysłuchano.

Harper spojrzał na dziadka, przetarł twarz wierzchem dłoni i nabrał powietrza. Papa umierał. Tylko to się liczyło.

– Cała ta praca – powtórzył z westchnieniem Papa. Nina ostrzegła Harpera, że zaczął kwestionować swoje życie, do czego zresztą miał prawo każdy człowiek w jego położeniu. Powiedziała, że nie uśmiechnął się nawet na wieść o uchwaleniu Ustawy o prawie do głosowania⁴⁰.

Harper nie mógł znieść myśli, że Papa jest dla siebie tak surowy: wielu ludzi miałoby ku temu powody, ale nie on.

– Daj spokój... Przecież tak ciężko pracowałeś.

– Może gdybym tak ciężko nie pracował, zatroszczyłbym się lepiej o własną rodzinę.

Czy Papa naprawdę tak myślał? Oto przed Harperem leżał człowiek, który niestrudzenie pracował w imię tego, co uważał za słuszne. Pomyślał o tych wszystkich wyrachowanych ludziach, których spotkał w życiu: z branży, którzy ani trochę nie dbali o to, jak ich działania wpływają na innych, pod warunkiem że mogli w ekscytujący sposób zarabiać dobre pieniądze; o uosabiających czyste zło mężczyznach z maczetami i sierpami, dla których polityka stanowiła wyłącznie dobrą wymówkę; a także o sobie – tak, właśnie o sobie. Ilu spośród tych ludzi leżałoby na łożu śmierci, bicząc się za to, co zrobili bądź w czym zawiedli? Najgorsi mieliby najmniej pretensji do samych siebie. A jednak na tym łóżku, w pokoju pachnącym środkami antyseptycznymi, leżał człowiek, który przez całe życie starał się postępować słusznie: który uczynił tak wiele, że nie mógł sobie wybaczyć, że zrobił za mało.

Harper delikatnie położył rękę na dłoni Papy spoczywającej na pościeli. W dotyku okazała się gorąca i cienka jak papier, z wystającymi splotami żył. Widok tego człowieka na łożu śmierci sprawił, że Harper poczuł się jak wystrzelony z katapulty: mocno wstecz, a potem do przodu.

Papa miał teraz zamknięte oczy i Harper zastanawiał się przez moment, czy czasem nie zasnął, ale po chwili jego dłoń drgnęła i chwyciła Harpera z zaskakującą siłą. Kiedy Papa się odezwał, ciągle z zamkniętymi oczami, jego głos zabrzmiał nagle czysto i wyraźnie:

– Kiedy umrę, Nicolaasie, będziesz jedyną osobą, która widziała, co się wydarzyło. Przykro mi, synu, tak bardzo mi przykro, że cię z tym zostawiam.

Był to jedyny raz, kiedy Papa wspomniał o tym, co się stało tamtego dnia z Budem, o ciężającej na nich obu współwinie za to, że nie zdołali go uratować.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jasne, pytaj.

– Kiedy Anika zażądała, bym wrócił, dlaczego nie próbowaliście jej powstrzymać? Dlaczego nie walczyliście?

Papa popatrzył na niego. Na jego twarzy malował się raczej wyraz rozbawienia niż przykrości.

– Tak właśnie myślisz, synu? Że nie walczyliśmy? Och, walczyliśmy. Byłem przyzwyczajony do walki. – Znów zaczął kaszleć. – Twoja matka chciała cię z powrotem z powodu tego, co się stało z Budem. A doszło do tego w czasie, kiedy opiekowałem się również tobą. To była moja wina. Myślisz, że znalazłby się jakiś sąd, który w tej sytuacji nie pozwoliłby odesłać dziecka do matki? – Kolejny atak kaszlu. – Nie mówiliśmy ci o tym, ponieważ nie chcieliśmy, żebyś wrócił do niej przepełniony nienawiścią. Chcieliśmy ci dać szansę.

Harper przypomniał sobie pocztówki i listy, które od czasu do czasu wysyłał do Niny i Papy z Holandii jako nastolatek: „Czuję się dobrze. Przez cały tydzień pada. Mój ulubiony przedmiot w szkole to geografia. Mapy są bardzo interesujące”. Podtrzymywanie relacji nigdy nie należało do jego mocnych stron.

Papa przymknął oczy. Stopniowo jego oddech się wyrównywał, stawał się powolny i regularny. Gdzieś w gałęziach rosnącego za oknem drzewa śpiewał niewidoczny ptak.

Na dole Nina czyściła płytę kuchenną z większą zawziętością, niż to było

konieczne. Harper zwrócił uwagę, jak czysto i schludnie wygląda kuchnia – znacznie czyszej, niż zapamiętał. Przypuszczał, że w bezsilnej wściekłości z powodu cierpienia Papy Nina szorowała bez przerwy cały dom.

– Obawiam się, że będziemy mieli gości na kolacji – oznajmiła. – To sąsiedzi, którzy przeprowadzili się tu przed kilkoma laty, mili ludzie. Powiedziałam im, że przyjeżdża nasz wnuk. Miałam nadzieję, że zrozumieją aluzję, ale odparli, że nie mogą się doczekać, by cię poznać.

– Nie powinnaś gotować dla nikogo kolacji – stwierdził Harper. – Masz już dość dużo na głowie.

– Och, sami coś przyniosą. Wiesz, jacy są tutaj ludzie. Pamiętasz te fury jedzenia, które nam znosili po tym, jak straciliśmy Buda? Musiałam wprowadzić do domu psa po raz pierwszy w jego życiu i karmić go tym wszystkim po kryjomu.

Uśmiechnęli się do siebie.

– Twój pokój wygląda tak samo. Chcesz rzucić okiem?

– Może później. Chciałbym wiedzieć, co mogę zrobić dla ciebie i Papy, kiedy tu jestem.

Nina wyprostowała się nad miejscem, które wycierała, strząsnęła ścierkę nad zlewem, złożyła ją na pół i odłożyła na bok.

– Chodzi ci o rzeczy do zreperowania? Mamy ludzi, którzy się tym zajmą.

– Dlaczego on nie rozumie, jakim był dobrym człowiekiem?

– Być może dlatego, że był zbyt dobry, żeby to rozumieć. Sąsiedzi nie zostaną długo. A ty?

– Mogę coś zjeść.

– Nie pytałam o dzisiejszy wieczór.

Harper podszedł do Niny, objął ją i przytulił, a ona zaczęła cicho łkać. Podejrzewał, że już od dawna nikt jej nie przytulał.

Później poszedł do swojego pokoju i zanim zjawili się sąsiedzi, zgolił brodę. Potem usiadł na ganku z tyłu domu, a Nina zabrała się do przycinania

mu włosów parą naostrzonych kuchennych nożyc. Przez chwilę się zastanawiał, co powie Gregorowi w Instytucie, jak wytłumaczy zniknięcie na cztery miesiące.

– Nie ruszaj się i patrz prosto przed siebie, Nic, bo utnę ci kawałek ucha – rzuciła w pewnym momencie Nina.

Zmierzch zapadał tak szybko, jakby dolina wypełniała się dymem, który z każdą chwilą gęstniał i stawał się ciemniejszy. Harper siedział na werandzie, popijając whisky. Przez większość popołudnia czekał, aż Kadek przyniesie kolację, którą postawi na biurku w chacie, a potem wyjdzie z powrotem na werandę i uprzejmie zapyta: „Panie Harper, czy mam zapalić lampy?”.

Ale Kadek nie pojawił się z jedzeniem. Nie przyszedł zapalić lamp. Harper siedział jeszcze chwilę na werandzie, pijąc i paląc, aż w końcu wszedł do chaty, włączył zawodną lampkę nocną, znalazł zapalki, po czym sam zapalił lampy naftowe. Zamknął okiennice, a wróciwszy na werandę, pociągnął za sobą drzwi i powiesił jedną lampę na haku pod dachem. Wciąż ani śladu Kadeka, zresztą było już zbyt późno na to, by się zjawił. „A więc to dzisiaj?”, pomyślał Harper. Znow zaczął się zastanawiać, czy Kadek też jest w to zamieszany. Zawsze przychodziło mu to do głowy, gdy co rano mówił: „Mam nadzieję, że noc minęła panu spokojnie”. Czy w tym zdaniu czaiło się jakieś szyderstwo? Ale jeśli Kadek stanowił część tego wszystkiego, wówczas nie ryzykowałby zaniedbaniem swoich obowiązków, ponieważ w ten sposób mógłby go ostrzec. Jeśli stanowiłby część tego wszystkiego, przyszedłby tu dzisiaj i zachowywał się z taką samą nienaganną uprzejmością jak zawsze, starając się utrzymać Harpera w nieświadomości. „Nie – pomyślał Harper – jeśli to ma się stać dzisiaj w nocy, wtedy do Kadeka w ciągu dnia podszedłby w mieście jakiś młody nieznajomy mężczyzna – albo kobieta – i rzekłby mu tylko: «Nie idź dziś wieczorem do chaty tego *bule*». I wystarczyłoby przelotne spojrzenie na twarz tego młodego mężczyzny – lub kobiety – a Kadek

poszedłby do domu”. A może sygnałem, na który czekał, było przybycie Johana? Wszak Anioł Śmierci nie pojawiał się w mieście z rykiem, w czarnoczerwonym stroju i z widłami w dłoni – przynajmniej w tym świecie, w którym pracował Harper – lecz z uśmiechem na twarzy, w luźnych spodniach i rozpiętej pod szyją koszuli, z wyciągniętą na powitanie ręką i teczką w drugiej dłoni.

Albo też zjawiał się pewnego wieczoru, gdy światło malowało złotem zielone pola, a jedno z dzieci biegło do domu, by powiedzieć, że na podwórku stoi jakiś nieznajomy.

„Gdybym to ja kierował Instytutem – pomyślał Harper, sącząc whisky – i chciałbym, żeby jakiś człowiek niczego nie podejrzewał, podarowałbym mu hojny czek, żeby uspić jego czujność, a także pozostawić po sobie dowody dobrych intencji w razie dochodzenia. Potem wynajęłbym poprzez pośredników jakichś miejscowych wyrostków, tak aby nie dało się ich ze mną powiązać. Właśnie tak postępują mężczyźni w garniturach. Mężczyźni w garniturach zawsze mają czyste ręce”. Harper już wiedział, że tamtego dnia Abang wysłał go na wieś nie po to, by ostrzegł Komanga i nakłonił go do ucieczki, ale żeby dał jego mordercom sygnał, że już czas. Nie wysłano go, żeby uratował Komanga, ale żeby go zabił.

I właśnie to wydało się Harperowi znajome w Johanie, gdy zobaczył go wczoraj na swojej werandzie. Rozpoznał w nim własne odbicie.

„Świat teraz jest inny”, powiedziała mu Rita. Wtedy też wydawało się, że świat jest inny.

„W każdym języku występuje jakaś forma imienia John, zgadza się?”
Zdecydowanie tak.

Gdy wrócił do chaty, głowę miał ciężką od whisky. Zdjął koszulę i spodnie, po czym przewiesił je przez oparcie krzesła, a potem odrzucił pościel z łóżka.

Nie było sensu uciekać. Jeśli miał rację, i tak go znajdą; jeśli się mylił, zaprzepaści szansę na szczęśliwe życie u boku Rity. Istniał tylko jeden sposób na to, by się przekonać, czy cierpi na paranoję, czy nie. Musi spędzić w chacie jeszcze dwie noce: jeśli nie przyjdą po niego w tym czasie, to znaczy, że się mylił co do wszystkiego. Dwie noce, to było takie proste.

Kiedy się wreszcie ułożył, ubijając sobie jedną ręką poduszkę pod głową, pomyślał, że bez względu na to, jak bardzo czujemy się przygotowani, kiedy ten moment w końcu nadchodzi, i tak usiłujemy walczyć. Nawet Papa, cierpiący, z organizmem wyniszczonym przez raka: pod koniec też walczył, Harper był pewien, że tak. Obserwowanie tej walki musiało być szczególnie trudne dla Niny, tym bardziej że jej wynik mógł być tylko jeden. Harper wyobrażał sobie leżącego w łóżku staruszka, wychudzonego, lecz o grubokościstej budowie, który gwałtownie kaszle i ciężko dysząc, chwyta się ostatnich skrawków życia. No a Bud? Musiał być choćby ułamek sekundy, kiedy uświadomił sobie, co się z nim dzieje – na pewno nie wtedy, gdy unosił się na wodzie ani kiedy zaczął wirować, ale raczej gdzieś pomiędzy krzykiem Harpera wołającego jego imię a runięciem w dół spienionej kaskady. Co umysł pięciolatka mógł pojąć z tamtej chwili? Czy cokolwiek rozumiał, czy też panika, która go wówczas ogarnęła, była tak surowa, tak nieuformowana, że stanowiła po prostu czysty lęk? Żona Komanga z pewnością rozumiała. Walczyła znacznie dłużej, niż się tego po niej spodziewał. Może każda ludzka istota zaczyna walczyć w ostatnich chwilach – walczy we własnej głowie, nawet jeśli jest unieruchomiona, i bez względu na to, jakie cierpienia ją czekają, gdy zdoła pozostać przy życiu.

Harper leżał w ciemnościach z otwartymi oczami i w jednej chwili wszystkie te myśli przelatywały mu przez głowę, a już w kolejnej składał sobie w duchu obietnicę, że nie podda się paranoi. Był całkowicie pewien, że już nigdy nie zdoła zasnąć. To była jego ostatnia myśl, te trzy wyraźne słowa: „Nigdy nie zasnę”.

Śniła mu się Rita. Stała daleko od niego, na drodze, i patrzyła na pole. Potem pole zamieniło się w urwisko. Spadła, a Harper gwałtownie się obudził. W chacie panowały cisza i ciemność, więc natychmiast zasnął i znów przyśniła mu się Rita. Tym razem jej ciało było rozczłonkowane przez ludzi, których nie widział. Znęcali się nad nią w ten sam sposób, co nad słynącym z zepsucia grubasem. I Gede Pugerem⁴¹. Najpierw, jak słyszał, wykrawali płyty tłuszczu z jego ciała, a potem strzelili mu w głowę. Harper stał w tym śnie na moście, a Rita nagle znalazła się za jego plecami. Mężczyźni wciąż cięli jej ciało, ale jemu to nie przeszkadzało. W końcu zerwał się w panice, młóćąc rękami powietrze, i zorientował się, że nadszedł świt. Kadek był na werandzie.

Gdy otworzył drzwi, Kadek skłonił mu się na powitanie.

– Przepraszam, że nie przyszedłem wczoraj, panie Harper, ale moja żona się rozchorowała.

– Przykro mi to słyszeć. Proszę, pozdrów ją ode mnie.

Spojrząwszy na dolinę, zauważył, że w nocy nie padało. A więc to była bezdeszczowa noc – w taką noc trudno zatrzeć ślady, w taką noc grzmot rozlegający się nad dachem nie zagłuszy odgłosów dobiegających z werandy.

Harper ochlapał twarz wodą, którą przyniósł Kadek, zapalił papierosa i usiadł na werandzie, słuchając, jak tamten sprząta chatę, wygładza prześcieradło szybkimi ruchami rąk, które wydają dźwięk podobny do łopotu skrzydeł jakiegoś wielkiego ptaka, na przykład albatrosa. A więc to dlatego nie przyszli w nocy. Czekali na deszcz. Ciekawe, ile im za to zapłacono. Ile jest warty?

Ciekawiło go też, jak mieszka Kadek: cóż, miał nadzieję, że w wielkim domu z licznymi krewnymi, skoro zatrudnia go zachodnia firma. Wyobrażał sobie, że ma młodą i ładną żonę oraz dwoje lub troje dzieci. Tego rodzaju

życie było szczęśliwe, dopóki nie działo się nic złego. Tak właśnie myślał Harper, gdy przejeżdżał przez kolejne wioski: życie w nieśpiesznym tempie, we wspólnocie, z silnymi więzami rodzinnymi. Dopóki nie brakowało jedzenia i nikt nie chorował... Wpatrywał się w Gunung Agung, świętą górę widoczną ponad wierzchołkami drzew. Dopóki nie doszło do erupcji wulkanu albo ogromna fala nie zatopiła twojej łodzi rybackiej, albo zaraza nie zniszczyła zbiorów ryżu... Dopóki nie wybuchła żadna wojna, nie doszło do dewaluacji rupii bądź zamachu stanu. Rita i jej podobni mogli idealizować taki styl życia, te wyspy, wszystko, co tylko chcieli, ale mieszkający tu ludzie każdego dnia stąpali nad przepaścią.

Po kilku minutach Kadek wyszedł na werandę i nie odzywając się, postawił porcelanową filiżankę obok łokcia Harpera. Pewnie z jego milczenia wywnioskował, że ta noc nie minęła mu spokojnie. Sącząc czarną kawę, Harper ze znużeniem odtwarzał w pamięci swój sen. Zastanawiał się, czy był on rzeczywiście tak długi, jak mu się zdawało, kiedy go śnił, czy też tylko tak go zapamiętał. Kiedyś w Holandii usłyszał, że sny pojawiają się w sekundzie, w której wynurzamy się z nieświadomości, i trwają ledwie chwilę – i choć wydaje się nam, że śniliśmy godzinami, sen to tylko to, co zapamiętaliśmy w okamgnieniu, skondensowany czas. Ta myśl zawsze go fascynowała. Być może podobnie rzecz się ma ze świadomą pamięcią: wszak całe dekady bywają pamiętane jako pojedyncze chwile.

Jakkolwiek dziwny i makabryczny wydawał się ten sen, pewną pociechę stanowiło to, że śnił o Ricie. Pomyślał, że z przyjemnością śniłby o niej w każdej możliwej postaci: to już było coś. Znał ją krótko, a jednak zajmowała ważne miejsce w jego głowie. Ci, którzy nas nawiedzają we śnie, nie należą do najpiękniejszych ani też do najdroższych nam osób, wręcz przeciwnie: to tylko ci, którzy pojawili się w tym momencie naszego życia, kiedy jesteśmy gotowi na ich przyjście.

Kadek wyszedł z powrotem na werandę i coś powiedział. Harper był

świadom jego głosu, drobnej eksplozji dźwięków z lewej strony, ale nie zarejestrował słów, więc ten znów się odezwał:

- Panie Harper...
 - Tak? – Harper nie odwrócił głowy.
 - Pańskie śniadanie. Postawiłem je na stole, ale mogę je przynieść tutaj.
 - Zostaw je tam, dziękuję.
- Kadek się uklonił.

Siedział przez jakiś czas na werandzie, a potem wstał, powoli i ociężale, podszedł do balustrady i oparł się o nią łokciami, patrząc na dolinę. Jeśli spełni swoje marzenie o willi pośród pól ryżowych i zrobieniu półek na książki dla Rity, ile czasu upłynie, zanim znów zacznie źle sypiać, krzyczeć przez sen albo budzić ją, wstając z łóżka w środku nocy? Wtedy ona będzie pytać, co się stało, a on jej w końcu powie i w ten sposób przekaże część swoich wspomnień. Zupełnie jakby podarował jej odciętą głowę zawiniętą w prześcieradło. Lepiej trzymać się od niej z daleka, niż zrobić coś takiego. Musi zawrzeć sam ze sobą pakt i twardo się go trzymać – kiedy tu zamieszka, jeśli zamieszka, całą przeszłość musi pozostawić za sobą. Czy będzie go na to stać? Czy nie to zawsze stanowiło problem? Nie samo dokonanie wyboru, ale to, czy w ogóle mamy jakikolwiek wybór.

Nagle sobie uświadomił, że obok stoi Kadek, który bezszelestnie pojawił się koło jego łokcia. Czego znowu chce?

- Już wszystko gotowe, panie Harper.

Gdy tak stali naprzeciw siebie, Harper miał poczucie, jakby opadły wszystkie pozory, a Kadek mówił mu w gruncie rzeczy: „Wiesz, co to za miejsce, w którym teraz jesteś. Już wszystko skończone”.

- Życzy pan sobie jeszcze posiłek w ciągu dnia czy zje pan na mieście?
- Dziękuję, nie musisz przychodzić później.

– Mam przyjść rano czy zamierza pan wyjechać przed śniadaniem?

Kadek oczywiście został poinformowany o jego wyjeździe. Może Johan złożył mu wizytę, a może wystarczył telefon od osoby, która go zatrudniła, czyli zapewne jakiegoś agenta albo pracownika biura w Denpasar.

– Nie, dziękuję, nie będę już niczego potrzebował – odrzekł Harper. Nie zdawał sobie sprawy, że dziś widzi się z nim po raz ostatni.

– A jakie ma pan życzenia co do transportu?

To kolejna rzecz, nad którą się nie zastanawiał. Nie wydawało mu się właściwe wypytywać teraz o możliwość kupna jakiegoś lekko przechodzonego samochodu. Kadek najwyraźniej chciał zamknąć wszystkie sprawy z nim związane.

– Jutro rano pojedę samochodem do miasta i zaparkuję go pod muzeum. Kluczyki zostawię na portierni.

Kadek uklonił się lekko i powiedział:

– To była przyjemność móc z panem pracować, panie Harper. – Wyprostował się i uśmiechnął tak samo jak zwykle, gdy się z nim żegnał.

To pożegnanie nadeszło w tak niespodziewany i kategoryczny sposób, że Harper nie zdążył wymyślić żadnego odpowiedniego gestu.

– Dziękuję. Tak, dla mnie to też była przyjemność.

Nagle, jakby sobie coś przypomniał, Kadek dodał:

– Czy chce pan, żebym złożył i spakował pańskie ubrania?

– Nie, nie trzeba, mogę sam się tym później zająć.

Miał – co? – sześć koszul, trzy pary spodni, trochę koszulek, stare wysokie buty, dwie pary półbutów. Miał też ładny zegarek. I drogą skórzaną saszetkę zasuwaną na zamek, którą Francisca kupiła mu na przybory toaletowe. Trzymał w niej długopisy, ołówki i jednorazowe zapalniczki, a także trochę gotówki złożonej i wsuniętej pod podszewkę w miejscu, w którym rozpruł szew. Miał notes. Będzie musiał wyrwać z niego wszystkie kartki, jedna po drugiej, i spalić je w popielniczce. Zajmie mu to około godziny.

A potem, zanim zdążył wyciągnąć rękę na pożegnanie, jeszcze raz podziękować czy wspomnieć o napiwku, Kadek zniknął, zostawiając go na werandzie. Z pozoru wyglądało to tak, jakby Harper go zwolnił, podczas gdy w rzeczywistości to on został zwolniony.

Kiedy ułożył się w łóżku tej nocy, swej ostatniej nocy w chacie, zostawił na chwilę zapaloną lampkę nocną i przyglądał się cieniom owadów tańczących wokół grubej moskitiery, zupełnie jakby miał całkiem prywatne przedstawienie *wayang*⁴². Rozumiał teraz, że całe jego życie jest zbudowane na kłamstwie logiki. To właśnie logika zwalniała ludzi z konieczności dokonywania wyborów. Bo jeśli ja nie wykonam tego zadania, zrobi to ktoś inny. Jeśli moja firma nie zainwestuje w ten szalony i zbrodniczy reżim, zrobi to jakaś inna firma. Jeśli nie zabiję tej kobiety, zrobią to stojący wokół mnie mężczyźni, a ona będzie umierała znacznie wolniej. Wszystko to prawda, ale zawsze był jeden element, który wydawał się po prostu zbyt straszliwy, by móc go usprawiedliwić w ten sposób. Gdyby nie utopił żony Komanga na polu ryżowym, umierałaby w męczarniach przez kilka godzin. Ale on wcale nie zrobił tego, by ocalić ją przed torturami. Utopił ją, żeby pokazać otaczającym go mężczyznom, że jest po ich stronie. Utopił ją, by ratować własną skórę.

Leżał, obserwując taniec owadów. Myślał o obrazach, które przez te wszystkie lata nosił w głowie: Bud znikający nad skrajem wodospadu; żona Komanga i jej mokre włosy oblepiające jego nadgarstek, gdy wpychał jej twarz w błoto; żółty księżyc nad Dżakartą tamtej nocy, gdy kuczał nad kanałem i przyciskał do piersi listę śmierci. I ta chwila teraz, kiedy obserwuje szamoczące się i trzepoczące skrzydłami owady. Czym było bowiem życie, jeśli nie takimi właśnie chwilami nanizanymi niczym koraliki na sznur? Rita nie nosiła żadnej biżuterii oprócz małych złotych kolczyków i zegarka na skórzanym pasku. W jego głowie pojawił się obraz Rity siedzącej w barze

tamtej nocy, kiedy się poznali: jej swobodny śmiech, sposób, w jaki unosiła rękę, gdy się kochali, muskając palcami nagą, zaczerwienioną skórę szyi. Chwile takie jak ta: wszystkie one składały się na jeden sznur koralu.

Leżał spokojnie, upajając się jasnością i przenikliwością swoich myśli, i czekając, aż nadejdzie ten moment, kiedy wychyli się z łóżka, uniesie delikatnie moskitierę na tyle, by móc sięgnąć ręką i zgasić lampkę, po czym będzie leżał w ciemnościach, by wreszcie, na przekór wszystkiemu, pogrążyć się we śnie.

Rano wstanie, ubierze się, wyjdzie na werandę, może nawet wybierze się na ostatni spacer nad rzekę. Wyjmie trochę dolarów ze schowka pod podszewką kosmetyczki i włoży je do koperty, z której wcześniej wyjął czek od Instytutu. Zaklei kopertę, napisze na niej imię Kadeka i położy ją na biurku. Potem będzie musiał już tylko przenieść przez próg torbę podróżną, zejść po schodach i zanieść ją w dół ścieżki do samochodu. Umówił się z Ritą, że po południu zamelduje się w pensjonacie, a ona obiecała przyjść tam jak najszybciej po pracy, żeby mogli zamówić drinki i uczcić wspólne plany. Niejako w lustrzanym odbiciu ich pierwszego spotkania Harper ujrzał siebie, jak siedzi przy stoliku w rogu. Ujrzał siebie, jak czeka na nią i pali, lekko zniecierpliwiony, a ona po wejściu do baru patrzy od razu w jego stronę. Patrzy na niego i się uśmiecha. A on, leżąc w łóżku, odpowiada jej takim samym uśmiechem.

Przebudził się kilka godzin później, ale nie gwałtownie, a tylko z pełnym rezygnacji westchnieniem z powodu drwiącego tonu w triumfującym skrzeczeniu gekona. E-ur! Krótka pauza i znów. A więc starania Kadeka i młodej kobiety, która złożyła ofiarę, nie przyniosły rezultatów. Gekon wciąż przychodził. Harper uzmysłowił sobie nagle, że choć słyszał go niemal co noc, ani razu go nie widział.

Leżał zupełnie nieruchomo w ciemności, oddychał spokojnie i nasłuchiwał szurania łap różnych stworzeń na spadzistym drewnianym dachu. To nic takiego. To tylko gekon. Rano nie będzie po nim śladu. Rano po prostu wstanie z łóżka.

Powoli, łagodnie znów zaczął zapadać w sen. Przypominało to długie osuwanie się w nieświadomość, tak bardzo niespieszne, jak lot człowieka opadającego na ogromnym spadochronie z dużej wysokości albo szerokiego liścia oderwanego od gałęzi w bezwietrzny dzień. A gdy tak pogrążał się we śnie, odgłosy na dachu zaczęły nabierać bardziej regularnego rytmu: pac, pac, pauza, pac, pac, pac. To tylko gekon, to wszystko, albo jakieś inne zwierzę, bądź też po prostu jego wyobraźnia. A może... Tak, nareszcie. Zaczął padać deszcz.

Podziękowania

Pomysł tej książki narodził się, gdy w 2012 roku gościłam na Ubud Writers and Readers Festival na wyspie Bali w Indonezji, a sama powieść nie powstałaby bez wspaniałomyślniej pomocy dyrektorki artystycznej festiwalu, Janet DeNeefe. Składam najgorętsze podziękowania jej oraz Ketutowi Suardanie za ich życzliwość, gościnność i cierpliwość, z jaką odpowiadali na moje niekończące się pytania. Jestem również wdzięczna wielu innym osobom, które pomagały mi zbierać materiały do książki, czytały maszynopis bądź zajmowały się i jednym, i drugim. Szczególne podziękowania kieruję do Holandii, do doktora Revo Soekatno z Wikimedia Indonesia oraz Adriaana van Disa; do Indonezji – do hotelu Tanjung Sari, hotelu Indonesia Kempinski, Johna H. McGlyna z Lontar Foundation, Suzanty Santorius oraz Yosefa Riadiego; do Wielkiej Brytanii – do Michaela Ardittiego, Jacqui Lofthouse i Kevina Smullina Browna; wreszcie do Stanów Zjednoczonych – do doktora Clayborne’a Carsona z King Research and Education Institute na Uniwersytecie Stanforda za zgodę na cytowanie go, a także za informacje na temat życia czarnoskórej klasy średniej w Los Angeles w latach pięćdziesiątych. Wszelkie błędy pojawiające się w tej książce obciążają wyłącznie moje konto.

Zamach i kontrzamach stanu z 1965 roku doprowadziły do śmierci blisko miliona Indonezyjczyków, głównie członków lub domniemych członków komunistycznej partii PKI. Fala przemocy obejmowała również morderstwa dokonywane na sąsiadach w okresie straszliwej biedy i niedostatku, jednak większość mordów była zorganizowana przez wojsko i opierała się na listach nazwisk dostarczanych przez CIA, zaangażowaną wówczas w zimnowojenny konflikt i próbującą powstrzymać rozprzestrzenianie się komunizmu w Azji

Południowo-Wschodniej. Istnienie takich list zostało już udokumentowane, lecz postać Harpera, jak również rola, jaką odegrał w przekazaniu jednej z nich, stanowią wyłącznie moją inwencję, podobnie zresztą jak instytucja, dla której pracuje.

Prywatne firmy oferujące usługi z zakresu analizy ryzyka oraz doradztwa dla międzynarodowych korporacji oraz rządów funkcjonowały od wielu lat i wiele z nich do dziś prowadzi aktywną działalność na całym świecie. Pracownicy jednej z takich firm, o ustalonej już renomie w tej branży, z biurami w Londynie i Dżakarcie, służyli mi nieocenioną pomocą przy zbieraniu materiałów, pod warunkiem zachowania anonimowości. Jestem im bardzo wdzięczna za wszelkie informacje na temat funkcjonowania interesu opierającego się głównie na dyskrecji. Należy jednak zaznaczyć, że ich działalności w żadnej mierze nie można porównywać z jakimikolwiek wydarzeniami opisanymi w tej książce.

Jak zwykle serdecznie dziękuję mojemu agentowi Antony'emu Harwoodowi, a także Sarah Savitt, Hannah Griffiths i Lisie Baker z Faber & Faber UK oraz Sarah Crichton z Sarah Crichton Books/Farrar, Straus & Giroux w Nowym Jorku.



© Yves Salmon Photography

Louise Doughty jest uznaną brytyjską pisarką, dziennikarką, krytyczką i komentatorką kultury dla brytyjskich oraz zagranicznych gazet, regularnie występuje w BBC. Mieszka w Londynie. *Black Water* jest jej dziewiątą powieścią.

Poprzednia – bestseller *Mroczny zaulek*, opublikowany w 26 krajach – znalazła się na prestiżowej liście bestsellerów Richard & Judy Book Club oraz wśród finalistów nominowanych do najważniejszych brytyjskich nagród literackich: Specsavers National Book Awards i CWA Daggers.

-
- [1](#) *Bule* (indonez.) – biały [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza i redakcji].
 - [2](#) *Bak mandi* – zbiornik na wodę służący do kąpieli.
 - [3](#) *Terima kasih* (indonez.) – dziękuję.
 - [4](#) Jusuf Habibie – współpracownik Suharto, prezydent Indonezji od maja 1998 roku do października 1999 roku.
 - [5](#) Kretek – indonezyjski papieros z dodatkiem goździków.
 - [6](#) Kampong lub kampung – w Indonezji i Malezji wioska, osada, dzielnica.
 - [7](#) PKI – Partai Komunis Indonesia (Komunistyczna Partia Indonezji); powstała w 1920 roku. W 1966 roku została zdelegalizowana za udział w nieudanym przewrocie w 1965 roku. Jej członków i sympatyków poddano krwawym represjom.
 - [8](#) *Nekolim* – termin ukuty podczas prezydentury Sukarno na określenie zagrożenia ze strony neokolonializmu i imperializmu.
 - [9](#) W 1965 roku generał Suharto udaremnił zamach stanu nieudolnie przeprowadzony przez komunizujących oficerów, a potem kierował represjami przeciwko partii komunistycznej. Czystki szybko rozlały się na całą Indonezję. Dokonywali ich nie tylko żołnierze, lecz także bojówki. Listy były długie: wystarczył donos lub choćby cień podejrzenia o sympatie komunistyczne. Tylko na Bali zginęło około osiemdziesięciu tysięcy osób. W 1967 roku Suharto został prezydentem.
 - [10](#) Gestapu – potoczna nazwa ruchu 30 września, utworzona jako akronim od Gerakan September Tiga Puluh. Organizacja militarna, która w nocy z 30 września na 1 października 1965 roku przeprowadziła nieudany zamach stanu, dokonując egzekucji sześciu generałów indonezyjskiej armii. Żołnierze zajęli plac Merdeka leżący w centrum Dżakarty i ogłosili przejęcie władzy. Tymczasem generał Suharto zmobilizował siły i otoczył powstańców. 2 października ruch przestał istnieć.
 - [11](#) *Nasi goreng* – smażony ryż z cebulą i przyprawami.
 - [12](#) NEFIS (Netherlands East Indies Forces Intelligence Service) – holenderskie siły wywiadu i służb specjalnych operujące w czasie drugiej wojny światowej na terenie Holenderskich Indii Wschodnich, znajdujących się pod japońską okupacją.
 - [13](#) Warung – rodzaj małego rodzinnego interesu, może to być stragan, budka z jedzeniem, nieduża restauracja lub kawiarnia.
 - [14](#) Dewi Sri – bogini urodzaju.
 - [15](#) *Ibu* (indonez.) – pani, matka.
 - [16](#) Chodzi o generała Suharto. W 1998 roku, po fali zamieszek i kryzysie finansowym, został zmuszony do ustąpienia.
 - [17](#) Anak Agung Bagus Suteja – pierwszy gubernator Bali.
 - [18](#) Gerwani – kobieca organizacja założona w 1950 roku, związana z Komunistyczną Partią Indonezji (PKI).
 - [19](#) W latach 1997–1998 Indonezja przechodziła poważny kryzys finansowy, czego skutkiem był spadek zaufania inwestorów. Wybuchły zamieszki, skierowane głównie przeciwko ludności chińskiego pochodzenia, która zdominowała handel i usługi bankowe. Obcokrajowcy zaczęli w pośpiechu opuszczać kraj. Protestowali również studenci. W rezultacie tych niepokojów 21 maja 1998 roku Suharto ustąpił, przekazując władzę Habibiemu.
 - [20](#) *Lieveling* (hol.) – moja droga.

- [21](#) W latach 1942–1945 Indonezję okupowali Japończycy, mocno wspierający tamtejszy nacjonalizm. 17 sierpnia 1945 roku Sukarto proklamował Republikę Indonezyjską, co spowodowało walki zbrojne z Holendrami.
- [22](#) Ardżuna – jeden z bohaterów *Mahabharaty*, niebiański łucznik i przyjaciel boga Kryszny.
- [23](#) *Indië verloren...* (hol.) – Indie stracone, czeka nas zguba!
- [24](#) Aluzja do sloganu reklamowego coca-coli z 1963 roku: „*Things go better with Coke*” (Z coca-colą wszystko idzie/smakuje lepiej).
- [25](#) Chodzi o prezydenta Sukarno i wycofanie Indonezji w styczniu 1965 roku z Organizacji Narodów Zjednoczonych.
- [26](#) Bung Karno – przydomek prezydenta Sukarno, dosłownie „brat” lub „towarzysz” Karno.
- [27](#) *Tidak, tidak...* (indonez.) – Nie, nie. Dziękuję, nie trzeba.
- [28](#) Hari Merdeka – indonezyjski Dzień Niepodległości przypadający 31 sierpnia.
- [29](#) *Betjak* – indonezyjska riksza rowerowa.
- [30](#) Gamelan (gamelang) – indonezyjska orkiestra.
- [31](#) Konfrontasi (konfrontacja indonezyjsko-malezyjska) – konflikt zbrojny w latach 1963–1966 pomiędzy Indonezją oraz wspieraną przez Brytyjczyków Malezją o panowanie nad wyspą Borneo.
- [32](#) *Ampun-ampun!* (indonez.) – Łaski!
- [33](#) *Klepon* – zielone kulki z mąki ryżowej wypełnione płynnym cukrem palmowym i obtoczone w wiórkach kokosowych.
- [34](#) *Adik* (indonez.) – młodszy bracie.
- [35](#) *Prelambang Jayabaya* – księga prorocत्व, której autorstwo jest przypisywane żyjącemu w XII wieku królowi Jawy o imieniu Jayabaya.
- [36](#) Pancasila – oficjalna ideologia państwowa niepodległej Republiki Indonezji.
- [37](#) Kopasus – siły specjalne indonezyjskiej armii.
- [38](#) *Ayo!*... (indonez.) – Dość tego! Ani się waż!
- [39](#) *Goedemorgen...* (hol.) – Dzień dobry. Jak się pan miewa?
- [40](#) Voting Rights Act – 1965 rok, ustawa zakazująca dyskryminacji rasowej w prawie wyborczym Stanów Zjednoczonych.
- [41](#) Gede Pugerem – jeden z liderów PKI na Bali, zamordowany prawdopodobnie w 1966 roku.
- [42](#) *Wayang* – jawajski teatr cieni.

Oni przychodzą tylko wtedy, kiedy się boisz.

John Harper ukrywa się w odosobnionej chacie na tropikalnej wyspie. Nocą, gdy nie może zasnąć, leży wsłuchany w deszcz bębniący o dach i rozmyśla o mogącym mu grozić niebezpieczeństwie. **Ale bardziej niż to, co może się z nim stać, przeraża go to, co sam kiedyś zrobił.**

W pobliskim miasteczku spotyka Ritę, kobietę naznaczoną przez własną trudną historię. To przy niej czuje się bezpiecznie i przed nią wyznaje prawdę o sobie. Ma nadzieję, że w nowej relacji wreszcie osiągnie odkupienie. **Nie wie jednak, że upiory przeszłości nie pozwolą tak łatwo o sobie zapomnieć.**

Na tle Indonezji z lat sześćdziesiątych, gdy rozpoczynały się zbrodnie ludobójstwa, i końca lat dziewięćdziesiątych, zimnowojennej Europy oraz Kalifornii z czasów walki o prawa obywatelskie Louise Doughty z rozmachem rysuje historię człowieka zmagającego się z mroczną tajemnicą i pogrążonego w głębokim kryzysie. Mężczyzny, którego można nienawidzić za to, co zrobił, ale jednocześnie kibicować mu w drodze do rozwiązania zagadki o sobie samym.

Black water – czarna toń, martwa woda; mroczne sekrety, które potrafią męczyć całe życie; synonim zła i ciemnej strony ludzkiej natury.

Patroni medialni:



 Zamówienia
www.burdakslazki.pl
tel. +48 22 360 37 77
[facebook.com/burdakslazki](https://www.facebook.com/burdakslazki)

Książka dostępna
też jako e-book

Zwskanuj kod
i pobierz
darmową
próbkę książki

